

JUDITH O'BRIEN

Labyrinth

1

Wokół jej stóp obutych w miękkie pantofle igrał zefirek, szczupłe kostki smagał poruszany przez wiatr rąbek aksamitnej sukni. Była wczesna wiosna, ale czuło się jeszcze zimowy chłód. Popołudniowe słońce powoli ogrzewało wilgotne powietrze, torując drogę pięknej pogodzie, witanej z ulgą po lodowatych angielskich deszczach.

Umościła się wygodniej na staroświeckiej ławce, usiłując ignorować ciągnący od kamienia ziąb, choć po prostych jak świeca plecach przebiegł ją nieprzyjemny dreszcz. Miała na sobie wspaniałą niebieską suknię z mieniącym się w słońcu złotym obramowaniem szyi. Zebrane ciasno na ramionach rękawy ze złotego brokatu, na którym rzeczynymi perełkami wyszyto zawile wzory, rozkładały się wachlarzowato. Spod rękawów wyzierały mankiety z cienkiego płótna obrzuconego złotą nitką, spowijające jej wąskie nadgarstki.

W rękach trzymała ozdobną lutnię, na której brzdąkała z roztarżeniem. Ale naprawdę uwagę przyciągała jej twarz, ginąca pod kanciastym nakryciem głowy.

Czarne rzęsy, trzepoczące nad błyszczącymi brązowymi oczyma, rzucały strzępiaste cienie na policzki o mlecznej cerze. Nos był mały, ale bynajmniej nie słodki, raczej dumny, a na pełnych,

pieszczotliwie oblizywanych wargach błakał się uśmiech. Pod poważną miną czaiła się bowiem wesołość — podobna do niesforenego pasemka jedwabistych kasztanowatych włosów, które wysunęło się spod sztywnego, kanciastego nakrycia głowy, by spocząć na jej gładkiej szyi.

Wtem z boku rozległ się jakiś szelest i ręka młodej kobiety zawisła nad strunami lutni.

Z alejki między krzewami wyłonił się mężczyzna ubrany w dublet koloru burgunda i białą koszulę, której kryza okalała jego gładko ogolony podbródek. Miał ognistorude włosy, rude brwi i blade oczy. Złożył niski ukłon siedzącej damie. Gdy skrzyżował nogi w dworskim ukłonie, jego miecz zabawnie poddarł z tyłu połą kaftana.

— Milady, twój pan powrócił — oznajmił głębokim głosem, zupełnie nie pasującym do jego delikatnych rysów.

Dama rozchyliła wargi, odsłaniając piękne białe zęby, ale nie zdążyła mu odpowiedzieć, bo w tej samej chwili inny głos przeciął powietrze.

— Cięcie!

Reżyser odwrócił się ku kamerzyście, upewniając się, że ten rzeczywiście przestał kręcić. Po czym obdarzył wściekłym spojrzeniem aktora przebranego za rycerza i wycedził przez zęby:

— Myślałem, że stać cię na więcej, Stan.

Stan wyprostował się dumnie i przybrał obrażoną minę.

— Na imię mam Stanley — oznajmił z godnością. — Daruje pan,

ale jako aktor szekspirowski nie jestem przyzwyczajony do grania w tych... w tych... - Tu zająknął się i zacisnął powieki, jak gdyby zbierał siły wewnętrzne, żeby się opanować.

Kobieta z lutnią uśmiechnęła się i machnęła lekceważąco ręką.

— Naprawdę nie ma powodu, żeby się aż tak denerwować. Chciałeś powiedzieć, że nie jesteś przyzwyczajony do grania w wideoklipach, prawda?

Mężczyzna kiwnął głową. Za każdym razem, gdy przełykał ślinę, kryza zabawnie podskakiwała.

— Ja natomiast, Stan... - zaczęła kobieta, opierając lutnię o nogę kamiennej ławki, żeby wstać — ...nie jestem przyzwyczajona

LABIRYNT

do Anglii. - Mówiła śpiewnym głosem, który choć miał w sobie południową szorstkość, tchnął delikatnym miodowym ciepłem. — To co, jesteście kwita? - spytała, wyciągając do niego rękę. Aktor rozluźnił się i z wdzięcznością uściśnił jej dłoń.

- Panno Bailey... — zaczął głosem tak donośnym, że usłyszano by go w ostatnich rzędach dowolnego teatru na świecie - ...chciałbym skorzystać z okazji i powiedzieć, że pani piosenki podobają mi się, bez względu na to, kto je wykonuje. Pani kompozycje są naprawdę oryginalne. Muszę przyznać, że nie przepadam za... to znaczy, chciałem powiedzieć, że zwykle słucham muzyki bardziej klasycznej. Pani jednak, panno Bailey...

- Proszę mi mówić Deanie — wtrąciła wesoło.

- Tak więc, panno Deanie, uważam, że pani ma wielki talent. Jak już wspomniałem, zwykle nie słucham tej jak-jej-tam...

- Muzyki country? — odpowiedziała, unosząc brwi z zabawieniem.

- Właśnie. Dla mnie jest ona zbyt...

- Jazgotliwa? - podsunęła, hamując z trudem chichot, na co aktor przytaknął z uśmiechem.

Podobał mu się sposób, w jaki mówiła. Nie raził go jej akcent typowy dla Nashville, a to zaokrąglenie samogłosek i utwardzanie spółgłosek uważał doprawdy za urocze.

Rozmowę przerwał im reżyser, mężczyzna w średnim wieku, który zaczynał już tyć i łysieć. Uderzywszy szpicrutą w otwartą dłoń, spiorunował wzrokiem (w każdym razie tak mu się wydawało) szekspirowskiego aktora.

- Wystarczy, Stan, odbierz teraz czek za dzisiejszy dzień. I powiedz innym halabardnikom, że mogą się zbierać. Idźcie do domu lub do zamku, gdzie tam sobie chcecie.

Stan zachowywał się, jakby go nie słyszał. Uniósł dłoń Deanie do warg i złożył na niej szarmancki pocałunek.

- Jesteś pani prawdziwą damą. Moim jedynym życzeniem jest, by...

Zniecierpliwiony reżyser uniósł wzrok znad papieru, podsuwanego mu przez asystenta.

—Wystarczy, Stan. Zabieraj się stąd. Zejdź mi wreszcie z oczu.

Aktor wyprostował się, skinął prędko głową i z największą godnością, na jaką było go stać, udał się po czek.

—Wstydiłbyś się, Nathan — mruknęła Deanie z dezaprobatą - to nie było eleganckie. - Rozejrzała się wokół siebie. - Ciekawe, gdzie wcięło moje papierosy?

—Lepiej nie pal - odparł Nathan. — Chcesz sobie zniszczyć głos? Mówię ci, mała, nie zmarnuj tej szansy. To miejsce zwolniło się dla ciebie tylko dzięki wycofaniu się Reby. Trafiła ci się szansa jedna na tysiąc, co ja mówię, jedna na milion.

— Wiem, Nathan - rzekła cicho. - Marzyłam o tym dniu od dziecka. Zupełnie jak w tym starym filmie *Gwiazda z Czterdziestej Drugiej ulicy*. Ale przecież mi się to słusznie należy. Po tylu latach pisania piosenek dla innych w końcu przyszła kolej na mnie.

Reżyser jednak jej nie słuchał.

—A co się tyczy tego aktora - ciągnął — to nie znasz Anglików... - Przerwał, bo nagle zdecydował się podpisać podstawiany mu pod nos papier, a gdy to uczynił, uniósł głowę i poklepał się szpicrutą po bryczesach. Przez całe życie nie zbliżył się do konia bliżej niż na odległość stu metrów, ale swoje wideoklipy zawsze kręcił przebrany za pruskiego jeźdźca. Pewnie wyobrażał sobie, że jest Ericchem von Stroheimem reżyserującym *Chciwość*. - Im wszystkim się zdaje, że są następcami Oliviera. Pierwszy raz jesteś w Anglii, co? — spytał tonem dobrego wujaszka. Sam był tu pierwszy raz, ale prędzej wsiadłby na konia, niż się do tego przyznał.

—Pierwszy - przyznała Deanie z westchnieniem i podniosła rękę do góry. Noszenie tego ciężkiego sztywnego kostiumu było torturą, zwłaszcza dla kogoś przyzwyczajonego do dżinsów i adidasów.

Najbardziej denerwowało ją to kanciaste nakrycie głowy będące skrzyżowaniem klatki dla ptaków z szopą na narzędzia ogrodowe. Jego brzegi ozdobiono szlifowanymi szkiełkami, udającymi rubiny, z bliska jednak widać było ślady kleju i znaczki zrobione ołówkiem przez osobę, która wykonywała to чудо. Podobno coś takiego nosiły damy na dworze angielskim w połowie szesnastego wieku, ale Deanie zamiast damą dworu czuła się aktorką z prowincjonalnego teatru ze

LABIRYNT

stodołą na głowie. Taśmą maskującą przykleiła z boku napis „Witajcie w Koziej Wólce”, ale nikogo to nie rozśmieszyło.

- Powiedz mi jeszcze raz, gdzie jesteśmy - powiedziała ziewając.

- W Anglii - odparł reżyser spoglądając w stronę białej przyczepy kempingowej.

- Tyle wiem - rzekła uśmiechając się. - Miałam na myśli nazwę tej budowli.

- To jest pałac Hampton Court, niegdyś rezydencja Henryka VIII. — Wykonał ruch szpicrutą jak mieczem. - Co on tak długo robi? Zaraz skończy się światło - zaniepokoił się i obramował dłońmi wyimaginowaną scenę, o mały włos nie wykluwając szpicrutą jej oka.

Odsunęła szpicrutę na bezpieczną odległość i spojrzała na przyczepę kempingową bielącą się na tle wspaniałej ciemnoczerwonej budowli. Bucky Lee Denton. Najchętniej w ogóle zapomniałaby o jego istnieniu.

Rany, ale by zapaliła.

Sięgnęła ręką na plecy i poprawiła rzepy spinające z tyłu suknię. Bucky Lee Denton. Za kogo się właściwie uważał, że kazał wszystkim na siebie czekać? Od rana przygotowywali się do tej sceny, niepotrzebnie trzymając przez cały dzień na planie angielskich aktorów i kręcąc dla zabicia czasu zbyteczne przebitki. A Bucky Lee Denton, najświeższe odkrycie Nashville, siedział sobie w swej szerokiej przyczepie i wysyłał asystentów jak nie po lakier do włosów, to po dietetyczną coca-cole.

Kilka miesięcy wcześniej znany krytyk muzyczny nazwał Dentona „skaraniem boskim”. Wtedy miłośnicy muzyki country na znak solidarności ze swym idolem zaczęli mu wszędzie towarzyszyć.

Stopniowo jednak dowiedzieli się, z kim naprawdę mają do czynienia. Na pierwsze strony gazet zaczęły trafiać doniesienia o dzikich awanturach, jakie wyprawiał za kulisami, o chamskim potraktowaniu sklepowego świętego Mikołaja, o złośliwych uwagach wypowiedzianych pod adresem innych wykonawców muzyki country.

Jak na ironię, płyty Bucky'ego Lee Dentona szły jak ciepłe bułeczki. Można było go nie lubić, ale nie dało się go ignorować.

To właśnie on uparł się, żeby kręcić tu wideoklip. Twierdził, że sielska Anglia najlepiej odpowiada jego wizji artystycznej tej piosenki. Deanie jednak doskonale wiedziała, że jedyną wizją Bucky'ego Lee Dentona była laskonoga smarkata modelka, za którą włączył się po całej Europie jak zakochany szczeniak. Ale ponieważ to on zasadniczo płacił rachunki w wytwórni „Płyty Epoki”, reżyserzy stawali na głowie, żeby mu dogodzić. Nawet kosztem Deanie Bailey.

— Kiedy on wreszcie będzie gotów? — spytała znudzona, przy tym zachwycająco piękna dziewczyna w elastycznym stroju do areobiku oraz stożkowatym nakryciu głowy, towarzyszka niedoli Deanie. Pomarańczowy szyfonowy szalik przyczepiony do czubka stożka powiewał na wietrze niczym rękaw wskazujący kierunek wiatru na lotnisku.

Reżyser uśmiechnął się do niej promiennie. To był jego pomysł, żeby dodać pieprzu wideoklipowi, zatrudniając „Dziewczynki Tudorów” lub po prostu „Tudorki”, jak je nazywali na planie.

- Ty jesteś Monika, prawda?

„Tudorka” zakołysała się na wysokich obcasach i rzuciła szybkie spojrzenie na Deanie.

- Prawda - potwierdziła z ociąganiem, a wycelowawszy wymaniukirowany kciuk w Deanie spytała: - Dlaczego ona ma suknię?

— Dlatego, kwiatuśku... — Nathan Burns zrobił krok w kierunku „Tudorki”, wywijając wesoło szpicrutą — ...że napisała tę piosenkę i będzie ją wykonywać razem z Buckym Lee. Ona jest damską składową naszego niezwykłego duetu.

Deanie westchnęła ciężko i pokręciła głową. Wszystko wskazywało na to, że „Tudorka” zagra w zaplanowanej na następny dzień scenie, w której to Deanie i Buck Lee mieli markować śpiew, opychając się podawanymi im przez służącą, obranymi ze skórki winogronami. Oczywiście, o ile Buckowi Lee uda się zapanować nad włosami, a ściślej nad ich falowaniem.

To był jej utwór. Ona napisała słowa i melodię tej prostej piosenki o miłości. Ale Bucky Lee zepsuł wszystko. Od chwili, kiedy menedżer zakomunikował jej dobrą wiadomość — że Bucky

Lee wyraził chęć nagrania jej piosenki - wypadki potoczyły się tak szybko, że Deanie przestała panować nad sytuacją. Wielkość sumy przeznaczanej na nakręcenie wideoklipu otoczona była ścisłą tajemnicą, mówiono jednak, że przy nim *Thriller* Michaela Jacksona to przezrocza z wakacji.

Dobrze chociaż, że pozwolono jej wziąć udział w tym przedsięwzięciu. Ostatnie kilka razy, kiedy kręcono wideoklip którejś jej piosenki, mogła tylko stać z boku i zaciskając pięści patrzeć, jak inni wykonawcy śpiewają jej tekst do jej muzyki.

W okolicy przyczepy kempingowej zapanowało jakieś poruszenie. Deanie przygryzła wargi. Czyżby Bucky Lee wreszcie zdecydował się wyjść? Reżyser przestał obrysowywać szpicrutą w powietrzu nogi Moniki i odwrócił głowę w tamtym kierunku. Ludzie na planie zaczęli się wzajemnie uciszać. Znieruchomiały szpatułki mieszające kawę w styropianowych kubkach. Rozmowy urwały się w połowie zdania. Nawet ptaki zaprzestały swych treli. Wszystkie oczy patrzyły w jeden punkt. Nagle drzwi przyczepy otwarły się z impetem i ukazał się w nich Bucky Lee Denton.

Stojąc na górnym stopniu powiódł po nich wzrokiem udzielnego księcia. Jego aroganckie zachowanie świadczyło o wielkiej pewności siebie. Było nie było, to na jego życzenie przyjechali wszyscy do Anglii, zlecieli się posłusznie z Los Angeles, Nowego Jorku i Nashville. Bucky Lee Denton, w charakterystycznej czerwonej koszulce i czarnym kowbojskim kapeluszu, nie miał wątpliwości, kto tu jest panem.

Deanie widziała jednak tylko niezbyt wysokiego faceta w za dużym kapeluszu, słowem karykaturę kowboja. Była to jedna z tych niefortunnych chwil w życiu Wilmy Dean Bailey, kiedy ni stąd, ni zowąd dostawała napadu śmiechu. Martwą ciszę przerwał jej niepohamowany chichot, zadudnił nad porośniętym zieloną trawą wzgórzem wzmocniony chyba milion razy. Bucky Lee przekrzywił głowę i utkwiał w niej nieprzyjazne spojrzenie.

Jeszcze gorzej. Teraz przed oczyma miała stary plakat z gramofonem i psem, który przekrzywiając łeb tak samo jak ten gość w kowbojskim kapeluszu słuchał „głosu swego pana”. Deanie już

nie chichotała, nie śmiała się. Wilma Dean Bailey w tym nobliwym angielskim zakątku ryczała, wyła ze śmiechu. A jak już raz zaczęła, nie była w stanie przestać; robiła to w sposób całkowicie nie kontrolowany.

Opuściła wzrok i biorąc głębokie wdechy usiłowała powściągnąć rozbawienie, ale patrząc na stopy mimowolnie pomyślała o jego butach kowbojskich na pogrubionych podszewkach i podwyższonych obcasach. Wobec tego spróbowała skupić się na swych dłoniach, ale wtedy przypomniła sobie Bucky'ego Lee próbującego między ujęciami grać na gitarze i dźwięki, jakie z niej wydobywał.

Przez łyżę dostrzegła przerażone miny członków ekipy. A potem doszedł ją - jakże już znajomy! - dźwięk zatrząskiwanych drzwi przyczepey. Równocześnie zaklekotały aluminiowe schodki, a z ich szczytu spadła na ziemię doniczka z chryzantemami. Wszyscy dobrze wiedzieli, co to oznacza — dziś już Bucky Lee Denton nie wyjdzie z przyczepey: A co do jutra, to się jeszcze okaże.

Nagle przestało być to zabawne. Deanie wytarła łyżę, od których tusz na rzęsach przybrał konsystencję stopionego asfaltu, i zrobiła bardzo skruszoną minę.

— Do jasnej cholery, Deanie! — wrzasnął reżyser. — Co cię opętało?

Wszystkie oczy patrzyły teraz na Deanie, jej zapiętą na rzepy szesnastowieczną suknię ze sztucznego jedwabiu, plastikowe imitacje rzecznych perełek i nakrycie głowy w kształcie klatki na ptaki.

Zawstydzona przełknęła ślinę.

- Przepraszam — wyszeptała głosem ochryplym od śmiechu.

Milczeli. Gdy aktorzy w końcu udali się po odbiór dniówki, ekipa zaś zajęła się składaniem aparatury, Deanie pomyślała, że oto kolejny raz padła ofiarą swego przekleństwa.

Pechowy zbieg okoliczności.

Już samo istnienie Wilmy Dean Bailey zakrawało na pechowy zbieg okoliczności. Poczynając od imienia „Wilma Dean”, które było nieco ekscentrycznym pomysłem jej matki. Lorna Dune

LABIRYNT

i Dickie Bailey, para zbłąkanych nastolatków, wyszli z kina w środku filmu *Wspaniałość w trawie*, żeby się czym prędzej pobrać. Jak na zwyczaje panujące w Winslow w Kentucky wykazali niestychane opanowanie.

Gdy dziesięć miesięcy później urodziła im się ciemnowłosa córka, Lorna nadała jej imię bohaterki tamtego filmu, granej przez Natalie Wood - Wilma Dean.

W całości film Lorna obejrzała dopiero kilka lat później w telewizji. Trzeba było widzieć jej minę, kiedy się dowiedziała, że bohaterka załamuje się nerwowo i w końcu trafia do szpitala dla obłąkanych.

Było już jednak za późno, żeby zmienić imię, które zdolne dziecko smarowało ołówkiem wszędzie, gdzie mogło — na ścianie, na torbach ze sklepu. Rzecz jasna, Lorna obawiała się ewentualnych następstw psychologicznych nadania córce imienia niedoszłej samobójczyni i dlatego na wszelki wypadek trzymała ją z dala od wszystkich filmów, w których grała Natalie Wood, łącznie z *Cudem na Trzydziestej Czwartej ulicy* i *Scudda Hoo! Scudda Hay!* Poza tym — pocieszała się — jeśli się dobrze zastanowić, to ta Deanie ze *Wspaniałości w trawie* nie kończy znowu tak źle. Warren Beatty poślubia inną kobietę. I co z tego?

Mniej więcej w tym samym czasie Lorna dokonała innego niefortunnego odkrycia. Jej mąż, który z powodu nocnych zabaw ze starymi znajomymi zdobył sobie mnóstwo lubieżnych przydomków, w końcu doszedł do wniosku, że nie nadaje się ani na męża, ani na ojca. I odszedł w siną dal. Lorna nie знаła jego dalszych losów. Ich kontakty urwały się natychmiast po podpisaniu dokumentów rozwodowych.

Wiele lat później oglądała w telewizji program o bigamistach. Jeden z gości Ophry Winifrey, otyły sprzedawca butów ze zwiotczonym sznurowadłem pod szyją i bokobrodami, był podejrzenie podobny do Dicka Baileya, ale głowy by za to nie dała.

Dzięki żelaznemu charakterowi i ciężkiej pracy Lorna uciułała tyle pieniędzy, że mogły się przeprowadzić z wiejskiego Kentucky do Nashville. Chciała zacząć od nowa, a córkę wychować z dala od

szeptów mieszkańców Winslow. Gorsze od współczujących spojrzeń tamtejszych kobiet były wypowiedzane półgłosem uwagi: „Ach ta Lorna, nie umiała zatrzymać przy sobie mężczyzny”. Miała ich dosyć.

W Nashville dostała pracę kelnerki w barze dla kierowców ciężarówek. Praca była ciężka, ale napiwki niezłe, a poza tym odpowiadało jej, że nikt tu nikogo nie znał. Nawet stali klienci pojawiali się tylko dwa razy na miesiąc. Cierpliwie więc znosiła okazjonalne bolesne uszczyplenia kierowców lowelasów.

Tymczasem Wilma Dean z chichoczącej dziewczynki wyrosła na piękną dziewczynę. Jeszcze nie osiągnęła dojrzałości, a już mężczyźni w barze zaczęli wodzić za nią wzrokiem, nie widząc, że jedzenie spada im z widelców na kolana. Kiedy Lorna zobaczyła, co się święci, zmieniła pracę.

Jej uwagi nie uszedł też fakt, że, o ironio, córka jest niestęchanie podobna do Natalie Wood.

- Niech ja skonom - powiedział jakiś kierowca z papierową serwetką pod brodą - jeśli ona nie wygląda jak ta aktorka, która grała w *Buntowniku bez powodu*.

- A jak się nazywała? - spytała Deanie.

- Nieważne - ucięła Lorna, patrząc wymownie na klienta, i wypchnęła Deanie za drzwi.

Nikogo nie zaskoczyło, że Deanie została miss klasy maturalnej. Wprawdzie uczennica była z niej żadna, jak się oględnie wyraził pedagog szkolny, ale w klasie cieszyła się dużą sympatią. Była najlepszą wodzirejką najgorszej drużyny futbolowej w całym stanie, przewodniczyła towarzystwu miłośników chóru, a w szkolnym wystawieniu *Annie*, *chwyć za strzelbę* zagrała główną rolę.

Zaskoczyła natomiast wszystkich burza, która w dniu zakończenia roku szkolnego rozszalała się w Nashville i zerwała blaszany dach z sali gimnastycznej. Nie doszło do tradycyjnej uroczystej parady, Deanie musiała się więc pożegnać z marzeniami o koronie z tektury oklejonej cynfolią. Zakończenie szkoły tego roku nie różniło się od dnia wyprzedaży używanych opon. Kolejny raz dało o sobie znać przekleństwo Wilmy Dean Bailey. Pechowy zbieg okoliczności.

Ze świadectwem maturalnym w dłoni Deanie zaczęła szukać pracy. Prędko się przekonała, że mało komu zależy na zatrudnieniu u siebie niedosłej szkolnej miss, choćby nawet bardzo muzykalnej. Zajęcie znalazła dopiero w końcu lata. Została kelnerką jak matka. Udało jej się tylko tyle zwojować, że nie był to bar dla kierowców, lecz ciastkarnia należąca do sieci „Torty i torciki”.

Tej pierwszej jesieni po maturze Deanie doznała swojego rodzaju olśnienia. Stwierdziła mianowicie, że czegoś jej brakuje. Doskwierała jej pustka i uczucie niespełnienia. Przeanalizowawszy, co by to mogło być, doszła do wniosku, że brakuje jej muzyki.

Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze należała do chóru i śpiewała w szkolnych musicalach. W miarę jak jej zaangażowanie w działalność tego rodzaju rośnie, jej głos, od początku miły dla ucha, wykształcił się w bogaty instrument o niespodziewanej głębi. Śpiewając była nie tylko Deanie Bailey, lecz kim tylko chciała. W muzyce było coś magicznego. Jedyne głos nie zawiódł jej nigdy w życiu, tylko na głos mogła zawsze liczyć.

Lorna, stwierdziwszy z pewnym zdumieniem, że córka szaleje na punkcie muzyki, podarowała jej na szesnaste urodziny gitarę z katalogu Searsa. Deanie niebawem akompaniowała chórowi i brzdąkała na szkolnych uroczystościach.

Do tej pory nie przejawiała żadnych ambicji, ale teraz nagle stwierdziła, że wie, kim chce zostać. Z uporem łososia produkującego ikrę zaczęła powtarzać, że zostanie drugą Patsy Cline.

W cukierni o swych ambicjach nie powiedziała nikomu, zwierzyła się z nich jedynie matce i przyjaciółce z liceum, która obecnie pracowała jako recepcjonistka nowej firmy „Płyty Epoki”. Matka przyjęła zapowiedź córki z takim samym pobłażaniem, jak wszystkie wcześniejsze jej pomysły.

Kiedy Deanie miała osiem lat, oświadczyła, że gdy dorośnie, będzie księżniczką.

— Dobrze, kochanie — zgodziła się Lorna dla świętego spokoju.

W wieku piętnastu lat Deanie marzyła o karierze łyżwiarki i wzięciu udziału w olimpiadzie.

— Nie mam nic przeciwko temu, skarbie — powiedziała Lorna.

Kiedy Deanie oświadczyła, że zostanie piosenkarką country, Lorna pogłaskała ją po głowie i poleciła przynieść kilka ciastek z cukierni dla koleżanek kelnerek.

Mniej więcej w tym czasie Deanie uświadomiła sobie, że nie wystarcza jej naśladowanie śpiewu innych. Chociaż wkładała w to dużo serca, nie różniło się to jakoś specjalnie od grania w musicalu. Czowała, że coś jest nie tak.

Większość piosenek country nie pasowała do niej, ponieważ Deanie nie miała na swym koncie zbyt wielu bolesnych przeżyć. Pewnie, że przeszła w życiu trudne chwile, ale przeszła je razem z matką. Nigdy nie była autentycznie załęczniona, zagrożona czy też przygnębiona. Nie miała psa, nie przeżyła śmierci zwierzęcia, jego zaginięcia lub pogryzienia przez niego jej ulubionego kapcia. Nigdy w życiu nie miała własnej ciężarówki.

A przede wszystkim nigdy nie była zakochana. Słowem życie Wilmy Dean Bailey nie stanowiło materiału na piosenki.

Wszelako nie zrażała się. Po pierwszych kretyńskich próbach - niezbyt prawdziwie brzmiących piosenkach o wiarołomnych mężczyznach i wybaczących kobietach, który to temat zapożyczyła z życia matki - ułożyła kilka piosenek o miłości przeżywanej w Paryżu. O tym też nie miała zielonego pojęcia, ale przynajmniej „kasztany” dobrze jej się rymowały z „kochany”.

Któręś wieczora mocząc obolałe stopy w soli kąpielowej, usłyszała w radiu wywiad z autorem piosenek country, który powiedział: „Aby piosenka brzmiała prawdziwie, trzeba pisać o ludziach lub sprawach znajomych, dobrze znanych, bliskich sercu.”

Zapominając o wytarciu stóp, Deanie pobiegła po gitarę. W ciągu niespełna godziny ułożyła piosenkę o byłej szkolnej miss pracującej w cukierni. Gdy nagrała ją na magnetofon i wysłuchała, przebiegł ją nieznanzy dotąd dreszczyk emocji.

- To jest to — powiedziała głośno do siebie. — Tak się to robi.

Od tej chwili układała piosenki łatwo i prędko, zwykle w pracy, czyszcząc maszynkę do parzenia kawy lub czekając, aż klient wybierze między ciastkiem z czekoladą a ciastkiem z lukrem. Odkryła w sobie wyjątkowe zdolności w tym kierunku. Zdania

LABIRYNT

same przychodziły jej do głowy. Były to fragmenty pobieżnych obserwacji, strzępy mimo woli podsłuchanych rozmów klientów, którzy zapominali je, ledwo znaleźli się za progiem cukierni z torebką ciastek.

W ten sposób Deanie zebrała materiał na kilkanaście piosenek. Ludzie opowiadali rozmaite historie, ona wysłuchiwała ich w milczeniu, a potem trochę je dramatyzowała. Zaczęła pilnie czytać pisma specjalizujące się w muzyce country i po raz pierwszy żałowała, że w szkole nie przykładała się lepiej do nauki. Za nic nie mogła się połapać, jakie prawa rządzą w tym świecie; to, co czytała, niewiele jej mówiło, choć na pewno było bardzo ważne.

W pracy zawsze miała w kieszeni fartucha taśmę ze swymi najnowszymi piosenkami, licząc, że w końcu trafi się ktoś, kto zechce ich wysłuchać. Któregoś popołudnia przy ladzie stanęło dwóch długowłosych mężczyzn dowcipkując na temat jakiejś sesji nagraniowej. Deanie nie wierzyła własnym uszom.

— Ja też piszę piosenki — wyrwało jej się mimo woli.

Koleżanka wybałuszyła oczy ze zdziwienia, a Deanie poczuła, że zacerwieniła się aż po wycięcie w nakrochmalonym bawełnianym fartuchu.

Jeden z mężczyzn uniósł niedowierzająco brwi.

- Czyżby? - Palcem dał jej znać, żeby się nachyliła. - Coś ci poradzę, laleczko - szepnął.

Po czym zaproponował jej „szybki numer” na kanapie w swym biurze. Deanie zatkało; pomyślała, że się przesłyszała.

Wtedy tamtem powtórzył swą obrzydliwą propozycję tak głośno, że usłyszano ją w całej ciastkarni. Patrząc mu w oczy Deanie z uśmiechem sięgnęła za siebie po dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą i wylała wrzący płyn na jego dłoń opartą na ladzie.

Mężczyzna zawył z bólu, a Deanie najspokojniej na świecie oświadczyła, że dolewka kawy jest na koszt firmy.

Kiedy wymachując ręką, żeby ją ostudzić, i przeklinając na czym świat stoi pognął do łazienki, jego towarzysz ze skruszoną miną poprosił Deanie o taśmę i obiecał, że w ciągu tygodnia da znać, co sądzi o jej piosenkach.

Minął tydzień, drugi, trzeci, a odpowiedzi jak nie było, tak nie było. Deanie zrozumiała, że czeka na próżno. Nie wiedziała nawet, jak facet się nazywa. Sprawę zaliczyła do swych przykrych doświadczeń, ale to otarcie się o świat muzyki sprawiło, że jeszcze bardziej się zawzięła.

Wtedy właśnie jej przyjaciółce, tej recepcjonistce w „Płytkach Epoki”, udało się uprosić jakiegoś mniej ważnego kierownika, żeby zrobił Deanie pięciominutowe przesłuchanie. Przybiegła do cukierni zakomunikować jej radosną wiadomość, ale weszła tylko na moment, żeby przypadkiem nie przesiąknąć zapachem pączków.

Onieśmielona miękkimi, nie poplamionymi dywanami pod stopami, speszona błyszczącymi fotografiami gwiazd i gwiazdeczek, wiszącymi wzdłuż całego korytarza, Deanie weszła za swą przyjaciółką do maciupeńskiego, w dodatku bez okien, gabinetu owego kierownika.

Był młody, ale przedwcześnie łysy, co nadawało mu nie zasłużony wygląd inteligentnego mężczyzny. Przesłuchał taśmę, przerywając każdą piosenkę po piętnastu sekundach. W końcu odchylił się w swym winylowym dyrektorskim fotelu i splótł palce wywiczonym gestem.

- No, no, Jeanie... — zaczął.
- Deanie - poprawiła i uśmiechnęła się nieśmiało.
- Niech będzie. Deanie. - Zmarszczył czoło, odchrząknął. -

Gdzie pracujesz?

Przełknęła ślinę.

- W „Tortach i torcikach”.

- Aha. No więc, Jeanie, dam ci dobrą radę: trzymaj się tej pracy... - Tu przerwało mu błyskanie światełka w telefonie i dał jej znak głową, że przesłuchanie dobiegło końca. Deanie chwyciła kasetę i wybiegła, czerwona z gniewu i upokorzenia.

Trzy tygodnie potem, kiedy miała już zamykać cukiernię, usłyszała radio grające na cały regulator w jakimś samochodzie na parkingu. Nadawano nagrania z nowego „singla” Vica Jenkensa, pieśniarza country o wyglądzie cherubina i głosie słodkim jak melasa. Deanie, która właśnie ścierała kontuar mokrą szmatą z plamami od kawy, znieruchomiła.

LABIRYNT

Vic Jenkins śpiewał jej piosenkę!

Ścierka spadła z plaśnięciem na linoleum. Deanie zamrugała oczyma. Nie mogła uwierzyć, że słyszy piosenkę, którą napisała siedząc w łóżku. Głos, owszem, należał do Vica Jenkinsa, ale to były jej słowa i jej melodia skomponowana na jej gitarze kupionej u Searsa.

W końcu ktoś musiał zamknąć drzwi samochodu, albo może samochód odjechał z parkingu, w każdym razie śpiew ucichł. Deanie zaś stała dalej pod jarzeniową lampą w pustej ciastkarni.

Jak to możliwe? Różne myśli krążyły jej po głowie, gdy potykając się szła na parking. Nie zauważyła nawet, że sweter jej się przekrzywił, a obcasy białych pantofli zapadały się w żwirze. Drżącymi palcami długo szukała w torebce kluczyków. W końcu przypomniała sobie, że ma je w kieszeni fartucha.

W kieszeni fartucha! Wtedy wszystko stało się jasne - piosenka śpiewana przed chwilą przez Vica Jenkinsa była na taśmie, którą dała facetowi z „Muzycznej Sceny”, koledze tego chama, którego oblała gorącą kawą. To oni ukradli jej piosenkę.

W pierwszej chwili chciała zadzwonić do radia — do dowolnego programu — i oświadczyć, że jest autorką nowego przeboju Vica Jenkinsa. Zmusiłaby do reakcji osobę, która oficjalnie uchodziła za autora piosenki, menedżera Jenkinsa, wytwórnię płytową. Przeczytała dość pism dla fanów, żeby wiedzieć, jak to się odbywa.

Tylko czy ktoś uwierzy kelnerce z „Tortów i torcików”, która o północy telefonuje do radia i zarzuca Vicowi Jenkinsowi, że ukradł jej piosenkę? Deanie przypomniała sobie ludzi, którzy twierdzili, że zostali porwani przez istoty pozaziemskie albo że ukazał im się Elvis. Oczyma wyobraźni zobaczyła siebie na ekranach telewizorów w pomiętym fartuchu firmowym „Tortów i torcików”, z potyskującą w światłach jupiterów obowiązkową siatką na włosach, na de piętrzących się pączków. Wyjdzie na wariatkę.

Nie miała żadnego namacalnego dowodu na to, że napisała tę piosenkę; z równym powodzeniem mogłaby twierdzić, że jej ojcem jest yeti. Do łóżka położyła się przekonana, że lepiej jak najszybciej

zapomnieć o całej sprawie. Niech mi to będzie nauką na przyszłość, mruknęła do poduszki. Ostatni raz dała się tak oszukać. Ostatni raz tak komuś zaufała.

Obudziła się w znacznie lepszym nastroju, prawie zadowolona z życia. Piosenka musiała być niezła, bo inaczej ci faceci by jej nie ukradli. Dobra nasza, pomyślała.

Trzy tygodnie później piosenkę Deanie okrzyknięto najlepszym utworem w karierze Vica Jenkensa. Teraz słysząc ją było dosłownie wszędzie — w centrum handlowym, w „Tortach i torcikach”, w telewizji. Wszyscy ją nucili. W sklepie garnażeryjnym ta cholerna piosenka wydobywała się zza lodówki z drobiem.

Kiedy Deanie poczuła, że już dłużej tego nie wytrzyma, stała się rzecz niemożliwa - w cukierni zjawił się Vic Jenkens. We własnej osobie.

Deanie i inne kelnerki zorientowały się, że coś się święci, bo do cukierni najpierw wkroczyli z zawodową pewnością siebie jego „ludzie”, groźni faceci gadający do swych walkie-talkie. Po nich weszli fotografowie, którzy - niepoważni niczym dzieci — na widok Vica Jenkensa w drzwiach „Tortów i torcików” wydali kilka okrzyków udanego zdumienia i zaczęli go fotografować.

Było to tak kretyńskie, że aż śmieszne. Mrużąc oczy przed błyskami fleszów Deanie zaczęła chichotać mimo ostrzegawczych syknięć koleżanek i niechętnych spojrzeń ludzi Jenkensa.

Kiedy Vic Jenkens spojrzął na nią, na jego twarzy malowała się wściekłość. Deanie przełknęła i uśmiechnęła się do niego. Był przystojniejszy niż na fotografiach w pismach.

—Cóż cię tak rozbawiło, dziewczyno? - Miał głęboki głos i chociaż powiedział to tonem zwykłej rozmowy w ciastkarni zapanowała cisza jak makiem zasiał.

Deanie odchrząknęła.

—Mnie? — Pokazała pytająco na siebie.

Twarz Jenkensa złagodniała. Pocierając dłonią szczękę ze starannie wymodelowanymi baczkami, taksował Deanie z nie ukrywany zachwytem. Wyraźnie podobało mu się to, co zobaczył.

— Co cię tak rozbawiło? - Tym razem sam wydawał się rozbawiony.

LABIRYNT

— Nie wiem, jak to... — Przystąpiła z nogi na nogę w „higienicznym” obuwiu, uklepała włosy pod siatką — ...pana udane zdziwienie na ich widok - rzekła, wskazując na fotografów. — Dobrze to wyćwiczyliście.

Piosenkarz uśmiechnął się do niej wystudowanym uśmiechem, od którego robiło się ciepło na duszy. Deanie była w siódmym niebie.

I tak rozpoczął się słynny w Nashville, a potem — dzięki brukowej prasie — głośny na całą Amerykę romans. Jeszcze tego wieczora Jenkins zaprosił uroczą kelnerkę na kolację, po której zostali parą. Gwiazda muzyki country, Vic Jenkins, i ta dziewczyna-sól-ziemi-czarnej byli nie lada gratką dla dziennikarzy.

Vic zaś odkrył niewyczerpane źródło piosenek. Na pierwszej randce Deanie powiedziała mu, że to ona jest autorką utworu, który stał się jego wielkim przebojem. Vic nie tylko nie wyśmiał jej, ale od razu z samochodu zadzwonił do swego menedżera. Zapłacono jej za tę piosenkę i obiecano tantiemy za inne. Następnego dnia wysłała mu taśmy z resztą swych utworów, a Vic włączył je do swego repertuaru jeszcze przed następną trasą koncertową.

Wilma Dean Bailey odniosła zatem sukces w Nashville, choć może nie całkiem taki, jak sobie wymarzyła. Wprawdzie została obsypana pyłem gwiazdnym, ale był to pył gwiazdny strzepnięty z szerokich i dobrze ustawionych pleców Vica Jenkinsa.

Wkrótce związek ten zaczął jej ciążyć. Nie chciała być zależna od mężczyzny - jakiegokolwiek mężczyzny. Chciała mieć własną tożsamość. Co z tego, że ludzie, nawet nieznajomi, byli dla niej uprzejmi, co z tego, że się uśmiechali, skoro robili to z powodu Vica. Wiedziała z doświadczenia, ile może kosztować kobietę zależność od mężczyzny. Wystarczyło spojrzeć na chudą jak patyk, przepracowaną matkę. Deanie obiecała sobie, że któregoś dnia wyjdzie z cienia Vica.

Mimo rosnącego konta w banku dalej pracowała w „Tortach i torcikach”. Inne kelnerki przychodziły i odchodziły, a Deanie trwała na stanowisku, sprzedając kawę i pączki fanom Vica, którzy przesiadywali w cukierni, wierząc święcie, że ich idol prędzej czy później się tam zjawi. Czekali daremnie, ale myśl, że może zobaczą

go z bliska, budziła w nich taki apetyt, że pochłaniali faworki i galaretki w tempie pędzącej z góry ciężarówki, w której popsuły się hamulce.

Romans z Deanie bardzo odpowiadał Vicowi, przestano bowiem mu zarzucać, że zdradził prawdziwe Południe na rzecz Hollywood. Widok Deanie uwieszanej na jego ramieniu sprawiał, że wyrażano się o nim z sympatią, co z kolei pozytywnie wpływało na sprzedaż jego płyt i kaset wideo. Kto by dokuczał takiemu miłemu facetowi?

Vic dobrze wiedział, co robi, utrzymując stały kontakt z Deanie, nawet gdy jego trasa koncertowa wiodła po drugiej stronie kraju. Niekiedy prosił, żeby przez telefon zagrała mu swoje nowe piosenki. Innym razem polecał menedżerowi, żeby przesłał mu jej najnowszą taśmę do hotelu. Na dwudzieste urodziny dał jej w prezencie doskonały magnetofon, menedżer zaś dbał o to, żeby Deanie zawsze miała pod dostatkiem kaset najwyższej jakości.

- To tak jakby podarował swojej babci kij do baseballa - mruknęła Lorna, kiedy Deanie z dumą pokazała jej nowy sprzęt.

- Dlaczego? — obruszyła się Deanie.

- Wiesz dlaczego. Przecież on kupił ten szpanerski magnetofon z myślą o sobie, nie o tobie. Dostanie za niego kupę piosenek. Ot, co.

Deanie starała się nie myśleć o rym, co powiedziała matka, ale w nocy, po późnej rozmowie z Vikiem, słowa Lorny nie dawały jej spokoju. Za każdym razem, gdy chciała z nim zerwać, przychodził z kwiatami i z miną zbitego psa. A Deanie nie potrafiła nikogo unieszczęśliwić.

To był dziwny związek. Deanie przez cały czas jego trwania odnosiła wrażenie, że jest kimś z zewnątrz, że Vic i jego znajomi śmieją się z czegoś za jej plecami.

Starała się wmówić sobie, że jest w nim zakochana, ale potrafiła z siebie wykrzesać jedynie sympatię dla jego śpiewu. Zakochała się w sposobie, w jaki owijał głos wokół słów jej piosenek i wyciskał zawarte w nich uczucia. Oczywiście, schlebiali jej jego zainteresowanie. Ale coś było nie tak.

Z prasy fachowej Deanie wiedziała, że większość firm płytowych wolała ostatnio piosenkarzy, którzy śpiewali własne utwory. Mijały

LABIRYNT

czasy wykonawców interpretujących cudze utwory; obecnie gwiazdy same pisały sobie piosenki. Owszem, zdarzało jej się widzieć zachwyty malujący się w jego cudownych niebieskich oczach, gdy przedstawiała mu jakąś nową kompozycję. Kiwał wtedy głową z uznaniem, ale nigdy nie przemógł się i nie powiedział jej wprost, że mu się podoba. Sprawiał wrażenie, że wyświadcza jej łaskę wysłuchując efektów jej marnych wysiłków, a tym bardziej nagrywając te piosenki na płyty.

Świadom, że Deanie żywi rozmaite podejrzenia co do motywów jego postępowania, namówił ją, żeby dla uspokojenia nerwów zaczęła palić papierosy. Powiedział, że większość ludzi, którzy odnieśli sukces w Nashville, wypala po dwie paczki dziennie, a niepalących uważa się tam za obcych. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, dla świętego spokoju, zaczęła palić. Dopiero kiedy już była nałogowcem, zrozumiała, że namówił ją do palenia kierowany podświadomym — a może świadomym — pragnieniem zniszczenia jej głosu. Nie udało jej się rzucić palenia, starała się jednak przynajmniej zmniejszyć dzienną dawkę do kilku niezbędnych papierosów.

Deanie nie była głupia. Gdy po początkowym oczarowaniu „chodzenie” z gwiazdą jej spowszedniało, dotarło do niej, że Vic ją wykorzystuje.

Wystarczyła jedna krótka rozmowa, żeby wróciła na ziemię.

Jednego z bardzo rzadkich wieczorów spędzanych razem postanowiła zerwać z nim raz na zawsze. Nawet ułożyła sobie piękną mowę na tę okazję.

Po kolacji przy świecach Vic skierował na nią swe niebieskie oczy, te same oczy, które tak efektywnie wykorzystał w swym ostatnim wideoklipie, i zaczął opowiadać z rozbrajającą szczerością o znaczeniu, jakie miała dla niego muzyka od czasu, kiedy jego dziadek Jenkins nauczył go grać na gitarze i śpiewać, a potem przytuleni, dziadek i wnuk, słuchali swych głosów mieszających się z głosami cykad.

- Nie mogę się pogodzić z myślą, że on już nie żyje - zakończył łamiącym się głosem. - Oddałbym swą ostatnią nagrodę Grammy, żeby móc podziękować mu za to, że odkrył przede mną muzykę.

Deanie wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy. Vic uśmiechnął się.

Wilma Dean Bailey nie powiedziała Vicowi, jakie miała wobec niego zamiary tego wieczora. Pokazał jej się ze strony, której nie znała i nawet nie podejrzewała jej istnienia. Był bardzo wrażliwym człowiekiem. Potrzebował jej.

Dwa dni później myła właśnie zęby, kiedy przez szum leżącej wody przebił się z sypialni sygnał porannej audycji telewizyjnej „Dzień dobry, Ameryko”. Po czym usłyszała znajomy, przymilny głos mężczyzny. Z ustami pełnymi pasty do zębów, weszła do sypialni i stanęła jak wryta.

Naprzeciw Joan Lunden siedział przygarbiony Vic Jenkens. Deanie o mały włos zapomniałaby o wywiadzie, z powodu którego Vic poprzedniej nocy poleciał do Nowego Jorku.

— Wszystko zawdzięczam memu ukochanemu dziadkowi Jenkensi... - mówił Vic łamiącym się głosem. Uniósł smutne oczy na rozmówczynię, która zrobiła minę, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

I Deanie zrozumiała, że tamtego wieczora Vic wcale się przed nią nie otworzył. On po prostu ćwiczył występ telewizyjny.

Nagle wszystko stało się dla niej jasne. Vic uwodził nie ją nie dla niej samej, lecz dla jej piosenek, skrzętnie ukrywając jej talent przed wszystkimi poza swym menedżerem.

Złożyła sobie dwie przysięgi. Po pierwsze, po raz ostatni wyraziła zgodę, żeby jej piosenki śpiewał jakiś inny piosenkarz. Po drugie, już nigdy, ale to nigdy, nie zaufa żadnemu mężczyźnie.

Siedem lat czekała na okazję zaśpiewania jednej ze swych piosenek z takim gwiazdorem jak Bucky Lee Denton. Tylko jej matka wiedziała, ile kosztowała ją ta podróż, jakie katusze przeżywała decydując się na nią. Deanie wciąż była nie znana szerokiej publiczności z wyjątkiem ludzi, którzy z tylko sobie wiadomych powodów czytali na wideoklipach nazwiska autorów piosenek lub oglądali przyznawanie nagród autorom tekstów na jednej z transmitowanych przez telewizję ceremonii.

LABIRYNT

Deanie Bailey nie była znana, ale tylko (miała nadzieję) do czasu. Czekwała na tę chwilę, pracowała, pociła się, zarywała noce i modliła się do Boga, żeby dał jej szansę sprawdzenia się.

Kiedy powiedziano jej, że będzie śpiewać w duecie z Buckym Lee, przebiegł ją zimny dreszcz, ale zacięła zęby. Zegnana ze łzami w oczach przez matkę na lotnisku myślała tylko o tym, co pozostawia za sobą i co ją czeka.

Teraz już nic nie mogło przeszkodzić w spełnieniu się jej marzeń. Z wyjątkiem Bucky'ego Lee Dentona.

2

Jeśli Deanie nauczyła się czegoś w czasie swojej kariery autorki piosenek country, to właśnie usuwania się w cień. Wobec tego jak tylko zirytowana, niewyspana, zmęczona ekipa zajęła się pakowaniem sprzętu, Deanie chwyciła butelkę coca-coli, torebkę prażonych orzeszków i wymknęła się ukradkiem z planu.

Na ile, rzecz jasna, umożliwił to ten sztywny, niewygodny kostium, będący bodaj najbrzydszym strojem w jej życiu od czasu sukienki, w którą matka ją ubrała na uroczystość wręczenia nagród Towarzystwa Muzyki Country. Nakrycie głowy ścisnęło jej skronie niczym imadło. Najchętniej by je zdjęła, ale ta cholerna rzecz była przypięta tyłoma spinkami i klipsami, że nikt poza Houdinim nie dałby im rady. Nie chciała też robić przykrości scenografowi, który trzy godziny strawił na ozdabianiu aksamitnego kaftana kryształami górskimi, po czym dowiedział się, że Bucky'emu Lee ani w głowie go włożyć.

Za chwilę skończy się światło. Nawet gdyby jakimś cudem Bucky Lee nagle wyszedł z przyczepy gotów do pracy, to słońce nieubłaganie zachodziło, jak gdyby dawało do zrozumienia, że ono też nie chce mieć nic wspólnego z Deanie i z tym wideoklipem.

„Tudorki” szkykowały się do domu; Deanie uśmiechnęła się do

LABIRYNT

nich niepewnie, ale została potraktowana jak powietrze. W tej sytuacji zrezygnowała z poproszenia o papierosa roslęgo mężczyzny w uniformie i z młotkiem w ręce.

Jakie to śmieszne, pomyślała. W Anglii czy w Nashville mężczyźni zawsze są górą. Wszyscy obrazili się na nią, zamiast na Bucky'ego Lee, choć to on faktycznie zepsuł im dzień. Ona była uznana autorką piosenek, za chwilę miała zostać piosenkarką, ale wystarczyło pojawienie się jakiegoś bufona, żeby przestano się z nią liczyć.

Otoczenie pałacu było starannie utrzymane, przystrzyżone, zaplanowane — za bardzo jak na gust Deanie. Patrząc na klomby odnosiło się wrażenie, że roślinom, które zakwitły przypadkowo, zabroniono podnosić łebki. Każdy kwiatek rósł w wyznaczonym miejscu, każdy krzew, jeśli nie zachowywał kulistego kształtu, przywoływano do porządku sekatorem. Taki ogród wyglądał pięknie, lecz niezbyt naturalnie.

W tanim przewodniku, który podczytywała na planie podczas licznych przerw, wiele miejsca poświęcono tutejszemu ogrodowi. Z braku innego zajęcia Deanie zaczęła przechadzać się po murawie z książeczką w jednej ręce i butelką coca-coli w drugiej.

Przystanęła i przytrzymując przewodnik zębami zaczęła — zwyyczajem ludzi z Południa - wrzucać fistaszki do butelki. Bez względu na to, co właśnie robiła i w jakim była humorze, widok coca-coli pieniającej się pod wpływem soli, zawsze poprawiał jej nastrój. Jak bukiet kwiatów w czasie zawiei. Większą przyjemnością było tylko konsumowanie nasiąkłych coca-colą fistaszków, wytrępywanych na końcu z dna butelki. Rozkosz w gębie.

Uniosła głowę i zaczęła uważnie przyglądać się okolicy i pałacowi. Wtedy doznała dziwnego uczucia — to wspaniałe historyczne miejsce onieśmiało ją. Pomyśleć tylko, że po tej ziemi stąpali monarchowie i kardynałowie, kiedy jeszcze nikomu nie śniło się o Nashville i Tennessee, a Ameryka Północna była nieznanym dzikim kontynentem. Ciekawe, czy któraś z żon Henryka VIII stała w tym samym miejscu i patrzyła na ten niesamowity zachód słońca, na horyzont, który wyglądał jak zamazany pastelową kredką?

Łyknąwszy coca-coli, teraz słonawej, rozejrzała się wokół. Nawet

dobrze nie słyszała ryku odrzutowca przelatującego nad jej głową. Ta chwila była jakby poza czasem, nie miała nic wspólnego z niesnaskami na planie wideoklipu. Deanie poczuła się wyizolowana z otaczającego ją świata.

- To bardzo romantyczne miejsce, prawda?

Deanie aż podskoczyła. Odwróciwszy się, ujrzała za sobą nobliwego dżentelmena koło pięćdziesiątki, zwróconego twarzą w tym samym co ona kierunku.

- Bardzo przepraszam - powiedział pośpiesznie. - Nie chciałem pani przestraszyć.

- Nie, nie, wcale mnie pan nie przestraszył - odpada z uśmiechem.

- Mieszkam w pobliżu - wyjaśnił, odwzajemniając uśmiech. (Starannie przystrzyżona siwiejąca broda, na pewno Anglik — skonstatowała Deanie.) - Zauważyłem przyczepy kempingowe, ciężarówki, ludzi z kamerami. Lubię się przyglądać kręceniu filmu.

- Schował ręce w wytarte kieszenie tweedowej marynarki. - Wie pani, kręcono tu *Annę tysiąca dni* z Richardem Burtonem.

- Co pan powie? - oczy Deanie rozszerzyły się z ciekawości.

- A jak on wyglądał?

- Szczerze mówiąc, bardzo przeciętnie. Za to jego żona... W tym czasie była nią Elizabeth Taylor. Ona patrzyła na niego, a wszyscy pozostali na nią.

Mężczyzna nagle podskoczył.

- Proszę mi wybaczyć. Moje maniery pozostawiają wiele do życzenia. - Wyciągnął do Deanie kośćistą dłoń. — Nazywam się Neville Williamson. Obawiam się, że dałem pani zły przykład angielskiej grzeczności. Liczę, że moi rodacy zachowali się lepiej ode mnie.

- Miło mi pana poznać. Nazywam się Deanie Bailey.

- Cieszę się - odpad lapidarnie. - Czy podoba się pani Anglia?

Pewnie dużo pracujecie i niewiele pani widziało.

- Szczerze mówiąc, panie Williamson...

- Dla pani Neville.

- Szczerze mówiąc, Neville, do tej pory głównie czekaliśmy i jedno, co mogę powiedzieć, to to, że przyjemnie się tu czeka.

Roześmiał się.

- Rozumiem. A moi rodzice tu się w sobie zakochali.

- Coś takiego.

- W czasie wojny. Moja mama była zaręczona z pewnym pilotem, który zaginął i uznano, że poległ. Mój ojciec się z nim przyjaźnił, postanowił więc zaopiekować się biedną narzeczoną. Prędko się w sobie zakochali i, z tego, co wiem, była to wielka namiętność. Oczekawszy rok wzięli ślub, ja urodziłem się przed samym końcem wojny. Rozumie więc pani, dlaczego tak lubię to miejsce.

- A ten drugi mężczyzna nigdy się nie odnalazł? - spytała Deanie odgarniając z czoła niesforne pasmo włosów.

- Niestety nie. Dali mi na imię jego nazwisko. Był jedyńkiem, chcieli więc je zachować dla potomności.

Deanie zagwizdała przez zęby.

- Wielka namiętność. Podoba mi się. Świetny materiał na piosenkę. Mogę to wykorzystać?

- Jak to?

- Piszę piosenki, a ta historia wydaje mi się świetnym materiałem na piosenkę. Czy rodzice pana mieliby coś przeciwko temu, żebym napisała piosenkę o ich miłości?

- Raczej nie. Zwłaszcza że nie żyją. Myślę, że nikt nie miałby nic przeciwko temu. Miło byłoby, gdyby historia ich miłości została uwieczniona w piosence.

- Wielka namiętność - powtórzyła Deanie, wsłuchując się w brzmienie tych słów. - To naprawdę piękna historia. Mam nadzieję, że potrafię ją dobrze przekazać.

- Niestety, na mnie już czas - powiedział po chwili. - O tej porze moja żona podaje wyborny podwieczorek. Jeśli się spóźnię, sama zje wszystkie maślane bułeczki, które ubóstwiam. Mówię pani, to straszna kobieta. - Powiedział to jednak z taką czułością, że nie było najmniejszych wątpliwości, z jakiego powodu tak mu śpieszno do domu.

- Miło mi było pana poznać - odparła machając mu na pożegnanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie! - Przystanął tknięty nagłą myślą. - Już wiem! Wiem, do kogo jest pani podobna. Najpierw myślałem, że do Elizabeth Taylor, kiedy tu była z Richardem Burtonem. Dopiero w tej chwili uświadomiłem sobie, że pani jest niewiarygodnie podobna do Natalie Wood. Czy ktoś już to pani powiedział?

Deanie zamrugła oczyma.

- O tak, ale dziękuję panu.

Uśmiechnęła się, on zaś pomachał do niej ręką i odszedł. Hm, bardzo miły starszy pan, pomyślała i wróciła do studiowania przewodnika. Poczula nieodpartą ochotę, żeby go podpisać, zaznaczyć, że jest jej własnością, choć przedtem nie miewała takich odruchów. To była jej książka. Myśl, że ktoś mógłby ją zabrać, sprawiała jej przykrość.

Wodziła wzrokiem po tekście, coraz bardziej świadoma braków w swym wykształceniu. Trafiając na niezrozumiałe określenia, typu „balwierz” i „reforma liturgii” oraz wyrażenia (jak się domyślała) łacińskie, zagryzała wargi. Podobnie czuła się, gdy przed wielu laty zaczynała czytać prasę fachową show-biznesu. Istniały dziedziny wiedzy, o których nie miała zielonego pojęcia. Ale jak widać nauka świetnie radziła sobie bez niej.

Wtem jej wzrok padł na coś, co wyrwało ją z tych rozmyślań. Była to czarno-biała fotografia ogromnego szpaleru krzewów. Deanie nachyliła się nad książką i przytrzymując ręką ciężkie nakrycie głowy, które zsunęło się jej przy tym ruchu na czoło, przeczytała informację, że nieopodal pałacu znajduje się labirynt, tak skomplikowany, że można w nim zabłądzić na kilka godzin. Przewodnik radził turystom, którzy wieczorem wybierali się do teatru i kupili już bilety, żeby zrezygnowali ze zwiedzania labiryntu.

Deanie uśmiechnęła się. Czuła, że to ostrzeżenie należy traktować z przymrużeniem oka, ale postanowiła podjąć wyzwanie. Bilety do teatru, dobre sobie. Ona tego wieczora miała wystąpić na stadionie Wembley i zaśpiewać w duecie z Buckym Lee Dentonem, jako jego specjalny gość! Jeśli się tam nie stawi na czas, menadżer dostanie zawału, a Nathan Burns, który miał filmować koncert do wideoklipu,

LABIRYNT

wyrwie sobie resztkę włosów z głowy. Wejście do labiryntu o tej godzinie było nie tylko nieodpowiedzialnym postępowaniem, Było czystą głupotą, ryzykowaniem kariery, na co mało kto by się odważył.

Z drugiej strony, kto potrafiłby oprzeć się takiej pokusie?

Z mapy wynikało, że od wejścia do labiryntu dzieli ją zaledwie kilka metrów. Nie odrywając wzroku od książeczki, skierowała się w jego stronę. (W każdym razie, taką miała nadzieję.) W przewodniku napisano, że labirynt liczy sobie prawie tyle lat, co pałac. Krzewy kazała zasadzić druga żona Henryka VIII, Anna Boleyn, tęskniąc za labiryntem w domu rodzinnym, którym był zamek Hever. Po kilkudziesięciu latach korytarze zarosły, ale wtedy zarówno Anna, jak i Henryk zdążyli obrócić się w proch.

Deanie uniosła głowę znad przewodnika i natychmiast zobaczyła to, czego szukała. Na zardzewiałym kołowrocie wisiał łańcuch z kłódką, do której ktoś przylepił kartkę z odręcznie napisanym słowem: „Nieczynny”.

Nieczynny?

Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, Deanie precyzyjnie się między kołowrotem a szorstkim krzakiem. W dzieciństwie nauczyła się wchodzić za darmo do wesołych miasteczek i tym podobnych, a że zachowała szczupłą sylwetkę, przepychanie się przez szczeliny nie sprawiało jej większych trudności.

Wnętrze labiryntu nieco ją rozczarowało, z drugiej strony sama dobrze nie wiedziała, czego się spodziewała. Wysokie krzewy wyznaczały kręte korytarze, odchodzące w różnych kierunkach. Wędrując nimi Deanie raz po raz przystawała, żeby dotknąć sękatych, poskręcanych gałęzi. Były grube i bardzo chropowate od wystawienia przez kilkaset lat na deszcz, śnieg i słońce.

Nagle poczuła, że musi się zatrzymać. Rozżarzone słońce zachodziło, rzucając ostatnie złote błyski; za chwilę miał zapaść zmierzch.

Coś jednak było nie tak.

Deanie zakręciło się w głowie i wyciągnęła przed siebie rękę, żeby złapać równowagę; chwyciła się sędziwego krzewu, nie zwracając uwagi, że drzazgi i kora kalcą jej skórę. Przewodnik

upadł na ziemię. Zrobiło jej się duszno, oślepiło ją światło odbite w butelce od coca-coli. Promienie odbijały się od szkła pod dziwnie ostrymi kątami, rzucając niebieskie błyski, tak drażniące wzrok, że musiała zamknąć oczy.

Trzęsienie ziemi, pomyślała. Trzęsienie ziemi w Anglii mogło się przydarzyć tylko Wilmie Dean Bailey.

Wibracje stawały się coraz intensywniejsze, a z wnętrza ziemi dobywało się głębokie barytonowe dudnienie; Deanie obawiała się, że za chwilę straci grunt pod nogami, bo ziemia się pod nią rozstąpi. Nagle jej ręka - ta, w której uparcie ścisnęła butelkę z resztką coca-coli - zaczęła silnie drżeć. Usłyszawszy syk, podobny do tego, który towarzyszy spadaniu kropel wody na patelnię z gorącym tłuszczem, Deanie otworzyła oczy i stwierdziła, że resztki płynu wyparowały z butelki, a orzeszki podskakiwały na dnie, niczym popcorn w trakcie prażenia.

Wtedy rozległ się straszliwy ryk, podobny do krzyku człowieka, z butelki zaś wystrzeliły biało-niebieskie pioruny i na moment ją otoczyły. Po czym wszystko ucichło.

Deanie z trudem łapała powietrze. Wypuściła z ręki butelkę, która ją teraz parzyła. Butelka upadła z hukiem na ziemię, ale nie roztrzaskała się, tylko wzbijała w powietrze trochę kurzu. Deanie drżącymi rękoma schwyciła się za gardło; serce jej biło jak szalone, każde jego uderzenie dzwoniło jej w uszach.

Wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. A kiedy zdołała wreszcie wydobyć z siebie głos, nie był to krzyk, lecz śmiech. Śmiała się sama z siebie. Oparła się o krzew, którego gałązki ugięły pod jej ciężarem. Jej wzrok trafił na butelkę, schyliła się po nią ostrożnie.

Fistaszki były zwęglone i dymią.

Powąchała je dla pewności. Cokolwiek się tu przed chwilą działo, nie było wytworem jej bujnej fantazji.

- Myślę, że uderzył we mnie piorun — powiedziała do siebie. Usłyszała w swym głosie zdenerwowanie.

Przymknęła oczy i oparła się jeszcze wygodniej. Coś się tu nie gadzało. Ale co?

Krzew!

Otworzyła oczy i odwróciła się gwałtownie, nie zważając, że nakrycie głowy znowu zjechało jej na czoło. Zamiast sędziwego krzewu-mamuta zobaczyła młody krzew, który sięgał niewiele nad jej głowę. Miał cienkie, gładkie gałązki i bladozielone pączki.

Wszystkie krzewy były młode. Gdziekolwiek spojrziała, widziała młode rośliny, a jej nozdrza drażnił jedyny w swoim rodzaju zapach ziemi zmieszanej z nawozem.

—Bywaj, pani, jesteś sprzymierzeńcem czy też wrogiem króla?

Deanie drgnęła przestraszona. Nie słyszała, że ktoś się zbliża.

W pierwszej chwili pomyślała, że to ten miły pan Williamson wrócił, żeby zaprosić ją na podwieczorek. Albo sprawdzić, czy nic jej się nie stało podczas trzęsienia ziemi. Odwróciła głowę w stronę, skąd dochodził dźwięczny męski głos.

To nie był pan Williamson.

Patrzyła jak zahipnotyzowana. Nie z powodu jego wzrostu i muskularnej budowy. Po prostu stojący przed nią mężczyzna miał w sobie jakiś magnetyzm, coś, co przyprawiało ją o dreszcz, podobnie jak jego głos.

Aktor. Sądząc po stroju, statysta w ich wideoklipie. Ale w odróżnieniu od Stanleya i innych szekspirowskich aktorów, ubrany był skromnie - w czarny aksamitny dublet, spod którego wyciekała szeroka biała koszula, pończochy. Z lewej strony, pomiędzy fałdami kostiumu, migotała elegancka pochwa miecza, czarna jak dublet, i pięknie rzeźbiona rękojeść miecza. I żadnych kolorowych imitacji klejnotów, żadnej pysznej złotej nitki. Pończochy były zgoła nieco workowate.

Deanie odetchnęła z ulgą.

—Cześć — powiedziała wciąż jeszcze trochę niepewnie. - Ale trzęsło, co? Nathan wysłał cię po mnie? Jesteś jednym z naszych aktorów, prawda? Wiesz, możesz już iść po czek.

Nie odrywając od niej wzroku mężczyzna wyciągnął miecz.

—Bywaj, pani, jesteś sprzymierzeńcem czy też wrogiem króla? - powtórzył swe dziwne pytanie przez zaciśnięte, bardzo białe zęby.

- Króla? Coś ty! Jestem za młoda, żeby znać Presleya osobiście, chociaż widziałam w telewizji nagranie jego koncertu. Wiesz, tego w Las Vegas, na który ubrał się w biały skafander i okulary lotnika.

Teraz, kiedy przestała się bać i mogła spokojnie przyjrzeć się aktorowi, stwierdziła, że nie minął się z powołaniem.

Miał chyba metr osiemdziesiąt wzrostu lub może nawet mniej, ale wydawało się, że wypełnia całą wolną przestrzeń. Miał podobne do Deanie kręcone kasztanowate włosy, które opadały na jego barczyste ramiona.

Jednak to twarz przykuwała jej uwagę, a ściślej mówiąc oczy o dziwnym migdałowym odcieniu; Deanie odnosiła wrażenie, że obramowane ciemnym brązem tęczęwki przewiercają ją na wylot, i czuła się tym onieśmielona.

Twarz miał szczupłą, zgoła chudą, o zapadniętych policzkach, brodę lekko rozszczepioną, czoło zaś wysokie i gładkie, bez zmarszczek. W przeciwieństwie do kącików oczu i warg.

Wargi! Kiedy mówił, Deanie przeniosła wzrok z oczu na wargi - hipnotyzujące studium kontrastu. Górna warga była dość wąska, za to dolna była pełna, odęta, świadcząca o ukrytej zmysłowości.

Teraz dopiero Deanie uświadomiła sobie, że zadał jej jakieś pytanie. Odchrząknęła.

- Co mówisz?

Na jego twarzy malowała się irytacja.

- Nie słuchałaś, pani? Powtórzę zatem, bywaj.

- Bywaj i splywaj.

Brwi, nad wyraz bujne, uniosły się lekko, marszcząc gładkie czoło. Wciąż celował w nią mieczem, ale jak gdyby z rozrządzeniem.

Deanie wyciągnęła rękę i odepchnęła miecz. W momencie, w którym dotknęła ostrza, poczuła ostry ból.

- Hej! Co to ma być? - krzyknęła. - Od kiedy to używacie prawdziwych mieczy? - Głos jej się załamał, gdy ujrzała na swej dłoni głębokie, liczące kilka centymetrów długości cięcie, na domiar złego krwawiące obficie.

Kątem oka dostrzegła, że cofnął się, po czym usłyszała metaliczny

LABIRYNT

dźwięk wsuwania miecza do pochwy. Ciężko westchnąwszy mężczyzna zbliżył się do niej i delikatnie ujął jej zranioną dłoń.

Kiedy poczuła ciepło jego oddechu na swym policzku, od razu zapomniała o bólu.

- Azali nie wiesz pani, czym jest oręż? — spytał łagodnie, jak gdyby mówił do wystraszonego dziecka.

Deanie patrzyła na jego rękę z niedowierzaniem. Do głowy by jej nie przyszło, że dotyk szorstkich, pokrytych odciskami palców może sprawiać aż taką przyjemność. Jego zapach, piżmowy, ostry, niepodobny do żadnych znanych zapachów męskich kosmetyków, podrażnił jej zmysły.

— Nie wiem, jakiej wody używasz po goleniu, ale to z pewnością nie jest „Brutal” - szepnęła.

Popatrzył jej w oczy. W zapadającym zmroku wydawały się jeszcze bardziej niezwykle. Z bliska Deanie widziała w nich mozaikę plamek zielonych niczym morze i brązowych niczym futro soboli.

- Jeśli wydałem ci się grubianinem, pani, upraszam o wybaczenie.

Z tymi słowy oderwał lewy mankiet koszuli, kilkanaście centymetrów śnieżnobiałej tkaniny, wystającej z czarnego aksamitnego rękawa.

- Ojej — rzekła Deanie patrząc z uśmiechem na ten wytworny prowizoryczny bandaż - nie musiałeś niszczyć kostiumu. - On jednak, zajęty bandażowaniem jej dłoni, nie zareagował na tę uwagę. - Wiesz — dodała, czując się niezręcznie z powodu jego milczenia i bliskości — masz odjazdowe ciuchy.

Ich oczy na chwilę się spotkały. Deanie pociągnęła nosem, łzy same wyparowały.

— Dość babskie. Nie chcę przez to powiedzieć, że wyglądasz jak pedał - zreflektowała się. - Co to, to nie. Tylko że czarny aksamit i biel, no wiesz... — Głos jej się załamał, on zaś zrobił krok do tyłu i patrzył na nią, jak gdyby dopiero w tej chwili ją zobaczył.

Deanie poczuła, że ma suche wargi, przejechała więc po nich językiem.

— Dlaczego tak dziwnie się wyrażasz?

Przez chwilę milczał, po czym spytał:

—Skąd jesteś, pani?

Zamknęła oczy, zastanawiając się nad odpowiedzią. W końcu wzięła głęboki oddech i uniosła powieki.

—Z Nashville jestem ja — odparła triumfalnie.

Pierwszy raz się do niej uśmiechnął i ten uśmiech zupełnie odmienił jego twarz. Zapadnięte policzki przekształciły się w policzki z podłużnymi dołkami, wokół oczu utworzyły się głębokie bruzdy. Z groźnego choć przystojnego mężczyzny przedzierzgnął się w miłego i przystępnego. Deanie zrobiło się słabo.

Sięgnął po butelkę od coca-coli i zaczął oglądać ją z uśmiechem.

—Nashville — powtórzył, choć w jego ustach to słowo zabrzmiało egzotycznie i z cudzoziemska. Stał tak blisko, że rozróżniała poszczególne pasma jego włosów, niektóre bardzo ciemne i szorstkie, inne złotawe od słońca, kilka siwych. Te ostatnie widać było tylko z bardzo bliska.

Ich oczy się znowu spotkały.

- Opowiedz mi jeszcze raz o swym królu. - Tym razem rzekł to normalnie, wodząc palcem po szkle w miejscu, gdzie wytłoczono znak firmowy coca-coli i datę produkcji.

—Nie żyje już.

Te słowa wywołały w nim reakcję. Zesztywniał, jak gdyby jej nie wierzył.

—Hej, dobrze się czujesz? - Uśmiech zgasł na twarzy Deanie, gdy stwierdziła, że mężczyzna nie wygląda na bardzo zdrowego. Na jego czole perlił się pot, błyszczący w gasnącym świetle dnia. Dotknęła jego ramienia.

Podskoczył, jak gdyby nie pamiętał o jej obecności. Ale nader prędko wziął się w garść, dotknął dłonią czoła, z roztargnieniem wytarł pot w kaftan.

—Proszę, opowiedz mi jeszcze raz o tych... okularach. - Wyraźnie miał trudności z odnajdywaniem w pamięci niektórych słów.

—Tych okropnych okularach lotnika?

—Lotnik - wydyszał. - Lotnik.

Miała już zaproponować mu pójście do karetki, stale obecnej na

LABIRYNT

planie zgodnie z wymaganiami firm ubezpieczeniowych. Ale nim zdążyła otworzyć usta, usłyszała głosy jakichś mężczyzn i kroki na żwirze.

Aktor ocknął się z zamyślenia. Kiedy zwrócił ku niej twarz, spojrzenie miał znowu jasne, przytomne.

- Jestem Christopher Neville, ksiązę Hamilton - rzekł chrapliwie. Wyraz jego oczu, jego przypalone spojrzenie skłoniły ją do cofnięcia się, ale złapał ją silnie za ramię i przyciągnął do siebie. - Jesteś pani moją krewniaczką. Pamiętaj, jesteś moją krewniaczką z...

- Puść mnie!

- Jesteś moją krewniaczką — powtórzył jeszcze dobitniej. — Muszę jakoś wytłumaczyć twoją dziwną mowę... - Wydawało się, że myśli na głos. - Przyjechałaś z Walii - powiedział z lekkim rozbawieniem.

- Zwariowałaś — szepnęła, prawdziwie zaniepokojona.

Zamiast się wściec lub obrazić, uśmiechnął się - w mroku błysnęły jego białe zęby.

- Nie, nie zwariowałem - powiedział wesoło i cisnął butelkę po coca-coli w krzaki. - Za to ty, moja droga krewniaczkko, jesteś wielce utrudzona po podróży. Rodzina przysłała cię tu w nadziei, że znajdziesz męża, więc zostaniesz ze mną na dworze do czasu...

- Wyrzucisz butelkę w krzaki - powiedziała oskarżycielsko. - Czy wiesz, ile wynosi grzywna za zaśmiecanie historycznego miejsca?

- Hola, Hamilton! Wyście tam? - rozległo się tuż za krzewem.

- Odbiło wam, czy co? spytała Deanie. — To wasze gadanie działa mi na nerwy.

Christopher Neville, ksiązę Hamilton, patrzył na nią w milczeniu. Po czym podłożył jej kciuk pod brodę i przyciągnął do siebie jej twarz.

- Jesteś, pani, pomalowana?

- Co?

- Masz, pani, na twarzy barwiczkę? - Nie czekając na odpowiedź, mankietem drugiego rękawa wytarł jej twarz.

- Hola, Hamilton! - Tym razem wołanie było bardziej natarczywe.

- Tum jest! - odrzyknął, usuwając resztki tuszu z jej rzęs i szminkę z warg.

Deanie, która do tej pory była tak oszołomiona, że nie reagowała, nagle się wściekła.

- Hej, wy tam! — krzyknęła w stronę głosów. — Jest tu jakiś świr. To aktor zatrudniony przez Nathana. Uwolnijcie mnie od niego!

Usłyszała stłumione naradzanie się, po czym z zarośli wyłoniła się reszta tej zwariowanej trupy. Mężczyzna na przedzie był zdecydowanie starszy od pozostałych, pięćdziesięcioletni lub sześćdziesięcioletni, i trzymał w ręku coś w rodzaju kija do baseballa, tylko większego. Po chwili dało się słyszeć szuranie nogami i do labiryntu weszła kolejna osoba z kijem baseballowym, tyle że ten się palił.

- Ratunku! - krzyknęła Deanie. - Przynieście gaśnicę!

Oni jednak zamiast pobiec po gaśnicę, podpalili kij tego starego. W tym momencie Deanie zrozumiała, że to nie żadne kije baseballowe lecz po prostu pochodnie, jak na nocnej zbiórce skautów. Zaczzerwieniła się tak, że pewnie wszyscy to zauważyli.

- Panowie - odezwał się Christopher Neville głosem gładkim jak u spikera telewizyjnego. - Pozwólcie, że wam przedstawię moją krewniaczkę.

Zawstydzona swą gafą Deanie pomachała do nich niemrawo. Z drugiej strony, czemu nikt jej nie powiedział, że aktorom rozdano pochodnie?

- Cześć - powiedziała. - Jestem Deanie Bailey.

Starszy z mężczyzn przysunął pochodnię do jej twarzy tak blisko, że Deanie aż się wzdrygnęła, ale duma nie pozwoliła jej się cofnąć. Facet prawdopodobnie był jej fanem.

- Diakon z Bailey? - spytał z niedowierzaniem.

Widziała go teraz wyraźniej i musiała przyznać, że był wyjątkowo szpetny. Zęby miał pożółkłe, przy tym niekompletne, a sponad haczykowatego nosa patrzyły na nią podejrzliwie małe czarne oczka. Ale chociaż urodą nie grzeszył, ubrany był w obszerny, podszytym futrem płaszcz i dziwaczny beret z czarnego aksamitu. Wszyscy mężczyźni byli w podobnych kostiumach i któremuś z nich - Deanie nie była pewna któremu — przydałaby się kąpiel. I to bardzo,

LABIRYNT

— Moja krewniaczka — powtórzył Christopher z uśmiechem - właśnie przybyła z Walii. — Odwrócił się do Deanie. — Dozwól, krewniaczko, że ci przedstawię Thomasa Howarda, trzeciego księcia Norfolk.

— Cześć, Tom — powiedziała Deanie z uśmiechem.

Christopher Neville skrzywił się.

— Nie, krewniaczko — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Jego imię brzmi nie...

— Przepraszam. Na imię ci Howard, tak? — Deanie postanowiła sama ułagodzić starego. Kolejna cisza pełna napięcia. — Howie?

W tym momencie Christopher Neville mało nie zmiażdżył jej ramienia i ostatnie słowo zagłuszyło wrzask Deanie.

— Od czasu zarazy moja krewniaczka słaba jest na głowę — powiedział Neville, na co mężczyźni prędko cofnęli się. — Dzięki Wszchemogącemu i jego magnificencji los ją oszczędził, ale niekiedy gada od rzeczy.

Mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia, Deanie zaś tym razem trzymała język za zębami. Skoro ten cały Christopher Neville z jakiegoś powodu uznał, że trzeba prowadzić tę dziwną grę, niech mu będzie. Zastanawiała się, czy ci mężczyźni są niebezpiecznymi szaleńcami. Wiedziała, że życie artysty nie zawsze jest usłane różami, co czasami odbija się na psychice. Zapach tych mężczyzn dowodził, że nie odnosili wielkich sukcesów. Deanie bała się wariatów, z drugiej strony współczuła im, postanowiła więc grać dalej. Pomyślała, że jeśli ma wybierać między „aromatycznymi” aktorami o pożółkłych zębach a wojowniczym Christopherem Neville, to już woli tego ostatniego.

— Hamilton — odezwał się w końcu starszy mężczyzna. — Najjaśniejszy pan nastaje na waszą obecność na dworze. Zawezwął grajków, jako że rad by zapomnieć o Annie Kliwijskiej. Idziesz, mości książę? - spytał i zrobił taką nieprzyjemną minę, że Deanie mimowolnie przysunęła się do Neville'a.

— Rychło. — Poglądził ją po plecach i mimo że to wszystko było takie dziwne, Deanie poczuła wdzięczność. - Służę pani. - Podał jej ramię, a ona po krótkim wahaniu je przyjęła.

Thomas Howard z trudem oderwał wzrok od zakrwawionej tkaniny owiniętej wokół jej dłoni.

—Jakiś wypadek, droga krewniaczko? - spytał akcentując ostatnie; słowo.

—Jako żywo — odparł bez zwłoki Neville. — Moja krewniaczka, ucieszona naszymi błoniami, jakże różnymi od walijskich skał, jeździła dziś na mojej klaczy bez rękawic. Jej delikatne ręce ucierpiały, niestety, od cugli.

—Zgadza się - mruknęła.

Wychodzili teraz z labiryntu, ale nie było tam ani kołowrotu, ani napisu „Nieczynny”. Nie było też reflektorów i przyczep kempingowych, zniknął cały sprzęt filmowy, jak również parking i droga, która biegła za labiryntem. W oddali nie widać było światła Londynu i charakterystycznej poświaty na niebie.

W świetle księżyca majaczył tylko niesamowicie oświetlony pałac. Wężowate kominy, które wcześniej stały wolno, bo ich obudowa dawno się rozpadła, stanowiły teraz część pałacu — dziwne konstrukcje z cegły plujące czarnym dymem. Pałac miał wiele przybudówek kojarzących się z biedną średniowieczną wioską - dachy na różnych poziomach, rzygacze. W niektórych oknach panowała ciemność, w innych majaczyło mdłe światło od pochodni lub świec, pełgało na tle otaczającej je czerni.

Za pałacem wznosiły się wzgórza, porośnięte karłowatymi drzewami, a na jednym z dalszych wzniesień straszył duch chaty ze słomianym dachem.

Trawa pod stopami Deanie obutymi w miękkie trzewiki rosła kępami; to nie była ta gładka, strzyżona kosiarką murawa, po której spacerowała wcześniej. Pośliznąwszy się, Deanie uświadomiła sobie, że ziemia jest gęsto zaśłana odchodami zwierzęcymi. Liczne grudy ziemi kazały przypuszczać, że pasło się tu stado krów lub owiec.

Zachwiała się, ale Christopher Neville przytrzymał ją. A potem pochylił się i szepnął jej do ucha tak cicho, że tylko ona to usłyszała:

—Witaj w roku 1540, miła krewniaczko.

3

Deanie zupełnie odjęło mowę. Zresztą nawet gdyby mogła wydobyć z siebie coś poza jękiem, nie wiedziałaby, co w tej sytuacji powiedzieć.

Christopher Neville nie był szalony. Deanie wiedziała, że mówił prawdę. Choć nie mieściło jej się to w głowie i urągało znanym prawom fizyki, cofnęła się w czasie do roku 1540.

Świadczyły o tym nie tylko ubiory ludzi i ich dziwaczny sposób wyrażania się, ale również wygląd otoczenia - nie strzyżony nigdy trawnik, młode krzewy w labiryncie, brak parkingu. Nie to jednak ostatecznie ją przekonało. Nie, po prostu w jakiś nieuchwytny, niemożliwy do określenia sposób poczuła, że od domu dzieli ją cztery stulecia. Z trudem oddychała, bo atmosfera była tu gęsta, duszna.

Gdy zbliżali się do pałacu z czerwonej cegły, nozdrza Deanie rejestrowały zapachy, z którymi nigdy dotąd się nie zetknęła. Z kominów dolatywał drażniący odór lekko-słodkiego dymu, pomieszany z gorzkim śwędem przypalonych włosów. Mężczyźni roztaczali wokół siebie nieprzyjemny zapach mokrych zwierząt. Deanie domyśliła się, że to śmierdzą ich ubrania; wkrótce ten wydzielany przez futra i wełnę odór stał się wprost nie do wytrzymania.

Christopher Neville zwracał się do niej jak ktoś bliski. Ostre rysy nadawały mu niemal dziki wyraz twarzy, lecz jego głos wyrażał wyłącznie uprzejmość.

- Możesz mówić mi Kit, tak zwracają się do mnie ci, którzy znają mnie najlepiej, łącznie z królem. Powinnaś coś o mnie wiedzieć, w przeciwnym razie wzbudzisz najokrutniejsze podejrzenia. Słuchasz mnie, pani?

Deanie popatrzyła na niego. Coś w wyrazie jej twarzy sprawiło, że Christopher gwałtownie przystanął. Nie odrywając od niej swych niezwyklej oczu, zawołał do tamtych:

- Proszę, panowie, byście zapewnili najjaśniejszego pana, że śpieszno mi stanąć przed jego obliczem, moja krewniaczka wszelako przeżywa wielkie poruszenie nerwów. Chwilę mi zajmie przywiedzenie jej do spokojności.

Mruknęli coś w odpowiedzi, po czym odeszli, powłócząc nogami i szurając po kocich łbach szerokonosymi kapciami.

Christopher powiódł ją wzdłuż muru porośniętego winoroślą do ławki ukrytej w niszy. Deanie jak przez mgłę pamiętała tę kamienną ławkę, szerniałą z powodu kwaśnych deszczów, wygładzoną tam, gdzie przez wieki na niej siadano — tak, to ta sama ławka, na której zatrudniony przez Nathana charakteryzator rozkładał torbę z kosmetykami. Teraz ławka wyglądała jak nowa, brzegi miała ostre, kwiecisty wzór na nogach był czysty.

Deanie zachwiała się. Dał jej znak, żeby usiadła, i podtrzymał ją z tyłu swą silną ręką. Usadowił się obok, przyparł umięśnionym udem jej drżące kolano, po czym zajrzał w jej duże brązowe oczy.

W mroku przyglądał się jej twarzy - małemu nosowi, miękko rzeźbionym kościom policzkowym, rzęsom tak grubym, że rzucały cień nawet przy tym słabym świetle, które dochodziło z pałacu. Pasma ciemnych, jedwabistych, długich, lekko falujących włosów spłynęło na jej szyję, a on z trudem oparł się pragnieniu, żeby ująć je w palce. Była taka delikatna, krucha. Anioł z nieba.

- Jak to się stało, do ciężkiej anielki? - syknęła, psując nastrój.

Na jego wargach pojawił się lekki uśmiech. Rozbawiła go swym odezwaniami się.

LABIRYNT

— Uważasz, że to śmieszne, co? — Jej oczy zabłyśły gniewem. Bez śladu zniknęło poprzednie zagubienie, spłoszenie. — Ja zaraz mam występ, panie Kit, a tak przy okazji, nie słyszałam, żeby mężczyzna używał żeńskiego zdrobnienia, w każdym razie od czasu, kiedy Johnny Cash śpiewał piosenkę o chłopaku, któremu dali na imię Zuzia... Powiem ci, że mnie to nie śmieszy. Ani trochę... — Jej głos załamał się. Przełknęła ślinę. — Och! - jęknęła... - Och... jak to się stało?

Szorstkim palcem ujął ją pod brodę i skierował ku sobie jej twarz, a ona zauważyła u nasady jego nosa drobne piegi.

— Nie mnie wiedzieć — powiedział w końcu, a widząc, że jej oczy zwięziły się z irytacji, poprawił się: — Nie wiem.

Przez długą chwilę siedziała nieruchomo, opierając dłonie na kolanach.

— Och! — jęknęła i zgarbiła się. Z jej głosu zniknęła poprzednia buńczuczność.

Christopher Neville przypatrywał jej się z góry. Wydawała się taka bezbronna. Delikatnie objął jej chłodną piąstkę.

— To ten labirynt — powiedział spokojnie. — Ma on właściwości, które trudno zmiarkować. Magiczne, nadprzyrodzone.

— Innymi słowy - rzekła trochę weselej - nie wiecie, panie.

— Słusznie mówisz, pani - potwierdził ciepłym, wibrującym głosem.

Deanie wyprostowała się.

— Nie jesteś specjalnie zaskoczony. Czy przybyli nim jeszcze jacyś inni ludzie?

W pałacu rozległa się muzyka - głębokie dudnienie, wydawane przez pokryty skórą bęben, piski fletów i bogaty ton lutni. Muzykę przebijał śmiech i odgłosy stukania metalu o kamień. Gdzieś szczekał pies.

Kit wstał i podał jej ramię.

— Najjaśniejszy pan czeka.

Jego ostre rysy zastygły w enigmatycznym uśmiechu. Deanie poprawiła bandaż opasujący jej rękę i wstała. Kit położył jej dłoń na swym przedramieniu. Deanie przysunęła się bliżej. W tej chwili Christopher Neville, książę Hamilton, był jedyną osobą na świecie, która jej sprzyjała.

W wielkiej sali migotały światła łuczyw i świec wielkości i kształtu małych choinek. Brzegi sali i kąty tonęły w ciemnościach, natomiast środek promieniował jasnością i ciepłem. Na długich deskach stały pomalowane na złoty kolor dzbany, leżały okrągłe bochny chleba. Chłopcy, będący jeszcze prawie dziećmi, roznosili i z kornymi ukłonami podawali jedzenie spiętrzone w szorstkich drewnianych korytach oraz bardziej eleganckich misach i talerzach.

Mimo świec i łuczyw w sali czuło się wilgoć, mroźny ziąb zdawał się przenikać każdy centymetr kwadratowy tej ogromnej sali. Same ściany, z kamienia i drewna, tchnęły chłodną wilgocią. Zdecydowanie cieplej było na zewnątrz.

Przy stołach (blatach ustawionych na kozłach) siedzieli mężczyźni i kobiety w kolorowych strojach, dzierżąc kielichy ociekające winem lub ciemnym piwem. Zaśmiewali się do rozpuku. Nad gwarnym tłumem, na chórze umieszczonym ponad salą, siedzieli muzycy odziani w zielono-białe tuniki i grali jak nawiedzeni melodię za melodią.

Była to scena zorganizowanego chaosu — ludzie sięgali nad głowami innych (w przedziwnych kapeluszach) po wielkie kawałki mięsa, a psy biegały po całej sali, bo dworzanie rzucali na podłogę kości. Jakaś kobieta z bardzo czarnymi zębami odrzuciła głowę i śmiała się ochryple, na co jej towarzysz wrzucił jej do ust suszony owoc. Inny mężczyzna nadział kawałek chleba na mały sztylet o rękojeści wysadzanej drogimi kamieniami i używał go zamiast widelca.

Deanie najchętniej wzięłaby nogi za pas, ale Kit trzymał ją za rękę i prowadził ku stojącemu na podwyższeniu stołowi, przy którym siedział największy mężczyzna, jakiego w życiu widziała, i walił weń pięściami. Wszystko w tym mężczyźnie było za duże, przesadzone, ktoś mógłby pomyśleć, że go nadmuchano.

Po prawicy tego olbrzyma siedział Thomas Howard, księżę Norfolk, i mówił coś do niego z wielkim przejęciem - jego wargi poruszały się z szaloną prędkością — ale olbrzym zachowywał się tak, jak gdyby poza Waleniem upierścienioną ręką w stół nic go nie obchodziło. Ubrany był w nieprawdopodobnie bogaty, zdobiony

LABIRYNT

klejnotami i złotym brokatem kaftan koloru burgunda, a przez liczne rozcięcia widać było olśniewającą biel koszuli pod spodem. Na głowie miał ogromny beret, obszyty piórami i perłami, które się trzęsły, kiedy wykrzykiwał pochwały pod adresem pływającej tancerki.

Twarz tego mężczyzny, zarośnięta wspaniałą, krótko przyciętą rudą brodą, przedstawiała niezwykle widok. Z dużym mięsistym nosem kontrastowały zaskakująco wąskie wargi; pod rudymi brwiami błyszcząły małe okrągłe oczka, a ciężkie powieki obrośnięte były rzęsami tak jasnymi, że aż niewidocznymi. Za nim wisiał ogromny gobelin obrazujący turniej rycerski i stado jednoroźców w galopie, stół też był przykryty gobelinem, lecz wzoru Deanie nie mogła z daleka dojrzeć. Stół na podeście był w tej sali jedynym przykrytym stołem; wszystkie inne świeciły gołym drewnem.

Deanie zorientowała się, że Kit mówi coś do niej cichym głosem, ale nie bardzo słyszała co — z powodu zamieszania, jakie tu panowało. Opowiadał jej o sobie... że w niespełna dziesięć lat doszedł do tytułu księcia i że jest ulubionym partnerem króla w turniejach rycerskich. Grywa z królem w tenisa, często też towarzyszy mu w sali muzycznej.

Przytaknęła, nie odrywając oczu od stołu przykrytego kobiercem. Teraz jakiś dostojny džentelmen skłonił się przed olbrzymem, wyciągnął zza pazuchy duży kawałek płótna i związał go sobie pod szyją.

Zachichotała, co sprawiło, że Christopher przystanął i spojrział pytająco.

- Ta scena przypomina mi wyżerkę u „Sizzlera” - szepnęła mu do ucha, a on tylko zmarszczył czoło w odpowiedzi.

- Trzymaj język za zębami, pani - ostrzegł ją. - Jeśli król zada ci jakieś pytanie, odpowiadaj krótko. Mów tylko tyle, ile koniecznie trzeba.

Deanie pokiwała głową, że rozumie, i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, bo oto olbrzym podniósł do ust coś, co wyglądało na całą nogę jakiegoś zwierzęcia, wbił się w nią swymi malutkimi poźółkłyimi zębami i oderwał kawał mięsa. Wyczyn ten wywołał spory aplauz, który przyjął z uśmiechem. Żuł z otwartymi ustami, śliniąc się z przyjemności.

Olbrzym, uświadomiła sobie Deanie i aż ją zemdliło, był ni mniej, ni więcej tylko królem Henrykiem VIII, a to, na co patrzyła, nie było przedstawieniem teatralnym ani parkiem tematycznym, urządzonym z wielkim staraniem o szczegóły. Król był prawdziwy, tak samo jak te zapchłone psy i zalane winem maty z sitowia na podłodze.

Tymczasem Kit przyprowadził Deanie do podium. Gdy zajęły miejsce na jednym z końców przykrytego kobiercem stołu, natychmiast pojawili się młodzi służby, postawili przed nimi metalowe talerze, do ozdobnie rzeźbionych pucharów nalali gęstego wina.

Deanie patrzyła na swój puchar, przeczekując gwałtowny przypływ mdłości. Odór, który dał jej się ostro we znaki już po drodze do pałacu, w jego wilgotnym, ciepłym wnętrzu stał się wprost nie do zniesienia. W którąkolwiek stronę zwróciła głowę, atakowały ją nowe, okropne zapachy. Każda podsuwana jej pod nos potrawa charakteryzowała się pikantną, ostrą lub tłustą wonią. Usługujący chłopcy w poplamionych kaftanach tak blisko się nachylali, że tych, którzy roznosili mięso, z zamkniętymi oczyma można było odróżnić od tych, którzy roznosili ciasta.

Deanie postanowiła oddychać wyłącznie ustami, ale niewiele to pomagało. Zajrzała do swego pucharu. Czerwone wino, gęste i słodkie, podniosło się jak drożdże, a na powierzchni pływał osad.

- Nie chcę nudzić - szepnęła do ucha Kitowi, który dotykał ją pod stołem kolanem — ale czy mogłabym dostać trochę wody?

- Nie - odparł krótko i jednocześnie skłonił się czerwono-nosemu mężczyźnie w śmiesznej niebieskiej czapce.

- Nie?

- Krewniaczko, woda w Anglii nie jest bezpieczna — powiedział tonem, jak gdyby przypominał jej o jakimś oczywistym fakcie. - Czy z Tamizy, czy ze studni cuchnie i grozi ciężką chorobą. Od biedy możesz się w niej wykąpać, ale na własne ryzyko.

- Ach, tak — mruknęła. - Rozumiem, dlaczego wszyscy tak śmierzdzą ... - przerwała widząc uśmiech na twarzy Kita, podłużne rowki w jego policzkach. - Rzecz jasna, nie mówię o tobie - dodała pośpiesznie. - Wszyscy inni są jednak... jak by to powiedzieć... nieco...

— „Przejrzali”? — odpowiedział.

Odwzajemniła uśmiech zapominając o młodościach. Nagle poczuła przemożną ochotę, żeby dotknąć jego twarzy, obwieść palcami jej kontury. Intrygował ją ten dołek w brodzie. Ciekawe, jaką ma skórę, zastanawiała się, gładką czy szorstką? A na policzkach, gdzie cień bokobrodów czynił ją ciemniejszą? Spojrzała mu w oczy; czarne rzęsy sprawiały, że tęczęwki wydawały się dziwnie blade. Uśmiech stopniowo zamarł na jego twarzy.

— Powiedz, dlaczego jesteś dla mnie taki miły? - spytała drżącym głosem, jednocześnie czując słabość w kolanach.

Spojrzał przed siebie, spuścił powieki. Miał ostry profil, prawie orli nos, niekłamane męski. Po chwili milczenia powiedział:

— Ponieważ wiem, jakie to uczucie być człowiekiem z zewnątrz.

Wprawdzie mówił nadal z silnym angielskim akcentem, ale jego słowa brzmiały prawie normalnie.

— Kit! Nie pokłonisz się swemu królowi? — rozległ się donośny głos.

Kit zerwał się na nogi. Jego prosto skrojony dublet miło kontrastował z obszywanymi futrem i piórami kaftanami innych mężczyzn. Skłonił się w pas.

— Powstań, krewniaczko — szepnął, pociągając Deanie za ramię.

Podeszli do króla. Kit jedną rękę zgiął i trzymał na wysokości pasa, drugą wyciągnął przed siebie. Deanie zrobiła to samo.

W sali rozległy się stłumione śmiechy. Teraz wszystkie oczy były skierowane na nią.

Nagle olbrzym wybuchnął tubalnym śmiechem.

— To przednie, pani! — zawołał klaszcząc w tłuste dłonie. - Widzę, że posiadałaś sztukę przedrzeźniania. Mój błazen zapewne drży, czy nie straci posady!

Wszyscy w sali zaczęli klaskać i wtórować śmiechem królowi, chociaż Deanie nie widziała w tej sytuacji nic śmiesznego. Kit zmusił się do uśmiechu.

— Wasza wysokość dozwoli, że przedstawię moją krewniaczkę, hrabiankę Deanie z Walii? — rzekł ujmując Deanie za łokieć.

Król skinął głową. Raptem wstał, przechylił się nad stołem

i pocałował ją w usta. Na wargach miał tłuszcz i wino, na brodzie kawałki zwierzęcego tłuszczu. Deanie chciała obetrzeć wargi, lecz Kit, który w porę się zorientował, co ona zamierza, złapał ją za rękę,

- Wybaczcie, miłościwy panie, mojej biednej krewniczce - po wiedział. — Jest tylko słabą niewiastą i wielki honor, jaki jej miłościwy pan uczynił, sprawił, że odjęło jej mowę. — Co mówiąc,, rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Deanie zjeżyła się.

- Hej, ja też umiem tak gadać...

Zamilkła, bo Kit ścisnął jej łokieć.

- Miłościwy panie - ciągnął — jeśli mi dozwolicie, powiem wprost. Moja krewniczka niedawno chorowała na głowę i...

Król cofnął się przerażony, otarł wargi grzbietem swej tłustej, upierścienionej ręki.

- Chorowała na głowę?

- Niech wasza królewska mość się nie obawia. Nie od zarazy, jeno od uderzenia.

- Ach, jestem rad - rzekł z ulgą. Jego świńskie czarne oczka zabłyśły i uśmiechnął się lubieżnie.

Deanie skręcała się pod jego przenikliwym spojrzeniem, świadoma swego taniego stroju, plastikowych perełek, drapiących rzepów.

Król, nie zdejmując ogromnego śliniaka, obszedł stół, żeby stanąć przed nimi. Rozstawił szeroko swe olbrzymie, grube niczym pnie drzew nogi w złotych pończochach, wziął się dumnie pod boki i ni stąd, ni zowąd grzmotnął Kita w plecy... Każdy normalny mężczyzna niewątpliwie by się zachwiał, przewrócił, ale Kit stał pewnie jak jego monarcha.

- Czy ona życzy sobie pozycji na dworze?

Kit przyciągnął Deanie do siebie.

- To taki honor, wasza miłość, że nie śmiałyby nawet marzyć. Byłbym wdzięcznym dłużnikiem waszej miłości.

- Wybornie! Zatem załatwione. - Król znowu się roześmiał, pożerając Deanie wzrokiem; - Nie ma dobrze w głowie, mój wierny książę? Świetnie! Ozdobi dwór swym wdziękiem i dotrzyma towarzystwa flamandzkiej kobyle. W końcu królewskie oczy nacieszą się urodą niewiasty.

LABIRYNT

Twarz Kita przybrała twardy, niemal wyzywający wyraz. Ale po chwili znowu uśmiechał się do króla, Henryk zaś wrócił na swoje miejsce za stołem. Deanie i Kit poczuli się zwolnieni, król bowiem przywołał teraz chłopca z dzbanem wina.

Klucząc między parą jasno ubranych żonglerów i służącymi niosącymi mięsiwa, ciasta, dziczyznę i chleb, Kit i Deanie wrócili na swe poprzednie miejsce.

— Będiesz damą dworu królowej Anny — szepnął Kit Deanie do ucha, kiedy znowu usiedli. — To jest wielki honor, pani. Ale bacz, byś się zanadto do niej nie zbliżyła, bo król zamyśla o zmianie królowej. Mogłabyś podzielić jej los.

- Chce się z nią rozwieść? - spytała Deanie z niedowierzaniem.

— Prawdę mówiąc, coś takiego zamierza.

- Dlaczego? Co ona takiego zrobiła?

Kit pociągnął łyk wina.

- Jego królewska mość powiada, że królowa śmierdzi - rzekł trzymając puchar przy wargach, żeby nikt poza Deanie tego nie usłyszał.

— A on to niby pachnie? - mruknęła.

Tylko podrygiwanie jego szerokich ramion, wstrząsanych bezgłośnym śmiechem świadczyło o tym, że ją usłyszał.

Obiad zdawał się ciągnąć bez końca; przed zmęczonymi oczyma Deanie przesuwaly się coraz to nowe dania. Niektóre z nich, na przykład mięso dzika w cieście i ryba w całości posypana ziołami, sprawiały wrażenie jadalnych. Inne zaś były albo bardzo dziwne albo budziły obrzydzenie, jak bardzo aromatyczne nóżki wieprzowe czy też maciupęńkie ptaszki pozbawione łebków, za to z łapkami i pazurkami, bo tak łatwiej było je ustawić na półmisku.

Im dłużej siedziała przy stole, tym bardziej traciła nadzieję. Nieznane zapachy, dźwięki, barwy nacierały na nią coraz zacieklej. Cofnęła się do roku 1540 na dwór najgroźniejszego monarchy w historii.

Za każdym razem, gdy była już bliska paniki, noga Kita dotykała

jej nogi, jego silna dłoń muskała nadgarstek, niby dla podkreślenia tego, co mówił. Dźwięk głosu tego mężczyzny pomagał jej odzyskać spokój, powstrzymywał od ucieczki.

W końcu, ku swemu ogromnemu zdumieniu, zaczęła sama mówić. Doszła bowiem do wniosku, że paplając łatwiej zapanuje nad nerwami.

- Wiesz — zaczęła, biorąc do ust kawałek ciemnego chleba, będącego jedynym jedzeniem, jakiego odważyła się poprobować
- kiedyś umówiłam się na randkę z facetem, który uwielbiał polować. Przyjechał po mnie starą ciężarówką i zaproponował, żeby usiadła na worku wypełnionym martwymi kaczkami. Te talerze z martwym ptactwem przypominają mi tamtą randkę pod znakiem martwych kaczek.

- Randka pod znakiem martwych kaczek?

Przełknęła chleb.

- Widzisz, nie potrafiłam myśleć o niczym innym poza ich dziobami, kłującymi mnie w pupę. Od tego czasu nie jadam kaczek. Im bardziej posiłek jest podobny do tego, jak wyglądał za życia, tym mniejszą mam na niego ochotę. Kawałki kurczaka smażone w głębokim tłuszczu lub hamburgera mogę jeść zawsze.

Uśmiechnął się, jak gdyby domyślał się, że powiedziała coś zabawnego, ale nie rozumiał dowcipu. Łyknął wina i spojrzął na nią.

- Posiadasz jakąś umiejętność?

- To znaczy? - spytała, poprawiając idiotyczne nakrycie głowy, które przechyliło się w prawą stronę.

- Jesteś biegła w szyciu, dysputach teologicznych, muzyce?

- Ooo - zamyśliła się głęboko. - Tak, potrafię szyć. W liceum szyłam sobie sama sukienki — pochwaliła się. Koniecznie chciała mu się jakoś przypodobać. — Inna sprawa, że miałam maszynę do szycia — dodała cicho. — Ręcznie też szyję, ale grubymi nićmi. - Roześmiała

się. - Ale dowcip mi wyszedł. Szyć grubymi nićmi.

- Aha - przytaknął, kontemplantując wzór na pucharze.

- Za to umiem śpiewać.

Kit zmarszczył brwi.

- Naprawdę? - spytał z powątpiewaniem.

LABIRYNT

— Jasne. Poza tym piszę piosenki. Po to tu przyjechałam, to znaczy, do Anglii. U siebie w kraju jestem nie byle kim. A raczej będę, gdy zaśpiewam w duecie z Buckym Lee Dentonem. Jako autorka piosenek zdobyłam trzy nagrody CM A, dwie nagrody Grammy, oczywiście wszystko za piosenki, które wykonywali inni piosenkarze. Niektórzy bardzo znani. — Odetchnęła głęboko. - I wiesz co? Grałam nawet w Grand Ol' Opry, ale nie jestem członkiem. W każdym razie jeszcze nie. Występowałam tam gościnnie. - Deanie promieniała. — Czy udzieliłam ci wystarczającej odpowiedzi?

Kit w zakłopotaniu pocierał brodę.

— Obawiam się, pani, że zapomniałem już, o co cię pytałem.

Deanie zgarbiła się.

— Widzę, że nie robi to na tobie wrażenia. — Pokręciła smutno głową. — Tak, potrafię śpiewać — powiedziała zrezygnowana.

— Wybornie! — Na chwilę zamilkł. Spoważniał. — Muszę spytać cię o... o coś ważnego. — Odchrząknął. — Obecna królowa nie pochodzi z Anglii. Mówi po duńsku — zakończył z naciskiem.

— I co z tego? - Deanie wzruszyła ramionami.

— Czy ty mówisz po niemiecku? — spytał przyglądając się jej uważnie.

— Ja? Coś ty! — Zachichotała. - W liceum przez rok uczyłam się hiszpańskiego i cała korzyść z tego, że wiedziałam, co zamawiam w Taco Bell. Nie znam nikogo, kto by się uczył niemieckiego. To trudny język.

Kit nadal był bardzo spięty; zaciskał pięść tak mocno, że zbiełały mu knykie.

— Powiedz mi - zaczął niby od niechcenia, ale nie potrafił ukryć drżenia głosu - czy w twojej epoce wiele ludzi mówi po niemiecku? Czy niemiecki jest językiem międzynarodowym?

— Nie... - Deanie była zdziwiona tym pytaniem. — To znaczy, Niemcy mówią, rzecz jasna, po niemiecku, ale oni mieszkają w Niemczech. Rzadko przyjeżdżają do nas, w każdym razie do Nashville. Poznaje się ich po workowatych szortach i sandałach noszonych na czarne skarpety. Dlaczego cię to interesuje?

Przez chwilę trwał w bezruchu, patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Nerwowo napinał mięśnie szczęki i zaciskał pięści.

- Dzięki ci, Boże - rzekł w końcu z głębokim westchnieniem. Trochę się rozluźnił, ale myślami dalej krążył gdzie indziej. — Tyle lat się nad tym zastanawiałem. Dzięki ci, Boże.

Schylił głowę jak gdyby w modlitwie, oparł czoło na dłoni. Potem się wyprostował i uśmiechnął radośnie, Deanie zaś zrozumiała, że był to pierwszy prawdziwy, pogodny uśmiech, jakim ją obdarzył. Miał bardzo białe zęby, choć jeden na dole był krzywy, nie tak idealny jak reszta.

Ten krzywy ząb takie zrobił na niej wrażenie, że dech jej zapařło. Odczuwała ogromną ochotę przejechania kciukiem po dolnej wardze Kita, tej pełnej. Na wszelki wypadek spłotła palce. Wnętrza dłoni miała wilgotne i zimne. Patrzyła na niego w milczeniu, bo nie była w stanie mówić.

- Jesteś chora? - spytał z niepokojem.

- Nie - odparła ochryple. Ząb, pomyślała, zaciskając dłonie. Chyba się zakochuję w krzywym zębie.

Przed Kitem dygnęła szczupła kobieta w ciemnozielonej sukni i kanciastym nakryciu głowy. Kit uśmiechnął się.

- Ach, bardzo dobrze, Cecily. To moja krewniczka hrabianka Deanie Bailey, która zostanie damą dworu królowej. Deanie, to jest hrabianka Cecily, córka lady Sellers i siostra Elizabeth Garrison, ukochanej damy dworu królowej Jane, panie świeć nad jej duszą, matki naszego radosnego księcia Walii. — Na wspomnienie królowej Jane oboje, Kit i młoda kobieta, przeżegnali się znakiem krzyża. — Obecnie usługuje królowej Annie.

Deanie uśmiechnęła się do Cecily, a następnie odwróciła głowę do Kita.

- Ale się niezbyt przykłada.

Kit wymienił zdumione spojrzenia z hrabianką Cecily.

- Co ty mówisz, krewniczko?

- Powiedziałeś, że to damy dworu królowej. Ale królowej jakoś nie widać. Kiedy wreszcie się zjawi?

- Ach... — Kit odchrząknął, a hrabianka Cecily spłonęła

LABIRYNT

szkarłatnym rumieńcem, rozglądając się nerwowo, jak gdyby sprawdziła, kto jeszcze słyszał słowa Deanie. - Nie pamiętasz, co ci powiedziałem? O królu?

Przez ostatnie kilka godzin Deanie otrzymała tyle nowych informacji, że teraz musiała zamknąć oczy i zastanowić się, co on takiego mówił o królu. Wreszcie przypomniała sobie — król nie był zadowolony ze swej nowej królowej i zamierzał się z nią rozwieść.

— Rozumiem. — Pochyliła się do przodu, a Kit i hrabianka Cecily przybliżyli się do niej. — To znaczy, że jej tu nie ma? Mówię o królowej. - Kit przytaknął. Kątem oka zobaczył, że są bacznie obserwowani przez Thomasa Howarda. - Czyli że on jej nienawidzi - mruknęła Deanie, czując współczucie dla biednej, nie chcianej królowej, której nigdy nie widziała.

Nagle Kit wstał i pociągnął Deanie za sobą. Trzymał ją za łokieć w sposób nie budzący wątpliwości co do intencji.

— Krewniaczko, hrabianka Cecily zaprowadzi cię do komnaty. Miałaś dziś wiele wrażeń, przeto czas położyć się do łóżka.

Król na drugim końcu stołu też wstał i rytmicznie klaskał do melodii, którą muzycy zaczęli właśnie grać. Deanie zupełnie nie zwróciła uwagi na muzykę. Kit ścisnął jej łokieć dla dodania odwagi, po czym przekazał ją Cecily.

— Dobrej nocy, krewniaczko - szepnął jej do ucha. Deanie dostała gęsiej skórki.

Prowadzona przez Cecily w stronę łukowych drzwi, znajdujących się na lewo od stołu królewskiego, Deanie uśmiechnęła się niepewnie do króla. Zanim wyszła, zdążyła jeszcze zobaczyć, że Christopher Neville, książę Hamilton, zwrócił się ku grupie roześmianych kobiet. Na jego twarzy malowała się nieklamana radość, za nią nie patrzył.

Kiedy znalazły się w długim korytarzu, Cecily zachichotała.

— Drogi krewniak waćpanny zdobył sobie serca wszystkich niewiast na dworze, panien i mężatek - powiedziała, jakby czytając w jej myślach.

Deanie nie odpowiedziała. Szły labiryntem sal o wypolerowanych

posadzkach i wspaniałych gobelinach na ścianach. Z dala od Kita czuła się zagubiona i wystraszona, w gardle ją dławilo. To nie był sen. Naprawdę znajdowała się wśród ludzi, którzy nie żyli od ponad czterystu lat. Ta młoda kobieta nie żyła. Król Anglii nie żył.

Christopher Neville nie żył.

Hrabianka Cecily chichotała.

—Widzę, że księżę zdobył również serce swojej krewniaczki - powiedziała lekko.

I znowu Deanie nie odpowiedziała. Ale kiedy weszły do małej, prawie pustej komnaty, daleko od tamtego miejsca w wielkiej sali, Deanie spojrzała na swą towarzyszkę i ze smutnym uśmiechem powiedziała:

—Masz chyba rację, Cecily.

Następnego ranka nie obudziło jej radio, znajomy zapach kawy ani telefon z recepcji hotelu. Jeszcze na granicy jawy i snu łudziła się, że jest w hotelu „Dorchester”, we własnym apartamencie, a w pokoju obok gburowaty Nathan Burns chodzi z kąta w kąt, gryząc się, że nie został znanym reżyserem.

Obudziło ją kopnięcie czyjejs owłosionej nogi.

Usiadła przerażona i podciągnęła pod brodę płócienne prześcieradło. Przez wąską szparę w grubych czerwonych zasłonach wokół łóżka z trudem przedzierało się dzienne światło. Ten jeden promyczek słońca wystarczył jednak, żeby zobaczyła, kto poza nią jest w łóżku. Po prawej, odwrócona do niej plecami, z podkurczonymi nogami spała Cecily Garrison. Po lewej leżało jakieś obce ciemne babsko, które chrapało jak doker.

A więc wczorajszy dzień nie był snem.

—O rany, naprawdę tu jestem. — Głos Deanie zabrzmiał nienormalnie głośno w tej cichej sypialni. Starając się nie obudzić Cecily ani tym bardziej chrapiącej nieznajomej, Deanie wysunęła się przez szparę między zasłonami, które natychmiast za sobą zasunęła.

Ziąb kamiennej podłogi pod stopami sprawił, że się zawahała. Miała już odchylić zasłony i wrócić do łóżka, kiedy usłyszała głośne

prychnięcie. Po czym chrapanie zmieniło kierunek. Deanie wzięła głęboki oddech i trąc oczy rozejrzała się po pokoju.

Wydawał się jeszcze mniejszy niż poprzedniego wieczora, kiedy w pełgającym świetle trzech świec Cecily wręczyła jej koszulę nocną. Deanie z trudem powstrzymała się od skomentowania faktu, że musi dzielić z kimś sypialnię, a co dopiero łóżko. Ta gruba widać przyszła, gdy Deanie już spała. Nieprzyjemnie jest się budzić w łóżku z całkiem obcą osobą, zwłaszcza z osobą tej samej płci, która ma owłosione nogi i polipy w nosie.

Ze skrzyżowanymi rękoma na piersiach stała niepewnie na środku pokoju. Na jego skromne umeblowanie składały się obite skórą krzesło, ciężki kufer o kopulastym wieku oraz kilka stolików z osmalonymi beżowymi świecami. Światło wpadało przez okno o grubych, nierównych szybkach w ołowianych ramkach; szkło miało bańki powietrzne i widoczne zawirowania. Na jednej ścianie wisiał gobelin utrzymany w barwach czerwono-niebieskich, na drugiej był ogromny kominek, teraz wygasły, ale wciąż pachnący spalonym drewnem i dymem. Przed kominkiem brakowało zasłon zabezpieczających przed wpadaniem iskier i żaru do pokoju.

W rogu stał stolik z dzbanem wody. Deanie zanurzyła w nim dłonie i ochlapała sobie twarz, a następnie sięgnęła po kwadrat szarawego płótna złożonego we czworo obok dzbanka. Ręcznik drapał i niezbyt dobrze wchłaniał wodę. Woda była bardzo zimna i miała zatęchły zapach, który powstrzymał Deanie od ugaszenia nią pragnienia.

Poza tym przypomniała sobie, że Kit odradził jej picie wody.

Kit.

Składając szmatkę, zadała sobie pytanie, czy Kit jej się przyśnił, czy był prawdziwy jak reszta tego świata. Czy wyobraziła sobie jego wspaniałe oczy, długie loki, krzywy biały ząb?

Wtem rozległo się ciche pukanie do drzwi. Deanie drgnęła przestraszona. Kiedy się uspokoiła, pomyślała, że lepiej nie budzić Cecily i tej obcej. Powoli odciągnęła zasuwę i uchyliła drzwi.

- Deanie? - To był Kit.

Otworzyła drzwi szerzej, nie kryjąc radości, że go widzi.

W dziennym świetle był jeszcze przystojniejszy niż w wieczornym mroku. Miał na sobie ten sam dublet i pończochy, co poprzedniego wieczora, ale koszula — z rękawami ściągniętymi w nadgarstkach i nakrochmalonym kołnierzem związanym pod szyją - była świeża, olśniewająco biała. Za to włosów chyba nie uczesał; na szerokie ramiona opadały wilgotne kędziory. Po lewej stronie miał pochwę z mieczem o czarnej rękojeści, w prawej ręce trzymał jakieś zawiniątko.

— Cześć — powitała go Deanie.

Kit zajrzał jej przez ramię, unosząc brew w niemym pytaniu.

— Śpią - szepnęła. A przybliżywszy się do niego spytała: - Kim jest ta chrapiąca baba z owłosionymi nogami?

Roześmiał się na cały korytarz. Aby go uciszyć i samej się nie roześmiać, Deanie położyła mu palec na wargach. Kit odchrząknął.

— To musi być lady Mary Douglass — szepnął jej do ucha.

Kiwnęła głową i wróciła do studiowania jego pogodnej, szczerej twarzy. W oczach migotała zieleń zmieszana z brązem.

— Przyniosłem jedzenie, żebyś przestała już pościć. - Uniósł zawiniątko.

— Zjemy tutaj?

— Nie. Na dworze. Ładny dziś dzionek mamy.

— Piknik! - pisnęła, ale zaraz przypomniała sobie o tamtych kobietach. Skulona ze strachu obejrzała się. - Nie wiem, gdzie podziało się moje ubranie — szepnęła, pokazując na koszulę nocną.

— Jest tam jakaś skrzynia?

— Skrzynia? Nie widziałam. — Wtedy przypomniała sobie kopulasty kufer. — Pewnie masz na myśli kufer.

Pokiwał głową, a Deanie podeszła na palcach do kufra i uniosła ciężkie wieko. Jej ubranie leżało starannie złożone pod ogromną czerwoną suknią, należącą zapewne do Mary Douglass. Schowała się za łóżko i prędko wciągnęła suknię, wsunęła stopy w miękkie patynki. Nie miała ochoty na to przekłete nakrycie głowy, ale na wszelki wypadek wzięła je z sobą.

Kit był zdumiony, kiedy zjawiła się tak prędko.

LABIRYNT

—Jak zdołałaś sama się ubrać? Przeczesała
palcami włosy i uśmiechnęła się.

—Rzepy.

—Rzepy?

Odwróciła się do niego plecami i rozpięła pierwszy zatrzask. Rozległ się charakterystyczny dźwięk rozdierania. Zapięła zatrzask.

— Ale dziwy — mruknął.

Jego ciepły oddech na jej karku przyprawiał ją o drzenie. Przełknęła ślinę.

Odwróciła się do niego twarzą i przez chwilę oboje milczeli. Oglądał ją, napawając się każdym szczegółem: świeżością jej cery, jedwabistością grubych pięknych włosów. Otwierała już usta, żeby coś powiedzieć, kiedy Kit złapał ją za rękę.

— Jesteś głodna? - spytał ochrypłym głosem. I chociaż nie odpowiedziała, kiwnął głową i wyprowadził ją na dziedziniec.

Król ze swej komnaty spoglądał na dziedziniec Cloister Green. Tłustą dłoń z pierścieniami, które wrzynały mu się w palce bardziej niż zwykle, oparł o chłodny kamienny parapet.

Był późny ranek, a księżę Hamilton nie przestawał zabawiać swej walijskiej krewniaczki. Król obserwował z zafascynowaniem, jak jedli chleb z serem, popijając go ciemnym piwem z chropowatych kubków. Tego ranka księżę był wyjątkowo ożywiony. Król podziwiał błyszczące w słońcu włosy niewiasty. Sięgały zaledwie do ramion. Czy to znaczyło, że zanim tu przyjechała, przebywała ostatnio w klasztorze?

Już poprzedniego wieczora zwrócił na nią uwagę, obserwował ją ze swego miejsca. Ślicznotka jak mało która. Teraz ze śmiechem powiedziała coś do księcia, on zaś odwzajemnił jej uśmiech.

Król zaklął pod nosem. Okropnie dokuczala mu noga. Medyk królewski, doktor Butts, przeciął wrzód, ale rana wciąż się nie goiła, odbierając Henrykowi młodzieńczy humor i energię, z których niegdyś był sławny w całej Europie. Na łowach potrafił w ciągu jednego dnia zajeździć dziesięć koni, a jego ludzie z trudem dotrzymywali mu towarzystwa i nadziwić się nie mogli kondycji

fizycznej króla. Nadali mu przydomek „Bluff”, czyli „Rubaszny”; Był uczony, a do tego piękny.

Dziesięć lat temu hrabianka Deanie nie potrafiłaby oderwać od niego swych brązowych oczu. I to nie od Henryka króla, lecz od Henryka mężczyzny. Dziesięć lat i cztery żony temu wzięłby ją za jej przyzwoleniem, a potem by się nią znudził.

Teraz siedział na tej flamandzkiej kobyle, germańskiej żonie, z którą miał spółdzić drugiego syna, księcia Yorku, aby przedłużyć dynastię Tudorów. Nie tylko królestwu potrzebny był ten syn, ale; również królowi, który do tej pory miał tylko troje żyjących potomków, w tym dwie niepotrzebne mu córki.

Nie był jednak zdolny spółdzić dziedzica ze swą germańską żoną. Jej obwisłe piersi i okropny zapach z ust budziły w nim nieprzezwyciężony wstręt. Wspomnienie nocy poślubnej tak go zdenerwowało, że ze złości kopnął piękny inkrustowany stół z Italii, na co jego chora noga zaprotestowała ostrym bólem. Wybuchnął seria przekleństw. Ożenił się z Anną, bo jako król Anglii pragnął dobra swego kraju. Ale jako mężczyzna marzył, żeby zniknęła z jego życia.

Marzyła mu się nowa żona.

Dziś, pierwszy raz od tamtego posepnego dnia styczniowego, kiedy zawarł z nią ślub, nadzieja wstąpiła w jego serce.

Patrzył na Kita, który właśnie pomagał krewniaczkę wstać z ziemi. Hamilton był jednym z jego ulubionych dworzan. Żaden z członków Królewskiej Rady nie dorównywał mu czy to w turniejach, czy to w rozprawach. Dzięki błyskotliwości jego umysłu oraz wyjątkowej odwadze udało się zażegnać bunt na szkockiej granicy. Tak, Kit na pewno pomoże swemu królowi znaleźć odpowiedniejszą żonę. Henryk zawarł małżeństwo z Anną Kliwijską z powodów dyplomatycznych, nie z miłości. Przez nią stał się pośmiewiskiem, kwestionowano jego męskość. Zaprowadziwszy porządek w sprawach sercowych, będzie władcą, jakim zawsze pragnął być, wspaniałym wodzem, którym byłby, gdyby jego ukochana żona, Jane, nie zmarła po urodzeniu księcia Edwarda.

Teraz był jego ruch.

- Cromwell! — zawołał swego głównego ministra.

LABIRYNT

Cromwell mu to zrobił, Cromwell zmontował unię z Kliwią i pchnął go do tego obrzydliwego małżeństwa. Cromwell niebawem umrze. Ale zanim umrze, niech też trochę pocierpi, niech dowie się, czym jest piekło na ziemi.

- Cromwell! - wrzasnął drugi raz.

Drzwi otwarły się z impetem i do komnaty wpadł zaczerwieniony od biegu Thomas Cromwell - w przekrzywionym płaszczu spiętym złotym łańcuchem na grubej szyi.

- Wasza wysokość... — Sapiąc skłonił się nisko.

- Mamy dla ciebie dwa zadania - rzekł król nie odrywając wzroku od zachwycającej pary na dziedzińcu. - Po pierwsze, jak najprędzej pozbądź się królowej Anny. Nie dbamy o to, w jaki sposób to zrobisz, poprzez unieważnienie małżeństwa czy proces. Po wtóre latem chcemy być wolni do następnego małżeństwa.

Cromwell jękając się zaczął mówić, że takie potraktowanie królowej doprowadzi do wojny z Kliwią, że zerwanie tego małżeństwa poczyni niepowetowane szkody dyplomatyczne. Ale król go nie słuchał. Patrzył na błyszczące w słońcu wargi hrabianki Deanie i myślał, że miło będzie je całować w noc poślubną, podczas której spłodzi wreszcie księcia Yorku.

4

Nie ma to jak browar na śniadanie - stwierdziła Deanie strzepując okruszki z sukni. - Odnoszę wrażenie, że jestem w latach siedemdziesiątych na trasie z grupą „Aerosmith”. Brakuje mi jednak papierosa i filiżanki kawy.

—Wiem, że będę tego żałować — zachichotał Kit zdejmując źdźbło trawy z jej pleców - ale czy mogłabyś wytłumaczyć, co znaczą twoje ostatnie słowa?

Uniosła ku niemu głowę. Ich dłonie niemal się zetknęły. Zawahała się.

—Browar - powiedziała w końcu — to po prostu piwo. Tak mówi się na piwo w kręgielniach. „Aerosmith” to nazwa zespołu, takich wędrownych minstreli.

—„Aerosmith” — powtórzył i przerwał, jak gdyby zastanawiał się, czy ciągnąć dalej tę rozmowę. Uśmiechnął się. — A to, co powiedziałaś na końcu?

—Hm... - Deanie w zamyśleniu obgryzała paznokcie. - No więc tak - zaczęła, nie zwracając uwagi na rozbawienie w oczach Kita - kawa jest naparem z ziaren kawowych. Podaje się ją na gorąco, czasami z mlekiem i z cukrem. Ja lubię czarną kawę, to znaczy bez dodatków. Smakuje tak sobie, ale cudownie pachnie.

LABIRYNT

- Jeśli smak ci nie odpowiada, to czemu to pijesz?

- To proste. Kawa zawiera kofeinę.

Uniósł brwi.

- Kofeinę?

- Tak. - Pierwszy raz od chwili, kiedy spotkali się w labiryncie, wybuchnęła swym zaraźliwym śmiechem, a Kit jej zawtórował.

Deanie odetchnęła głęboko i wyjaśniła:

- Z tego, co wiem, kofeina jest używką. Pomaga zwalczyć uczucie senności.

- Coś takiego! My, nie oświeceni Anglicy, ogarnięci uczuciem senności po prostu idziemy spać. Dobrze, a ta druga rzecz? Domyślam się, że to również jakiś napój.

- Papierosy? Nie. — Odchrząknęła, starając się nie myśleć o męczącym głodzie nikotynowym. - Papierosy robi się z liści pewnej rośliny.

- Które gotuje się i połyka?

- Coś ty! Liście się suszy, sieka i zawija w papier.

Przeczesał palcami włosy, mierząc niesforne loki.

- Liście się suszy, sieka i zawija w papier? Papier to rzecz nader cenna, Deanie. Co dalej?

- To zabrzmiało strasznie głupio, Kit

- Nie sądzę. Czy może być coś głupszego od połykania gorzkiego wywaru z ziaren, żeby powstrzymać się od snu?

- Hm. — Nagle spojrzała na niego w zamyśleniu. — Skąd wiesz, że kawa jest gorzka?

Skrzyżował ręce i uśmiechnął się tajemniczo.

- Skoro ludzie dodają do niej cukier i mleko, wnioskuję, że napój jest gorzki.

- No tak - rzekła niepewnie, a on dał jej znak zachęcający do kontynuowania. — Koniec papierosa, czyli tej papierowej rurki napełnionej suszonymi liśćmi, podpalasz.

- Rozumiem. — Wzruszył ramionami. - To łuczywo.

- Niezupełnie. Papieros wkładasz do ust.

Kit nic nie mówił, lecz oczy mu się zwięzły. Wrócił do sprzątnięcia miejsca ich pikniku.

—Żartujesz sobie ze mnie.

—Nie, mówię poważnie! Wcale się z ciebie nie natrzęsałam. Papierosa wkładasz do ust nie zapalonym końcem i ssiesz go.

—To masz w ustach piekło.

—Nie. Palenie jest bardzo przyjemne. To znaczy, dym, którym się zaciągasz. Ale to szkodzi zdrowiu.

—Deanie — zaczął Kit powoli — kiedyś w moim domu wybuchł pożar. W środku został giermek, wszedłem więc go wyciągnąć. Połknąłem przy tym trochę dymu i zapewniam cię, że nie było w nim nic smacznego. Gdybyś zaproponowała mi, żebym włożył sobie do ust płonąca pochodnię, posłałbym cię do wszystkich diabłów.

—Ale ja mówię prawdę. Ludzie palili powszechnie...

—Palili?

—Tak się mówi. Więc ludzie palili przez lata, zanim jacyś ważni lekarze odkryli, że palenie szkodzi zdrowiu.

—Jacyż mądrzy są ci wasi lekarze! - Uśmiechnął się do niej i beceremonialnie zawinął w derkę kubki, dzbany, nie dojezdzony chleb.

Cały czas był świadom, że są obserwowani przez króla. Gdyby to przewidział, wybrałby inny dziedziniec. Inny dziedziniec lub miejsce gdzieś za fosą, a nawet szranki. Znał z przeszłości takie intensywne zainteresowanie króla kobietą i wspomnienie, co z tego wynikało, nie dawało mu spokoju.

Odwrócił się ku Deanie, która nagle dziwnie ucichła. Odkąd zaczęli jeść, trąkotała jak najęta. Teraz, trzymając w ręce zapomniane nakrycie głowy, patrzyła na środek dziedzińca i miała bardzo dziwną minę.

—Gdzie się podziała fontanna? - spytała.

—Jaka fontanna?

Jakiś ptaszek wleciał nad nowo posadzone krzewy, ćwierkając wesoło. Dziedziniec Cloister Green tego ranka tonął w słońcu. Był wprost wymarzone miejsce na pogawędkę lub rozmyślenia. Pod arkadami pośpiesznie przemykała służba, która nie miała czasu, by napawać się spokojem tego miejsca.

— Pamiętam, że zanim zaczęliśmy kręcić — rzekła Deanie drżącym głosem — posłałam, żeby się trochę rozejrzeć.

LABIRYNT

- Kręciliście kołowrotem?

- Kręciliśmy wideoklip, czyli film, w którym miałam śpiewać z Buckym Lee Dentonem. — Westchnęła. Lekki wietrzyk zmierzwił jej włosy, które niecierpliwym ruchem odgarnęła z oczu. — Na tym dziedzińcu była fontanna. Duża fontanna, Kit. O ile pamiętam, zaprojektował ją ktoś o nazwisku pochodzącym od nazwy jakiegoś ptaka.

- Ptaka? — Usiłował ukryć uśmiech, przykładając dłoń do warg, jak gdyby w zamyśleniu. — Może był to mistrz Robin, którego nazwisko wywodzi się od rudzika lub sir Peacock, czyli paw?

- Nie, ale ta fontanna była stara, bardzo stara, Kit, a tu jej jeszcze nie ma. — Nakrycie głowy wypadło z jej dłoni. - Ja naprawdę cofnęłam się w czasie. Co ja teraz zrobię?

Kit rzucił na ziemię zawinątko i ujął Deanie delikatnie za ramiona.

- Posłuchaj mnie uważnie - zaczął i zerknął niespokojnie w stronę ogromnych okien apartamentów królewskich. Uspokoił się, stwierdziwszy, że króla już w nich nie było. Deanie nie rozumiała jego zachowania. - Tak, cofnęłaś się w czasie. Postaraj się mnie wysłuchać, żebyś nie wpadła w gorsze kłopoty. — Mówił z niewątpliwym angielskim akcentem, ale osłabionym dziwnym modulowaniem głosu właściwym dla epoki panowania Tudorów. - Trafiłaś do czasów i miejsc, których nie znasz, a w których obowiązują inne reguły gry, inne obyczaje. Ludzie wierzą w zabobony.

- Już dawno powinni być martwi — mruknęła.

Kit powiódł palcem po jej policzku.

- Poza tobą, oczywiście - dodała. - Naprawdę, nie myślałam o tobie.

Jego twarz nie zmieniła wyrazu. Pomyślałaby, że jej nie dosłyszał, gdyby nie ogień, który zabłyś w jego oczach.

- Masz rację, powinienem być martwy — powiedział w końcu. - Ale nie jestem.

- Ja tylko ich miałam na myśli - powiedziała prędko, pragnąc, żeby Kit przestał tak dziwnie na nią patrzeć. - Króla. On powinien być martwy.

Kit popatrzył na nią poważnie.

- Nie mów takich rzeczy. Zdradą jest choćby wyobrażać sobie śmierć króla czy śmierć księcia Walii. Gdyby ktoś ci nieprzychylny usłyszał twe czcze słowa, natychmiast doniósłby królowi.

- O czym ty mówisz? Kto mógłby być mi nieprzychylny, skoro zjawiłam się tu dopiero przedwczoraj? O, w Nashville, to co innego. Znalazłoby się kilku, którzy chętnie podłożyliby mi świnie, nie mówiąc o Vicu Jenkencie i Buckym Lee Dentonie. Ale tutaj?

- Tutaj ludzie są bardzo zawistni - powiedział łagodnie. - Ten dwór jest istnym żmijowiskiem. A taka śliczna dziewczyna jak ty, to... - zająknął się. - Będę się trzymać blisko ciebie. Na ile pozwolą mi moje obowiązki. Kiedy nie będzie mnie przy tobie, staraj się zwracać na siebie jak najmniej uwagi.

Deanie milczała. Gdzieś dalej słychać było śmiech mężczyzn, rżenie konia. Przeszły dwie służące niosąc olbrzymi drewniany ceber. Jedna z nich, w białym czepek związanym pod szyją, rzuciła zalotne spojrzenie na Kita i odwróciła głowę, a jej towarzyszka zachichotała.

— Dlaczego jesteś dla mnie taki miły? - spytała Deanie zdławionym głosem. Kit rozluźnił uścisk i zaczął rozmasowywać leniwie miejsca na jej ramionach, które przedtem za mocno ścisnął.

Patrząc, jak słońce błyszczy w jego włosach, Deanie po raz kolejny uświadomiła sobie, że ma do czynienia z silnym i pięknym mężczyzną. Pięknym? Właściwie nie, bo miał ostre rysy. Nos z profilu był zanadto krogulczy, a oczy patrzyły zbyt przenikliwie. Wszystko razem jednak przyprawiało kobiety o utratę tchu.

- Dlaczego jestem dla ciebie miły? Już o to pytałaś. - Odchrząknął. - Widzisz, nie mam tu żadnej rodziny, a ty przypominasz moją siostrę.

Nie taką odpowiedź Deanie chciała usłyszeć. Ale zrobiło jej się ciepło na duszy.

- Dzięki - powiedziała z uśmiechem.

Mrugnął do niej, po czym schylił się po jej nakrycie głowy i tobołek z naczyniami. Kiedy pochylał się, jego miecz wysunął się do tyłu. Ciekawe, czy kiedykolwiek go odpina, zastanawiała się Deanie. Może w nocy. W łóżku. Kiedy jest sam...

LABIRYNT

- A teraz, krewniaczko - rzekł biorąc ją za rękę — zajmiemy się twoim przydzwiewkiem.

- Czym?

Roześmiał się.

- Jesteś damą dworu królowej i musisz być odpowiednio ubrana. Mistrz Locke szyje stroje dla wszystkich dworzan, tak dla szlachty, jak dla ich królewskich mości. Idziemy do niego.

- Aha.

Opuścili dziedziniec. Kit nie wiedział, że z innego okna obserwował ich Thomas Cromwell i stukając palcem w szybę zastanawiał się, co z tym fantem zrobić.

Oglądając kostium Deanie Cecily Garrison kiwała głową z podziwem.

W odróżnieniu od normalnych sukien dam, składających się z białej płóciennej sukni spodniej i wkładanej na nią sukni zwierzchniej, suknia Deanie była jednoczęściowa. Wprawdzie spod spodu wystawał biały płócienny rąbek, który w pierwszej chwili można było wziąć za suknię spodnią, ale w istocie nią nie był. Rękawy i kołnierz doszyto błyszczącą nitką wprost do stanika. Tkanina była licha, słabo utkana. Pantofle miały cienkie, wytarte podeszwy i dziwną taśmę w poprzek podbicia.

Zdumiała ją natomiast zapięcia na rzepy, powiedziała nawet Kitowi, że suknia Deanie ma czarodziejską moc. Kit roześmiał się, a potem położył palce na wargach, na co panna Cecily strasznie się zaczerwieniła.

- Piękna Cecily - szepnął. - W Walii wszystkie niewiasty mają takie zapięcia.

- Hrabianka Deanie nazywa te diabelskie zapięcia rzepami. - Cecily miała nadzieję, że księżę nie zwróci uwagi na jej spocone dłonie. Nigdy jeszcze nie stała tak blisko niego, mimo że wielokrotnie starała się zwrócić na siebie jego uwagę.

- Zgadza się. Rzep po walijski to ostrożeń lub oset, a jak wiesz, oset przyczepia się do wszystkiego.

Po tym wyjaśnieniu Cecily zostawiła w spokoju suknię Deanie

i nigdy więcej nie robiła uwag na temat dziwnej tkaniny czy jeszcze dziwniejszego kroju. Pomogła Kitowi skompletować garderobę dla Deanie, łącznie z gorsetem z czerwonego płótna, pikowaną koszulką, chroniącą skórę przed otarciem od fiszbinów, rękawami, które pasowały do dwóch nowych brokatowych staników, oraz kilkoma okrągłymi, podobnymi do kwefów, nakryciami głowy nazywanymi kapturkami. Z tyłu tych kapturków zwisały dwa płaty tkaniny, które można było upinać na głowie lub opuszczać na plecy.

Deanie na początku czuła się zupełnie zagubiona. Nijak nie mogła się połapać, jak to wszystko wkładać. Strój składał się z wielu części, które za każdym razem należało łączyć. W gorsecie — znacznie bardziej niewygodnym, niż Deanie przewidywała — były specjalne dziurki, do których przywiązywało się kolejne warstwy nakrochmalonych halek, żeby się nie kręciły. Cecily, chcąc przypodobać się Kitowi, pomagała Deanie ubierać się i wprowadzała ją w tajniki obowiązującej na dworze mody, o której Deanie, wychowana w odległej Walii, nie miała najmniejszego pojęcia.

Dwa szczegóły dworskich strojów robiły na Deanie wielkie wrażenie. Jeden to długi tren, ciągnący się za każdą kobietą z wyższej klasy społecznej. Kit wyjaśnił, że tylko bogate damy mogą sobie pozwolić na luksus ciągnięcia po ziemi metrów tkaniny.

- A ty jesteś bogaty, Kit? - spytała Deanie, ćwicząc obowiązującą na dworze postawę i chód.

Każdy krok wymagał uprzedniego kopnięcia do przodu sukni, żeby jej nie przydepnąć, a efektem tych zabiegów było kołysanie biodrami. Kit obserwował ją z uznaniem; był dumny, że naśladowanie dam na dworze, ich sposobu noszenia głowy, kroczenia z wyprostowanymi plecami przychodzi Deanie dość łatwo.

- O co pytałaś? - Skrzyżował ręce i cofnął się, żeby nie nastąpić na tren z niebieskiego aksamitu.

- Pytałam, czy jesteś bogaty. Musisz mieć jakieś pieniądze, bo w przeciwnym razie nie byłoby cię stać na kupienie mi tych strojów. - Zebrała ręką spódnice i tren, po czym zrobiła kilka kroków do tyłu.

- Mam spore dochody. Z moich włości oraz z innych źródeł. Bardzo wdzięcznie się poruszasz, Deanie.

LABIRYNT

Drugą rzeczą, która zaskoczyła Deanie, był brak bielizny - poza suknią spodnią i parą lnianych pończoch. Spodziewała się jakichś kalessonów, majtek do kolan. Tymczasem nawet najbogatsze damy nie nosiły nic pod spódnicami.

- A co będzie, jeśli za wysoko podciągnę spódnicę lub spadnę ze schodów? — denerwowała się Deanie.

—Mówiąc szczerze - rzekła Cecily — większość panów tylko na to czeka. Marzą o tym, żeby dama się potknęła schodząc ze schodów i zawsze starają się zająć takie miejsce, z którego będą mieli najlepszy widok.

Skąd ja to znam, pomyślała Deanie i od razu poczuła się pewniej.

Trzecia użytkowniczka łóżka, Mary Douglass, obserwowała Deanie spod swych grubych powiek i z zawziętym uporem milczała. Cecily powiedziała Deanie, że Mary, podobnie jak inne damy, durzy się w jej krewniaku. Po czym pośpiesznie dodała, że „on w żaden sposób jej do tego nie zachęcił”.

Deanie świetnie rozumiała Mary. Ona też bardzo lubiła towarzystwo Kita, w jego obecności miała ochotę wzlecieć w powietrze. Rozkoszowała się tymi nowymi, dziwnymi uczuciami, ale głos wewnętrzny przestrzegał ją przed zakochaniem się. Wiadomo, że nic dobrego z tego wyjść nie może.

Zdawała sobie jednak sprawę, że gdyby nie on, to burzliwe nowe życie (przyzwyczajanie się do zwyczajów panujących na dworze, do dziwacznych wyrażania się, nieznanego jedzenia oraz myśli, że prawdopodobnie nigdy już nie zobaczy matki i swego domu) byłoby nader trudne do zniesienia. Co wieczór, wciśnięta między te dwie nigdy nie kąpiące się kobiety o owłosionych nogach, pocieszała się, że rano zobaczy obnażone w uśmiechu olśniewająco białe zęby, z których jeden na dole był nieco krzywy.

Kitowi trudno było zaimponować.

Złapał się jednak na tym, że podziwiał Deanie, która z nadzwyczajną łatwością zapamiętywała, kto jak się nazywa, jaki nosi tytuł i jaką pozycję zajmuje na dworze, i szybko chwytła, w jaki

sposób należy się do kogo zwracać, żeby okazać odpowiedni szacunek.

- Wiesz, to nic trudnego - powiedziała mu któregoś popołudnia, usiłując jednocześnie rozluźnić sznurówkę. Suknia miała z obu stron sznurówki, które księża nazywali, powiedział jej Kit, „bramami do nieba”. - Prowadziłam w Nashville tyle koncertów, że nabrałam wprawy. Potrafię zapamiętać nazwiska wszystkich wykonawców, tytuły ich piosenek, imiona żon, narzeczonych, marki samochodów, wyznanie. Wszystkie te informacje mam w małym palcu.

- Potrzebowałam kilku lat, żeby nauczyć się tylko części tytułów. Daj, pomogę ci. - Podprowadził ją do ogromnej komody w korytarzu. Zgrabnie rozwiązał sznurówki, po czym od nowa je związał. - Tak lepiej?

Westchnęła.

- Lepiej. Najlepiej jednak byłoby nie nosić tego straszego gorsetu.

- Niestety, kuzynko, nie ja wprowadzam tu modę.

Zamknęła oczy, odetchnęła i pomasowała szyję ręką, zabandażowaną od czasu, gdy lekkomyślnie dotknęła klingi jego miecza. Gdy oddychała, jej piersi unosiły się i opadały. Dekolt sukni z ciemnozielonego aksamitu odsłaniał haftowaną górę gorsetu. Haftowane były też rękawy przywiązane do ramion. Na głowie miała kapturek z czworobocznym denkiem z dwoma zwisającymi płatami tkaniny. To był prosty styl, odpowiedni tylko dla kobiety rzadkiej urody. Deanie była właśnie taką kobietą.

- Nie wiem, jak ty, ale ja tu złapię wilka. - Otworzyła oczy, a jej wargi ułożyły się w uśmiech.

- W pałacu nie ma wilków.

- Chcę przez to powiedzieć, że od tych kamiennych podłóg strasznie ciągnie.

Obok nich przeszli jacyś dworzanie pochłonięci rozmową. Deanie wciąż nie mogła uwierzyć, że pałac Hampton Court jest taki zatłoczony. W każdym progu ktoś stał, na każdym krześle siedział przynajmniej jeden dworzanin czekający na okazję, żeby przypodobać się królowi.

LABIRYNT

Był to bardzo barwny tłum; po chłodnych korytarzach przechadzali się dostojnicy ubrani w stroje narodowe i mówiący niezrozumiałymi językami. Zwłaszcza jeden zaskoczył Deanie - gość o kwadratowej szczęce i kanciastej brodzie oraz dziwacznej fryzurze. Nosił ubranie uszyte z doskonałego materiału, ale zawsze poplamione kolorowymi farbami, ognistoczerwonymi, ciemnoniebieskimi i słodkożółtymi. Miał dzikie, nerwowe spojrzenie. Był jedynym dworzaninem, do którego Kit żywił otwartą niechęć.

- Król go podziwia, bo jest artystą, ale ja mu nie ufam - powiedział raz, pociągając Deanie, żeby nie została stratowana przez tamtego, który z obłądem w oczach pędził do królewskiej kaplicy. — To malarz rodem z Niemiec. Nazywa się Hans Holbein.

- Malował cię kiedykolwiek? — spytała Deanie, patrząc w ślad za nim.

Holbein nagle przystanął, wyrzucił ręce do góry i pobiegł z powrotem w stronę drzwi, z których przed chwilą wyszedł, po drodze o mało nie przewracając Deanie.

- Nie — odparł Kit z irytacją. - Nie mogłem znieść jego burczenia w brzuchu.

Deanie spojrzała na jego dłonie; Kit kręcił młynka kciukami.

- Myślę, że moje gadanie cię denerwuje - mruknęła.

Nie powiedziała tego, żeby usłyszeć komplement, zresztą nie była pewna, czy Kit usłyszał jej słowa, póki nie poczuła, że otoczył ją ramieniem.

- Nie, Deanie, dla mnie twój głos jest jak muzyka.

Spojrzała na niego pytająco, bo nie była pewna, czy sobie z niej nie żartuje. Ale zanim zdążyła się odezwać, pocałował ją w rękę i powiedział cicho:

- Pokażę ci teraz salę muzyczną. Może zainteresuje cię jakiś instrument.

Dotknął jej pleców i poprowadził ją korytarzem. Pozdrawiali mijanych dworzan, a Kit półgłosem informował Deanie kto zacz.

- To lady Cowen. Darzy głębokim uczuciem chłopca stajenego... Ten w brudnych pończochach? To jest sir William Wade, znany ze swego szczególnego upodobania do przywłaszczania

cudzych koszul. Raz złapano go, jak prawie nagi taszczył kosz z praniem. Tam stoi wielka szafa z drzewa wiśniowego, dwa razy okradziona przez służbę. Bardzo trudno o uczciwych służących.

- Coś takiego! Nawet tutaj?

- Nawet tutaj. - Kit uśmiechnął się, przepuszczając ją w drzwiach.

Z zalanego słońcem korytarza weszli do ciemnego pomieszczenia wyłożonego boazerią. Gdy oczy Deanie przyzwyczyły się do mroku, krzyknęła ze zdumienia.

Na wszystkich stołach i krzesłach leżały instrumenty muzyczne. Okno było zasłonięte ciężkimi brunatnymi zasłonami.

- Dzięki temu instrumenty ładniej brzmią - Kit uprzedził jej pytanie.

Deanie z pietyzmem dotknęła najbliższego instrumentu. Był duży, strunowy i miał kształt tykwy. Rączka była zagięta do tyłu. Instrument przypominał zaokrągloną kobietę patrzącą na niebo.

- Lutnia - powiedział Kit. - Ta należy do królewskiego lutnisty Phillipe'a Van Wildera.

- Wiem. Udawałam, że gram na czymś takim w wideoklipie. Ale gdzie jej było do tej. Nawet się nie umywała. Były też instrumenty klawiszowe.

- Klawikord. Szpinet. Organy - wyjaśniał Kit dotykając każdego po kolei.

Jedne miały czarne klawisze, inne podwójną klawiaturę. Wszystkie były pięknie rzeźbione, pozłacane lub miały namalowane anioły albo Matkę Boską. Deanie wróciła do instrumentów strunowych; dotykała wszystkich po kolei, ale żadnego nie brała do ręki. Były eksponatami muzealnymi.

- Mandolina, lira — mówił Kit. I

wtedy ją zobaczyła.

- Gitara - powiedzieli chórem.

Była mniejsza i węższa od tej, do której była przyzwyczajona, ale kształt był taki sam.

- Boże, Kit - wyszeptwała.

- Chciałabyś zagrać?

Nachyliła się, nie mając odwagi dotknąć gitary.

LABIRYNT

— Chryste panie! - Gwizdnęła. - Ileż ona ma strun!

- Pięć par. W sumie dziesięć.

— Jęku, dziesięciostrunowa gitara? — Wyprostowała się i wytarła

dłonie w suknię. - Człowieku, dużo bym dała, żeby zobaczyć ją w rękach Lee Roya Parnella.

- Zagraj.

Deanie pokręciła głową.

— Boję się. Jest pewnie warta majątek.

— Nie. Najwyżej kilka szylingów. W każdym razie tyle za nią zapłaciłem.

— To twoja gitara?

Kit skinął głową i podał jej instrument. Z tyłu zdobił ją niesamowity wzór w geometryczne sześciąty, dający złudzenie trójwymiarowości. Na rączce miała progi, bodaj tyle samo, co gitara w jej świecie. Główna była wdzięcznie odchylona, jak gdyby odpoczywała, słuchając dźwięków wydobywających się z niej samej.

Kit przyniósł z kąta pięknie zdobione krzesło z czarnego drzewa; na jego wysokim oparciu wyrzeźbiono pełno twarzy, wykrzywionych w dziwnym uśmiechu. Coś jak twarze rzygaczy.

- O rany - mruknęła. Nawet przez sztywny gorset i warstwy ubrania czuła ostre nierówności oparcia. — Nigdy nie słyszeliście o przyjemnym gładkim krześle?

— Tu, na dworze królewskim? — Kit zrobił obrażoną minę. — Nie.

Deanie oparła gitarę na kolanach, napawając się ciężarem instrumentu, satynową gładkością lakierowanego drewna.

- To cudowny instrument. Gdzie go kupiłeś?

- Od hiszpańskiego kupca, który dostarczał towar królowej Katarzynie. — Co mówiąc wykonał znak krzyża.

Po krótkim wahaniu Deanie zaczęła stroić instrument. Jak na takie małe pudło miał bardzo dźwięczne, bogate i niespodziewanie głębokie brzmienie. W chwili, kiedy brała kolejny akord, zabolą ją zraniona dłoń.

Kit natychmiast zgadł, co przeszkodziło jej w grze.

- To ta rana - powiedział cicho. - Tak mi przykro, Deanie. Pozwól, że obejrzę.

Obejrzał jej dłoń.

—Myślę, że niedługo się zagoi, jeśli tylko jej nie zabrudzisz. W żadnym wypadku nie stosuj balsamów lub maści nadwornych medyków. Mają dobre chęci, ale Bóg jeden wie, z czego je robią, Pewnie z żabiego skrzeku.

Ich oczy się spotkały. Deanie miała dziwną minę.

—Co się stało?

Deanie cofnęła dłoń i położyła ją na gitarze.

—Zacząłeś inaczej mówić. To znaczy, przestałeś używać tych wszystkich dziwacznych wyrażeń.

- Wiem. Próbuję naśladować twój sposób mówienia, żebyś lepiej mnie rozumiała. — Wziął z jej kolan gitarę i oparł ją o ścianę.

— Mówię kilkoma językami, Deanie. Twój jest najdziwniejszy, a zarazem najłatwiejszy.

- Aha. - Wstała i wygładziła fałdy sukni. - To pewnie tak jak ze świńską łaciną, niby podobna, a jednak to nie to samo.

- Żartujesz chyba. W twoich czasach świnię mówią po łacinie?

Deanie zachichotała, biorąc go pod rękę.

- Nieważne, Kit. Umieram z głodu. Czy dostaniemy coś do jedzenia? Najlepiej bez łbów i kopyt.

—Zdaje się, że widziałem w spiżarni trochę chleba i sera, Czy to zaspokoi twój głód? Czy może ser w twoich czasach też mówi?

Śmiejąc się poszli poszukać czegoś do jedzenia.

5

Wreszcie, po przeszło tygodniu spędzonym na dworze Henryka VIII, Deanie miała poznać królową.

W pałacu zapanowało wielkie poruszenie. Zdejmowano ze ścian i trzepano gobeliny, polerowano kasetony z rzeźbionymi różami - różami Tudorów. Nad kominkami i nad futrynami drzwi zawieszano girlandy z kwiatów, zamiatano sienie, komnaty i korytarze z ceglanymi sklepieniami. Na zalaną winem, upačkaną jedzeniem i obsikaną przez psy podłogę w sali biesiadnej rzucono warstwę świeżych mat. Przyjazd królowej Anny poprzedziło przybycie kontyngentu dam dworu z Kliwii, jej rodzinnego księstwa.

Dla każdego, kto obserwował zachowanie króla, było jasne, że monarcha nie cieszy się z przyjazdu żony. Częściej niż zwykle wybuchał gniewem na swych ministrów, zwłaszcza na Thomasa Cromwella, który, ku zdumieniu całego dworu, został niedawno podniesiony do godności hrabiego Essex.

Król wyraźnie zasmakował w fizycznym maltretowaniu swego najnowszego hrabiego, biciu go i kopaniu niczym kundla. Świadkowie opowiadali z zażenowaniem o tym, jak król wygrzmocił pięścią Cromwella po plecach i po głowie, a ten nic, tylko zgarbił się i podreptał do swych komnat.

—Dlaczego król uczynił Cromwella hrabią, skoro tak go nienawidzi? - spytała Deanie.

Przyszli jak zwykle na swój ulubiony dziedziniec Cloister Green, omijany przez innych dworzan pewnie dlatego, że okna komnat królewskich wychodziły na tę stronę. Kit i Deanie za cenę samotności zgadzali się nawet być podglądani przez króla.

Gdy Deanie usiadła na trawie, suknia z ciemnoniebieskiego aksamitu z głębokim, kwadratowym dekoltem, obszytym haftem w malutkie czarno-czerwone kwiatki, rozłożyła się za nią na trawie jak wachlarz. Deanie zaczęła się kręcić, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję, ale ta walka z góry skazana była na niepowodzenie, bo mocno zasnuwany gorset uwierał ją z obu stron. Zrezygnowana podrapała się pod obszytym perłami czepcem.

Długość czarnych, lśniących włosów Deanie, w dzień ukrytych pod czepcem, intrygowała zarówno pannę Cecily Garrison, jak i Mary Douglass. Obie kobiety doszły w końcu do wniosku, że Deanie była w klasztorze, bowiem tylko zakonnice nosiły krótkie włosy. Większość dobrze urodzonych niewiast nie ścinała włosów, które po rozczesaniu sięgały im dobrze poniżej pasa.

I tym razem Kit przyszedł Deanie na ratunek. Przy stole wspomniał niby od niechcienia, że Deanie o mało nie umarła z rozpacz, kiedy z powodu choroby straciła wszystkie włosy. Położył w ten sposób kres plotkom o klasztorze, a panie, jak również niektórzy panowie, poczuli wielką sympatię do ślicznej Walijki. Od tej chwili włosy do ramion, zamiast cudaka, czyniły z niej obiekt współczucia. A Kit i Deanie bawili się trochę makabrycznym kalamburem, który brzmiał: hrabianka Deanie włosy z głowy rwała, ponieważ łysiała.

Kit żuł źdźbło trawy, obserwując bezowocne zmagania Deanie z odzieżą, nerwowe pociąganie sznurówek stanika, wsuwanie palca za dekolt. Uśmiechnął się.

—Co cię tak śmiesz? — spytała zdyszana Deanie.

Po wyrazie jego twarzy, rysach zaostrzonych przez uśmiech, poznała, że nie bardzo się przejmował jej cierpieniem. Ale nawet nie mogła udawać obrażonej. Jej też niekiedy trudno było go

LABIRYNT

zrozumieć. Myślała wtedy o słońcu igrającym na jego włosach albo o dołkach w jego szczupłych, poważnych policzkach. Dziś Kit miał na sobie dublet z ciemnoszarego aksamitu, o prostym kroju i wąskim kołnierzu. Przez rozcięcia w rękawach widać było białą koszulę związaną w nadgarstkach i przy szyi. Stroju dopełniały pończochy opięte na muskularnych nogach. I nieodłączny miecz w czarnej emaliowanej pochwie.

Oparty na łokciu wyjął z ust spłaszczone od gryzienia źdźbło trawy, które przypomniało Deanie o papierosach. Przełknęła z wysiłkiem ślinę. Już od tygodnia walczyła z głodem nikotynowym.

- O co pytałaś?

- Ja o coś pytałam?

Kiwnął głową i z roztargnieniem strzepnął kurz z rąbka jej sukni. Rzadko się dotykali, jeśli pominąć to, że Kit dworskim zwyczajem podawał jej ramię, a ona w czasie rozmowy od czasu do czasu dotykała jego ręki. Raz zapomniał się i pocałował ją w czoło. Będąc obok siebie czuli jednak dziwne napięcie, mieli wyraźną świadomość obecności drugiego, która narastała i nasilała się z każdym dniem. Deanie nie musiała widzieć, że Kit wszedł do komnaty, ona to czuła. A kiedy ona wraz z innymi damami opuszczała salę biesiadną, Kit odczuwał jej nieobecność, jeszcze zanim zauważył, że wyszła.

Deanie zamknęła oczy i marszcząc brwi usiłowała przypomnieć sobie swe pytanie. Trudno było jej się skupić, kiedy miała tak blisko jego twarz. Twarz, która wydawała jej się coraz bardziej znajoma i coraz bardziej fascynująca. Mogła na nią patrzeć bez końca.

Zamknęła oczy, nie widziała więc miny, z jaką się jej przyglądał. A on uczył się na pamięć szczegółów jej twarzy — drobnutkich piegów na nosie, niebieskich żyłek na powiekach... Właśnie przypomniało mu się, jak otwierała szeroko ze zdumienia swe brązowe, błyszczące oczy, gdy zapoznawał ją z kolejnym dworskim obyczajem.

W tym świecie Deanie była zupełnie bezbronna. Budziła w nim ogromną tkliwość, co zdarzyło mu się pierwszy raz, odkąd zjawił się na dworze króla Henryka przed dziesięcioma laty. Przedtem nie

wzruszał się nikim, nie czuł do nikogo przywiązania. Owszem, służył królowi i opiekował się rodzinami zamieszkującymi jego włości, włości księcia Hamiltona, ale nikt go za to nie nagradzał promiennym uśmiechem.

Teraz była Deanie.

Śliczna ciemnowłosa dziewczyna. Urzekająca dziewczyna. Delikatna, a równocześnie silna, zdeterminowana, a zarazem niepewna.

Może ufała mu po prostu dlatego, że tylko on wiedział o jej przeszłości, o magicznej podróży, która zawiodła ją do Anglii, do 1540 roku... do niego.

Nie miałyby to wielkiego znaczenia, gdyby nie potrafił uchronić jej od fizycznego niebezpieczeństwa, od bardzo rzeczywistych zagrożeń na dworze — zawistnych i chciwych władzy dworzan, którzy bez mrugnięcia okiem niszczyli życie innych, żeby samemu żyć w bezsensownym zbytku.

Siedziała teraz przed nim z zamkniętymi oczyma, równie nieświadoma czyhających na nią niebezpieczeństw, co jego tkliwego spojrzenia. Kit uświadomił sobie nagle, że ją kocha. Aż go zatkało, kiedy wypowiedział te słowa w myślach.

Kocham ją.

Ale zanim zdążył przemyśleć to odkrycie, zrozumieć nagle pulsowanie krwi w żyłach, Deanie otworzyła oczy i uśmiechnęła się triumfalnie.

- Przypomniałam sobie! Pytałam, czemu król uczynił Cromwella hrabią, skoro wyraźnie go nie znosi.

Kit zamrugał oczyma, jak gdyby się przestraszył, po czym upadł na plecy. Zamknął oczy, żeby nie patrzeć na słońce. I na Deanie.

Oddychał jak ktoś, kto właśnie przybiegł z daleka. Deanie patrzyła, jak jego szeroka pierś unosi się i opada, a na twarzy maluje się nie znany jej u niego wyraz zakłopotania. Kit, który do tej pory wiedział wszystko, o co tylko go spytała, nagle upodobnił się do małego chłopca zgubionego w domu towarowym.

Wziął bardzo długi i głęboki oddech, po czym jego twarz przybrała znowu opanowany, skupiony wyraz.

- Chodzi chyba o to, by jego upadek, do którego na pewno

LABIRYNT

dojdzie, zapamiętaj moje słowa - rzekł unosząc brwi — a więc by jego upadek był bardziej spektakularny i bolesny, bo z wyższej pozycji.

- Chcesz powiedzieć — rzekła cicho - że wsadził go tak wysoko tylko po to, żeby go stamtąd strącić?

Kit kiwnął głową i Deanie gwizdnęła przez zęby.

Uśmiechnął się mimo woli z powodu reakcji, którą wywołały jego słowa. I zadał sobie w myśli pytanie, czy jemu nie grozi upadek, jak zapędzonemu w kozi róg nieszczęsnemu Cromwellowi.

Wszyscy dworzanie stawili się w sali biesiadnej. Również w całej części gospodarczej Hampton Court, w ogromnej kuchni i jej przybudówkach - w spiżarni, suszarni ryb, magazynie przypraw korzennych, magazynie ciast, mleczarni — panował wzorowy porządek. Zastępy służby stały nieruchomo i niemo w równych rzędach niczym garnki lub łyżki, czekając na inspekcję królowej. Nie było powiedziane, że jej wybijane klejnotami pantofle na pewno wyjdą poza salę biesiadną, ale na wszelki wypadek czekali, wyszorowani od stóp do głów.

Król kroczył w przewidzianej protokołem odległości od królowej. Jego twarz nie zdradzała wstrętu do żony, bo Henryk zawsze wykonywał swe królewskie obowiązki z elegancją i godnością. Ilekroć jednak musiał spojrzeć na żonę (co starał się ograniczyć do minimum), zaciskał kurczowo wargi, jak gdyby dokonywał nieudźkiewego wysiłku, żeby nie zwymiotować.

Deanie stała zgięta w niskim ukłonie, który ćwiczyła rano z inną nową damą dworu, wesołą, pulchną nastolatką o nazwisku Katarzyna Howard, Deanie zatkało, kiedy dowiedziała się, że Katarzyna, która przywodziła jej na myśl największą śmieszkę w szkole, była siostrzenicą Thomasa Howarda. Tego antypatycznego typu, który pojawił się w labiryncie w poszukiwaniu Kita, Trudno było uwierzyć, że ta rozkoszna Katarzyna może być spokrewniona z Norfolkkiem. (Norfolk mijając Deanie na korytarzu patrzył na nią spođe łba i sapał z irytacji.)

Oczy miała opuszczone, tak jak uczył ją Kit. Wiedziała, że nie wolno jej unieść głowy, póki królowa do niej nie przemówi. Ale królowa była jeszcze daleko, ponieważ przystawała przy każdym dworzaninie. Po południu pogoda niespodziewanie się poprawiła i w sali biesiadnej, której okna były szczelnie zamknięte w obawie przed morowym powietrzem, zrobiło się gorąco i duszno. Sytuację pogarszał ciężki strój. Deanie chciała odetchnąć głębiej, ale uniemożliwiał to ściskający żebra gorset.

Zaraz zemdleję, pomyślała przerażona. Kit stał tuż za nią w grupie parów, do których należał. Kiedy zobaczył, że Deanie się chwieje, cicho i precyzyjnie, tak żeby nie poruszyć miecza przy boku ani nie dotknąć łokciem bladego księcia stojącego najwyżej trzydziści centymetrów od niego, sięgnął do przodu i złapał ją silnie w pasie.

Deanie nie zareagowała najmniejszym zdziwieniem na tę pomoc. Zupełnie jak gdyby jej się spodziewała. Kit czekał, aż Deanie odzyska równowagę. Bał się, że jeśli puści ją za wcześnie, dziewczyna runie na podłogę.

Wiedział, że Deanie ufa mu całkowicie.

Był to najdłuższy trwający kontakt fizyczny, do jakiego między nimi doszło, a ściślej, na jaki Kit sobie pozwolił. Teraz królowa przyśpieszyła, kiwała głową do swych dam, posyłała łaskawe uśmiechy poddanym.

Deanie puściła rąbek obszernej spódnicy i pogłaskała twardą silną rękę Kita, a następnie lekko ją uściśniła. Zrozumiał ten sygnał. Zwolnił uchwyt i wziął Deanie za rękę. Miała delikatną, drobną dłoń; taką dłoń chciałoby się pieścić bez końca.

Deanie zarumieniła się i łzy napłynęły jej do oczu. Wtedy (za późno!) poczuła na sobie wzrok królowej.

Wracając do rzeczywistości, nerwowo usiłowała przypomnieć sobie, co ma robić. Do jasnej anielki! Przecież rano to ćwiczyły - Deanie, Mary, Cecily i Katarzyna.

Przypomniała sobie. Powinna dygnać. Ze zdenerwowania zapomniała jednak, że chwilę wcześniej puściła rąbek sukni. Efekt tego był taki, że zahaczyła czubkiem pantofla o brzeg spódnicy i runęła jak długa na podłogę.

LABIRYNT

Po sali rozeszły się stłumione szepty, po czym zapanowała głucha cisza. Jakaś dama dworu pisnęła nerwowo. Ktoś — pewnie Thomas Howard - parsknął pogardliwie.

Kit zrobił krok do przodu, żeby pomóc jej wstać, i postawił stopę na skłębionym trenie sukni. Mrucząc słowa przeprosin pod adresem króla i królowej, jednocześnie unosił Deanie z podłogi, ale wówczas tren, na którym niechcący stanął, podniósł się wraz z jego właścicielką. Zanim Kit spostrzegł, co się dzieje, oboje wylądowali na podłodze, czemu towarzyszył brzęk jego miecza.

Deanie spróbowała wstać, opierając się na ramieniu Kita. Ale skoro Kit leżał na jej sukni, było to niemożliwe.

Nagle usłyszeli homeryczny śmiech. To król Henryk, wielce rozbawiony tą sceną, odchylił głowę do tyłu, klasnął w dłonie i zaniósł się gwałtownym, głośnym, niepowstrzymanym śmiechem.

- Na Jowisza! — krzyknął. - Takiego przedstawienia dawno nie widziałem! Z całego serca dziękujemy hrabiance Deanie i księciu Hamiltonowi.

Parowie odetchnęli z ulgą i zaczęli się do siebie uśmiechać porozumiewawczo, a król dostał istnego ataku wesołości. Śmiał się tak, że po jego ogromnej twarzy spływały łzy i cały się trząsł.

Wreszcie Deanie i Kit jakoś się podnieśli i uklonili się królowej.

Była zupełnie inna, niż Deanie oczekiwała. Anna Kliwijska — w dziwnym nakryciu głowy i w sukni zapiętej pod samą szyję, gęsto przetykanej złotą nitką, przepasanej tuż pod okazałym biustem - okazała się miłą osobą o spokojnym, łagodnym spojrzeniu. Prawda, że urodą nie grzeszyła. Miała bowiem duży krzywy nos, ślady po ospie na brodzie, obwisłe powieki i wyskubane brwi.

Zachichotała zaraźliwym dziewczęcym śmiechem i wzięła Deanie za rękę.

- Hrabianko Deanie - rzekła z twardym akcentem - dziękujemy wam za rozbawienie naszego umiłowanego męża.

Kit pośpieszył z wyjaśnieniem, że jego krewniaczka dopiero od niedawna przebywa na dworze i jeszcze nie nabrała dworskich manier. Przeprosił królową i pocałował ją w rękę, czym sprawił, że Anna Kliwijska, wzorem innych niewiast, oblała się rumieńcem.

Król wciąż się śmiał. Królowa, zanim poszła dalej, zdążyła szepnąć do ucha Deanie:

- Ja myślę, że jako nowe osoby na tym dworze, my będziemy przyjaciółki. - Po czym wróciła do spełniania swych królewskich powinności.

Deanie, wciąż przejęta tym, co się stało, uśmiechnęła się. Podobała jej się królowa, bez względu na to, co król, a nawet Kit o niej sądzili.

Jednocześnie inna myśl przebiegła jej przez głowę. Mianowicie że Anna Kliwijska rzeczywiście cuchnie. I to bardziej niż ktokolwiek inny na tym śmierdzącym dworze.

W sali biesiadnej brakowało jednego z królewskich ministrów. Jego nieobecność rzuciła się w oczy i o to widać chodziło królowi. Król się tą nieobecnością wprost delectował.

Thomas Cromwell spacerował po swej komnacie, nie zwracając uwagi na to, że włochaty, obsyty futrem kołnierz łaskocze go w policzek. Tam, na dole, królowa witała się z dworzanami, Cromwell, jako nowo utytułowany hrabia Essex, powinien tam być, stać obok Norfolka, Suffolka i Hamiltona. Tymczasem król kazał mu pracować nad unieważnieniem małżeństwa i to w czasie, gdy królowa, nieświadoma, co ją czeka, grała rolę dystygnowanej małżonki.

Nie chodziło o to, że z powodu kaprysów króla zabiegł dyplomatyczne Anglii spełzną na niczym i że pewnego dnia król i jego Tajna Rada zaczną szukać kozła ofiarnego.

Rzecz w tym, że Cromwell nie dostał honoru przywitania niewiasty, którą uczynił królową.

W komnacie rozległ się trzask łamanego na pół gęsiego pióra. Cromwell zrozumiał bowiem, co oznaczało takie zachowanie króla. Poczuł, co się święci. Mało to razy widział, jak ogromny entuzjazm króla do jakiejś osoby z dnia na dzień zmieniał się w śmiertelną, ślepą nienawiść?

Tak było w przypadku Anny Boleyn, innej niewiasty, która za

LABIRYNT

sprawą Cromwella została królową. Henryk świata poza nią nie widział i nagle, bodaj w ciągu kilku godzin, nabrał do niej nieprzewyciężonej odrazy. Cromwell dobrze pamiętał, jak król mu się zwierzył, że Anna Boleyn go rozczarowała i sam jej widok stał mu się wstrętny.

Anna Boleyn skończyła tak, jak to pióro w rękach Cromwella - miecz kata odciął głowę od jej szczupłego ciała. Dworzanie wystawiali łaskawość króla, który sprowadził z Francji drogiego, biegłego w swym rzemiośle kata po to, by uczynić śmierć szybszą i prawdopodobnie mniej bolesną od tej, jaką zadałby jej angielski kat tępym, grubym toporem. Wszyscy jakoś zapomnieli, że król wcześniej otrzymał rozwód z Anną Boleyn i mógł bez przeszkód znowu się ożenić. Poniosła śmierć bez powodu.

Podobnie jak inni dobrzy ludzie. Zbyt wielu, żeby ich wszystkich zliczyć: Thomas Morus, biskup Fisher i lord Rochford. Król traktował ludzi jak rozpieszczone dziecko zabawki, gdy się kimś znudził, niszczył ją czy jego, choćby najwierniej mu służyli.

Cromwell wiedział, jak to przebiega. Pomagał królowi pozbywać się niewygodnych mu ludzi, przeprowadzał proces, w którym dowodził zdrady, zabierał ziemię i dobra doczesne, wysyłał do Tower. Niedawnych faworytów.

Niebawem i jego to czeka.

To nie jego wina, że doniesienia o tej księżniczce z Kliwii były kłamliwe. Ministrowie zapewniali go, że Anna Kliwijska jest urodziwa, mądra i pod każdym względem nadaje się na małżonkę wspaniałego króla Anglii. Największym oszustem okazał się ten niemiecki malarz Holbein, który namalował przepiękny portret siostry księcia Kliwii i obudził nim apetyt króla.

Ale kiedy Cromwell tylko napomknął, że winien jest Holbein, król wybuchł gniewem.

— Holbein jest artystą! — krzyczał. — Ja rozumiem sztukę. On tu nie ponosi żadnej winy, Cromwell. — I popatrzył na niego tak, jakby mówił: „Co ty, syn kowala, możesz wiedzieć o sztuce i pięknie?”

Doprowadził do tego małżeństwa i teraz król go za to ukarze.

Cromwell w wyobraźni widział odbywające się na dole przyjęcie,

zgięte we wdzięcznych ukłonach damy, schylających kornie głowy parów. Wymieniają pytające spojrzenia zdziwieni nieobecnością Thomasa Cromwella, hrabiego Essex. To początek jego upadku.

Kto zajmie jego miejsce? Thomas Howard zrobi wszystko, aby przypodobać się królowi. Jak tylko zauważył, że król znudził się nieszczęsną Anną Boleyn, która była jego, Norfolkka, siostrzenicą, natychmiast się jej wyparł, pierwszy zaczął na nią donosić. Tak długo lizał buty królowi, aż wrócił do łask, poparty przez katolików, którzy nie znosili Cromwella za rozwiązanie klasztorów.

Krół chętnie przyjął bogactwa z rozwiązanych klasztorów. Jego rozrzutność poważnie nadszarpnęła zasoby królewskie, które trzeba było jakoś uzupełnić. Złote monety trafiły do kufrów króla. Ale król już tego nie pamiętał. Katolicy mieli za złe Cromwellowi małżeństwo króla z Anną Kliwijską, wyznawczynią tego heretyka Lutra. To, że od chwili przybycia na dwór zachowywała się jak wzorowa katoliczka, w ogóle się nie liczyło.

Tak, cała wina spadnie na niego, zrobią mu proces i skazą.

Chcąc wkraść się w łaski króla Norfolk podsuwał teraz królowi inną siostrzenicę. Swoją drogą, ile on ich miał? Katarzyna Howard liczyła zaledwie piętnaście wiosen i była dość gładka, choć nieco za pulchna i flejtuchowata. Ale Norfolk wiedział, co robi. Ten, kto dostarczy królowi antidotum na tę babę z Kliwii, będzie rządził państwem, mając nad sobą tylko króla.

Pięć Cromwella opadła na stos pergaminów. Przygotowywał dokumenty, umożliwiające anulowanie małżeństwa Henryka z Anną Kliwijską. Kiedy przeprowadzi tę operację, przestanie być królowi potrzebny.

Chyba żeby...

Przypomniawszy sobie scenę w komnatach królewskich kilka dni wcześniej i wyraz twarzy Henryka, gdy patrzył na krewniaczkę Hamiltona. Ta lubieżność. A dziewczyna rzeczywiście była wyjątkowa. Królowi podobały się niewiasty z charakterem, z przebłyskami inteligencji, niewiasty, które potrafiły go rozbawić. Wprawdzie mówił, że kocha w kobietach ich cnoty, ale tak naprawdę kochał ich wesołość i żywiołowość.

LABIRYNT

W sercu Cromwella zakwitła nadzieja.

Tak, trzeba się zająć tą kuzynką Hamiltona. Poda ją królowi jak cenny kamień na czarnym aksamicie. Unia z Kliwią może mu jeszcze wyjść na dobre, bowiem król, chcąc się pozbyć goryczy w ustach po Annie, tym większą ochotę będzie miał na ten smaczny kąsek.

Jak ona się nazywa? Aha, Deanie Bailey. Imię dość plebejskie, ale jak znacznie dzielić łożę z królem, jej imię nabierze królewskiego brzmienia.

Szykowała się ciekawa gra. Cromwell uwielbiał to i wiedział, że im wyższa stawka, tym większy triumf. Hrabianka Deanie będzie jego pionkiem, a Katarzyna Howard pionkiem Norfolka. Kto z nich złapie króla, ten wygra.

Była tylko jedna drobna przeszkoda - Christopher Neville. Księżę Hamilton wydaje się bardzo lubić hrabiankę Bailey. Za bardzo jak na krewniaczkę. O ile faktycznie jest jego krewniaczką. Król darzy Hamiltona wielkim przywiązaniem, co może rzecz nieco komplikować.

Cromwell uśmiechnął się chytrze. Ech, znajdzie się jakiś sposób, żeby usunąć Hamiltona. Nieważne jaki, najważniejsza jest ta panna. Hamilton jest bystry, mądrzejszy od większości dworzan. Aby wygrać tę grę, trzeba będzie posłużyć się kimś mądrzejszym od niego. Cromwell poczuł się w swoim żywiole. Kochał gry, uwielbiał ryzyko. Ten, kto przegra, zapłaci życiem.

Thomas Cromwell, hrabia Essex, poruszał się znowu po znajomym gruncie.

Deanie odwracała głowę i ziewała zasłaniając dyskretnie usta dłonią. Nawet czarny niedźwiedź, który początkowo wydawał jej się dość zabawny, gdy żonglował stojąc na jednej nodze, teraz okropnie ją nudził. Trefniś, ubrany w idiotycznie połatane pończochy i czerwoną czapkę z dzwoneczkami, nie wiedząc, co jeszcze zrobić, żeby rozerwać publiczność, wykonał salto do tyłu, ale źle wyliczył odległość i wpadł na lady Conyghan, która wrzasnęła z przerażenia.

Był w tym niezamierzony humor i Deanie uśmiechnęłaby się, gdyby nie czuła się tak otepiła.

Uwagi Kita oczywiście nie uszło jej skrywane ziewanie, mimo że pozornie zajęty był rozmową o technice walki w turniejach rycerskich z Charlesem Brandonem, księciem Suffolk. Biedny Suffolk, myślał Kit, przyglądając się jego niegdyś przystojnej twarzy, obecnie zaś świadczącej o niezdrowym trybie życia. Nagle uświadomił sobie, że zniecierpliwiony bębni palcami w stół. Przerwał, nie chcąc urazić Suffolka, skądinąd przyzwoitego człowieka. Ale nie uspokoił się. Stół ugiął się pod mnóstwem potraw piętrzących się na srebrnych i złotych półmiskach, pucharami wina, oprawionymi w skórę kufłami ciemnego piwa.

Nic nie wskazywało na to, że uczta, która rozpoczęła się późnym popołudniem, kiedykolwiek się skończy. Po sali odbiło się echem osiem melancholijnych uderzeń zegara pałacowego.

Wszyscy doskonale wiedzieli, dlaczego król nie kwapi się do zakończenia bankietu. Musiałby zostać sam na sam z królową, wesoło gwarzącą u jego boku na przemian po niemiecku i - mniej pewnie - po angielsku, nieświadomą prawdziwych uczuć małżonka. Jeśli szczęście będzie jej sprzyjać, skończy się na unieważnieniu małżeństwa i wstydzie. W przeciwnym wypadku... lepiej nie myśleć. Nikt z obecnych jej tego nie życzył. Sprawiała wrażenie dość miłej niewiasty, w jej brązowych oczach nie było złośliwości. Nie miała chyba też ambicji, żeby rządzić.

Kit był świadom każdego ruchu Deanie, każdego gestu, kiedy wyciągała rękę po jedzenie, i tego, co mówiła do Cecyli lub Katarzyny Howard.

Zauważywszy, że Kit nie słucha jego nudnej opowieści o jakimś nieciekawym turnieju rycerskim sprzed piętnastu lat, Charles Brandon uderzył pięścią w stół. Biedny Suffolk. Kiedy sobie popił, tak jak dziś, stawał się okropnym gburem. Nawet ci, którzy wisieli u klamki królewskiej i bardzo zabiegali o kontakty z dworzanami wyższej rangi, nie mogli znieść jego zachowania; zanudzał wszystkich drobiazgowymi relacjami z poszczególnych turniejów. Wałił pięściami w stół, z lubością rozchlapując krwiste wino. Nie odwracając głowy, Kit wiedział, że wymaginowany przeciwnik Suffolka został w tej

LABIRYNT

chwili pokonany, dzięki któremuś z tych jego niby wspaniałych manewrów.

W młodości Suffolk miał więcej uroku - a tym samym więcej do powiedzenia na dworze - niż którykolwiek z dworzan. Król przebaczył mu nawet porwanie swej owdowiałej siostry, księżniczki Marii Tudor. Teraz, podobnie jak jego monarcha, Suffolk walczył w turniejach tylko we wspomnieniach, gładkie dziewice uwodził tylko w niespokojnych snach.

Kit westchnął cicho i poprawił się na ławce. Deanie nachyliła się do niego i spytała szeptem:

- Czy on nie opowiadał już tego w poniedziałek? To ta historia, jak pokonał jedną ręką francuskiego rycerza z lwem na tarczy.

Suffolk znowu grzmotnął w stół, a w kąciku jego warg pokazała się ślina.

- Słuchajże mnie, Hamilton! - zażądał. - A więc pan Jean de Coeur Lyon galopuje na swym wspaniałym rumaku. Ale ja, Charles Brandon, książę Suffolk, jestem przygotowany...

- Boże, miej nas w swej opiece — mruknął Kit. — Dziś usłyszymy dłuższą wersję.

- Co tam mówisz? - warknął Suffolk.

Deanie instynktownie położyła dłoń na udzie Kita.

- Kuzyn chciał, żebym podała mu pieczone - mruknęła.
- Opowiadasz tak zajmująco, milordzie, że nie usłyszałam jego prośby za pierwszym razem. Proszę, to jest, chciałam powiedzieć, upraszam, żebyś kontynuował.

Kit objął jej dłoń i skinął głową, nie otwierając ust w obawie, że wybuchnie śmiechem. Deanie uniosła brwi i z kamienną twarzą zachęciła Suffolka do podjęcia opowieści, co też uczynił z wielkim zapałem.

- Jak mówiłem... - zagrzmiał.

Przed Kitem i Deanie postawiono półmisek z nogą jakiegoś zwierzęcia. Łącznie z kopytem. Deanie zaskoczona przywarła do Kita i zeszywniała. Nie parsknęła śmiechem tylko dlatego, że poczuła ciepło ciała Kita. Powoli odwróciła ku niemu głowę, głos Suffolka zamienił się w monotonne buczenie w tle.

Przekręcając rękę dłonią do góry, odniosła wrażenie, że cała sala biesiadna gdzieś się rozplynęła. Przez jej ramię przebiegł dreszcz, uczucie delikatnego mrowienia. Po nagłym znieruchomieniu Kita poznała, że on to też czuł. Kit przez chwilę patrzył przed siebie, po czym odwrócił głowę ku Deanie.

Był tak blisko, że czuła jego zapach, cudowną woń skóry i trawy zmieszanej z jedynym w swoim rodzaju, nie do pomylenia z niczym innym, zapachem ciała mężczyzny. Patrzyła na niego z napięciem, starając się dobrze zapamiętać każdy szczegół - niesforny lok, który opadał mu na czoło, dołek w brodzie, cień zarostu, ostre rysy. Przede wszystkim zaś oczy — zieleń i brąz, błyszczące w mrugającym świetle świec i pochodni.

Kiedy zobaczyła jego minę, przestała oddychać. Intensywność, z jaką na nią patrzył, była przerażająca. Deanie wycofałaby się, gdyby nie to, że czuła to samo. Wtedy uświadomiła sobie, że zupełnie zapomniała o oddychaniu, otworzyła więc usta, z których wydobyła się głośna czkawka.

Na tyle głośna, że Suffolk przerwał opowiadanie,

— Co to znowu, psiawiara?

Kąciki warg Kita uniosły się nieznacznie. Kiedy Deanie czknęła drugi raz, Katarzyna Howard zachichotała, Cecily podała Deanie puchar grzanego wina.

- Dobrze ci robi trochę świeżego powietrza - stwierdził z naciskiem Kit, a Deanie skwapliwie przytaknęła i wygramoliła się z ławy. Odprowadzani spojrzzeniami poszli powoli w stronę drzwi. Deanie, która zazwyczaj przystawała, żeby podziwiać wełniano-jedwabny gobelin „Romans Róży”, tym razem minęła go obojętnie.

Oboje nie zdawali sobie sprawy z zainteresowania, jakie budzili. Thomas Howard udawał tylko, że słucha, co do niego mówi włoski dyplomata, a tak naprawdę śledził w skupieniu każdy ich ruch i zagryzał wargi. Powoli dotknął klejnotu na pelerynie, jak gdyby sprawdzał, czy przypadkiem go nie zgubił.

Król, sięgając po migdał w miodzie, uśmiechnął się do siebie. Oto hrabianka Deanie, wyprostowana jak świeca, pełna gracji,

LABIRYNT

ładniejsza od świeżej róży, wychodziła z sali z Hamiltonem. Guziczkowate oczy króla zaświeciły chytrze. Wkrótce hrabianka Deanie będzie wychodziła z tej sali z dłonią na jego ramieniu. Wkrótce hrabianka Deanie będzie jego.

Kiedy wyszli na dziedziniec oświetlony pochodniami, chłodne powietrze mile owiało ich twarze. Muzyka minstrelki przycichła, śmiechy i walenie w stoły dochodziły jak z bardzo daleka, zniekształcone i stłumione.

Kit zwrócił twarz ku Deanie. Przez dłuższą chwilę po prostu patrzyli na siebie, zapominając o czkawce. Uniósł rękę do jej twarzy i z wyjątkową czułością musnął wierzchem dłoni jej jedwabisty policzek.

— Jak ja tego pragnąłem - powiedział ochryple.

Twarz Kita ginęła w cieniu. Deanie uniosła rękę, żeby dotknąć jego włosów. Były sztywne i grube, tak jak sobie wyobrażała. Końce kręciły się w jej palcach, sprężynując pod naciskiem jej kciuka. Teraz jej dłoń odszukała twarz Kita. Deanie powiodła drżącym palcem po jego szczupłym policzku, kąciku warg. A potem zrobiła coś, o czym marzyła od chwili, w której go zobaczyła - dotknęła palcem jego pełnej dolnej wargi.

W tej samej chwili objął ją namiętnie, a ona zapominając o swym niewygodnym czepcu wtuliła się w niego. Zamknęła oczy, jak gdyby chciała skupić się wyłącznie na uczuciu jego bliskości. Pod aksamitnym dubletem silnie biło jego serce.

Tu jest moje miejsce, pomyślała. Wszystkie te dziwne wydarzenia, które sprawiły, że się poznali, nagle zaczęły mieć sens. Ten jeden uścisk sprawił, że wszystko stało się dla niej jasne; w tym momencie poza Kitem nic się dla niej nie liczyło. Poczwała, że miękną jej kolana, uniosła więc ręce i objęła go za szyję, a on przytulił ją jeszcze mocniej. Deanie poczuła jego twarde i pewne mięśnie.

—Tu jest twoje miejsce - powiedział niskim głosem.

Czy czytał w jej myślach?

—Kit - wyszeptwała.

Uniosła ku niemu twarz. Jego oczy błyszczwały w ciemności. Gdy

wargi Kita opadły na jej wargi, głodne i proszące, Deanie zdrząła na całym ciele.

Wargi miał dokładnie takie, jak sobie wyobrażała - twarde, a zarazem przyjemne, wymagające, a zarazem poddające się. Świat zawirował, Deanie zakręciło się w głowie, ale w ramionach Kita czuła się bezpiecznie. Dysząc, cofnęła się.

— Co my robimy, Kit? - spytała, z trudem łapiąc powietrze.

Spojrzał na nią zamglonymi oczyma i znowu przyciągnął do siebie

— Nie wiem — szepnął. — Dobry Boże, nie wiem.

Ale oboje dobrze wiedzieli.

Ogarnęło ich czyste szaleństwo — ale tak właśnie musiało być. Deanie nie mogła dłużej ustać, a on nie miał już siły jej podtrzymać. Zupełnie jak gdyby w jednej chwili stracił siły i rozum. Gdy kolana odmówiły Deanie posłuszeństwa, Kit opuścił ją delikatnie na ziemię i w jakiś sposób ich wargi znowu się odnalazły - najpierw dotykały się lekko, delikatnie, potem dziko, namiętnie, ciała zaś przywarły do siebie, jak gdyby usiłowały się wtopić jedno w drugie.

Jego dłoń pieściła jej nogę przez aksamit, a potem zaczęła schodzić niżej i niżej, aż doszła do brzegu sukni. Deanie poczuła na udzie klucie trawy i powiew chłodnego wieczornego powietrza. A potem poczuła jego dłoń - dłoń, którą już tak dobrze знаła.

Wygięła się do góry, wtulając się w niego jeszcze bardziej.

— Deanie... - jęknął.

— Tak, proszę cię, Kit — szepnęła.

Na krótką chwilę zawahał się, a ona przywarła do niego szaleńczo. Czepiec zjechał jej gdzieś pod plecy.

— Kit.

Na dźwięk swego imienia Kit stracił panowanie nad sobą. Deanie pragnęła być jak najbliżej niego, czuć całym ciałem jego silne ciało. W ramionach Kita zapomniiała o bożym świecie.

— Wasza książęca mość! — rozległo się wołanie jednego z giermków króla.

Znieruchomieli. W ciszy, jaka teraz zapanowała, słysząc tylko było ich urywane oddechy.

LABIRYNT

- Prędko - szepnął chrapliwie Kit i poderwał się na równe nogi. Trochę się chwiał, ręce mu drżały, kiedy wygładzał jej suknię. Deanie była tak oszołomiona, że pozwoliła, by Kit włożył jej czepiec na głowę, utknął pod spód niesforne pasma włosów.

- Deanie... -Jego głos zdawał się dochodzić z daleka.

Zanim zdążył coś dodać, usłyszeli zbliżanie się czyichś kroków.

- Wasza książęca mość! — powtórzył giermek, wynurzając się zza żywoplotu. - Tu jesteście, panie! I hrabianka Bailey! Najjaśniejszy pan domaga się waszej obecności na dworze. Jak najrychlej! Najjaśniejszy pan życzy sobie usłyszeć, jak grasz pani.

- Jak zwykle nie w porę - mruknęła drżącym głosem.

Kit odetchnął.

- Potem musimy porozmawiać. - Podał jej ramię.

- Kiedy? — spytała szeptem, bo giermek był tuż, tuż.

Kit nie odpowiedział, tylko skinął giermkowi.

- Powiedz królowi, że przyjdziemy, jak tylko hrabianka Bailey złapie oddech.

- Jak rozkażesz panie. - Skłoniwszy się, giermek opuścił dziedziniec.

- Potem porozmawiamy — rzekł Kit do Deanie. — Król czeka.

Zagłębeni w swych myślach ruszyli w stronę sali biesiadnej.

- Kit, właśnie uświadomiłam sobie, że nie wiem, gdzie mieszkasz - stwierdziła Deanie. - Chyba nie kręcisz się przez cały czas po dworze.

Kit uśmiechnął się.

- Czy uświadomiłaś, sobie z powodu tego, co stało się przed chwilą?

Deanie pokiwała głową.

- Powiedz, masz jakiś dom czy po prostu trzymasz się króla?

- Mam duże włości i dwór, Hamilton Mamor. Mały w porównaniu z pałacami króla, ale też niczego sobie. Mam liczną służbę, giermków.

- Czy mieszka w mm twoja siostra?

Przystanął i spojrzał zdziwiony.

- Dlaczego pytasz o moją siostrę?

- Powiedziałeś, że ci ją przypominam - odparła z zakłopotaniem. Zmarszczył czoło.
- Moja siostra nie żyje - powiedział, a po chwili dodał weselej:
- Chodźmy. Król czeka.
- Przepraszam - wyjąkała.
- Kit w milczeniu prowadził ją do sali biesiadnej.
- Raptem Deanie przystanęła.
- Boże, Kit - wyszeptwała. — Daj mi jeszcze sekundę. - Przelknęła i zamknęła oczy. - Przecież ja mam grać dla samego króla Anglii.

Na ich widok król klasnął w dłonie.

— A, hrabianka Deanie. Mój lutnista Van Wilder, nie może się nachwalić zdolności waszej do gitary. Posłuchajmy zatem.

Królowa przytaknęła z uśmiechem, z jednej strony zadowolona, że nie będzie już w centrum uwagi, z drugiej niepewna, do czego zmierza król.

Van Wilder w jaskrawym kaftanie i czerwonej satynowej pelerynie wręczył Deanie gitarę.

Musisz się skupić, nakazała sobie Deanie. To jest występ. Zapomnij o tym, co zdarzyło się na dziedzińcu.

Nie zgodziła się usiąść na krześle, lecz ku powszechnemu zdumieniu przewiesiła sobie gitarę przez lewe ramię na pasku, zrobionym naprędce z haftowanych płatów, które odpięła od nakrycia głowy. Widząc przerażoną minę Katarzyny Howard, puściła do niej oko.

Metrowy tren niebieskiej aksamitnej sukni zarzuciła fantazyjnie na prawe ramię. Wszystkie damy na dworze zatkało, ale Deanie udała, że nie zauważa ich wybałuszonych oczu.

- Witam wszystkich serdecznie — zaczęła formułką, którą zawsze wypowiadała na początku. - Och, witam wasze królewskie moście
- rzekła z dygnięciem, a para królewska odpowiedziała jej królewskimi skinieniami. - Mam nadzieję, że się dziś dobrze bawicie.
- (Rany, co ona wygaduje? Kto mógł się dobrze bawić, oglądając trupę mimów i niedźwiedzia-zapaśnika. Kit zrobił ruch, jak gdyby

LABIRYNT

zamierzał do niej podejść, ale Deanie posłała mu uspokajający uśmiech).

To była jedyna rzecz, z jaką potrafiła poradzić sobie sama. Pierwszy raz od wejścia do labiryntu nie potrzebowała pomocy Kita. Nie czekała, żeby ją wybawił z opresji.

Widzowie w większości byli pijani. To ci dopiero towarzystwo, pomyślała, nie przestając się uśmiechać. Przypomniała sobie, jak kiedyś występowała w zachodnim Teksasie. Scenę od widowni oddzielała siatka — dla ochrony występujących przed butelkami rzucanymi z widowni. Było tam tak nieprzyjemnie, że rozmawiając przez telefon, przywarła plecami do ściany i obserwowała gości, jak gdyby wszyscy byli groźnymi przestępcami.

Teraz wiele by dała, żeby być w zachodnim Teksasie, zamiast tutaj.

Przełknęła, odchrząknęła i wzięła kilka akordów na szczupłym gryfie tej dziwnej małej gitary. Po czym bez dalszych wstępów zaczęła śpiewać. Niepewna reakcji tej widowni zdecydowała się na stały repertuar wszystkich śpiewaczek country - mieszkankę przebojów Patsy Cline. Poczynając od *Rozpadam się na kawałki, Szalona, Spacerując po północy*, a kończąc na *Słodkich smach (o tobie)*.

Na początku czuła się onieśmielona, bo nie była pewna brzmienia swego głosu i gitary w tej przepastnej sali z belkowanym sufitem. Ale już po czterech akordach uświadomiła sobie, że sala ma cudowną zgoła akustykę, a jej głos — bogaty, dojrzały — robił wielkie wrażenie na publiczności, która słuchała z otwartymi ustami.

W miarę jak śpiewała, odzyskiwała pewność siebie i po chwili zaczęła spacerować, wchodzić w kontakt wzrokowy ze słuchaczami. Niektórzy śmiesznie wytrzeszczali oczy, inni skonfundowani zezowali.

Cholera, pomyślała, jestem dobra.

Słuchacze trwali w milczeniu. Dlaczego? Deanie gubiła się w domysłach. Może dlatego, że słyszeli te piosenki pierwszy raz. Koncertowi brakowało tej radości rozpoznania, która zwykle sprawiała, że po wysłuchaniu składanki nawet najbardziej wstawieni słuchacze zrywali się na swe niepewne nogi.

Mając dość tej upokarzającej ciszy Deanie zaczęła grać melodię, która za mniej więcej czterysta pięćdziesiąt lat będzie przebojem

numer jeden innego artysty. Była to jej własna kompozycja, ballada, zatytułowana *Siłabość silnego mężczyzny*. Ilekroć wyobrażała sobie własny koncert, myślała, że tę piosenkę zostawi na koniec. Ale tutaj trudno było przewidzieć, kiedy nastąpi koniec koncertu. Niedźwiedź i jego kolorowy treser już czekali na swe kolejne wejście.

Najbardziej denerwowała ją nieruchomość widzów. Deanie, rasowa artystka z małych klubów, uznała, że nie może tego tak zostawić. Sztuczka z nawiązywaniem kontaktu wzrokowego nie podziałała, trzeba więc było sięgnąć po inne środki. Spacerując od stołu do stołu, pochyliła się nad półmiskiem z ostrygami i bez uprzedzenia ściągnęła z głowy księciu Suffolkowi płaską, niską czapkę z rozciętym brzegiem. Po chwili zaskoczenia wybuchnął pijackim śmiechem, pochlebiony jej uwagą. Ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Deanie złapała inną czapkę, tym razem należącą do starszego mężczyzny w ciemnym stroju.

Mężczyzną tym był - o rany! - nowy biskup Winchester. Ale okazał się równym facetem i po chwili zaczął kiwać łysą głową do rytmu jej piosenki. Następny był Norfolk. Jego Deanie wołała, ominąć. Ominęła także kobiety wiedząc z własnego bolesnego doświadczenia, jak trudno upina się te sztywne kapturki.

Składała czapki na brzegu stołu i chodziła dalej, unosząc kopniakiem brzeg sukni, ilekroć zmieniła kierunek.

Była świadoma tego, że jej głos brzmi niezwykle w ich uszach. Tutejsze niewiasty, przysiadłszy na brzegu ciężkiego krzesła, brzdąkały, omdlewając na lutniach i śpiewały drżącym wysokim głosem w rodzaju Deanny Durbin. A jej głos był niski, głęboki i pewny.

Deanie zauważyła także, że głos jej się wygładził. Zapewne dzięki niepaleniu papierosów. Wysokie tony, przy których przedtem zmuszona była przechodzić na niższy rejestr, teraz brała łatwo, z marszu.

Zwykle wiedziała, co myśleć o publiczności. Ale ci byli inni. Mężczyźni, którym zabrała czapki, wydawali się rozbawieni, pozostali jednak siedzieli, jakby kije połknęli. W różnych momentach jej występu jakiś nieustraszony bębniasta na galerii dla grajków usiłował bohatercko jej akompaniować, ale zaraz kończył jakimś niepewnym bum-bum. Raz włączył się flecista, ale też prędko zrezygnował.

LABIRYNT

Piosenka dobiegła końca, struny gitary wibrowały ostatnim donośnym akordem. Po upływie dobrej chwili rozległo się czyjeś silne klaskanie. Z początku powolne, potem zaczęło nabierać prędkości i stawało się coraz bardziej natęczywe. Deanie zamrugała ze zdziwienia oczyma. Ciekawa, kim jest ten odważny słuchacz, odwróciła się w stronę źródła jedyne aplauzu.

Król Anglii.

6

Idąc za przykładem monarchy dworzanie zaczęli bić brawo. Niektórzy dawali wyraz swemu zachwytowi tupaniem, inni zaś uderzali cynowo-srebrnymi pucharami o grube blaty stołów, niczym zbuntowani więźniowie w Leavenworth. Olbrzymi ogar, który przez cały występ Deanie bezceremonialnie gryził zapchlona tylną łapę, wybiegł z sali, wyraźnie zdenerwowany hałasem.

Deanie nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Wykonała prędko ukłon, wymamrotała: „Byliście wspaniali” i zaczęła się wycofywać. Zwisająca z ramienia gitara przy każdym kroku objęła się o jej biodro.

Wtedy wstał król. Jego mamucia twarz wydawała się dziwnie poruszona. Uniósł swą wielką niby bochen dłoń i sala ucichła. Obszedł podium, mijając oglupiałego Norfolka i życzliwie uśmiechniętą królową Annę, której oczy ginęły pod dziwacznym kapturkiem.

Kit, nie spuszczać wzroku z króla, zaczął iść w kierunku, Deanie, jak gdyby przewidywał, że będzie musiał stanąć w jej obronie. Kilka osób zauważyło, że prawą dłoń położył na rękojeści miecza. Wszyscy patrzyli w napięciu na Deanie, która, sama teraz bardzo niepewna, powoli posuwała się w stronę Kita.

Wysoki, mierzący dobrze ponad metr osiemdziesiąt pięć, a do

LABIRYNT

tego gruby jak becзка, ubrany w złote szaty król przywoził na myśl choinkę, którą ubierały rozentuzjasmowane dzieci - bez gustu, ale za to z humorem. Deanie z trudem oderwała wzrok od wysadzanego klejnotami ochraniacza na genitalia, wystającego spomiędzy fałd bufiastych nogawek.

Idąc w jej kierunku król kręcił głową, mlaskał językiem i cmokał. Deanie z wrażenia wpadła na Kita, nastąpiła mu na nogę i zaplątawszy się w swą suknię o mało nie upadła. Ale żadne z nich nie zwróciło uwagi na tę niezręczność. Nie mając gdzie się podziać, Deanie stała sztywna, niepewna i bardziej niż przestraszona. Czy król ją zabije? Każe ściąć głowę za to, że jej występ nie przypadł do jego monarszego gustu? Śmierć na scenie, owszem, zdarzała się, ale nie przez ścięcie.

—Pani — wyszeptał król stłumionym i prawie pokornym głosem. Zatrzymał się kilka kroków przed nimi.

Deanie kątem oka dostrzegła, że Kit stoi nieruchomo niczym kamienny mur. Kiedy zmusiła się, żeby spojrzeć na króla, otworzyła usta ze zdumienia.

Król Anglii miał łzy w oczach.

—Jeszcze nigdy... - Tu sięgnął po jej dłoń i przywiódł ją do warg - ...jeszcze nigdy nie słyszeliśmy takiej muzyki, takiej poezji. Nigdy. Napisanej prostymi słowami, a przy tym jakże eleganckiej. - Przejechał po wierzchu jej dłoni wilgotnymi wargami i brodą pełną okrucichów. — Poruszyłaś swymi walijskimi pieśniami nasze serce.

Uściskał jej dłoń i pokłonił się. Deanie uśmiechnęła się. Nagle poczuła do niego sympatię. Miała nowego fana.

Zerknęła na Kita, ale zamiast podziwu dla talentu Wilmy Dean Bailey zobaczyła złość. Widziała już taką minę u Vica Jenkinsa, u Bucky'ego Lee Dentona. To było coś więcej niż zwykła zazdrość. Ci mężczyźni czuli się przez nią zagrożeni. Bali się, że Deanie, ze swą umiejętnością pisania piosenek i wykonywania ich na scenie, odbierze im publiczność. Vic i Bucky Lee nie lubili dzielić się z nikim swą sławą, a z kobietą szczególnie. Deanie pomyślała, że Kit nie różni się od tamtych, i to ją bardzo rozżłościło.

Zareagowała nieracjonalnie, po dziecinnemu. Uznała, że Kit jest zazdrosny. Zdaje się, że sam też gra, ale nie pokazał jeszcze, co potrafi. Widać wstydzi się, wariat jeden. Teraz nie może się pogodzić z faktem, że ktoś okazał się w czymś lepszy od niego, zwłaszcza że świadkiem tego był cały dwór i król.

Z wystudiowaną nieśmiałością obdarzyła monarchę swym najbardziej czarującym uśmiechem, takim, jaki przywoływała na twarz przy odbieraniu nagród i podczas konferencji prasowych. Wiedziała, że król jest zachwycony jej zębami. Po trzech miesiącach nieprzyjemnych wizyt u dentysty miała zęby, którymi mogłaby konkurować z modelkami w reklamach. Aby być w zgodzie z epoką, wykonała niski skłon i spojrzała z wyrazem uwielbienia na króla.

Udawała, że zupełnie zapomniała o Kicie.

Wyraz twarzy króla uległ zmianie. Przez kilka chwil malowała się na niej dezorientacja, po czym w jego małych oczkach pojawił się błysk. Zesztywniał.

- Czy dozwolisz, pani — powiedział grubym głosem - żebyśmy złożyli wizytę w twoich komnatach?

Deanie stropiła się. Król nie był pewny, czy może spacerować po swym pałacu? Powiedział „my”, miał zatem na myśli siebie i królową.

Już miała spojrzeć pytająco na Kita, kiedy przypomniała sobie o jego minie. Kit stał obok, słyszał więc, co król przed chwilą powiedział. Dobrze, pomyślała. Nie na darmo była gwiazdą Nashville. No, może nie gwiazdą, ale prawie. Znajdowała się daleko od domu, ale to jeszcze nie powód, żeby jakiś mężczyzna - nawet Christopher Neville, księżę Hamilton - miał ją tak traktować.

- Wasza królewska mość - odparła ze spuszczonymi oczyma

—

jesteście zawsze mile widziani...

Jeszcze nie skończyła zdania, a król zaklaskał w dłonie, dając znak swym grajkom.

- Galarde! Galarde!

Nastąpiło wielkie poruszenie, służący zaczęli przeganiać psy| muzycy pośpieszyli na galerię. Król mrugnął do Deanie, po czym

LABIRYNT

pewnym, sprężystym krokiem wrócił na swoje miejsce za stołem. Zupełnie zapomniał o owrzodzonych nogach. Wydawało się, że ubyło mu ze dwadzieścia lat.

Dworzanie nie pamiętali już, kiedy ostatnio widzieli go w takim radosnym nastroju.

Kończąc przeżuwanie, dopijając pośpiesznie wino, dworzanie zaczęli podnosić się z ławek. Ustawili się w dwóch rzędach na środku sali - panowie naprzeciw dam. Deanie ucieszyła się, że zobaczy taniec, do którego przygotowania kojarzyły jej się z lekcją rytmiki w szkole. Odwróciła się z uśmiechem do Kita, który silnie chwycił ją za ramię.

—Co robisz? — zapiszczała, zaskoczona jego brutalnością. Poczuła ból mimo trzech grubych warstw materiału.

Nie odpowiedział. Zgrabnym ruchem ściągnął z jej ramienia gitarę i wręczył ją przechodzącemu z półmiskiem mięsiwa giermkowi, który na chwilę zgłupiał i patrzył to na półmisk nie dojedzonego mięsa i ciężki złoty nóż, to na instrument. Kit tymczasem wyprowadził Deanie z sali na dziedziniec, na którym niecałe pół godziny wcześniej przeżyli miłosne uniesienie. Tam dopiero puścił jej ramię.

Deanie odwróciła się na pięcie, chcąc odejść.

—Stój - rzekł rozkazującym tonem Kit. Zatrzymała się, ale nie patrzyła na niego. Stał tak blisko, że słyszała jego oddech na tle dobiegającej z sali biesiadnej muzyki i śmiechów.

Spojrzała na swe zacisnięte dłonie, mankiety zdobione delikatnym haftem i koronką. Z oczu trysnęły łzy — ciężkie, gorące. W gardle dusiła ją klucha; spróbowała przełknąć, na próżno.

—Jesteś taki sam jak inni — mruknęła. Czuliła się tak zraniona, że było jej wszystko jedno, co mówi. Zaczęła niemiłosiernie skubać koronkę przy mankietach, prując ją po kawałku, strzępiąc. Nie zdawała sobie sprawy, co robi.

—Deanie - zaczął Kit smutnym głosem i dotknął jej ramienia. Tym razem jego dotyk był delikatny.

Deanie nie odsunęła się. Nie miała siły.

—Wiem, jesteś po prostu zazdrosny. — Westchnęła.- Już to przechodziłam.

- Mylisz się - wycedził gniewnie przez zęby. Wziął głęboki; oddech i zaczął jeszcze raz. - Deanie, posłuchaj mnie. Posłuchaj, mnie uważnie. - Uniósł jej brodę i starł kciukiem łyzy. - Przed; chwilą zgodziłaś się zostać nałożnicą króla.

- Co takiego?! - spytała Deanie. Natychmiast przestała się nad sobą użalać. - Ty chyba żartujesz, Kit. Facet chce przyprowadzić; swą żonę do...

— Zonę? Słyszałaś, że mówił coś o żonie?

Deanie zrobiła wielkie oczy i kiwnęła głową.

- Powiedział „chętnie odwiedziłibyśmy” czy coś w tym rodzaju. Tak czy owak ma zamiar przyjść z kimś, nie sam.

— Deanie. - Kit potrząsnął ją za oba ramiona, żeby na niego! spojrziała. — Królowie mówią o sobie „my”. Nigdy o tym nie słyszałaś?

- O Boże! - jęknęła Deanie.

— Właśnie.

Przez chwilę milczeli. Po czym Deanie uśmiechnęła się, nie zważając na chmurną minę Kita. A więc to nie była zazdrość o jej talent ani o to, że była w centrum uwagi. On po prostu martwił się o jej reputację.

— Wiesz, co, Kit? Nic się nie stało. Przepraszę króla i już. Delikatnie go spławię. A potem...

— Niepodobna.

- Niepodobna?

Kit zamknął oczy i wziął głęboki oddech, jak gdyby zbierał w sobie siły, żeby zachować spokój.

— Cały dwór był świadkiem, że się zgodziłaś - powiedział cicho. - Nie widziałaś miny Norfolka? Boże ty mój, Deanie - Migdałowe oczy złagodniały na widok jej zaskoczenia. - Sprawa wygląda następująco: król poprosił cię, żebyś została jego nałożnicą, a ty się zgodziłaś. - Miała już otworzyć usta, żeby zaprzeczyć, kiedy Kit powstrzymał ją gestem dłoni. - Słuchaj mnie.

Deanie kiwnęła głową, pozwalając mu mówić.

- Zgodziłaś się wobec całego dworu. Musisz zrozumieć jedną; rzecz, a mianowicie, że król nie pozwoli robić z siebie głupca.

Zniesie drobne bunty tu i ówdzie, najazdy obcych wojsk, nawet głupotę swych ministrów. Ale nigdy nie pozwoli nikomu, zwłaszcza kobiecie, robić z siebie pośmiewiska.

—Nie przesadzaj, Kit. To nie może być aż tak poważne. Po prostu zaszło drobne nieporozumienie.

Kit zacisnął pięść, jak gdyby zamierzał siłą wymóc na niej zrozumienie tego, co mówił, ale zrezygnował i opuścił dłoń.

—Deanie - powiedział z naciskiem - pamiętam kobietę, która coś takiego mówiła. Była bardzo pewna siebie i zapewniała mnie, że między nią a królem doszło do „małego nieporozumienia”.

—Tak? — spytała wesoło Deanie. - A kim była ta kobieta?

—Nazywała się Anna Boleyn.

Kiedy Deanie powróciła do swej komnaty, zmęczona i oszołomiona tym, co powiedział Kit, postanowiła zwierzyć się ze swych kłopotów Cecyli Garrison. Kto jak kto, ale ona, będąc siostrą jednej damy dworu, a córką innej, będzie wiedziała, czy z tej sytuacji jest jakieś wyjście. Może Kit przesadza, wyciąga pochopne wnioski. To, że król obszedł się bezwzględnie z innymi kobietami, nie musi oznaczać, że zrobi to samo z nią.

Ale Cecyli zniknęła bez śladu. Nie widać też było nigdzie nadąsanej Mary Douglass. W przeludnionym pałacu, pełnym dworzan, którzy marzyli o większej przestrzeni życiowej, Deanie ni stąd, ni zowąd miała całą komnatę dla siebie.

Przeraziła się, że Henryk lada moment wtargnie do jej komnaty. Przed oczami miała jego połyskujący „futurał”. Wpadła w panikę, objęła mahoniowy słupek podtrzymujący baldachim nad łóżkiem i przytuliła czoło do rzeźbionego drewna, czując, jak ostre krawędzie wrzynają jej się w skórę. Ale ból fizyczny podziałał na nią uspokajająco, sprawił, że zdała sobie sprawę z jednej rzeczy.

Otóż wokół panowała martwa cisza. Ani gwarynych odgłosów biesiady na dole, ani urywanych zaklęć miłosnych kochanków dobiegających z dziedzińca. Deanie sięgnęła po muślinowy podłówek i przytuliła go do siebie.

Muszę znaleźć Kita, pomyślała.

Z brodą opartą na podglówku siedziała sztywno na łóżku. Nie było jej wygodnie z powodu sukni, ale nie dbała o to. Musi się stąd wydostać, uciec z tego pałacu. Kit miał rację, panowały tu zasady, których nie była w stanie pojąć. Rządziły prawa wykute w kamieniu. Teraz zaczynała rozumieć, jak niebezpieczna jest gra, którą podjęła.

Podsłuchiwała słysząc ciche pukanie do drzwi. Czy to król? Wstała, wypuszczając z rąk podglówek na podłogę z grubych desek. Jeśli się nie odezwie, to może ten ktoś sobie pójdzie?

Pukanie, tym razem bardziej natarchywe, powtórzyło się.

- Milady? - ktoś cicho zawołał. Był to głos Cecily Garrison.

Deanie prędko otworzyła drzwi ze skobla i Cecily wsunęła się do komnaty. Ale zamiast zagadać wesoło, jak miała w zwyczaju, skłoniła się przed nią nisko.

- Co ty wyprawiasz? — zdenerwowała się Deanie i pociągnęła ją do góry. Cecily stała ze spuszczoną głową, nie patrząc jej w oczy.

- Jutro rano wyjeżdżamy do Richmond - rzekła. - Mam ci, pani, służyć pomocą, gdybyś czegoś potrzebowała.

- Co?! Co się tu dzieje, Cecily? — Deanie poczuła, że znowu ogarnia ją przerażenie.

W końcu Cecily spojrzała na nią.

- Och, milady, to wielki honor być nałożnicą jego królewskiej mości.

- Mowy nie ma!

- Król to Anglia - ciągnęła Cecily patrząc na nią z wielkim podziwem. - Co Anglia sobie życzy, poddani spełniają z wielką radością. Pozwól, milady, że pomogę ci się rozebrać.

I bez żadnej zachęty ze strony Deanie poczęła odpinać jej kapturek, rozwiązywać sznurówki sukni. Poddając się biernie jej zabiegom, Deanie dostrzegła, że Cecily skromnie odwraca oczy, żeby nie patrzeć na jej ciało. Kiedy zostanie sama i bez tych krępujących ubrań, poszuka Kita, który na pewno gdzieś się tu kręci. On będzie wiedział, co zrobić. Pomoże jej odnaleźć drogę do labiryntu, skąd będzie mogła wrócić do swojej epoki. Może...

LABIRYNT

— Czy milady życzy sobie jeszcze czegoś?

Deanie spojrzała na Cecily i przez głowę przebiegła jej myśl, żeby poprosić ją o pomoc w ucieczce. Ale zrezygnowała. Nie mogła liczyć na jej zrozumienie, skoro fakt, że została wybrana przez króla, Cecily uważała za wielki honor. Tu wszyscy tak myśleli. Wszyscy oprócz Kita. Tylko on wiedział, w co się wpakowała, tylko on rozumiał jej udrękę. Próbował ją ostrzec, ale jej głupi upór i arogancja sprawiły, że rzuciła się na niego jak wściekły pies.

- Nie, Cecily - odparła.

Cecily wyszła tyłem z komnaty, jak gdyby Deanie właśnie została ukoronowana.

Znowu sama, ubrana tylko w długą nocną koszulę, Deanie upadła na łóżko. Obserwując drżący płomień świecy i zastyganie skapującego z niej gorącego wosku, powtarzała sobie w duchu, że musi znaleźć jakiś sposób, żeby się stąd wydostać, zanim dojdzie do ponownego spotkania między nią a Henrykiem.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Deanie, pogrążona w smutnych myślach, przeczesła włosy palcami.

— Możesz wejść, Cecily.

Drzwi się otwarty i do komnaty wszedł mężczyzna w ciemnozielonym aksamitnym płaszczu i czarnym kapeluszu o wygiętym do góry rondzie. Pewnym krokiem podszedł do łóżka, Deanie podciągnęła nakrycie pod brodę.

- Pani — rzekł i skłonił się nisko.

Wiedziała, kim jest, chociaż nigdy nie zostali sobie przedstawieni. W jej sypialni stał i wykrzywił wargi w nieznacznym uśmiechu Thomas Cromwell, nowo mianowany hrabia Essex.

- Co pan tu robi, panie Cromwell? - spytała. Wyraźnie nie spodobało mu się, że zwróciła się do niego per „panie Cromwell”.

- Przeszedł pan zapowiedzieć przybycie króla? — Przetknęła, bo stwierdziła, że głos odmawia jej posłuszeństwa.

— Nie, pani. Ale jeśli dobrze to rozegrasz, to na pewno dostąpisz tego zaszczytu.

Gdy nachylił się, poczuła nieprzyjemny zapach zepsutych zębów. W jego zachowaniu czaiła się jakaś groźba. Może w dzień

zachowywałby się z większą ogładą, ale teraz w mroku i bez świadków nie starał się nawet udawać dobrego wychowania.

Deanie wcisnęła się plecami w oparcie łóżka, zastaniając nerwowo gołą szyję podgłówkiem i narzutą. Cromwell uśmiechnął się.

—A teraz, pani, proszę udzielić mi kilku odpowiedzi, które wyrównają wyboistą drogę. Czy jesteś katolickiej wiary?

—Nie — wyjąkała, zastanawiając się, czemu zebrało mu się na rozmowę o religii o tak późnej porze.

—Nie? — W jego paciorkowatych oczkach błysnął blask od świecy stojącej przy łóżku. Rozległ się trzask polana i z kominka wyrzucił w powietrze rozżarzony popiół. Jak na późną wiosnę noc była zimna i Deanie przebiegł mroźny dreszcz po krzyżu. - Zauważyłem, że nie bierzesz udziału w codziennej mszy. Czy jesteś wyznawczynią Lutra? — spytał Cromwell obojętnym tonem.

—Nie, to znaczy, czy chodzi panu o tę okropną postać z komiksów o Supermenie, Lexa Luthora? — zakończyła piskliwie, bo uświadomiła sobie, że mówi od rzeczy. - Nie, wiem, że nie. Co też przyszło mi do głowy? - Poczowała, że poca jej się dłonie. - Nie rozumiem, o co panu chodzi.

—Czy jesteś wyznawczynią Lutra? — spokojnie powtórzył pytanie.

Deanie gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć, co Kit mówił o religii na dworze. Ale wtedy zamiast słuchać, studiowała jego oczy i dziwiła się, że mężczyzna ma takie ciemne brwi. Pamiętała jego poważną minę. Ale pamiętała także, jak przeniosła wzrok na jego dłonie, na których zobaczyła żyły i czarne włosy wysuwające się spod szerokich mankietów.

Co mówił?

Cromwell czekał cierpliwie na jej odpowiedź. Deanie odniosła nieprzyjemne wrażenie, że był gotów tak czekać, milczący i opanowany, aż ona odpowie - nawet miesiąc. Założył ręce na piersi. Miał grube, niezgrabne dłonie; na palcu połyskiwał ciężki złoty pierścień. Spojrzała w zamyśleniu na jego płaską małą twarz z szeroką przerwą między przednimi zębami.

—No więc? - ponaglał ją. - Jesteś, pani, protestantką?

LABIRYNT

To już brzmiało bardziej zrozumiale. Kiedy Deanie dorastała, matka nie miała czasu prowadzić jej do kościoła, ponieważ w niedziele interes w zajeździe dla ciężarówek szedł najlepiej. Deanie jednakże uważała się za baptystkę, jako że wszyscy jej znajomi byli właśnie baptytami. Ilekroć wybrała się z koleżanką do jakiegoś kościoła, zawsze był to kościół baptystów.

—Baptyści to protestanci, prawda?

Cromwell wyraźnie zgłupiał. Choć raz.

—Nie chodzi o to, czy jesteś pani ochrzczona, ale... Przerwał mu krzyki za drzwiami i odgłosy szamotaniny. Kto to mógł być? Ciężkie drzwi otworzyły się na całą szerokość i mrok w komnacie rozświetliły światła pochodni zatkniętych w korytarzu.

—Panie! - Zdyszany młodzian w przekrzywionej skórzanej kamizelce rzucił błagalne spojrzenie na Cromwella, całkowicie ignorując Deanie. — To ksiązę Hamilton. On...

Czyjaś ręka wyciągnęła młodzieńca z powrotem na korytarz. Deanie poznała szeroki rękaw, silną dłoń.

—Kit? — zawołała cicho. Wyskoczyła z łóżka, nie zwracając uwagi na lodowatą podłogę i spojrzenie Cromwella, którym obrzucił jej nieodpowiedni strój. - Kit!

Cromwell złapał ją za kołnierz i okręcił go sobie wokół dłoni, sprawiając, że Deanie nie tylko nie mogła nic powiedzieć, ale nawet oddychać. Wyrzuciła przed siebie ręce, orząc palcami powietrze.

Kąciki jego warg lekko się wygięły. Zdawał sobie sprawę, że nie wypada się teraz uśmiechnąć, ale trudno mu było ukryć przyjemność, jaką odczuwał.

—Ksiązę może wejść — oznajmił majestatycznie. Szamotanina w korytarzu ustała.

Kit wszedł do komnaty. Na czole i rozerwanym z przodu duplecie miał krew. Deanie zrobiło się słabo, a Cromwell nie zamierzał zwolnić zacisku.

—Król się o niczym nie dowie — wycedził Cromwell, nie odrywając wzroku od prawie mdlejącej Deanie.

Kit nie odpowiedział, tylko rzucił się w jej kierunku.

Deanie zobaczyła za nim jakieś ciężkie żelazne narzędzie podobne

do siekiery. Ostatkiem sił szarpnęła się, żeby ostrzec Kita o zagrożającym mu niebezpieczeństwie. Ale nieskoordynowane gesty jej rąk nie były dla niego jasne.

Oczy zasły jej mgłą, gdy zobaczyła, że napastnik zamachnął się i z całej siły uderzył Kita tym narzędziem w ramię. Przez straszną chwilę była pewna, że napastnik celuje w głowę Kita, ale w ostatniej chwili siekiera skręciła.

Gdy Kit skulił się i upadł, uchwyt Cromwella zelżał. Dysząc ciężko starała się nabrać powietrza w piersi. Siekiera, czy cokolwiek to było, uniosła się znowu. Kit potrząsając głową zaczął się podnosić. Cromwell skinął na giermka.

- Nie! - zachrypiła Deanie. Ledwo ją było słyszeć. Cromwell powstrzymał giermka nieznacznym gestem ramion.

- Nie powiecie o niczym królowi - powtórzył Cromwell.

Deanie nerwowo kiwnęła głową. Cromwell ją puścił. Zataczając się podbiegła do Kita.

Twarz miał zasłoniętą włosami, trudno więc było z niej wyczytać, w jakim jest stanie. Deanie uklękła i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. Jego oddech był głośny, nierówny. Pomyślała, że Kit zaraz zwymiotuje. Zdziwiła się, że po takim ciosie nie stracił przytomności. Nie zemdłał jedynie dzięki swej niesłychanej odporności fizycznej i silnej woli.

Zanim uniósł głowę, jego silna i pewna dłoń zamknęła się wokół jej nadgarstka, jak gdyby chciał ją uspokoić. A potem spojrzął jej w oczy i Deanie aż zatkało. Jeszcze u nikogo nie widziała takiej determinacji. Widać było, że Kit bardzo się stara odzyskać ostrość widzenia. Jego spojrzenie zasnutę było lekką mgiełką. Zacisnął powieki i znowu potrząsnął głową. Kiedy znowu otworzył oczy, ich migdałowej głębi nie zasnuwała już żadna mgła.

Zebrawszy siły podniósł się prędko, pociągając Deanie za sobą. Tylko ona zauważyła, że lekko się chwia. Z wgłębienia szyi, gdzie przed chwilą otrzymał cios, sączyła się krew; głębokie rozcięcie na czole i jeszcze jedno na ramieniu świadczyły o tym, że walczyli, aby się dostać do jej komnaty.

Żołądek podszedł Deanie do gardła, poczuła mdłości. Wzięła

głęboki oddech, a Kit opiekuńczym gestem położył jej na ramieniu swą silną rękę.

Kochał ją.

Żaden inny mężczyzna nigdy nic dla niej nie zrobił. Żaden inny mężczyzna nie wyciągnął do niej ręki, jeśli nie liczył na korzyść. A Christopher Neville, księżę Hamilton, z jej powodu stoczył walkę.

- Och! — krzyknęła cicho i przytuliła się do niego, napawając się jego zapachem, jego męskością. Objął ją drugą ręką, przyciągnął do swej ciepłej piersi.

Włosy Deanie spadły na jej twarz, odstawiając szyję, białą i delikatną, na której widniała czerwona pręga. Kit poczuł, że Deanie wtula się w niego, obejmuje go rękami, jak gdyby chciała stopić się z nim w jedno.

- Wzruszający obrazek - wycedził Cromwell. Dał znak swym ludziom, żeby opuścili komnatę, zatrzymał tylko tego z siekierą. Gdy wielkie drzwi zamknęły się za nimi bezszelestnie, spytał: — Czy teraz możemy porozmawiać o przyszłości?

Ignorując go, Deanie uniosła głowę i spojrzała na Kita. Kasztanowate włosy spłynęły kaskadami na plecy i odsłoniły szeroko otwarte brązowe oczy, w których lśniły łzy.

- Chcę być z tobą — szepnęła. - Pójdę za tobą wszędzie. Na niczym mi nie zależy, Kit, poza tym, żeby być z tobą.

Powiodł palcem po jej policzku i już miał coś powiedzieć, kiedy Cromwell roześmiał się chrapliwie.

- Zwróciłaś, pani, na siebie uwagę króla. Słuchaj mnie, a wnet zostaniesz królową Anglii.

Deanie zamrugła oczyma.

- Ale ja wcale nie chcę...

- Nie słuchaj mnie - rzekł Cromwell ścisząc głos - to zostaniesz spalona na stosie pod zarzutem herezji.

- Jesteś szalony, hrabio! — wybuchnął Kit. - Sam wkrótce zostaniesz skrócony o głowę. Z desperacji całkiem straciłeś rozum.

- Nie, księżę. Czy hrabianka Deanie choć raz wzięła udział we mszy? W królewskiej modlitwie? — spytał Cromwell wesoło. — Co zaś do ciebie, księżę, to jak ci się spodoba oskarżenie o zdradę? Bo

zdradą jest sięgać po własność króla, przyprawiać królowi rogi. Zdradę tak łatwo się udowadnia. Och, mieć tę przystojną głowę zatkniętą na zardzewiałą sztachetę w Bramie Zdrajców, gnijącą na oczach całego Londynu. Ciekawe, czy nadal będziesz się podobać damom, milordzie?

- Nie! - krzyknęła Deanie i poczuła, że robi jej się słabo. Żołądek podszedł jej do gardła, wciąż obolałego od zacisku Cromwella. Nie bała się pogroźek pod swoim adresem, ale opis tego, co groziło Kitowi, był tak jaskrawy, że przeraziła się.

- Proszę. Zrobię wszystko!

- Deanie, on blefuje — mruknął Kit zerkając na Cromwella.

- Czyżby?

I nie czekając na odpowiedź Cromwell przywołał swym grubym

paluchem giermka z siekierą, który zadał Kitowi cios dokładnie w to: samo miejsce, co przedtem. Z ust Kita wydobył się niski jęk, jego ciało zwiotczało, po czym zwaliło się na ziemię.

- Kit! - zawołała klękając obok niego. Ręce jej drżały z przerażenia. Głowę miał odchyłoną pod dziwnym kątem i Deanie przez chwilę myślała, że ma złamaną szyję. Chwyliła go za nadgarstek i poszukała pulsu; był słaby, ale równy. — Kit - powtórzyła szeptem.

- Czy teraz — rzekł Cromwell, jak gdyby nigdy nic się nie stało - możemy porozmawiać o przyszłości?

Oni go zabijają, pomyślała. Jeśli nie ustąpi temu szaleńcowi, koniec z Kitem. Przełknęła i nie odrywając ręki od nadgarstka Kita, czerpiąc siłę z bicia jego pulsu, spojrzała odważnie na Cromwella.

Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos był bezbarwny i pozbawiony emocji.

- Dobrze, panie Cromwell. Skoro pan sobie tego życzy...

7

Słońce prażyło niemiłosiernie, a jego oślepiający blask zmuszał Deanie do mrużenia oczu. Kręciła się w idiotycznym siodle, które bardziej nadawało się na narzędzie tortur niż na siodło dla kobiety; pod kolana wrzynał jej się jakiś kołek, który miał zapobiegać zsunięciu się z konia, uniemożliwiał jednak znalezienie wygodniejszej pozycji. Deanie zdarzyło się w życiu jeździć konno, ale nigdy nie robiła tego siedząc bokiem, na dobytek w stroju ważącym z pięć kilogramów i sztywnym jak drewno gorsecie.

Otarła pot z górnej wargi, przeklinając w duchu ciasno zasnurowane rękawy. Mimo że właściwie nie było upału — w każdym razie wilgotnej duchoty, do której była przyzwyczajona - czuła się, jak gdyby wsadzono ją do piekarnika. Odnosiła wrażenie, że jej strój jest brudny i za mały ze cztery numery; drapało ją w gardle.

Po prawej stronie miała Cecily Garrison, po lewej Katarzynę Howard. Przedstawiły zapewne wdzięczny obraz — trzy damy w królewskim orszaku zmierzającym do Richmond, kilka mil bliżej Londynu. Orszak posuwał się wzdłuż Tamizy, dróżką wijącą się zgodnie z kapryсами rzeki.

Deanie, w przeciwieństwie do pozostałych dworzan, nie dbała

o to, jakie wrażenie robi na mijanych gapiach. Poprzedniej nocy nie spała, a ze strachu, że się pochoruje, nie była zdolna nic jeść.

Jej koń potknął się o wystający z ziemi korzeń, ale Deanie prawie tego nie zauważyła. Złapała się siodła odruchowo, a nie dlatego, że bała się spaść i złamać kark. Szczerze mówiąc, było jej wszystko jedno. Czuła się otępiała. Nawet niespecjalnie drażniły ją ostre zapachy koni, które potykały się o kamienie i ślizgały w błocie, nieustanne chichotanie Katarzyny Howard czy też pokrzykiwania służby i dworzan. Myślała tylko o jednym, a mianowicie że każde stuknięcie kopyta oddala ją od Kita.

Kit.

Czy żyje? Cromwell ją o rym zapewnił, ale czy można mu wierzyć? Zamknęła oczy, starając się przywołać ostatnią chwilę, kiedy widziała Kita. Wywlekli go z jej komnaty poprzedniej nocy. Na progu niezdarny giermek potknął się i Kit uderzył głową o kamienny mur, ale nie wydał żadnego dźwięku, żadnego. Rozmazana kałuża krwi na podłodze była jedynym świadectwem jego obecności.

W orszaku rozmawiano o królowej Annie, która została w Hampton. Na pożegnanie pomachała im dość smutno spod wieży zegarowej. Chciała towarzyszyć orszakowi aż do mostu nad fosą, ale Thomas Howard, książę Norfolk, dość stanowczo ją zawrócił.

Kit.

Przybył Deanie na pomoc, stoczył walkę z ludźmi Cromwella, żeby dostać się do jej komnaty. Tyle zostało nie dokończone, tyle chciała mu powiedzieć. Nie znał rozmiaru jej butów, nie wiedział, że Deanie ma alergię na skorupiaki. A ona? Nie wiedziała, kiedy są jego urodziny ani ile ma lat. Czy woli błękit od zieleni i kim była jego matka?

Koń znowu szarpnął; tym razem stąpnął na porzucony przez kogoś zabłocony konopny worek.

Sprzedziała duszę Cromwellowi. Dla ratowania życia Kita zgodziła się grać rolę nałożnicy króla, a nawet zostać królową, będąc równocześnie gwarantką pozycji Cromwella, najbardziej zaufanego doradcy króla. Musi odwrócić się od Kita, ale tak, by nie poznał, że to sprawka Cromwella.

Może powinna spaść i niechby ją stratowały dziesiątki koni z ekwipażem, wozy wypełnione królewskimi meblami, złotą zastawą i bielizną. Gdyby umarła, nie musiałaby spełniać odrażających rozkazów Cromwella. Ale gdyby umarła, nie mogłaby pomóc Kitowi. Nigdy by go już nie zobaczyła. Nie, nie wolno się poddać. Póki jest choćby cień szansy...

Wzięła głęboki oddech i spojrzała za siebie. Wyciągnęła szyję w nadziei - zupełnie bezpodstawnej — że zobaczy Kita pędzącego jej na ratunek. Oczyma wyobraźni widziała go na czarnym koniu, w rozwianej czarnej pelerynie, ze zmierzwionymi włosami. Ale oczywiście go nie było. Tylko rozgadani dworzanie, kiwający głowami do obszarpanych wieśniaków stojących wzdłuż drogi, rzucający im z uśmiechem monety.

Kit.

Czy ktoś się nim opiekuje? Cały dwór uwierzył w bajkę Cromwella - że Kita zmgóła nagła choroba. Było to kłamstwo grubymi nićmi szyte, ale dworzanie - na czele z Henrykiem, który panicznie bał się zarazy - nie dochodzili prawdy. Mizerny wygląd Deanie wzięli za potwierdzenie słów Cromwella. Jej kuzyn, książe Hamilton, został zatem w Hampton pod opieką dworzan zagranicznej królowej oraz kilku członków regularnej załogi pałacu Hampton Court. Zgodnie z utartym zwyczajem dworzanie i służba pałacowa udali się do Richmond drogą lądową, król zaś popłynął wygodną barką królewską.

W orszaku nigdzie nie było widać Cromwella. Deanie czuła jednak jego złowrogą obecność na każdym kroku; czał się w cieniu, uśmiechał się z ciemności. Poprzedniej nocy triumfował, zachowywał się w jej komnacie tak pewnie, jakby był u siebie. Po zabranii Kita została sama - jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak osamotniona.

— A zatem... - zaczął Cromwell i równocześnie strzelił grubymi paluchami wskazując na kałużę krwi Kita, na co zjawił się chłopak ze ścierką. Cromwell podjął wypowiedź, ale Deanie go nie słuchała, bo patrzyła z przerażeniem, jak chłopak, starannie unikając jej wzroku, szoruje podłogę szmatą przesiąkniętą krwią.

Wreszcie chłopak wyszedł i Deanie uniosła głowę.

- ...możesz mieć, pani, satysfakcję z uratowania życia księciu Hamiltonowi - zakończył Cromwell po teatralnej chwili milczenia.

Spojrzała uważnie na niego. Westchnął jak pobłażliwy wujaszek.

—Powtarzam, żeby nie było żadnych nieporozumień. Rób, waćpanna, co rozkażę. Kiedy królowi wpadnie w oko jakaś niewiasta - tu zmierzył ją od stóp do głów - nie wolno jej się sprzeciwiać jego woli. Będziesz należeć do niego. Masz, pani, do wyboru albo sprzeciwić mi się, albo stosować się do moich poleceń, jeśli nie chcesz usłyszeć o okropnej śmierci księcia Hamiltona. Wypełniaj moje rozkazy. Idź do króla, kiedy cię wezwie, nie wcześniej. Pozwól mu wierzyć, że zdobył cię, przyjmij go z otwartymi ramionami. Zostaniesz jego nałożnicą, może nawet królową. A mnie będziesz wychwalać pod , niebiosą. Krótko mówiąc, dbaj o moją pozycję, zapewnij mi łaskawość króla, a wszyscy na tym skorzystamy. Jeśli zamkniesz uszy na moją dobrą radę, zejdziesz z tego świata ze świadomością, że twoja głupia duma i kaprysy były przyczyną męki i śmierci księcia Hamiltona. Grób nie będzie i na ciebie długo czekać, zostaniesz oskarżona o herezję. Gdy mi się sprzeciwisz, śmierć heretyczki będzie twą ostateczną nagrodą.

Deanie usiłowała sobie przypomnieć, co odpowiedziała Cromwellowi, ale nie pamiętała dosłownych słów. Zresztą wszystko jedno, co odpowiedziała. Przystała na jego żądania Cromwella. Nie miała wyboru.

Hrabia Essex dodał jeszcze jedną groźbę. Otóż jeśli Deanie powie królowi, co się stało, lub jeśli do króla dojdą jakieś plotki (tu schował zaciśnięte pięści w szerokie futrzane rękawy), księcia Hamiltona spotka bolesna śmierć. Wszyscy uwierzyli, że zachorował., Nikogo więc nie zdziwi jego nagle zniknięcie. Oczywiście król się zasmuci, ale wnet znajdzie sobie nowego faworyta, innego młodzieńca, przy którym będzie się czuć młody.

Deanie spojrzała przed siebie. Na czele orszaku królewskiego szli, heroldzi, w asyście włóczęgów i żebraków, ogłaszając wszem i wobec przybycie króla do Richmond. Za nimi jechali parowie i dworzanie, którzy raczyli się winem, słodyczami i gawędzili, zupełnie jak na jakimś festynie. Pochód zamykali woźnice, posługacze, kucharze, giermkowie, dozorczy.

A gdzieś za nimi wszystkimi, za ostatnią krową prowadzoną przez syna mleczarza, był Kit, pozostawiony ze zhańbioną królową i służbą złożoną z garstki cudzoziemców. I oczywiście tuzin sługusów Cromwella, aby w razie potrzeby „przemówić księciu do rozsądku” i przekonać go o mądrości planu Cromwella.

Deanie otarła pot z górnej wargi. Pokręciła głową z czarującym uśmiechem, gdy Katarzyna Howard wyciągnęła w jej kierunku bukłak z goździkowym winem. Na pewno zaraz by je zwymiotowała. Niestety nie mogła się nikomu zwierzyć z tego, co ją gnębiło. Cromwell kategorycznie tego zabronił.

Odór był nie do zniesienia. Smród nie mytych ciał mieszał się z zapachami tłuszczu i przypraw korzennych, niektórych bardzo słodkich, innych gorzkich i obrzydliwych.

Poczuł na czole delikatny, kojący dotyk czyjejś dłoni. Gdzieś w tyle głowy kołatała mu myśl o Deanie. Co się stało? Widział jej twarz, błyszczące oczy, czerwoną przęgę na szyi pozostawioną przez Cromwella. Do diabła, należało przyjść ze swymi ludźmi. Co mu strzeliło do głowy, żeby w pojedynkę stawić czoło Cromwellowi?

Nie znał jednak planów Cromwella, nie domyślał się, jak bardzo jest zdesperowany. Szedł do Deanie, bo przez dwadzieścia minut rozstania zrozumiał, że powinni uciec z Anglii. Tu nie mieli możliwości być razem, zwłaszcza teraz, gdy Deanie wpadła w oko królowi. Z królem nie było żartów. Z powodu kobiety zerwał z kościołem rzymskim. Nie, najwyższy czas, żeby wyjechać. Udać się do Calais lub do Madrytu.

Gdzie jest Deanie? Starał się opanować złość, ale był wściekły na siebie. Odkąd przybył na dwór, zawsze postępował roztropnie. Każdy jego ruch, każde słowo było starannie przemyślane. Nieustannie miał się na baczności. Był ostrożny nawet z kobietami - zwłaszcza z kobietami! Pilnował się, żeby nie pić za dużo wina, zachowywał dyskrecję w najbardziej intymnych sytuacjach.

Usłyszawszy jęk, zadał sobie w duchu pytanie, czy ten głos wydobył się z jego własnego gardła. Spróbował poruszyć głowę, ale

powstrzymał go ból, który o mało nie rozerwał mu czaszki. Jezu, takiego bólu jeszcze nie przeżył.

Te kojące dłonie wciąż go dotykały. Nie należały do Deanie. Te dłonie były duże, a Deanie miała małe dłonie. Delikatne.

A teraz spadał.

Widział w dole ziemię - farmy, ogrodzenia z kamieni, samotne konie, stada owiec. Na tej cichej angielskiej wsi czas się widocznie zatrzymał.

Potem zobaczył szyny i dymiącą lokomotywę, a ponad głową słyszał warkot silnika jego własnego samolotu i ryk wiatru. W prześwicie między chmurami widać było pociąg, podobny do zabawki, wiozący dzieci ewakuowane z terenów zagrożonych wojną. Biedni, mali uciekinierzy, zmuszeni przez wojnę do opuszczenia mamusi i tatusiów. Potem dojrzał kopułę katedry Świętego Pawła, wieżę zegarową Big Ben. Punkty charakterystyczne Londynu. Skoro on je widział, to nieprzyjaciel również.

Szkolenie. Przed misją, mającą na celu niedopuszczenie do sytuacji, w której wróg robiłby zakupy u Harrod'sa, wszyscy piloci RAF-u przeszli odpowiednie szkolenie. Jak pomieszać szyki Herr Himmlerowi. Śmiali się patrząc na siebie przez dym ostatnich papierosów. Poinstruowano ich, jak wrócić do domu i zatankować paliwo. To tak dla porządku lub żeby dodać otuchy niedoświadczonym pilotom. Tym, którzy jeszcze nie widzieli pustych krzesel w kantine, rzeczy osobistych usuwanych w pośpiechu z sypialni. Mieli beznadziejnie małe szanse, ale nadrabiali minami i buńczuczną postawą żołnierza samochwała.

Udział w tej misji równał się samobójstwu. Zabić wroga, . zabijając siebie. Może uratuje to Anglię.

Był to jego ostatni lot zwiadowczy. Po lecie i jesieni służby po dwanaście, niekiedy piętnaście godzin dziennie. W sierpniu jednego tylko dnia odbył siedem lotów. Siedem, szczęśliwa liczba. Teraz miał ostatni dwudziestoczerogodzinny urlop.

Od kolegi - jak on się nazywał? - z którym studiował historię w Oksfordzie, pożyczył motocykl, stary, rozklekotany motocykl, a także gogle, i pojechał na wycieczkę, nie wiedząc, że w baku jest dziura.

LABIRYNT

Co to za miejsce? W powietrzu lepiej się orientował. Na ziemi, gdzie wszystkie drogowskazy zostały usunięte, żeby zmylić niemiec-
kich szpiegów, był zupełnie zagubiony. Wtedy dojrzał kominy
pałacu Hampton Court i z goglami w ręce udał się w kierunku
labiryntu. Wszedł do środka. Spacerował alejkami labiryntu, ściskając
skórzano-szklane gogle, rozmyślając o tym, co zapewne go spotka
za kilka godzin.

Nad głową słychać było znajomy warkot samolotów, rozrywanie
się pocisków. To Niemcy latali nad Londynem.

W zołądku czuł ciężar. Nie, nie strach, lecz narastającą pewność,
że to już niedługo. Rzecz jasna, znał dobrze to uczucie. Przed
każdym lotem bojowym wyostrzały mu się zmysły i świadomość, co
sprawiało, że świat jawił mu się przesadzony, przerysowany,
nieprzyjemny.

Tym razem było trochę inaczej. Przedtem zwykle był zbyt
zmęczony, aby zastanawiać się, czy przeżyje. Latał w pojedynkę i
zestrzeliwał samoloty nieprzyjacielskie, wypadając na nie z chmur.
dornieri i heinkle, ciężkie bombowce niemieckie. Wcześniej, latem,
Niemcy latali stukasami, ale potem uznali, że są zbyt powolne i
stanowią łatwy cel dla młodych pilotów RAF-u.

Wszystko działo się jak na zwolnionym filmie, każdy ruch
zapisywał się głęboko w pamięci. Za to godziny wprost pędziły.
Tym razem było inaczej.

Zwracał uwagę na każdy swój ruch. Kiedy w labiryncie schylił
się, żeby zawiązać sznurowadło, zadał sobie pytanie, czy robi to już
ostatni raz w życiu. Założył ręce za głowę, przeciągnął się, po czym
zaczął się przyglądać starym krzewom. Sięgnął do kieszonki na
piersi po jeden z ostatnich w życiu papierosów. Poczł bicie swego
serca i pomyślał, że to serce wkrótce przestanie bić. Trudno mu było
w to uwierzyć.

Spojrzał na zegarek. Czas wracać, czas przygotować się do
ostatniego lotu. Jeśli wszystko dobrze się skończy i wróci, będzie
szkolił pilotów z następnego naboru. Do tej pory miał niebywałe
szczęście. Pomyśleć, siedem lotów jednego dnia.

Raptem z gogli wystrzeliło dziwne, niebieskie, pulsujące światło.

Nad głową rozległ się ryk eskadry bombowców, pod nogami zadrżała ziemia. Czyżby wróg wynalazł maszynę, powodującą trzęsienie ziemi? Nowy pomysł faszystów?

Diabły. Łachudry. Raz zbliżył się do messerschmitta na tyle, że zobaczył tamtego pilota. Ich oczy spotkały się na wysokości półtora tysiąca metrów nad ziemią. W oczach pilota Luftwaffe czytało się inteligencję, poczucie humoru. Odczuł to jak cios poniżej pasa. Ten facet był taki jak on. Pewnie studiował na uniwersytecie. Dla hecy wstąpił do klubu aeronautycznego. W innych czasach pewnie by się zaprzyjaźnili. Teraz jednak spotkali się na wysokości półtora tysiąca metrów i Kit zestrzelił swego niemieckiego *doppelgängera*, obserwując przez zmrużone powieki, jak messerschmitt staje w ogniu i spada. Towarzyszył temu potępieńczy świst.

Z daleka doszedł go jęk. Jego? Potem jakaś kobieta powiedziała coś głębokim, gardłowym głosem.

Niemieckim. Wrogim.

Nazwisko, stopień, numer. Nazwisko, stopień, numer. Tylko to miał im do powiedzenia, niczego więcej z niego nie wyduszą. Szlag by trafił tego Hitlera. Szlag by trafił faszystów. Modlił się o to, żeby Amerykanie przystąpili do wojny. Modlił się, żeby jego spitfire wytrzymał.

Nazwisko, stopień, numer.

- Neville Christopher, kapitan, Królewskie Siły Powietrzne tysiąc dziewięćset czterdziesty. — To był rok, nie numer. Jaki był jego numer? - Tysiąc pięćset czterdziesty - wymamrotał. Nie, nie, to był rok, nie numer. Potem już nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Chciał spytać, gdzie jest? Czy jego samolot spadł na stronę wroga?

Jakaś Niemka coś do niego mówiła. Przekłęci faszyci. Przekłęty Hitler. Gdzie jest Deanie?

Po czym wszystko pograżyło się w czarnym aksamitnym niebycie.

8

Przebycie tą krętą drogą siedmiu kilometrów dzielących Hampton Court od Richmond okazało się strasznie męczące. Wydawało się, że trwa całe wieki. Bez zegarka Deanie nie miała pojęcia, która godzina. Czuli się trochę głodna. A poza tym odrętwiała, pozbawiona czucia.

Ale nawet w tym stanie dostrzegła piękno tego miejsca. Park w Richmond stanowił zaskakujące połączenie dzikiego bujnego lasu ze starannie przystrzyżonym ogrodem. Kątem oka dojrzała długonogiego jelenia, wdzięcznie przeskakującego żywopłot, ale poza nią w całej karawanie nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Katarzyna i Cecily plotkowały o mężczyznach, zasłaniając usta stulonymi dłońmi. Deanie pomyślała, że zachowują się jak uczennice z amerykańskiego liceum.

- Thomas Culpepper? Nie, ja go nie lubię - syknęła Cecily Garrison. - Strasznie zarozumiały.

—Prawdę mówisz — zgodziła się Katarzyna gorliwie. — Zaiste charakter ma okropny. Twarz wszakże warta jest patrzenia. Oczywiście, nie może się równać z księciem Hamiltonem. — Katarzyna nie zauważyła, że Cecily daje jej jakieś znaki, i dalej wesoło paplała: — Mam nadzieję, że wkrótce wyzdrowieje... — Uśmiechnęła się do własnych myśli. - Czy jest gdzieś jeszcze mężczyzna tak

przystojny, a zarazem obdarzony dobrymi manierami? Ach, i taki męski. Nie wymuskany jak wielu młodzieńców na dworze.

Wreszcie zauważyła uparte milczenie Cecily. Spojrzała na nią zdziwiona, a na widok jej miny odwróciła się do Deanie.

—Wybacz mi, pani, że mówię o twym kuzynie. Jest szanowanym parem i nie przystoi wymieniać go jednym tchem z nisko urodzonym Culpepperem.

Deanie, blada jak duch, kiwnęła tylko głową. Cromwell wyraził się jasno. Ale jak wypełnić wszystkie jego rozkazy?

W tej chwili wjechali w bramy pałacu w Richmond. Deanie wyprostowała się w siodle na tyle, na ile pozwoliła jej zdrętwiała noga, i wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć pałac.

Ciekawe, dlaczego Nathan Burns nie wybrał tego pałacu do kręcenia wideoklipu. Też był z cegły, z dużymi i małymi kominami, ale dawał się ogarnąć wzrokiem. Stanowił jedną trzecią Hampton i przypominał bardziej prywatny college niż rezydencję królewską.

Gdy wjechali na dziedziniec, ze wszystkich kątów wybiegli chłopcy stajenni oraz służący i rzucili się pomagać w zsiadaniu paniom i kilku bardziej zamroczonym mężczyznom. Wystarczyło, że Deanie dotknęła stopami wybrukowanej ziemi, a natychmiast zrodziło się w jej głowie postanowienie.

Musi dostać się do Kita. W jakikolwiek sposób, jak najszybciej.

—Hrabianko Deanie. — Zobaczyła na swej dłoni czyjaś tłustą dłoń, a kiedy odwróciła głowę, ujrzała przekrwione oczy Charlesa Brandona, księcia Suffolka.

—Dziękuję, dam sobie radę - mruknęła. Nagle zmieniła zamiar.

- Milordzie — rzekła obdarzając go jednym ze swym najładniejszych uśmiechów, a Suffolk nabrał się na niego, jego oczy zaświeciły się od jakiejś tajemnej myśli, której wolałaby nie znać. Skłonił się.

- Czy hrabia Essex jest gdzieś tutaj? - spytała starając się, żeby zabrzmiało to obojętnie, ale jakaś nutka w jej głosie sprawiła, że Suffolk zeszywniał. Patrzył teraz na nią ostro, taksująco. Muszę być ostrożna, pomyślała.

—Cromwell? Nie. Dziś rano król wysłał go w podróż w sprawach państwowych. Czy ja mogę...

LABIRYNT

Nie czekała, aż dokończy.

- Nie ma go? Ani tu, ani w Hampton? — O Boże, spraw, żeby to była prawda, pomyślała.

Chłopiec stajenny wziął od niej wodze. Odprowadziła go wzrokiem, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszczą się stajnie, a następnie znowu spojrzęła na Suffolka, który obserwował ją przenikliwie. W jego oczach malowała się inteligencja, o jaką go nie posądzała.

- A król? - spytała zdławionym głosem.

- Najjaśniejszy pan czeka w pałacu, w towarzystwie cyrulika. Od podróży rozbolała go noga i musi odpocząć.

W głowie Deanie zrodził się pewien pomysł, niemal się uśmiechnęła do swych myśli. Zemdleje. Upozoruje chorobę i w ten sposób zyska mnóstwo cennego czasu.

- Panie... - zaczęła słabym głosem i drżącymi palcami chwyciła Suffolka za rękaw. Zresztą tak bardzo nie udawała, bo naprawdę była zdenerwowana. Jeśli się nie powiedzie, to Kit (ona też) znajdzie się w jeszcze większym niebezpieczeństwie - ...czuję, że zemdleję.

Z tymi słowy wpadła w ramiona księcia Suffolka. W zamieszaniu, które się teraz zrobiło - krzyki, żeby zanieść ją na noszach, łkania Katarzyny Howard, zapewniającej wszystkich, że Deanie źle się czuła przez całą podróż — nikt nie zauważył nikłego uśmieszku błąkającego się pod wąsem Suffolka.

Król zjrzał swemu lekarzowi przez ramię, nie mogąc się doczekać, kiedy ten skończy swe zabiegi.

- Bylibyśmy radzi, gdybyś się pośpieszył, doktorze. - Z bólu zagryzł zęby, medyk bowiem zerwał właśnie szmatkę z owrzodzonej rany, która zaczęła pulsować. Ból nogi nie był niczym nowym. Ale dobry humor króla był.

Doktor głęboko odetchnął ustami, starając się nie wdychać smrodu zaropiałego uda. Spieszył się, żeby zmienić opatrunek możliwie najszybciej. Z całą pewnością nie chciał sprowokować świetnie wszystkim znanego wybuchu złości króla.

- To zajmie tylko chwilę, miłoścywio panie.

Zmieniając opatrunek zauważył, że rana jest wciąż taka sama. Nie pogorszyła się, ale też nie poprawiła. Czy kiedykolwiek w ogóle się zagoi? Męczyła króla od lat, od czasu przykrego wypadku, który się zdarzył w trakcie turnieju. To, że król przeżył, zakrawało na cud. Początkowo nie zdawano sobie sprawy z powagi sytuacji. Nikt nie zauważył, że lanca przeciwnika wbiła się bardzo głęboko w udo króla. Dopiero gorączka, która potem nastąpiła, majaczenia i utrata przytomności objawiły prawdziwą naturę zranienia. Zastosowano wówczas najnowsze zdobycze medycyny od pijawek przez upuszczanie krwi do magicznych maści i żarliwych modlitw. Wszystko na nic. Rana się nie goiła...

Król odchrząknął — z niecierpliwości lub bólu, tego medyk wołał nie dociekać.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Wasza królewska mość?

Król uśmiechnął się, bo poznał głos.

- Wejdz, Suffolk, wejdz.

Drzwi otwarły się na oścież i do komnaty wszedł Charles Brandon.

- Najjaśniejszy panie... - Skłonił się nisko.

Henryk dał mu znak, żeby się podniósł.

- Wystarczy, Suffolk. Lepiej powiedz, czy ona przybyła? — Drżał z niecierpliwości jak dziecko.

- Tak, najjaśniejszy panie. - Suffolk się wyprostował. - Przybyła i zaraz omdlała.

- Omdlała?

- Tak - odparł z trudem hamując śmiech. — Omdlała prosto w moje ramiona, miłoścywio panie.

- Do stu tysięcy piorunów, Charles, to wcale nie jest zabawne. — Uderzył medyka w plecy. - Dość, zejdź mi z oczu! - Medyk gorliwie spełnił polecenie. — Myślisz, że zachorzała na to samo co Hamilton? - Król ciężko opadł na krzesło. Zdrową nogą kopnął podnóżek, który przeleciał przez komnatę, uderzył w ścianę wyłożoną dębową boazerią i przewrócił się.

LABIRYNT

— Nie wiem, wasza miłość. Odpoczywa w komnatach po drugiej stronie dziedzica.

— Ajajaj - zmartwił się król. — A my wolelibyśmy, żeby odpoczywała w tej tutaj komnacie. - Chrząknął i zacisnął pięść. A potem uśmiechnął się. — Omdlała - mruknął.

— Straciła przytomność, wasza miłość — potwierdził Suffolk.

- Ha! Kolejny żart, co, Suffolk? - Król sięgnął po złote naczynie z brzoskwiniami, gestem zaproponował jedną Suffolkowi, który pokręcił głową. - Nie ma jakichś wiadomości o Hamiltonie?

- spytał monarcha i ugryzł owoc. Po jego rudej brodzie spłynął sok.

- Bez niego będziemy się tu bardzo nudzili.

- Katarzyna Howard powiada, że jeszcze jest niezdrów, wasza wysokość.

- Katarzyna Howard, powiadasz? - spytał król i stękając poprawił się na krześle. — Dopilnuj, żeby ta Howard siedziała przy naszym stole, co, Suffolk? Bez Hamiltona i Deanie będzie tu bardzo trudno znaleźć jakąś rozrywkę.

Suffolk skłonił się głęboko i opuścił komnatę. Czuł, że coś jest nie w porządku, ale zanim powie o tym królowi, musi się dowiedzieć, co to takiego.

Było już dobrze po północy. Gdzieś w pobliżu tykał zegar, ale nie taki duży jak w Hampton, mniejszy. Tykanie było cichsze, delikatne.

Deanie trwała w swym niewygodnym stroju. Nie miała odwagi się rozebrać; bała się, że potem nie potrafi się sama ubrać. Tego wieczora wciąż komuś odmawiała, to miłym usłużnym pokojówkom, to zatroskanym Cecyli i Katarzynie, które liczyły, że Deanie już wydobrzała i weźmie udział w kolacji z królem, na co ją gorąco namawiały. Kiedy dla wszystkich stało się jasne, że Deanie nie opuści swej komnaty, przyniesiono jej pod drzwi srebrną tacę ze smakołykami.

Króla zobaczyła w oknie po drugiej stronie dziedzica. Wyrzała i od razu na niego trafiła. Podglądał ją, w przeciwnym razie nie cofnąłby się tak szybko.

Mimo przestronnej komnaty Deanie tęskniła za Hampton. Nie tylko z powodu Kita; również z powodu tamtejszych wygódek, ubikacji, z których nieczystości spływały rurami do rzeki. Tu nie było takich luksusów.

Było tuż po północy, kiedy Deanie uznała, że to odpowiednia pora. Musi teraz wyjechać, póki wokół panuje cisza i zanim wróci Cromwell. Czowała się pewnie i bezpiecznie w tym niskim pomieszczeniu, kiedy szła bezszelestnie ku drzwiom. Bojąc się, że świeca zwróciłaby czyjaś uwagę, zrezygnowała z niej.

Drzwi przy otwieraniu zaskrzypiały; Deanie znieruchomiała i wstrzymała oddech. Jej plan był prosty: weźmie konia i pojedzie do Hampton. Jeśli będzie się trzymać brzegu Tamizy, dotrze tam za kilka godzin. Dowie się, co z Kitem, jak się czuje i czy ma dobrą opiekę, a przed świtem wróci do Richmond.

O mały włos wpadłaby na służącego. W porę jednak cofnęła się i odczekała, póki nie zniknął w innych drzwiach. Jej ciemny, ozdobny adamaszkowy płaszcz z kapturem strasznie szeleścił, gdy szła. Ależ miałam głupi pomysł, wyrzucała sobie, bo płaszcz hałasował jak alarm samochodowy.

Weiskając się w mury obesła na palcach dziedziniec. W miękkich pantoflach poruszała się bezgłośnie. Nie wszyscy spali; w niektórych oknach widać było pełgające światło świec. Znalazłszy się za rogiem Deanie usłyszała rżenie i parskanie koni w stajniach.

Stajnie były oświetlone przez wielkie pochodnie zatknięte na murach. Zanim weszła do środka, przystanęła, zastanawiając się, jak to zrobić, żeby konie nie narobiły hałasu.

Kucnąwszy zaczęła się przemykać wzdłuż boksów dla koni. Szukała klaczy, na której tu przyjechała, łagodnego stworzenia o imieniu Fancy. Łatwiej oczywiście byłoby pójść do Hampton piechotą, ale nie zdążyłaby wrócić przed świtem.

Fancy z derką na grzbiecie stała w trzecim boksie. Deanie otworzyła furtkę ze skrzypiącego skobla.

- Fancy - szepnęła i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać jej aksamitny nos. - Co powiesz na przejażdżkę do Hampton?

Z ciemności wynurzyła się czyjaś okazała sylwetka.

LABIRYNT

— Witam, hrabianko, i jeszcze raz pytam, czy nie potrzebujesz mojej pomocy? - Był to Charles Brandon w tym samym kolorowym brokatowym kaftanie, co wcześniej. Złapał ją za nadgarstek.

Na dźwięk jego głosu Deanie podskoczyła jak oparzona i wytrzeszczyła oczy. Jak wytłumaczy swą obecność w stajni?

- Muszę przyznać - ciągnął Brandon spokojnie - że się ubawiłem, gdy wypatrywałaś, pani, któredy odprowadzają konie do stajni. A jak się teraz czujesz?

- Witam. - Deanie obdarzyła go uśmiechem zbyt zuchwałym jak na tę porę i okoliczności. — Czuję się znacznie lepiej, dziękuję. Pomyślałam sobie, że zobaczę, jak ma się moja klacz. Wydawała się trochę... jak by to powiedzieć... słaba.

— Rozumiem — rzekł Suffolk puszczając jej nadgarstek. — Wydaje mi się jednak, że coś pomyliłaś? To pani, nie klacz, omdlała dziś w moich ramionach.

Deanie odchrząknęła i ściślej opatulila się płaszczem.

- Spytałam jaśniej - nie dawał za wygraną. - Co panią tu sprowadza? - Uprzedził jej odpowiedź unosząc swą dużą dłoń. — Proszę nie udawać niewiniątka. Słyszałem twe słowa, pani. Wybierasz się do Hampton.

Deanie znieruchomiała. A potem zrezygnowana oparła się o ścianę i cicho zaklęła. Suffolk uśmiechnął się.

— Tak lepiej. Przynajmniej jesteś, pani, szczerą. Proszę mi powiedzieć, o co tu chodzi.

Gestem wyrażającym zmęczenie potarła oczy.

— Martwię się o Kita. Chciałam pojechać do niego na kilka minut i sprawdzić, jak się czuje. Tylko na kilka minut, słowo honoru. Miałam nadzieję, że uda mi się wrócić przed wschodem słońca. Nikt by się nawet nie domyślił, że dokądś jeździłam.

- Rozumiem - rzekł Suffolk. Przyglądał jej się w milczeniu. Miała bladą twarz. - A na co zachorzał książę?

Klacz stanęła dęba. Nim Deanie zdążyła odpowiedzieć na pytanie, Suffolk otworzył drzwi boksu i wypchnął ją na zewnątrz, poza zasięg kopyt Fancy.

—Pozwól, że ci zadam jeszcze jedno pytanie - kontynuował, krzyżując ręce na piersiach. - Czy Cromwell ma coś wspólnego z chorobą Hamiltona?

Deanie spojrzała na niego bystro. Miała już stanowczo zaprzeczyć, kiedy coś w wyrazie twarzy Suffolka sprawiło, że zmieniła zamiar. Okłamywać człowieka, który zdawał się czytać w jej myślach? Toż to bez sensu. W milczeniu skinęła głową.

Suffolk zmienił się na twarzy.

—Tfu, niech go piekło pochłonie! - Splunął. - Tego się obawiałem. - Odszedł kilka kroków. - Cromwell to straszna kanalia - powiedział. - Król pozwala mu się panoszyć, bo nie ma rzeczy, której Cromwell by dla niego nie zrobił. Władza demoralizuje.

—A władza absolutna demoralizuje w sposób absolutny — mruknęła Deanie.

Suffolk odwrócił się do niej gwałtownie.

—Masz rację, pani. Skąd o tym wiesz?

—O, chyba z teleturnieju „Wszystko albo nic”. Zmarszczył czoło nic nie rozumiejąc. Potem dotknął jej ramienia.

—Grozi ci, pani, jakieś niebezpieczeństwo? - spytał zatroskany.

Skinęła głową.

—Pomożesz mi, panie, dostać się do niego?

— Nie. Chyba że otrzymam więcej informacji. Dlaczego Cromwell to zrobił? Przecież wie, że księżę jest ulubieńcem króla. Krzywdząc Hamiltona wiele ryzykował.

Deanie zawahała się. Nie miała żadnej pewności, że Suffolk nie współpracuje z Cromwellem.

— Jeśli mi, waćpanna, nie powiesz, pójdę z tym do króla

— zagroził cicho.

— Nie! - zawołała szeptem. — Proszę. — Deanie zrozumiała, że

nie ma innego wyboru, jak zaufać Suffolkowi. - Cromwell chce, żebym została nałożnicą króla. A nawet królową. Mam mu zapewnić względy u króla. Jeśli tego nie zrobię, zabije Kita.

. — Ale ja myślałam... — zaczął Suffolk potrząsając głową.

- Przecież sama pani powiedziałaś królowi, że może przyjść do twej komnaty. Nie tak?

LABIRYNT

- Nie. Ja go źle rozumiiałam. Widzisz, panie, tam, skąd pochodzę...

- W Walii? - podpowiedział jej Suffolk.

- Właśnie, w Walii, są inne zwyczajy. Nie wiedziaiałam, co robię. Zaszło nieporozumienie.

Suffolk znowu skrzyżował ręce na piersiach.

- Dla kobiety to wielki zaszczyt zostać wybranką króla.

- Och, nie!

Suffolk milczał. Czując obecność ludzi w stajni konie zrobiły się niespokojne, kopały kopytami w ściany boksów.

- Powiedz mi, pani - odezwał się znowu Suffolk — kochasz innego, prawda?

- Prawda - odparła słabym głósikiem.

- Księcia Hamiltona?

- Tak — szepnęła.

Przez długą chwilę żadne z nich nic nie mówiło. W końcu Suffolk chwycił ją silnie za ramię. Deanie jęknęła, bo była pewna, że zaprowadzi ją do króla.

Ale gdy wyszli ze stajni, pociągnął w przeciwną stronę niż pałac.

- Dokąd mnie prowadzisz? - spytała zdyszana, gdy zbliżyli się do lasu.

- Nie ma dość czasu, żeby pojechać konno do Hampton i z powrotem — syknął — a poza rym nie byłoby to bezpieczne, bo po drogach kręci się wielu rozbójników.

- To co zrobimy?

- Popłyniemy łódką. Pośpieszmy się.

Poruszał się w tempie i z energią, o jakie by go nie posądziła. Tak, Kit mówił, że Suffolk w swoim czasie dzielnie poczynał sobie w turniejach i był świetnym jeźdźcem, jedynym człowiekiem, który mógł równać się z królem. Przypomniała sobie to wszystko, kiedy prawie biegli przez las. Suffolk odzyskał młodzieńczą werwę.

Wreszcie dotarli do Tamizy. Suffolk dał garść monet przewoźnikowi i pomógł Deanie wsiąść do kołyszającej się łódzi. Zanim przysła do siebie po biegu przez las, byli już daleko; Suffolk sapiąc z wysiłku popychał do przodu łódź długim drągiem.

- Dlaczego mi pan pomaga? — spytała i przypomniała sobie, że identyczne pytanie niedawno zadała Kitowi.

Suffolk nie odpowiadał. Deanie doszła do wniosku, że plusk wody zagłuszył jej głos.

- Czy wiesz, waćpanna, że byłem mężem siostry króla, Marii? - odezwał się wreszcie Suffolk. Deanie pokręciła głową, ale Suffolk nie mógł tego widzieć. W ciemnościach wydawało się, że drzewa, obok których przepływali, rosną w powietrzu. - Król wysłał mnie po Marię do Paryża, gdy zmarł jej mąż, król Francji. Był zgrzybiałym starcem. - Suffolk roześmiał się. - Starzec. Miał tyle lat, co ja dzisiaj. Maria była bardzo urodziwa. Zanim została królową Francji, była najpiękniejszą damą dworu. Miałem przywieźć ją do Anglii, gdzie czekało ją następne małżeństwo, kolejny kontrakt dyplomatyczny. Łkając na moim ramieniu wyznała mi miłość.

- I przywiozłeś ją do domu? Poślubiła innego? - na chwilę Deanie zapomniała o swych własnych kłopotach.

- Nie. Wzięliśmy ślub w Paryżu w 1514 roku.

- Jak romantycznie — westchnęła Deanie i oparła się plecami o łódź.

- Bardzo. Król nam przebaczył, bo sam wtedy jeszcze był młody. Ale Maria nie dokonała dobrego wyboru. Buzował we mnie ogień i nie należałem do wiernych mężów. Ale ona była dobrą żoną. Pozostaliśmy małżeństwem do jej śmierci, od której w czerwcu minie siedem lat. Nieszczęśliwa niewiasta. Jakaż była piękna jako młoda dziewczyna. Włosy miała czarne jak noc, a w oczach zapalały się ogniki.

Deanie zamknęła oczy i spróbowała sobie wyobrazić tego Henryka w młodym wieku, pękatego Suffolka jako przystojnego mężczyznę. Obaj kochali zapamiętane. Dwóch takich zabijaków, którym do głowy uderzyły władza i zaszczyty, musiało wprowadzać nie lada zamęt.

Z rozmyślań wyrwał ją głos Suffolka.

- Pani...

- Tak?

LABIRYNT

- Ona wyglądała jak waćpanna - rzekł sucho. - Moja Maria była do ciebie podobna.

Reszta podróży przebiegła w milczeniu. Ciszę przerywał tylko plusk wody, gdy pruli łodzią rzekę.

Stojąc za fosą Deanie patrzyła na ogromny pałac Hampton. Zwalczywszy pokusę, żeby pobiec z powrotem do łodzi, w której został Suffolk, odrzuciła kaptur na plecy i potrząsnęła włosami. Spojrzała bacznie za mały most.

Właściwie nie była to fosa, lecz strumyk. Budowniczem Hampton Court, kardynałowi Wolseyowi marzyła się fosa z prawdziwego zdarzenia, skończyło się jednak na strumyku.

Za bramy wyłonił się strażnik.

- Hej! Kto idzie?

Deanie domyśliła się, że pod nieobecność króla dyscyplina w pałacu jest dość rozluźniona. Może król nawet liczył na to, że ktoś napadnie na pałac i uprowadzi królową Annę? Rozwiązałoby mu to mnóstwo problemów.

Odchrząknęła.

- To ja. Hrabianka Deanie Bailey. Przybyłam w odwiedziny do kuzyna, księcia Hamiltona. — Zdała sobie sprawę, że odwiedzanie kuzyna o trzeciej rano wygląda strasznie głupio.

Strażnik chwycił pochodnię i zbliżył się ostrożnie. Krzywiąc się obejrzał ją w pomarańczowym świetle. Ale nie zadawał więcej pytań.

- Proszę wejść - mruknął. Jego oddech ostro zalaatywał winem.

W milczeniu prowadził ją przez dziedzińce. Deanie strasznie chciała go spytać o stan Kita, ale bała się, co może usłyszeć w odpowiedzi.

- Tędy i na lewo. Królowa się nim opiekuje — rzekł i odszedł.

Na murach było mniej pochodni niż zwykle - objaw dziwnej oszczędności króla. Wokół panowała cisza. Deanie zobaczyła, że jedne drzwi po lewej stronie hallu są otwarte.

Weszła powoli. Na środku niewielkiej komnaty oświetlonej pojedynczą świecą stało łóżko, a na nim ktoś leżał.

- Kit?

Nie było odpowiedzi. Obok łóżka stało krzesło; Deanie zrzuciła z ramion pelerynę i przysiadła. Krzesło zatrzeszczało. Sięgnęła po świecę i zbliżyła ją do twarzy osoby na łóżku.

To był Kit. Leżał zupełnie nieruchomo i Deanie przestraszyła się, że nie żyje.

Drżącą ręką dotknęła jego czoła, które było gorące i suche. Potargane ciemne włosy leżały rozrzucone na poduszce. Rana na czole była oczyszczona, a w każdym razie wytarta. Wodząc palcem po szczupłym policzku Deanie poczuła, że powyżej baczków temperatura ciała jest wyższa.

- Kit, to ja, Deanie - wyszeptwała, mając nadzieję, że w jej głosie nie słychać strachu. Żadnej reakcji.

W komnacie panował szczególnie zapach, piżmowy, duszący. Deanie rozejrzała się po komnacie, ale nie odkryła jego źródła. Spojrzała znowu na Kita, dotknęła pasma jego włosów. Nie miał na sobie dubletu. Spod narzuty wyzierała brudna, zakrwawiona koszula.

- Jestem tu, Kit - szepnęła mu do ucha. Kiedy się nachyliła, stwierdziła, że dziwny zapach przybrał na sile. Pociągnęła nosem i doszła do wniosku, że zapach ten wydobywa się spod jego koszuli. Ostrożnie ją rozwiązała. Przez chwilę przyglądała się, jak jego piersь podnosi się i opada w rytm szybkich, płytkich oddechów.

Nagle poczuła się zakłopotana, zrobiło jej się głupio, że rozwiązuje mu koszulę, kiedy jest nieprzytomny. Miał szeroką, muskularną piersь, czego się spodziewała, bo pamiętała, jak ją przytulał. Nie spodziewała się jednak włosów na piersiach, czarnych kędziorów. Dotknęła ich i szybko cofnęła dłoń. Nie miała prawa, tak nie wolno. Ale dotknięcie sprawiło jej wielką przyjemność. Nawet kiedy spał, emanowała z niego jakaś siła.

Wtem jej wzrok padł na ranę.

Musiała zasłonić dłonią usta, żeby nie krzyknąć. We wgłębieniu jego szyi, tam gdzie człowiek Cromwella dwukrotnie ugodził go tym czymś podobnym do siekiery, ziała wielka rana. Ma złamany obojczyk, pomyślała, bo prawe ramię było nienaturalnie odchylone.

LABIRYNT

Do poszarpanych brzegów rany, na których krew zdążyła już zaschnąć, przyłożono szmatki, a sama rana posmarowana była błyszczącą w świetle świecy maścią, od której rozchodził się ów dziwny zapach. Deanie dotknęła tej mazi opuszką palca. Z bliska maść wyglądała na brudną. Trucizna? Może to była robota Cromwella, żeby wykończyć Kita?

Sięgnęła po pelerynę i użyła jej jak ręcznika. Wytarła nią tyle, ile mogła. Część maści była zbyt mocno wtarta w ranę, żeby można ją usunąć nie sprawiając mu bólu. Przy tym oświetleniu trudno było stwierdzić, czy oczyściła ranę wystarczająco dobrze. Na stole stała miska z wodą, ale Deanie nie miała odwagi jej użyć, skoro nie była przegotowana.

Spojrzała na jego twarz. Te silne rysy, takie wrażliwe, sprawiły, że poczuła nagle determinację, której przedtem jej brakowało. Teraz Deanie miała cel — sprawić, żeby wydobrzał. Nachyliła się nad jego twarzą, przyjrzała mu się z bliska i pocałowała w policzek. Bokobrody drapały, skóra była nienaturalnie gorąca, ale to wszystko.

Zapomniała o Bożym świecie, kiedy tak przy nim siedziała, szeptała, głaskała po włosach. Raz zobaczyła, że poruszył grdyką, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale milczał.

Przez całe życie nie zrobiła nic ważnego. Teraz musi uratować życie najwspanialszemu człowiekowi, jakiego знаła.

Dokona tego.

Spojrzała przez okno. Rozjaśniło się; niebo nie było już takie czarne jak smoła, lecz szare.

Do komnaty zająztał Suffolk. Nie słyszała, jak nadszedł, ale nie podskoczyła na dźwięk jego głosu.

- Musimy wracać, pani - powiedział — w przeciwnym razie nie zdążymy dopłynąć przed świtem. - Spojrzał na Kita, na ranę na jego szyi. — Przekleństwo. — Dotknął czoła Kita. — Gorączka go trawi.

- Wiem — szepnęła, nie odrywając wzroku od twarzy Kita. Uniosła jego lewą ręką, przycisnęła do niej wargi, a potem przytuliła do policzka.

Jego palce musnęły ją po policzku.

- Tak — szepnęła łamiącym się głosem. — Nie możesz mówić, ale wiesz, że tu jestem. Nie opuszczę cię, Kit. Nie odejdę.

Suffolk powoli wycofał się ku drzwiom.

- Ja wracam, pani - oznajmił szorstko. - Proszę życzyć mi szczęścia, bo zanim dotrę do Richmond, muszę wymyślić jakąś bajkę zarówno dla króla, jak i dla Cromwella.

- Hrabianko, hrabianko!

Deanie znajdowała się na krawędzi snu, głębokiego, twardego snu. Głos, który wołał ją z oddali, miał dziwny akcent. Spała siedząc na krześle, pochylona na łóżkiem. W pierwszej chwili pomyślała, że zasnęła w pokoju hotelowym przed telewizorem, a na ekranie leciał właśnie stary film z Elke Sommer, której niemiecki akcent sprawiał, że wszyscy inni wydawali się tacy nudni, bezbarwni;

- Obudź się - powiedział błagalnie głos.

Deanie otworzyła oczy i od razu wiedziała, gdzie się znajduje. Jej ramienia nieśmiało, z wahaniem dotykała królowa Anna Kliwijaska.

- Wasza wysokość! - krzyknęła Deanie i zerwała się na równe nogi. Nie wypuszczając ręki Kita spróbowała równocześnie się uklonić. Niezbyt jej to wyszło.

Królowa Anna dała jej znać, żeby zrezygnowała z ukłonu i usiadła.

- Jak księżę sze ma? Lepiej? - Królowa ubrana była z cudzoziemska w szaty złotolite, obwieszone klejnotami; kanciaste nakrycie głowy miało kształt latawca.

Deanie spojrzała na Kita. W porannym świetle wyglądał jeszcze bladej.

- Mój medyk z Kliwii opatrzył mu rany. - Królowa wyciągnęła dłoń i dotknęła czoła Kita. Odurzona silnym zapachem monarchini Deanie wstrzymała oddech. - Topsze. Gorączka spada. - Królowa kiwnęła głową.

- Medyk opatrzył mu rany, wasza wysokość?

- Tak. Księżę ma złamana koszcz. Tutaj — powiedziała królowa

wskazując na obojczyk Kita. — Ta koszcz sie rusza, kiedy on oddycha. Doktor Cornelius zrobił maszcz na ranę - zakończyła z dumą.

- Och, dziękuję — powiedziała Deanie, a równocześnie zauważyła, że Kit usiłuje poruszyć głową. Miała już spytać, z czego była ta maść, kiedy królowa rozejrzała się po komnacie i spytała:

- Czy jesteźmy same? — Dla pewności przejechała czubkiem stopy pod łóżkiem. Ciężka szata uniemożliwiała jej schylenie się.

Deanie przytaknęła i królowa przyciągnęła dla siebie krzesło, którego Deanie przedtem nie zauważyła, i usiadła.

- Englebert kazał im wyjechać, ale ja boi się, że wrócą.

- Kim jest Englebert? — spytała oszołomiona Deanie.

- Mój człowiek, Englebert. Z Kliwii, gdzie ja bycz mała dziewczynka. - Uniosła dłoń na wysokość metra z kawałkiem. Deanie nie była pewna, czy tyle liczyła sobie królowa, kiedy była dziewczynką, czy Englebert jako dorosły mężczyzna. — Oni chciał zostac, ale Englebert mówi, nie, oni nie zostac.

Deanie zamierzała spytać królową, kto chciał zostac, ale nagle doznała olśnienia.

- Ludzie Cromwella, tak? Wasza wysokość mówi o ludziach Cromwella?

Królowa przytaknęła skwapliwie.

- Oni mówią „my tu zostac”. To ludzie Cromwella, nie króla. Englebert mówi: „my spytamy króla”. I ludzie Cromwella prędko wyjechac.

Deanie w zamyśleniu potarła kciukiem rękę Kita. Ręka była silna i pewna.

- Najjaśniejsza pani — szepnęła - ten Englebert to fajny facet. Na miejscu waszej wysokości trzymałabym go blisko przy sobie.

-Ja- zgodziła się królowa - ja trzymam Engleberta blisko przy sobie.

Deanie odwróciła głowę i zamyśliła się. Małżonka króla patrzyła na Kita z nie ukrywaną troską. Jej szeroka, płaska dłoń musnęła jego czoło.

- Gorączka spada, tak?

- Tak sądzę - przytaknęła Deanie. - W każdym razie taką mam nadzieję.

- Doktor Cornelius niebawem przyjdzie i upuści mu krwi.
- Nie - zaprotestowała Deanie starając się nie krzyknąć. - To nie jest najlepszy pomysł. Zastanawiam się, gdzie by tu wygotować bandażę. Zmieniłabym mu ten brudny opatrunek.

Królowa cmoknęła i powiedziała:

- O, doktor Cornelius zna sze na chorobach. On zaraz upuści krew księciu. Wysłał już po najlepszych balwierzy.

Deanie wyprostowała się gwałtownie.

- Po balwierzy? To dobrze, bo ten zarost na pewno mu przeszkadza. Dobrze zrobią, jeśli go ogolą. Będą mieli coś do roboty i wszyscy będą zadowoleni, prawda?

Królowa spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- Doktor Cornelius mówi, trzeba księciu upuścić krwi.

- A ja mówię, że zgolimy mu bokobrody. Umówmy się tak. Najjaśniejsza pani zostawi mnie samą z cyrulikami, a ja ich przekonam, żeby go ogolili, zamiast upuszczać mu krwi. Okey?

Oczy królowej Zwężyły się, ale wargi wykrzywiły się w uśmiechu,.

- Okey.

Deanie, wciąż uśmiechnięta, schyliła się znowu nad Kitem. Królowa natomiast założyła ręce i przez następną godzinę powtarzała nowo poznane słowa „fajny facet” i „okey”.

Znowu śnił. Innego wyjaśnienia nie znajdował. Wziął głęboki oddech, żeby wytrzymać ból. Bolała go głowa, bolało go ramię, czuł się, jak gdyby przepuszczono go przez maszynkę do mięsa.

Nad jego głową ciągle toczyły się jakieś rozmowy prowadzone gardłowymi głosami. Ale tym razem doszedł nowy głos kobiecy, delikatny, niemal wesoły. Nie, nie śmiała się. Wymowę miała amerykańską, tak, to jankeska. Nie, nie jankeska, Amerykanka, z Południa. Mówiła bardziej chrapliwie niż Vivien Leigh w tym nowym filmie *Przeminęło z wiatrem*. Kiedyś widział Vivien Leigh na scenie. Zresztą nieraz. Nazywali ją „pięknością nocy”. Była pięknnością. Z dużymi dłońmi. Jak na taką drobną kobietę miała wyjątkowo duże dłonie.

LABIRYNT

Dłonie gładzące go po twarzy były małe, lekkie. Dotykowi towarzyszył szept: „Nie opuszczę cię, Kit. Wiem, że mnie słyszysz. Nigdy cię nie opuszczę”. Czy wyobraził sobie tę śliczną twarz mokrą od łez. Płakała z jego powodu?

Deanie. Oczywiście. Jak mógł zapomnieć!

Wziął głęboki oddech. Słyszał było, jakby nabrał w płuca nie wiadomo ile powietrza, ale wciąż było mu mało. Wciąż było mu duszno.

Teraz poczuł na twarzy jakieś inne dłonie. Te były twarde, męskie. I usłyszał odgłos drapania. Znał to. Ach, tak, golono go. Chciał coś powiedzieć, chciał powiedzieć: „niepotrzebne mi golenie, lecz powietrze!”, ale nie mógł.

Jeszcze coś innego się tu działo. Deanie mówiła coś przymilnym tonem. Spróbował otworzyć oczy, na próżno.

— Obiecuję. - Teraz się śmiała, a on wyobrażał sobie jej uśmiechniętą twarz, oczy. Boże, jak chciał ją zobaczyć. — Okey, podejdźcie tutaj — powiedziała i rozległo się niepewne szuranie nogami. Poszli za nią w kąt komnaty, z dala od jego łóżka.

Przez chwilę panowała cisza. Potem rozległ się plusk wody, przesunięto krzesło. I znowu cisza.

- Jejku! - krzyknęła.

Trzeba jej pomóc. Co ci barbarzyńcy jej robili?

Inny głos kobiecy spytał:

- Okey?

Z największym trudem uniósł powieki. Zamazany świat tańczył mu przed oczyma. Mrużąc je dojrzał Deanie w otoczeniu gromady balwierzy cyrulików. Nachylali się nad nią, ich peleryny tworzyły namiot. Kiwając głowami prowadzili poważną rozmowę stłumionymi głosami. Któryś z balwierzy w jednej wielkiej dłoni trzymał duży zakrecony nóż, w drugiej długą, szczupłą gołą nogę Deanie.

Przywodziło to na myśl scenę poświęcenia zwierzęcia przez pogan. Kit usiłował krzyknąć, spłoszyć tamtych, żeby Deanie mogła uciec, ale ona nagle odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

— Nie, nie żartuję - powiedziała. — Tam, skąd jestem, wszystkie panie gołą sobie nogi. Nie macie pojęcia, jakie to przyjemne uczucie.

Królowa przytaknęła.

- Okey. Oni nie upuszczacz księciu krwi, jeśli ty dotrzyma słowa. Okey?

Kit zamknął oczy.

- Doskonale - odparła Deanie, a w głosie jej zabrzmiała ulga.

- Doskonale. Niech zostawią go w spokoju, to pozwolę golić sobie nogi, ilekroć przyjdzie im na to ochota.

Z jednej strony Kita rozbawił zuchwały pomysł tej szalonej kobiety. Poradziła sobie z całym cechem balwierzy cyrulików!

Z drugiej strony, był tak wyczerpany niedawnymi przejściami, że chciało mu się płakać.

Ale nie roześmiał się ani nie rozplakał, tylko zasnął.

9

Jak to „nie ma jej ? - wykrzyknął król. Jego dobry humor nagle gdzieś się podział.

Charles Brandon, księżę Suffolk, zawahał się. Sądząc po czerwonej twarzy króla, bardziej go złościła nieobecność pięknej dziewczyny niż nieposłuszeństwo poddanego.

— Hrabianka Deanie bała się zarazić chorobą miłościwego pana. Po tym jak omdlała tu, w Richmond, jej pierwszą myślą po odzyskaniu zmysłów było zdrowie króla. Ubłagała mnie, żebym pomógł jej wrócić czym prędzej do Hampton, gdzie może zająć się pielęgnowaniem swego kuzyna, a zarazem uchroni króla przed poniesieniem uszczerbku na zdrowiu.

Król spojrzął na swój kaftan wysadzany klejnotami, skrzywił się i prychnął. Włożył go dla niej, włożył go dla pięknej Deanie, a ona wyjechała. Chętnie skopałby teraz jakieś zwierzę, niestety w pobliżu nie było żadnego psa. Stał na szeroko rozstawionych nogach, trzymał się pod boki, jak gdyby zapewniał Suffolka o swej ogromnej władzy.

Wreszcie doszło go, co powiedział Suffolk.

- Troszczyła się o moje zdrowie. - Powiedział to tonem proklamacji, nie dając Suffolkowi szansy na sprostowanie.

- Zaiste, tak było - potwierdził Suffolk. - Widziałem Hamiltona na własne oczy, wasza królewska mość, jego choroba nie wygląda na zarazę.

Król pokiwał głową i podszedł dziarsko do okna. Stojąc plecami do Suffolka, kiwał się przenosząc ciężar ciała z pięt na palce z zadziwiającą sprężystością jak na człowieka jego tuszy.

- Zatem jaka choroba zatrzymała Hamiltona w Hampton? To krzepki młodzian. Nigdy jeszcze nie powaliła go żadna niemoc ani zranienie - sondował niby od niechcenia. Wyraźnie podejrzewał coś innego niż zwykłą zarazę lub gorączkę.

Suffolka już dawno przestała dziwić łatwość, z jaką król potrafi przejść sytuację. Przy całej swej rubasznosci król Henryk był bystrym znawcą ludzi. Aby kogoś ocenić, wystarczyła mu krótka rozmowa, a raz podjętej decyzji nic już nie mogło zmienić. Chyba że, oczywiście, zmiana decyzji mogła przynieść pożytek jego sprawie, cokolwiek to było. W tej chwili Henryk miał w głowie tylko jedno - znalezienie nowej żony. Suffolk na podstawie długiego, ciężko zdobytego doświadczenia, wiedział, że nic Henryka nie zwiedzie, z raz obranej drogi.

- Wyjechałem z Hampton o brzasku, wasza królewska mość, kiedy wszyscy jeszcze spali. Nie wiem, co sądzą o jego niemocy medycy, i swojej opinii nie opieram na ich słowach - powiedział cicho Suffolk, starannie dobierając słowa. - Wiem tylko, że hrabianka Deanie jest teraz w wyśmienitym zdrowiu, a wczorajsza niemoc była spowodowana długą podróżą w słońcu. Hrabianka Deanie bardzo troszczy się o króla i o swego kuzyna.

- W takiej kolejności? - spytał Henryk.

- Tak myślę, najjaśniejszy panie — odparł Suffolk spokojnie. Chciał opowiedzieć o rym, jak Cromwell przyczynił się do stanu Hamiltona, ale to wymagałoby wyjaśnienia, co wiąże Deanie z Hamiltonem. Może gdy królowi przejdzie namiętność do niej, będzie można mu o tym powiedzieć. Wy tłumaczy mu się to spokojnie, taktownie. Ale nie teraz.

Henryk odwrócił się do Suffolka, żeby o coś spytać, ale w tej samej chwili drzwi otwały się z impetem i do komnaty wszedł

LABIRYNT

zabłocony i zakurzony po długiej podróży Cromwell. Skłonił się, a peleryna wyrzuciła się za nim jak spadochron. Nawet na brwiach miał grudki błota.

- Najjaśniejszy panie... — zaczął i wtedy dostrzegł Suffolka.
- O, Suffolk! — Skinął głową. Było to bardziej stwierdzenie obecności księcia niż powitanie.

Suffolk przez chwilę walczył z pokusą, żeby oskarżyć Cromwella przed królem o napad na Hamiltona i szantażowanie Deanie. Ale rozmyślił się.

- Witam, Essex - rzekł oschle.

Król skrzyżował ręce na piersiach.

- Nie słyszałem pukania, Essex.

Przez moment na szerokiej twarzy Cromwella malowało się wielkie zakłopotanie. Nie wiedział, jak się zachować. Od ośmiu lat wchodził bez pukania do komnaty króla. A tu nie dość, że musiał się przebrać za zwykłego sługę, to jeszcze spotkała go reprimenda. Dlaczego?

- Śpieszyłem się, żeby jak najrychlej zakomunikować waszej królewskiej mości pewną wiadomość — powiedział nadrabiając miną. Czy król wiedział? W jego wyniosłej postawie, nieruchomym spojrzeniu było coś bardzo niepokojącego. - Biskupi trzech hrabstw, Winchester, Durham i York, przyznają, że istnieją powody do unieważnienia małżeństwa waszej królewskiej mości. Ponieważ Bóg jak dotąd tego związku nie pobłogosławił, król powinien zostać od niego uwolniony, aby móc znaleźć żonę, która snadniej przypadnie mu do gustu, żonę, która da mu owoc ku ogólnej radości i pożytkowi.

Cromwell się spodziewał, że król teraz weźmie go w niedźwiedzie objęcia lub poklepie radośnie po plecach, ale nic takiego się nie stało.

- Wieczorem udamy się do Hampton - powiedział król po chwili milczenia. Powiedział to chyba do Suffolka, choć nie odrywał wzroku od Cromwella.

- Do Hampton, najjaśniejszy panie? - zdumiał się Cromwell.
- Przecież dopiero wczoraj wyjechaliśmy z Hampton.
- Doskonale, Essex. - W głosie króla zadźwięczał jakiś nieprzyjemny ton. — Widzę, że podróże nie odebrały ci trzeźwości myślenia. Wczoraj wyjechaliśmy z Hampton, a dziś tam wrócimy.

Cromwell zagryzł wargi.

- Jak sobie życzysz, najjaśniejszy panie. Zaraz rozkażę dworzanom, aby...

- Nie— uciał król ani drgnąwszy. - Nie trzeba, Essex. Książę Norfolk poradzi sobie ze wszystkim.

- Norfolk? Ależ, najjaśniejszy panie, to zadanie zawsze było moją powinnością. - Cromwell przełknął ślinę. - Norfolk nie wie, co trzeba robić.

- Poradzi sobie — rzekł cicho król tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Ukryta w połach płaszcza dłoń Cromwella zacisnęła się w pięść. Rubinowy sygnet na wskazującym palcu wbił mu się w skórę, zostawiając czerwony ślad, ale Cromwell nic nie poczuł.

- Miłościwy panie. — Zgięty w głębokim ukłonie zaczął wycofywać się z komnaty, czując na sobie palące spojrzenia króla i Suffolka. Pomyślał, że nie może teraz wyjść. — O, panie — uniósł głowę i na jego twarzy rozlał się porozumiewawczy uśmiezek, Często rozmawiał w ten sposób z królem, jak z przyjacielem. — A jak tam hrabianka Deanie? Odpowiada gustom waszej wysokości?

Ale król patrzył na niego lodowato i milczał. Za to odezwał się Suffolk:

- Zali o niczym nie wiesz? Wczoraj w nocy odwiozłem hrabiankę do Hampton, aby mogła doglądać księcia Hamiltona.

- Hamiltona? - zapiszczał Cromwell nie panując nad swym głosem. - To książę Hamilton nie tutaj? Nie miałem pojęcia, że chory.

- Nie powiedziałem, że chory, Essex. - Suffolk zacisnął pięści. Najchętniej zacisnąłby je na tłustej szyi Cromwella.

Cromwell zmrużył chytrze swe małe oczka.

- Nie powiedziałeś, ale ja to odgadłem, Suffolk, bo rzekłeś, że hrabianka Deanie go dogląda. Logiczne myślenie doprowadziło mnie do wniosku, że zachorował.

- Żegnamy, Essex — rzekł król bez zwykłej serdeczności.

Dusząc w sobie wściekłość — na swych ludzi, na Hamiltona,

a przede wszystkim na tę czarownicę Bailey - Cromwell wybiegł z komnaty. Ktoś mi zapłaci za to upokorzenie, pomyślał. Widok odrąbanej głowy poprawi mi samopoczucie. Ktoś gorzko pożałuje, że zabawił się kosztem hrabiego Essex. Z Tomusza Cromwella się nie kpi.

- Kiep, kiep! - królowa Anna klaskała w dłonie z zachwytem.

Błazen upadł, a potem zwinnie podniósł się i otworzył ramiona w oczekiwaniu na aplauz. Zadzwończy dzwoneczki przyłączone do nóg i do rozciągniętej czapki. Królowa roześmiała się i spojrzała na Deanie, cicho siedzącą u jej stóp.

Byli w komnacie królowej, gdzie grali bez końca w „mariażka” i przyglądali się trefnisiowi, który za swe błazeństwa niewątpliwie dostałby medal w programie telewizyjnym „Koiń by się uśmieł”. Deanie myślała jednak tylko o wciąż nieprzytomnym Kicie, leżącym w małej dusznej komnacie na dole, skąd przegonił ją doktor sztuk medycznych Cornelius, obiecując, że osobiście zajmie się księciem.

I to ją właśnie martwiło.

- Ten kiep być okey, nie? - królowa robiła, co tylko mogła, żeby odwrócić myśli Deanie od Kita.

- Tak, wasza wysokość — odparła Deanie siląc się na uśmiech.

- Odjazdowy.

Królowa uniosła wyskubane brwi i wybuchnęła śmiechem.

- Odjazdowy? Muszę zapamiętać to powiedzenie. Podoba mi się. Odjazdowy.

W tej chwili zbliżył się Englebert, lokaj królowej, ze srebrną tacą pełną drobnych ciasteczek. Królowa nabrała garść i zachęciła do tego samego Deanie.

- Ty weź trochę. Przez cały dzień ty nic nie je - nalegała.

- Mój kucharz je robi.

Englebert podstawił tacę Deanie pod nos; musiała zamknąć oczy, żeby nie zwymiotować.

- Nie, dziękuję — wymamrotała. — Smacznie pachną. Czy to pączki?

- Pączki? — zdziwiła się królowa. — Co to pączki?

—Ciastka smażone w tłuszczu. Sprzedawałam je w NashviHe.

Englebert był nie mniej zaintrygowany od królowej. Dopiero gdy Deanie delikatnie odsunęła tacę od twarzy, skłonił się i odszedł.

Lokaj królowej był niskim mężczyzną w średnim wieku o głowie w kształcie pocisku i smolistoczarnych włosach. Poruszał się nigdy nie prostując pleców, ale usługiwał wyłącznie temu, komu chciał. Do królowej był bezgranicznie przywiązany. Widząc, że królowa Anna okazuje Deanie wielką przyjaźń, traktował Deanie z rzadką sympatią.

—Ty pokaże kucharzowi, jak sze robić te ponczki, okey?
- spytała królowa.

Deanie uśmiechnęła się mimo woli.

—Okey - odpowiedziała zmęczonym, zmartwionym głosem.

Trefniś przykoziłkował do ich stóp. Zaczął skubać spódnice Deanie, robiąc przy tym małpie miny. Królowa uważała to za nader zabawne, a nawet Englebert się uśmiechnął.

Zachęcony tym trefniś zaczął szarpać Deanie za kolano. Deanie przełknęła łzy, które ciągle napływały jej do oczu. Najchętniej wróciłaby do nieprzytomnego Kita i siedziała przy jego łóżku. Tymczasem musiała znosić zaczepki okropnego karła, dzwoniącego; kretyńskimi dzwoneczkami przy każdym ruchu głowy.

Wygiął usta w podkówkę i zrobił minę, która oddawała, co czuła; Deanie. Królowa zaklaskała z zachwytu i spojrzała porozumiewawczo na Deanie, która jednak nie podzieliła jej wesołości.

Królowa przerwała klaskanie.

—Dość - powiedziała do trefnisia, na co ten wzruszył ramionami i pokoziołkował pod stół.

Deanie patrzyła na swe dłonie zaciśnięte na fałdach aksamitnej sukni.

—Ty idź do swego kuzyna — rzekła królowa. - Wiesz, dokąd on jest?

Deanie zamrugła oczyma zdezorientowana. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że została zwolniona i że może wrócić na dół. Poczwała ogromną wdzięczność. Impulsywnie przypadła do wielkiej dłoni królowej i ucałowała ją.

LABIRYNT

- Dziękuję — szepnęła. Po czym wstała i złożyła królowej niski ukłon. Był to jej pierwszy prawdziwy ukłon, nie naśladowanie dworskich obyczajów.

Podeszła prędko do drzwi, ale zanim przekroczyła próg, jeszcze raz się ukłoniła. Na twarzy królowej ukazał się delikatny uśmiech, który uczynił ją piękną kobietą. Ale Anna piękna nie była, tylko życzliwa dla otaczającego ją świata.

Kiedy długi tren Deanie zniknął już z pola widzenia, królowa odwróciła się do Engleberta.

- Ta Deanie jest odjazdowa - stwierdziła. Po czym klasnęła w dłonie na trefnisia.

Chwilę trwało, nim oczy Deanie przyzwyczyły się do panującej tu ciemności. Mimo że niewiele widziała, wiedziała, że Kit tu jest. Czowała go, jego obecność, jego istnienie.

Z doktorem minęła się w korytarzu. Miał zatroskaną minę. Mimo że mówił poprawniej po angielsku niż reszta tego towarzystwa, wcale nie było łatwo go zrozumieć.

- Książę ma się lepiej, pani — zaintonował. — Jak mniemam, to dzięki mojej maści. To te zmielone skrzydła pszczele tak pomagają. W jakich okolicznościach odniósł te rany?

Deanie udała, że nie usłyszała pytania.

- Dziękuję, doktorze - wymamrotała w pośpiechu i pobiegła do Kita. Czując na plecach zdziwione spojrzenie medyka, uświadomiła sobie, że nie ma na głowie ani czepca, ani kapturka i włosy swobodnie spadają jej na ramiona.

Znalazłszy się w komnacie Kita, starannie zamknęła za sobą ciężkie, dębowe drzwi, starając się zebrać myśli. Panujący odór podpowiedział jej, że medyk obłożył ranę nową porcją cuchnącej mazi. Spodziewała się tego. W kącie komnaty znalazła czyste paski płótna.

Praczkі pomyślały, że postradała zmysły, kiedy poprosiła je, żeby wygotowały szarpie, jakby to były kości na rosół. Ale posłusznie spełniły jej polecenie, bo taka była wola królowej, która nakazała

służbie robić wszystko, co mogło pomóc księciu Hamiltonowi wrócić do zdrowia.

W komnacie panował mrok. Deanie postanowiła wpuścić trochę słońca i rozsunała ciężkie kotary zasłaniające pojedyncze okno. Spojrzała na nieruchomą postać leżącą na łóżku.

Kit wciąż był błydy jak kreda, ale emanowała z niego siła. Nawet nieprzytomny czy uśpiony wyglądał na odważnego, silnego mężczyznę. Pochyliła się, zebrała szarpie i bezszelestnie podeszła do łóżka. Krzesło, na którym wcześniej siedziała, wciąż tam stało, po prawej stronie łóżka.

Dotknęła czoła Kita. Wydawało się chłodniejsze. Policzki były pokryte nowym ostrym ciemnym zarostem. Obok łóżka stał dzbanek wody — także przegotowanej przez zdumione służące. Zamoczywszy róg płóciennej szmatki w tej wodzie Deanie pochyliła się nad Kitem i rozwiązała tasiemkę koszuli. Bardzo delikatnie zabrała się do usuwania z rany maści. Po chwili szmatka zeszywniała od grudkowego mazidła.

Deanie pracowała metodycznie. Odnosiła przy tym wrażenie, że ręce, które raz po raz moczą w wodzie szmatkę i przykładają ją do muskularnego ramienia Kita, nie należą do niej. Przyglądała się im bacznie, starając się rozwiązać tę zagadkę.

Wtedy sobie przypomniała.

Matka!

Kiedy Deanie miała osiem lat i chorowała na wietrzną ospę, matka siedziała przy jej łóżku, moczyła szmatkę w chłodnym różowym płynie i przykładła ją Deanie do swędzących miejsc. Jej ręce, w tym skąpym świetle, wyglądały dokładnie tak samo. Czemu wcześniej tego nie zauważyła?

Wtem usłyszała czyjeś łkanie. Nie wiedziała, co o tym myśleć, póki nie uświadomiła sobie, że to ona sama płacze. Oczyściwszy ranę do końca, osuszyła ją i przykryła czystą szmatką. Ale nie mogła opanować szlochania, wprost dusiła się z płaczu.

Płakała z powodu Kita, płakała z powodu siebie, płakała z powodu matki.

Czuła bolesną pustkę, miała smutne przeczucie, że nigdy już ni©

LABIRYNT

wróci do domu, do tego, co było jej bliskie. Zacisnęła pięści i zanurzyła twarz w kocu, u boku Kita. Jego bliskość nieco ją uspokoiła. Łkanie przeszło w urywany oddech. Deanie czuła się słaba i wycieńczona.

Wtem poczuła na ramieniu dużą, ciepłą dłoń.

- Szszsz - uciszył ją męski głos, szorstko, sucho. Dłoń pogłaskała ją drżącym, niepewnym gestem.

Bojąc się, że sobie to wyobraziła, Deanie uniosła głowę i pociągnęła nosem.

- Kit?

Kit otworzył oczy, jego wysuszone wargi ułożyły się w wąski uśmiech. Dłoń dalej leżała na jej ramieniu, teraz nieruchoma i jak gdyby zapomniana.

- Och, Kit - szepnęła Deanie. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak bardzo się bała, że Kit nigdy się nie ocknie. Ten lęk ani na chwilę jej nie opuszczał, zagłuszał wszystkie myśli. Kit wciąż wyglądał bardzo źle, ale przynajmniej odzyskał przytomność. - Jak się czujesz?

Boże, co za głupie pytanie. Kit nie odpowiadał. Deanie obiema dłońmi przykryła leżącą na jej ramieniu rękę. Wtedy ta ręka poruszyła się — dłoń zacisnęła się w pięść z kciukiem wycelowanym w górę. „Wszystko będzie dobrze”.

- Podać ci coś?

Kit niemal niedostrzegalnie pokręcił głową. Z wielkim wysiłkiem otworzył oczy, które były dziwnie rozżarzone.

- Cromwell?

- Wyjechał w jakichś sprawach króla. Kit, Suffolk wie o wszystkim. Pomógł mi wrócić do ciebie. - Odgarnęła mu włosy z czoła. - Gorączka ci spała.

Wyczerpany znowu zamknął oczy. Deanie wzięta świeżą szmatkę, namoczyła ją w chłodnej wodzie i dotknęła nią jego wysuszonych warg.

- Musimy porozmawiać - wyszeptał.

- Nie teraz, Kit. Najpierw odpocznij — odparła wsuwając dłoń w jego dłoń. Zdumiała ją siła, z jaką zacisnął palce.

- Zaraz... — mruknął. — Zaraz... — Po czym zasnął.

Deanie poczuła się nagle bardzo zmęczona, powieki zaczęły jej ciążyć jak ołów. Ziewnęła, położyła głowę na jego boku; ich ręce pozostały splecione. Pierwszy raz od wielu dni zasnęła spokojnym snem.

Królowa patrzyła przez okno; na tacy leżały resztki jej posiłku. Na dziedzińcu zsiadało z koni dwóch dworzan w zielono-białych tunikach posłańców króla.

Kilka minut później do komnaty królowej szedł Englebert.

- Najjaśniejsza pani, król wraca. Będzie tu za godzinę.

- Król wraca?!

- W samej rzeczy. - Englebert nie potrafił ukryć podniecenia. Może ten nagły powrót króla wróżył coś dobrego dla jego pani? Może angielski władca w końcu zobaczy w królowej Annie klejnot, jaki widziano w niej w Kliwii.

Królowa uśmiechnęła się.

- Bardzo dobrze, Englebert. Powitamy jego królewską mość.

Englebert wyszedł z komnaty z niskim ukłonem. W myślach robił listę przygotowań, a było ich niemało. Kiedy schodził do kuchni, by wydać dyspozycje kucharzowi ze Scholsenbergu, zatrzymał go młody giermek, który wyraźnie miał jakieś zmartwienie.

- Panie — powiedział - za fosą czeka gromada członków cechu balwierzy. Mówią, że przyszli do hrabianki Deanie. Podobno kazali im tu przyjechać inni członkowie cechu. Co każesz?

Englebert wykonał gest zniecierpliwienia.

- Teraz nie mam na to czasu, młodzieńcze. Król przybywa tu za godzinę.

- Ale balwierze bardzo nalegają, panie. - Chłopiec niemal się rozpłakał.

- Wobec tego zaprowadź ich do hrabianki Deanie. Jest na dole z księciem.

Chłopak pokiwał głową i popędził, żeby poinformować niespokojnych członków cechu, gdzie znajdą Deanie. Tymczasem ich liczba wzrosła do dziewięciu i chłopak nie mógł pojąć, do czego hrabiance potrzeba aż tylu balwierzy.

LABIRYNT

Wdychając świeży zapach jej włosów, zdrową ręką spróbował przyciągnąć ją bliżej. Deanie westchnęła przez sen i wyciągnęła się obok niego na tym wąskim łóżku. Ale nawet pogrążona we śnie trzymała się z daleka od jego rany, opierała głowę na zdrowym ramieniu. Obudził go ból, ale był zadowolony, że się ocknął. Poczul wielką ulgę, że Deanie śpi koło niego.

Uniósł głowę, rozejrzał się po pokoju. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma, musiał odetchnąć głęboko, żeby powstrzymać mdłości. Nie znał tego miejsca. Z rozmiarów pomieszczenia i kąta, pod jakim padało światło przez okno, domyślił się, że są w komnacie dla służby. To nawet dobrze. Wymknąć się stąd będzie łatwiej niż z komnaty na gorze, gdzie kręci się więcej ludzi.

Spojrzał na pogrążoną we śnie Deanie i spróbował poluzować tasiemki stanika jej sukni, żeby poczuła się wygodniej, ale wyczuł pod spodem gorset. Rozwiązanie tasiemek zatem niewiele by dało. Wobec tego tylko pocałował ją w czoło, po czym zamknął oczy.

Ale zaraz znowu je otworzył, bo usłyszał głośnie kroki w korytarzu i poczuł, że Deanie zeszywniała. Otoczył ją silniej ramieniem.

— Kit? — wyszeptła przerażona.

- Nie ruszaj się - powiedział. Jego głos był szorstki i suchy.

Dotknął wargami jej czoła i Deanie się nieco odprężyła.

Drzwi otworzyły się z impetem. W mroku rozświetlonym smugą promieni słonecznych bez trudu rozpoznali krepą sylwetkę Thomasa Cromwella.

Hrabia Essex jednym ruchem rozsunał zasłony. Oślepieni światłem Deanie i Kit zmrużyli oczy.

- Zdradziłaś mnie - warknął wściekle Cromwell. - Oboje mnie zdradziliście. Zapłacicie mi za to.

Na te słowa do komnaty wkroczył znany już im oprawca. Jego twarz zdradzała wielkie podniecenie.

Kit zaczął się podnosić na łokciu, ale Deanie usiadła pierwsza.

— Nie zdradziliśmy pana, panie Cromwell — zaczęła. — Chciałam się tylko upewnić, że Kit ma dobrą opiekę. Jeśli pan sobie życzy, wrócę wraz z panem do Richmond.

—Ty głupia! - zasyczał. - Król tu zaraz będzie. Bardzo się zasmuci na wieść o śmierci księcia Hamiltona. Waćpanna będziesz balsamem na jego zbolałą duszę.

—Sam jesteś głupi — odparła chłodno Deanie. Kit, który właśnie zamierzał coś powiedzieć, spojrział na nią zdumiony. Powiedziała to takim twardym głosem, o jaki nigdy by jej nie podejrzewał. - Sądziś, że jeśli zabijesz Kita, cokolwiek jeszcze zmusi mnie, żebym została nałożnicą króla? Nawet o tym nie myśl. Jeśli tylko go tkniesz, będziesz musiał znaleźć królowi inną kobietę.

—Zatem też umrzesz. — Głos Cromwella był pewny, ale w jego; oczach, przedtem rzucających gniewne błyski, pojawiła się niepewność.

—Świetnie. — Wzruszyła ramionami wstając.

—Nie! - krzyknął Kit usiłując podźwignąć się na łokciu. Z bólu zbiełały mu wargi. - Zostaw ją, Cromwell. Ze mną możesz robić, co ci się żywnie podoba, ale ją zostaw.

—Nie dbam, co ze mną będzie, jeśli tobie przydarzy się coś złego.

—Oszaleli. - Cromwell unosił już palec, żeby wydać rozkaz swemu oprawcy, kiedy w korytarzu rozległy się kroki wielu osób. Do komnaty wszedł młody giermek.

—Pani! Ponad tuzin balwierzy uprasza się o łaskę. Mam ich, wpuścić?

Cromwell wytrzeszczył oczy.

—Tuzin?

—Szczerze mówiąc więcej. Rozeszła się wieść, że hrabianka Deanie potrzebuje wielu balwierzy. Naciągają tu z całej Anglii. Końca ich nie widać.

—Proszę, niech wejdą! - powiedziała Deanie i poczuła, że kolana się pod nią ugięły. Musiała usiąść. Chwyciła Kita za rękę. Jej wilgotna zimna dłoń powiedziała mu, jaka jest przerażona.

Cromwell i jego człowiek wycofali się czym prędzej, żeby uniknąć stratowania przez nacierający tłum mężczyzn, młodych i starych, dużych i małych, z których każdy trzymał torbę.

—To jeszcze nie koniec - mruknął Cromwell.

Ale Deanie go już nie słyszała. Wybierała balwierzy, którym pozwoli ogolić sobie nogi drugi raz w odstępie niecałych dwunastu godzin.

10

U wejścia do sali biesiadnej Deanie o mały włos nie wpadła na błazna królowej. W pantoflach chlupała jej woda po zabiegach osiemnastu balwierzy, którzy po kolei golili jej nogi. Szczypała ją skóra. Jeden z balwierzy strasznie przeproszał, kiedy przypadkowo ją skaleczył, inny obraził się, że nie dotrzymała obietnicy.

Kiedy oznajmiono bowiem przybycie króla, Deanie wyrwała się balwierzom i pośpiesznie opuściła komnatę Kita, który powiedział zawiedzionemu balwierzowi, że może ogolić jego nogi, ale tamtego to nie usatysfakcjonowało.

Deanie zajęła miejsce między chichoczącą Katarzyną Howard a Cecylią Garrison i skłoniła się, na ile pozwalały jej obolałe nogi. Woliała nie myśleć, co by było, gdyby Cromwellowi nie weszli w paradę ochoczy balwierze. Kiedy uniosła głowę, napotkała jego wrogie spojrzenie; stał po przeciwnej stronie sali. Norfolk i Suffolk stali tuż za królem. Norfolk miał minę jak chmura gradowa, na twarzy Suffolka malowało się dobre samopoczucie. Wyraźnie ucieszył się na widok Deanie. Gdy uniosł pytająco brwi, Deanie nieznacznie uśmiechnęła się i skinęła głową. Mrugnął do niej porozumiewawczo.

Idąc obok swego małżonka Anna witała poddanych z królewską

gracją. W odróżnieniu od Deanie i innych angielskich dam, ubrana była w suknię sięgającą tylko do kostek, bez tego okropnego metrowego trenu, o który w każdej chwili można było się potknąć. Deanie tak się spodobała wygodna suknia królowej, że zamówiła podobną u dworskiego krawca, mistrza Locke'a. Wprawdzie był on bardzo zdziwiony jej żądaniem — większość pań dworowała sobie z niemodnych cudzoziemskich strojów królowej — ale obiecał je spełnić. Deanie napawała się myślą, że za tydzień będzie mogła chodzić po komnacie nie kopiać sukni za każdym razem, gdy zechce zmienić kierunek.

Król przebiegał wzrokiem głowy poddanych, jak gdyby kogoś szukał. Olśniewał zarówno swą wielkością, jak i wysadzonym klejnotami kaftanem z haftowanymi rozcięciami, z których wystawały lśniące pióropusze delikatnego białego płótna... Królowa poszła za jego spojrzeniem. W jej oczach malował się szacunek dla króla pomieszany z lękiem. Deanie miała ochotę wziąć ją za rękę i pocieszyć, że wszystko będzie dobrze. Ale ten nieprzewidywalny dwór przyprawiał Deanie o podobne uczucie. Obie były na lasce i niełasce zwiariowanego monarchy i jego ministrów.

- Tuś mi! - Król zaczął przeciskać się przez tłum ku Deanie.

Królowa pośpieszyła za nim. Jej twarz ginęła pod czepcem i półwelonem. Henryk wyciągnął do Deanie swą grubą dłoń o krótko przyciętych paznokciach. Deanie nie miała innego wyboru, musiała ją przyjąć.

- Pani — zaczął jak na swoje zwyczaje nader łagodnie. - Niepokojmy się wielce o zdrowie naszego ulubionego poddanego, księcia Hamiltona. Jak on się czuje?

W pytaniu króla nie było żadnej aluzji ani lubieżności. Naprawdę się niepokoił o Kita. Pierwszy raz król rozmawiając z nią nie rozbraiał jej oczyma.

- Znacznie lepiej, wasza wysokość — odparła. — Muszę po dziękować miłościwej pani za to, że tak wspaniale zaopiekowała się Kitem, to jest, chciałam powiedzieć, księciem Hamiltonem. Miłościwa pani czuwała przy jego łożu do mego powrotu i wezwała swego medyka.

LABIRYNT

Mówiąc to Deanie spuściła głowę, bo nie wolała nie widzieć miny króla. Na pewno był wściekły, że chwali królową, ale musiała to zrobić. Nie miał pojęcia, jaką kobietę zesłał mu los i zabiegi dyplomatyczne ministrów.

Powoli uniosła wzrok. Król wyglądał na zaskoczonego.

- Królowa? Opiekowała się księciem Hamiltonem?

- Tak, najjaśniejszy panie - pośpiesznie potwierdziła Deanie. - Miłościwa pani okazała księciu i mnie samej dużo łaski. - Chciała rozwinąć ten temat, ale postanowiła nie przesadzać z pochwałami pod adresem królowej. Może król lepiej znosi je w małych dawkach.

Król zmarszczył czoło i spojrzał na małżonkę.

- Jesteśmy bardzo zadowoleni — ogłosił wszem i wobec. — Zaiste jesteśmy bardzo zadowoleni — powtórzył. — Wkrótce złożę wizytę Hamiltonowi. — Poklepał dłoń Deanie i wrócił do małżonki.

A Deanie poczuła na sobie palące nienawistne spojrzenie Cromwella.

Czekała wystarczająco długo.

Obwieszony dzwoneczkami błazen królowej fikał koziołki ku wielkiej ucieście widowni. Deanie zgrzytała zębami, nie mogąc się doczekać, kiedy w końcu będzie mogła zejść do komnaty Kita. Wreszcie królowa skinęła do niej nieznacznie. Mogła iść.

Pognała tą samą drogą, którą biegła kilka godzin wcześniej, kiedy dowiedziała się o przybyciu króla. Ślizgała się na zakrętach; zawinęła nawet suknię, żeby się nie przewrócić.

Złapała się łuku nad drzwiami, żeby wyhamować, zanim uderzy w ścianę, po czym zeszała po schodach. Zdmuchnęła pasmo włosów z oczu i wciąż zasapana weszła do komnaty Kita.

W komnacie było jaśniej niż przedtem - oświetlał ją przynajmniej tuzin grubych żółtych świec. Teraz dojrzała Kita.

- Cześć - powiedziała uszczęśliwiona, że widzi go w pozycji siedzącej. - Czy balwierze w końcu dali ci spokój?

- Balwierze dali nam w końcu spokój. - To był głos króla Henryka, który siedział na tym samym krześle, co ona przedtem.

- Wasza królewska mość — skłoniła się nisko, zbita z tropu niespodziewanym widokiem króla. Widziała, jak wychodził z sali biesiadnej, ale sądziła, że udał się do swych komnat.

- Prosimy, bez fanfar. - Król wskazał jej drugie krzesło. — Jesteśmy wśród przyjaciół.

Po krótkim wahaniu opadła na krzesło, splótła dłonie na podolku. Cała trójka patrzyła na siebie w kłopotliwym milczeniu. Deanie nerwowo zastanawiała się, co powiedzieć.

- Jak się czujesz? - spytała Kita.

Odpowiedź padła niemal równocześnie:

- Czuję się znacznie lepiej.

Król zachichotał.

- Czy możesz, pani, podać nam ten papier, który leży pod jej nogami?

Zaskoczona spojrzała na podłogę. Tuż przy nodze krzesła leżał zwinięty w rulonik beżowy pergamin. Deanie schyliła się i podała pergamin królowi.

- Miłośniwy panie, nie sądzę, by... - zaczął Kit. Miał dziwny głos, pomijając wyczerpanie przejściami i chorobą.

Deanie pytająco zmarszczyła czoło.

- Ależ, Hamilton - roześmiał się król. - Czy twoja kuzynka zna tę sztuczkę? To strasznie chytra sztuczka. Pokaż ją nam, mości księżę. Hamilton zawsze umiał nas rozbawić. Pokaż nam, Kit.

Podał mu pergamin. Kit opadł z powrotem na łóżko i zamknął powieki. Nagle Deanie przestraszyła się.

- Gorzej ci, Kit? - Dotknęła dłonią jego czoła, ale było chłodne.

- Pokaż nam tę sztuczkę - powtórzył król wyraźnie zniecierpliwiony.

Kit westchnął, otworzył oczy i patrzył na nią przez chwilę. Nie uśmiechał się, ale dołki w jego policzkach jak gdyby się pogłębiły, co świadczyło o wielkim napięciu. Po czym, nie odrywając od niej wzroku, zaczął składać pergamin. W smukłe trójkały.

- A teraz niech to polecą, Kit! - Król entuzjazmował się niczym dziecko, klaskał w swe tuste dłonie. — Jak to nazwałś? Jak brzmiało to słowo, Kit?

LABIRYNT

Kit jednym ruchem wyrzucił papier w powietrze. Papier poszybował nad łóżkiem, po czym wylądował na kolanach Deanie, która popatrzyła nań z niedowierzaniem.

- To się nazywa samolot, miłościwy panie — powiedział Kit słabym głosem.

- Właśnie! — zagrział Henryk. — Samo-lot. Genialne.

Przez chwilę Deanie myślała, że zemdleje. Krew odpłynęła jej z głowy, zrobiło jej się słabo. Nie słyszała nic poza biciem swego serca.

- Nie bój się, pani - rzekł król widząc jej nagłą bledość. - To nie jest czarna magia. To inżynieria nie znana tu nikomu poza księciem Hamiltonem.

- Samolot z papieru - powiedziała cicho.

Nagle ciszę w komnacie przerwało walenie do drzwi. Do komnaty wszedł jeden ze starszych lokajów; minę miał poważną.

- Wasza królewska mość — schylił się. - Hrabia Essex prosi waszą królewską mość o przybycie. W bardzo ważnej sprawie.

- Cromwell po nas posłał? — Król tak osłupiał, że zupełnie zapomniał o samolocie z papieru. - Na Boga, musimy położyć temu kres. - Z furią zerwał się na równe nogi i nie zwracając uwagi na Kita i Deanie przeciął komnatę dwoma susami. Skulony ze strachu służący wybiegł za nim.

Deanie patrzyła prosto przed siebie, w głowie jej się kręciło.

- Zamierzałem ci powiedzieć, Deanie - rzekł Kit delikatnie. I odczekawszy chwilę kontynuował: - Urodziłem się w 1917 roku w Kencie. Mój ojciec zginął w wielkiej wojnie, więc matka sama wychowywała mnie i moją siostrę Caroline. Słuchasz?

Przełknęła ślinę. Wyciągnął do niej rękę, po którą sięgnęła po omacku. Wciąż drżała.

- Skąd się tu wziąłeś? — spytała dziwnie głuchym głosem.

- Z labiryntu. Deanie, ten labirynt jest czymś w rodzaju bramy. Starałem się wrócić do moich czasów. Za każdym razem, gdy jestem w Hampton Court, idę do labiryntu w nadziei, że znajdę tę bramę. Spotkaliśmy się w chwili, gdy kolejny raz próbowałem wrócić do domu.

Odetchnęła.

—Z którego roku przybyłeś? — spytała patrząc mu w oczy.

Jego szorstkie palce owiły się wokół jej dłoni.

—Z 1940, a tutaj jestem już dziesięć lat.

Powoli przyciągnął ją do siebie i otoczył zdrowym ramieniem. Mimowolnie przytuliła się do niego, ale ręce miała skrzyżowane na piersi, jakby w geście obronnym. Przez długi czas milczała. Głaskał ją po włosach w kojącem, hipnotyzującym rytmie.

—Jak ci się to przydarzyło? — Jej głos brzmiał teraz spokojniej.

—Byłem pilotem RAF-u, Królewskich Sił Powietrznych. Miałem odbyć ostatni nalot, aby powstrzymać przeklętą Luftwaffe od inwazji na Anglię. Czekaliśmy, że wy, jankesi, przyłączycie się do wojny. Przyłączyliście się, prawda?

—Tak — mruknęła mu w koszulę. — Ale ja nie jestem orłem z historii.

—Z historii - powtórzył wesoło. - Jezu, czuję się bardzo stary. Hider przegrał, co?

—O, tak. Zastrzelił się w swym bunkrze. Zbikował.

—Zawsze miał bzika — rzekł Kit obserwując drżące cienie na suficie. — A wiesz, w którym roku ta wojna się skończyła?

Deanie zastanawiała się przez chwilę. Poczwała, że ręka Kita zacisnęła się w pięść.

—W 1945. Krótko przedtem, zanim opuściłam moją epokę, obchodziliśmy pięćdziesiątą rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej.

—O Boże! - Ramię Kita stężało. - Jakim sposobem tyle wytrwaliśmy? W 1940 roku wyglądało na to, że zaraz przegramy.

Milczeli, każde zagubione w swych myślach.

—Byłeś lotnikiem? - pytanie Deanie przerwało ciszę.

Skinął głową.

—To musiało być okropne, co?

Nie odpowiadał, więc pomyślała, że jej nie dosłyszał. W końcu się odezwał.

—Zanim znalazłem się tutaj — powiedział niskim, szorstkim głosem — większość moich kolegów poległa. Ludzi, z którymi

LABIRYNT

studiowałem na uniwersytecie, przyzwoitych, miłych ludzi. Nie wiem, dlaczego ja przeżyłem, a oni nie. Brakuje mi ich. Jeszcze nie przyszli na świat, a mnie już ich brakuje. - Odchrząknął. Deanie milczała.

— Dlatego było mi stosunkowo łatwo, kiedy się tu znalazłem. Turniej to nic w porównaniu z pojedynkiem w przestworzach. Myślę, że król zwrócił na mnie uwagę, ponieważ mój styl walki był bardziej brawurowy.

Deanie potarła oczy, jak gdyby chciała wmasować sens w swe zagmatwane myśli.

- Od początku wydawałeś mi się inny — rzekła w końcu. - Nie podawałeś w wątpliwość mojej historii. Teraz wszystko rozumiem, w każdym razie dlaczego byłeś dla mnie taki uprzejmy.

—Rozumiałem, jak się musisz czuć.

- Och.

Uśmiechnął się.

- Na początku rzeczywiście tak było. Ale prędko poczułem, że... no, polubiłem cię.

Uniosła głowę, musnęła wargami jego brodę.

- Naprawdę? - spytała, starając się, żeby nie zabrzmiało to błagalnie.

Spojrzał na nią, a ona zamknęła oczy, czekając, że poczuje dotyk jego warg na swoich. On jednak z roztargnieniem pocałował ją w czoło.

- Opowiedz mi dokładnie, jak to się stało, że się tu znalazłaś.

Zaskoczona tym dziwnym pytaniem otworzyła oczy.

—Wydawało mi się, że już ci opowiedziałam.

—Zacznij od początku, Deanie. Może uda nam się wymyślić, jak wrócić — powiedział. W jego głosie zabrzmiała nadzieja.

—Okey... niech pomyślę. Kręciliśmy wideoklip i weszłam do labiryntu.

- W twoim przypadku było to na wiosnę, ja natomiast przybyłem tu 11 września 1940 roku. — Zmarszczył czoło w zamyśleniu.

— Czy Słońce znajduje się w takiej samej odległości od Ziemi na wiosnę i na jesieni? Która była godzina?

—Blisko zachodu słońca. Mieliśmy właśnie się zwiijać, bo skończyło się dobre światło.

—Tak samo było w moim przypadku - stwierdził, gładząc jej

włosy w zamyśleniu. — Miałem właśnie udać się ze swą misją, słońce odbijało się w goglach, które trzymałem w ręce.

- A ja trzymałam butelkę po coca-coli - powiedziała podniecona.
- Czy widziałeś takie biało-niebieskie linie układające się w trójkąt?
 - Właśnie! To był pryzmat, ale wydawało się, że żył.
 - Ciekawe, czy jeśli pójdziemy do labiryntu o zachodzie, zdarzy się to samo?

- Ty przybyłaś wiosną, ja jesienią. - Mówił w zamyśleniu.
- Jeśli pora roku i pozycja Słońca na niebie ma jakieś znaczenie, może być trudno w to utrafić.

- Musimy się pośpieszyć, Kit. Niedługo zacznie się lato. Jeśli teraz przegapimy okazję, przyjdzie nam czekać do jesieni.

- Nie możemy czekać — stwierdził. - Tu będą się działy okropne rzeczy, nie wiadomo, czybyśmy przeżyli.

Deanie uniosła głowę.

- Wiesz, może jeszcze zdążymy.
- Z drugiej strony nie ma gwarancji, że trafimy do swojej epoki. Ja przybyłem z 1940 roku, ty z o ponad pięćdziesiąt lat późniejszego. Bóg jeden wie, w jaki rok trafimy.

- To może jednak tu zostaniemy — zasugerowała cicho.
- Mowoy nie ma — mruknął. — Cromwell dybie na nasze życie, król chce, żebyś została jego nałożnicą, a w każdej chwili któreś z nas może zarazić się jakąś nieuleczalną chorobą lub być posądzone o czary. - Spojrzał na swe ramię, które zaczynało pulsować.
- Musimy opuścić Anglię, Deanie. Nie wolno nam tu zostać, to stało się zbyt niebezpieczne. Może powinnaś popłynąć do Hiszpanii. Przyjechał do ciebie...

- Nie - zaprzeczyła kategorycznym tonem. - Zostanę z tobą, Kit. - Nie odpowiedział i Deanie zrobiło się głupio. - Pomogłeś mi. Powinam się odwzajemnić.

- Nie kieruj się poczuciem obowiązku — powiedział oschle.
- Nie masz wobec mnie żadnego długu.

Znieruchomiał, nie gładził jej już po głowie. Ręka otaczająca jej plecy tak się napięła, jak gdyby dotykał Deanie z niechęcią.

Przełknęła ślinę i spojrzała na swą dłoń leżącą na jego piersi.

Opuszki palców miała pogrubiałe od grania na gitarze, a mimo to wyczuwała nimi każde jego ścięgno. Wydawało się, że przestał oddychać. Dłonią wyczuwała jednak, że serce mu wali jak młotem. Deanie poczuła ucisk w gardle, mało się nie udusiła. Dlaczego tak się zachowywała? Dlaczego była nieuczciwa w stosunku do Kita, do siebie?

— Kit — szepnęła drżącym głosem. — Ja skłamałam.

Czuła, że Kit teraz patrzy na nią, ale nie widziała jego twarzy.

- Co skłamałaś? - spytał cicho, jego oddech zmierzwił jej włosy.

— Skłamałam, ponieważ nie powiedziałam ci prawdy.

Westchnął i trochę się odprężył.

- Tak zwykle określa się kłamstwo, Deanie. Co skłamałaś?

Wciągnęła nosem znajomy zapach. Potarła czołem o muskularną klatkę piersiową Kita przykrytą białą koszulą. Ciepło jego ciała dodało jej odwagi.

— Nie chcę stąd wyjechać bez ciebie, bo cię kocham.

Trwali tak chwilę. Deanie skuliła się ze strachu, że Kit ją odepchnie lub gorzej — wyśmiej. Przytulona do niego czekała na jego reakcję. Sekundy zdawały się ciągnąć w nieskończoność, Deanie przeżywała męczarnię oczekiwania.

Wreszcie odważyła się spojrzeć na niego. Powoli, z wahaniem uniosła głowę. Kit miał zaciśnięte wargi, rowki w policzkach pogłębiły się, nadając jego twarzy dziki wyraz. Patrzył przed siebie nie widzącym wzrokiem. Pomyślała, że pewnie nie dosłyszał, co powiedziała, i nawet się z tego ucieszyła. Potem Kit zamrugnął powiekami.

Z prawego oka skapnęła łza.

Spłynęła po jego szczupłym policzku i w chwili gdy schylił głowę ku Deanie, łza spadła na jej dłoń.

- Mój Boże, Deanie, jak ja cię kocham - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Po czym przywarł wargami do jej warg. Deanie poczuła na plecach jego dłoń. Zaskoczona, oszołomiona dziwnym ciepłem, które poczuła w żołądku, przytuliła się do niego.

Jego usta, te wargi, których pragnęła dotknąć od pierwszej chwili, przywarły do niej wyrażając słodką, gwałtowną potrzebę. Zmienił

pozycję, przenosząc ciężar ciała na zdrowy bok, a kiedy to robił, Deanie przejechała językiem po jego zębach. Zamroczone eksplodującą namiętnością wyczuła jeden krzywy ząb, błyszczący defekt, który przesładował ją przez cały czas.

Kit odsunął się i spojrzął na nią. Delikatnie odgarnął z jej twarzy pasmo włosów.

— Deanie - powiedział cicho.

Otworzyła oczy, zasnuwane mgłą pożądania, nie widzące.

— Deanie, nie możemy.

On też ciężko oddychał, na jego czole błyszczały kropelki potu.

— Co mówisz? — spytała nieprzytomnie.

Jęknął i przyciągnął ją do siebie. Gdy Deanie szukała jego warg, roześmiał się.

— Deanie, w każdej chwili może tu wejść niespodziewanie król lub Cromwell.

Wzdrygnęła się, oprzytomniała.

— Ech, mniejsza o nich — stwierdziła po chwili. — Cromwell, król i wszyscy inni wydają się tak daleko.

— Niebezpiecznie tak myśleć. - Spojrzął jej w oczy.

— Chcę tak trwać w nieskończoność. - Westchnęła, na jej wargach pojawił się nikły uśmiešek.

— Deanie, proszę, wysłuchaj mnie. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, musimy postanowić, co dalej. Może powinniśmy uciec dziś w nocy? Moglibyśmy na jakiś czas schronić się w moich włościach. Mam tam swych ludzi, wierną służbę.

— Czy czujesz się na siłach podróżować? — Deanie spojrzała na jego ramię, po czym zeskoczyła z łóżka i sięgnęła po czystą szmatkę. Od tego obejmowania się rana znowu zaczęła krwawić.

— Czuję się dobrze. Cholera — skrzywił się na widok swego ramienia.

Deanie namoczyła szmatkę w wodzie i przycisnęła ją do rany.

— jak daleko jest do twojego zamku?

— Jakieś osiemdziesiąt kilometrów.

— Wspaniale. A jak się tam dostaniemy? Polecimy samolotem z papieru?

Uśmiechnął się.

LABIRYNT

- Nie masz pojęcia, jaka to przyjemność słyszeć to słowo w twoich ustach. Samolot. Jezusie.

- Przepraszam.

- Ty musisz wyjechać pierwsza - powiedział poważniejąc. - Ja rzeczywiście nie mogę jeszcze podróżować. Byłoby głupotą wybierać się w taką długą podróż z tym przeklętym ramieniem.

- Nie, Kit. - Deanie złożyła na nowo mokrą szmatkę. - Nie chcę rozstawać się z tobą.

- Ani ja z tobą. Ale poza labiryntem może to być jedyny sposób, żeby się stąd wydostać.

- Po prostu boję się, że jeśli się rozdzielimy, nigdy się już nie spotkamy.

- Zdaje się, że Suffolk zna jakiegoś księcia w Hiszpanii — mówił w zamyśleniu — a ja znam tam kilku dyplomatów, którzy przebywali w Anglii za czasów królowej Katarzyny. Nie chciałbym być ci kulą u nogi, a z tym moim krwawiącym ramieniem nie ucieklibyśmy daleko.

Deanie potrząsnęła go za rękę.

- Nie zostawię cię - powiedziała stanowczo. - Powinniśmy spróbować w labiryncie. Wydaje mi się, że tam, w krzakach, uda nam się zdobyć bilet powrotny.

Uśmiechnął. Deanie poczuła, że w gardle ją dławi z przejęcia. Kit, nawet ranny i schorowany, miał nieodparty urok. Do tego ten dźwięczny, zniewalający głos.

- A więc labirynt. Umowa stoi.

- Myślisz, że znajdziemy tę butelkę po coca-coli?

- Sądzę, że tak. Od czasu ścięcia Anny Boleyn mało kto tam zachodzi. Powszechnie uważa się, że labirynt jest zaczarowany.

- No bo jest. — Spojrzała na ich splecione dłonie i westchnęła. Jak dobrze do siebie pasowały. — Co będzie, jeśli wylądujemy w jakiejś dziwnej epoce?

- Szczerze mówiąc, Deanie, gorzej trafić nie możemy. Domyślam się, że zostaniemy przeniesieni w przyszłość, ponieważ labirynt powstał zaledwie przed dziesięciu laty. Był zupełnie nowy, kiedy tu przybyłem. A jeśli w grę wchodzi tylko podróż w przyszłość, nie mamy się czego obawiać.

- A jeśli nie znajdziemy butelki? Masz jeszcze te gogle?
- Ach! Gogle. Oczywiście, że je mam, ale w swym zamku. Nie rozstawałem się z nimi przez wiele lat i wchodziłem do labiryntu, ilekroć nadarzyła się ku temu okazja, ale to nic nie dało. Wchodziłem do labiryntu z goglami i bez. Chyba z przyzwyczajenia. Może tak naprawdę nie zależało mi, żeby stąd zniknąć. Dopiero teraz.

Deanie zeszytniała.

- Kurczę, Kit! A jeśli ktoś znajdzie tę butelkę przed nami, nigdy się stąd nie wydostaniemy.

- Też się tego obawiam.

- Zaraz tam pójdę. Ze świecą.

- Nie, Deanie, nie teraz. Ze świecą będziesz się za bardzo rzucać w oczy. Poza tym niewiele zobaczysz. Poczekaj z tym do rana.

- Rano może być jeszcze gorzej. Służący wstają skoro świt, ogrodnicy też.

- To poczekaj do jutrzejszego popołudnia. Pójdziemy razem. Możemy powiedzieć, że odbywamy przechadzkę dla zdrowia. Albo coś w tym rodzaju.

Chciała się sprzeczać, powiedzieć, że jutro lub pojutrze może mu się pogorszyć i że z każdą minutą wzrasta prawdopodobieństwo, że ktoś natknie się na butelkę. Ale tylko kiwnęła głową.

- Niech będzie — zgodziła się unikając jego spojrzenia.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi.

- Proszę — odpowiedział Kit, ściskając jej dłoń, którą ona zaraz cofnęła.

Do komnaty weszła duża kobieta, ubrana w prostą suknię i niemiecki czepiec poduszkowy.

- Pani? Królowa życzy dobrej nocy, a ja mam odprowadzić cię, pani, do jej komnaty.

Deanie wstała.

- Dzięki, matko Lowe — powiedziała, a do Kita: - Poznałeś już przełożoną dam dworu królowej?

Pokręcił głową zdumiony rozmiarami kobiety.

Matka Lowe skinęła mu i mruknęła:

- *Ja*, mości książę. — Po czym odwróciła się do niego tyłem.

LABIRYNT

—Wierz lub nie, ale ona jest bardzo nieśmiała - szepnęła Deanie, widząc jego uniesione brwi.

Z korytarza dobiegły ich czyjeś stłumione głosy. Mówiono po niemiecku. Wszedł Englebert.

—Mości księżę — powiedział kłaniając się Kitowi - postawiliśmy za drzwiami komnaty czterech naszych strażników z Kliwii. Nie życzymy sobie dziś już żadnych balwierzy, prawda?

Deanie uśmiechnęła się do Engleberta.

—Dziękuję — wyszeptała i objęła go na moment.

Englebert zaczerwienił się.

—Będzie ci dobrze? — spytała Deanie Kita. Miała mu jeszcze tyle do powiedzenia, tyle przecież zdarzyło się w ciągu ostatnich kilku godzin. Ale w obecności matki Lowe, Engleberta i strażników było to niemożliwe. Tym bardziej że wyraźnie ponaglali ją do opuszczenia komnaty. Dziś już nie mogła liczyć na sam na sam z Kitem.

Patrzył na nią. Spojrzenie jego ciemnozielonych w świetle świec oczu mówiło, że ją kocha. Deanie oddech uwiązał w gardle, złapała się za serce.

W dokładnie tym momencie Kit unióś rękę i położył ją sobie na sercu.

—Hrabianka. — Matka Lowe stała już na progu, zatem Deanie zaczęła się wycofywać z komnaty.

—Dobrej nocy — powiedziała cicho. Jej drżący głos zdradził, co w tej chwili czuje.

—Dobrej nocy - odpowiedział Kit głosem, w którym słyhać było obietnicę.

Po czym matka Lowe pociągnęła Deanie do bezpiecznych kwater innych dam dworu.

Coś go obudziło.

Może wino przyprawione korzeniami, które wcześniej pił, może zbyt duża porcja pieczonych gołąbków. Ale najpewniej złość, którą kipiał. Nie pozwoli im urzeczywistnić ich podłych zamiarów. Mowy nie ma.

Odrzucił ciężkie przykrycia. Noc była zimna, w kominku żarzyły się resztki polan. Gdy dotknął stopami — stopami szlachcica — posadzki, przeszedł go dreszcz.

Podszedł do okna. Nie żeby spodziewał się tam coś zobaczyć, w każdym razie nie o tej porze. Tak sobie. Zamierzał właśnie wrócić do łóżka w komnacie oświetlonej tylko przez księżyc, gdy coś przyciągnęło jego uwagę.

Dobry Boże, ktoś kręcił się po labiryncie!

Migotało tam światło, światło świecy. Ktokolwiek to był, poruszał się po samej ziemi, na czworakach.

Zarzucił pelerynę, która leżała na krześle pod oknem i udał się w kierunku labiryntu. Starał się zachowywać cicho, ale drzwi, które nigdy nie skrzypiały, tej nocy prosiły się o naoliwienie, deski, które normalnie nie trzeszczały, teraz reagowały na każde stąpienie.

Skradając się po trawie, żeby uniknąć chrzęstu kamieni pod stopami, dotarł wreszcie do labiryntu.

A tam usłyszał czyjś głos:

—No gdzie jesteś? Przecież wiem, że gdzieś tu jesteś.

A! Hrabianka Deanie!

W pierwszej chwili chciał precyzyjnie się przez krzewy i zaskoczyć ją, ale prędko odrzucił tę myśl. Więcej się dowie, obserwując ją z ukrycia.

Szukała czegoś z wielkim przejęciem, a jego zżerała ciekawość.

—Mam cię wreszcie! — syknęła. W jej głosie słychać było triumf.

Natychmiast zdmuchnęła świecę i pośpieszyła z powrotem do pałacu. Trudno był zgadnąć, co niosła.

Cicho wszedł do labiryntu, uklęknął i zaczął obmacywać miejsce, w którym Deanie przed chwilą coś znalazła. Nic. Nagle uświadomił sobie głupotę swego postępowania. Panował ziąb, a on był boso, jego gołe stopy odczuwały boleśnie każdy gład, każdą krawędź ostrego kamienia. Poza rym w mroku był ślepy jak kret.

Złorzecząc sobie, zbierał się już do odejścia, gdy nagle na czymś się pośliznął. Schylił się i podniósł z ziemi coś białego.

Wsunął znaleźisko pod pelerynę i pognął z powrotem do swej komnaty starając się robić możliwie najmniej hałasu. Oddychając

LABIRYNT

ciężko, zamknął za sobą drzwi, a od resztek żaru w kominku przypalił cieniutką świeczkę.

Wyciągnął spod peleryny znalazisko i cicho krzyknął. Co to? Coś związanego z czarami?

Były to papiery, ale śliskie, gładkie jak szkło i zszyte razem. Na każdym widniał obrazek, ale tak udatnie wykonane, że chciałoby się weń wejść.

Były też słowa, dziwne, proste, zupełnie niepodobne do tych, które znał, a przecież posiadał z tuzin książek. Przyświecając sobie świeczką usiłował coś przeczytać.

Zrozumiał, że chodzi o Henryka i jego żony.

I nagle trafił na swój portret. O mało nie krzyknął. Skąd ten portret? Dopiero w tym tygodniu zaczął pozowanie; Holbein ledwo skończył szkicować. A tutaj portret był skończony, wykonany w żywych kolorach.

Dalej trafił na portrety dam dworu. O niektórych napisano, że były żonami Henryka. Jak to żonami?

Ręce mu zdrząły, bo obok swego nazwiska przeczytał datę śmierci, datę w bliskiej przyszłości. Ktoś życzył mu śmierci?

A potem trafił na coś takiego, że mało nie wrzasnął ze strachu. Na końcu był portret Henryka, na którym król był stary, pokryty plamami. I podana data jego śmierci: rok 1547.

Ktoś tu uprawiał czary i przepowiadał śmierć króla.

Zamknął książkę i spojrzął na okładkę. Dziwne, nieznajome słowa głosiły: *Przewodnik turystyczny po pałacu Hampton Court.*

Dłonie mu się spociły, czym prędzej wsunął książkę pod materac.

Nie ulegało wątpliwości, że to hrabianka Deanie położyła w labiryncie tę czarodziejską książkę. Nie tylko była winna uprawiania czarów, ale miała na sumieniu znacznie większy grzech —
zdradę króla.

Zaciągnął szczelnie zastony wokół łóżka, zastanawiając się, co zrobić z nową informacją. Niebawem cały dwór - może nawet król - będzie spełniał wszystkie jego kaprysy.

Wreszcie zapewni sobie należne mu, dane od Boga, miejsce w królestwie.

11

Rany, jakie to wszystko trudne.

Deanie nie miała pojęcia, co zrobić z butelką, która była za duża, aby wetknąć ją za pasek lub schować w haftowanym rękawie sukni. Spróbowała wsunąć ją pod fruujące „uszy” kapturka, ale wystarczył jeden rzut w krzywe, pokryte cętkami, zwierciadło, żeby ze wstrętem go zerwać z głowy. Dama dworu paradująca w kapturku ozdobionym butelką od coca-coli... czegoś takiego nie wymyśliłby sam Andy Warhol.

W tej sytuacji postanowiła nie ukrywać butelki. W pierwszej chwili pomyślała, że mogłaby napełnić ją piwem. Widok damy dworu paradującej po korytarzu z butelką piwa na pewno nie zwróciłby niczyjej uwagi.

Ale co zrobić z grzechoczącymi na dnie szerniatymi, wysuszonymi fistazkami? Jakkolwiek była prawie pewna, że orzeszki nie mają nic wspólnego z jej podróżą w czasie — o ile wiedziała, Kit w goglach nie miał żadnych orzeszków - wolała niczego nie zmieniać.

Dopiero spojrzenie przez okno na ogród błyszczący w wiosennym słońcu natchnęło ją doskonałym pomysłem. Wyszła niby to na spacer i odczekawszy, aż minie ją grupa dworzan, których ukłony grzecznie odwzajemniała, zaczęła zrywać róże. Wkrótce z butelki po

LABIRYNT

coca-coli wystawało tyle pięknych kwiatów, że nikt nie patrzył, w co były wetknięte.

Przez cztery dni ukrywała przed Kitem, że ma butelkę, czekając, aż gorączka mu spadnie. Tak jak młody pies usiłuje się zerwać z uwięzi, Kit za wszelką cenę chciał wyrwać się z tej komnaty i tylko dzięki połączonym wysiłkom Suffolka, Engleberta i królowej, a nade wszystko dzięki matce Lowe, dalej tam przebywał.

Trzeciego dnia spacerował nerwowo po komnacie, mamrocząc pod nosem przekleństwa pod adresem swych opiekunów, odgrządzając się, że sforsuje kordon niemieckich strażników. Deanie prośbą i groźbą przekonywała go, że powinien zostać w komnacie, póki całkiem nie wyzdrowieje.

- Myślisz, że tylko tobie jest ciężko? - nie wytrzymała w końcu. Podparła się pod boki i natarła na Kita, który usiłował otworzyć okno w nadziei, że uda mu się uciec do ogrodu. - A komu ciągle golą nogi, kto musi walczyć z praczką, żeby wygotowała bandaże, kto powstrzymuje doktora Corneliusa od puszczenia ci krwi przy każdej okazji? Zrób coś dla mnie, Kit. Zostań tu jeszcze przez parę dni, aż wydobrzejesz na tyle, że skacząc przez okno nie zrobisz sobie krzywdy.

Roześmiał się i przyznał jej rację.

Przez kilka dni walczyła z pokusą pochwalenia się, że poszła w nocy do labiryntu i odnalazła butelkę. Poza jego wciąż nie najlepszym stanem zdrowia miała jednak inne powody, żeby zwlekać z wyjawieniem tej radosnej nowiny.

Pierwszym był fakt, że przeniesiono ją z powrotem do skrzydła, gdzie sypiały damy dworu. Przydzielono jej tę samą co przedtem komnatę — komnatę, w której Cromwell tak okrutnie obszedł się z Kitem. Wprawdzie nie pozostały żadne ślady tamtej sceny, ale za każdym razem, gdy otwierała drzwi, żołądek podchodził jej do gardła, przypominając o niebezpieczeństwie, które nad nimi wisi.

Drugim powodem jej milczenia był strach przed Kitem, który na pewno by się okropnie gniewał, że wybrała się bez niego na poszukiwanie butelki. Już w labiryncie zrozumiała głupotę swego

postępowania. Z drugiej strony musiała ją znaleźć. Bez tej butelki nie można było nawet myśleć o ucieczce.

Niosąc kwiaty do komnaty Kita, czuła się, jak gdyby trzymała w ręce klucz do ich wspólnej przyszłości.

Spodziewała się, że zastanie go gawędzącego z nowo przybyłymi balwierzami. Albo pogrążonego we śnie, bo wciąż był wyczerpany, zmęczony chorobą. Potrzebował więcej snu niż inni. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała, to to, że go tam nie zastanie.

Kiedy wreszcie dotarło do niej, że zniknął, mało nie upuściła butelki na podłogę.

- Kit? - zawołała szeptem, jakby była w szpitalu. Odpowiedziała jej głucha cisza. Zniknęli również strażnicy królowej. Zostało tylko skromne umeblowanie: wąskie łóżko, dwa krzesła, stół. Ani śladu bandaży, dzbanka z przegotowaną wodą.

Ściskając kurczowo butelkę, starała się zebrać myśli. Musiało istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie jego nieobecności. Może udał się na śniadanie z Suffolkiem. Albo z królem. Może matka Lowe przydzieliła mu inną komnatę.

Ale przecież by jej o tym powiedziała. Miała ku temu mnóstwo okazji, bo dziś widziała ją już dwa razy i tyle potrafiła powiedzieć po angielsku.

Rzecz jasna, najbardziej podejrzany był Cromwell. Jego zachowanie rano w sali biesiadnej na to nie wskazywało, ale wiadomo, że potrafił się kamuflować, a poza tym miał ludzi gotowych za mamy grosz wykonać każdy jego rozkaz. Ludzi, którzy nie wiedzieli, co to sumienie.

Kit był silnym mężczyzną, ale jeszcze nie doszedł do siebie.

- Kit?

Żadnej odpowiedzi.

Uniosła głowę i spokojnie wyszła na korytarz. Spróbuje znaleźć Kita, ale nie będzie biegła i wykrzykiwała jego imienia.

Zaglądała do kolejnych komnat, czując, że powoli nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Pałac Hampton Court liczył ponad tysiąc pomieszczeń. Cóż, nie ma rady, będzie tak długo szukać Kita, aż go znajdzie.

LABIRYNT

Szukała już prawie godzinę, coraz bardziej niespokojna. W pałacu było pusto, za to z dziedzińców i przyległych ogrodów dobiegały strzępy rozmów, śmiechy. Widać wszyscy wynieśli się na świeże powietrze.

Tak silnie przyciskała do siebie różę, że zaczęły więdnąć. Kiedy zakreśliła jej się w głowie, uświadomiła sobie, że od poprzedniego dnia nie miała nic w ustach. Śniadanie zamierzała zjeść z Kitem.

Szła teraz jak w transie, nie zauważając mijanych komnat. W końcu pomyślała, że spróbuje znaleźć Engleberta lub matkę Lowe i spytać ich o Kita.

Na pochyłym dziedzińcu stała rozbawiona grupka dworzan, od czasu do czasu bijąc brawo. Ze środka tego tłumu dobiegał szcęk metalu, dzwonienie mieczy.

Kiedy Deanie podeszła bliżej, dworzanie się rozstąpili, robiąc jej miejsce. Kobiety popatrzyły zdziwione na jej szarą twarz, bukiet zwędłych kwiatów w ramionach.

- Hamilton, przysłała twoja krewniaczka. Ogołociła chyba cały ogród z kwiatów!

Głos należał do Charlesa Brandona, księcia Suffolka. W centrum tego zgromadzenia kilku mężczyzn popisywało się szermierką.

Jednym z nich - walczącym lewą ręką - był Kit, ubrany w luźną, białą koszulę i pończochy. Wydawał się zupełnie zdrowy.

Na widok Deanie, która poczuła teraz ogromną ulgę, oddał pośpiesznie miecz Suffolkowi i podszedł do niej. Uwagi Deanie nie uszły zazdrosne spojrzenia niektórych kobiet.

- To dla mnie, krewniaczko? - spytał pokazując bukiet.

Dworzanie się roześmiali, po czym wrócili do przerwanych rozmów i obserwowania walki młodego Surreya z Brandonem.

- Gdzie się, na Boga Ojca, podziewałaś? - spytał Kit kładąc jej braterskim gestem rękę na ramieniu. Uśmiechał się przy tym olśniewająco, a jego oczy rzucały niebezpieczne błyski. - Wszędzie cię szukałem. Nigdy więcej mi tak nie znikaj.

- Gdzie ja się podziewałam? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Szukałam cię po tym całym głupim pałacu. Kiedy nie zastałam cię w twoim pokoju, przestraszyłam się, że coś złego ci się stało.

Och, Kit - zakończyła płaczkliwie, a on uświadomił sobie, że jest coś nienaturalnego w tym przytulaniu przez nią zwiędłych kwiatów. Upewniwszy się, że nikt się nimi nie interesuje, poprowadził ją za rosnący nieopodal wysoki krzew. Tam Deanie siły ostatecznie opuściły, oparła się o niego.

- Gdzieś ty poszedł? - spytała w jego koszulę.

- Wczesnym ranem obudził mnie Englebert. Powiedział, że zauważył Cromwella naradzającego się ze swymi ludźmi, wobec czego uznał, że na wszelki wypadek przeniesie mnie do innej komnaty. Myślałem, że cię zawiadomił.

Pokryła głową i dopiero teraz się naprawdę wystraszyła.

- Nie. I cieszę się, że tego nie zrobił, bo ludzie Cromwella mogli mnie śledzić. — Zrobiła krok do tyłu, na jej wargach pokazał się błąd uśmiech. — A co do tych róż miałeś rację. Są dla ciebie.

Podąła mu bukiet. Kit zamierzał coś powiedzieć, kiedy wyczuł chłód szkła i zrozumiał.

- Skąd, na Boga...

- Nie pytaj. - Cofnęła ręce, zostawiając kwiaty w jego dłoniach.

- Czy ktoś cię widział?

- Nie. Poszłam tam przedwczoraj. O trzeciej nad ranem, ale się nie złość. Jak tylko znalazłam butelkę, zgasiłam świecę. Ciemno było, choć oko wykol. Kilkanaście razy weszłam na mur.

- Powinienem się na ciebie pogniewać - stwierdził zastaniając dłońmi butelkę — ale zanadto się cieszę, że cię widzę. Kiedy Suffolk zaczął namawiać mnie na wzięcie udziału w tym zaimprovizowanym turnieju, nie mogłem się wymówić. W jednym miał na pewno rację: niebezpiecznie jest zniknąć z oczu ludziom na długo.

Deanie odgarnęła mu pasmo włosów z czoła.

- Jak się czujesz? Wierzyć mi się nie chce, że chodzisz.

- Czuję się okropnie — powiedział. (Dopiero teraz Deanie zauważyła, że jest bardzo błąd. Miał głębsze niż zwykle bruzdy po obu stronach warg i zmarszczki rozchodzące się promieniście z kącików oczu). - Ale nie wytrzymałbym w tym pokoju ani dnia dłużej. Myślę, że najgorsze mam poza sobą.

—Dzięki doktorowi Corneliusowi i magicznemu działaniu jego maści?

—Nie, dzięki Wilmie Dean Bailey i magicznemu działaniu jej miłości — powiedział poważnie.

Zaskoczyła ją ta nagła zmiana tonu. Zasłoniła usta dłonią. Kit rozejrzał się wokół. Byli sami. Położył butelkę bezpiecznie pod krzakiem, po czym przyciągnął Deanie do siebie, otoczył ramionami, które bolały go od szermierki, ale jej bliskość działała kojąco.

—Dziś o zachodzie słońca? - Jego oddech zmierzwił jej włosy.

—Może później - mruknęła z oczyma sennie przymkniętymi.

—Później? Ale nam potrzebne jest... - wybuchnął śmiechem — Deanie, chodzi o labirynt, nie o... no wiesz...

Zarumieniła się, a on tylko pokiwał głową. Przywarła do niego z całej siły, objęła go rękoma w pasie, splótła palce na jego plecach, jak gdyby bała się, że ktoś zechce ją od niego oderwać.

Z brodą opartą na jej głowie Kit wdychał zapach jej włosów. Patrzył jednak czujnie, nasłuchiwał, czy nie odezwie się jakiś szelest.

—Musi się nam udać, po prostu musi - rzekła w końcu Deanie, wargami muskając jego pierś.

Nie odpowiedział. Deanie odsunęła się trochę i spojrzała w górę. Patrzył gdzieś poza nią, w jego oczach malowała się zawziętość. Nie rozumiała, co się stało. Przelknął i spojrzał na nią. Jego wyraz twarzy natychmiast się zmienił, zawziętość stopniała i zmieniła się w łagodny uśmiech.

—Lepiej wróćmy do tamtych - mruknął i schylił się po butelkę. Kiedy ją unosił, na ziemię posypały się płatki róż. Popatrzył na butelkę pod światło. - Możemy nie mieć już okazji do rozmowy, więc umówmy się teraz, o której spotkamy się w labiryncie. Co powiesz na szóstą?

Deanie wstrząsnął dreszcz.

—Zimno ci? — spytał podając jej ramię.

—Tak — odparła łagodnie. - Odkąd się tu znalazłam, jest mi ciągle zimno.

—To da się wytłumaczyć.

Wyszli na ścieżkę. Słońce świeciło, ale grzało słabo. Kit pochylił się i powiedział cicho:

- Ciągniemy się w ogonie epoki lodowcowej.
 - Żartujesz?
 - Nie. W tych czasach jest zimniej o dobre kilka stopni niż w dwudziestym wieku. Nie zauważyłaś?
 - Sądziłam, że to tutejsze towarzystwo przyprawia mnie o dreszcze. Uśmiechnął się.
 - To swoją drogą.
- Tymczasem zgromadzenie znacznie wzrosło.
- O, jesteś, Hamilton - pomachał do nich Suffolk. - Chodź, zmierz się z Surreyem.
- Kit uniół rękę na znak zgody.
- No to o szóstej - rzekł patrząc Deanie w oczy.
 - O szóstej - potwierdziła.
 - Hamilton! - Zniecierpliwiony Surrey rzucił miecz, który Kit zgrabnie złapał lewą ręką.
- Prawą oddał Deanie butelkę z kwiatami i wierzchem dłoni musnął jej policzek.
- Uważaj - szepnął, po czy odwrócił się, żeby przyłączyć się do mężczyzn.
 - Na butelkę? - spytała odprowadzając wzrokiem jego szerokie plecy. Ciemne loki sięgały kołnierza luźnej koszuli.
- Przystanął i odwrócił się bardzo powoli.
- Nie. -Jego mina nie zdradzała żadnych emocji. - Uważaj na siebie, Deanie. Na siebie.
- Z tymi słowy uniół lewą ręką miecz. Deanie patrzyła na niego gubiąc się w domysłach, co też jego dziwny ton mógł znaczyć.

Henryk w salonie muzycznym robił wszystko, co leżało w jego królewskiej mocy, żeby zaimponować hrabiance Deanie.

- Oto klawikord — oznajmił, zatrzepotał w powietrzu palcami i zaczął grać swą ulubioną melodię z takim przejęciem, że zawibrowało powietrze. Po chwili zaryzykował spojrzanie w stronę Deanie. Siedziała wyprostowana jak świeca na okiennym siedzisku z cygańską gitarą Hamiltona na kolanach.

LABIRYNT

Wielce urodziwa, pomyślał, podziwiając rudawe refleksy rzucane przez jej kasztanowate włosy. W zachodzącym słońcu gruba tresa zdawała się emanować ciepłem. Niestety, dziewczyna miała nieznośny zwyczaj patrzenia w zamyśleniu przez okno, i to właśnie wtedy, kiedy on wprost wychodził ze skóry, żeby przyciągnąć jej uwagę.

Nawet dość chętnie zgodziła się przyjść do tej sali po południowym posiłku. Oczywiście spożywała go siedząc obok Hamiltona. Dobrze się czuli w swym towarzystwie, ale to normalne u bliskich krewnych. Po skończonym posiłku Hamilton jednak wyraźnie ją zatrzymywał, mimo że o tej porze damy udawały się do swych komnat na spoczynek.

—Przypadło ci to do gustu? - spytał król przed zagranem końcowych akordów.

—Słucham? — spytała Deanie nieprzytomnie.

Henryk zasznurował wargi, starając się nie stracić cierpliwości. Nie był w najlepszym humorze. Wcześniej balwierz, od których w Hampton Court się ostatnio roiło, przycinał mu brodę. Balwierz ten pozwolił sobie na jakąś nieprzemyślaną uwagę na temat jego rzednących włosów, po czym zmarszczył czoło i włożył mu na głowę okrągły beret z takim namaszczeniem, jak gdyby wkładał nie beret, lecz koronę. Król był świadom, że łysieje, ale nie znosił, żeby byle balwierz mu o tym przypominał.

—Pytałem o muzykę — powiedział. — Czy przypadła ci, pani, do gustu?

—Ujdzie, wasza królewska mość.

Król miał ochotę zawyć. Ale nie zawył, tylko obdarzył Deanie jednym ze swych czarujących uśmiechów. Był dumny ze swych zębów. Miał jeszcze prawie wszystkie zęby i nie tak szerniałe jak inni mężczyźni w jego wieku.

Skończywszy grać, król przez chwilę podziwiał swe pierścienie.

—To moja własna kompozycja — rzekł w końcu.

—O, naprawdę? — zainteresowała się wreszcie. — Wspaniała, wasza królewska mość.

—Też tak uważam. - Wstał i podszedł do niej. - A czy ty, pani, zaszczybisz nasze uszy jakąś swoją kompozycją?

- Oczywiście - odparła z wymuszonym uśmiechem. Nie miała pojęcia, która może być godzina, ale czuła, że do szóstej już niedaleko. Zanim spotka się z Kitem w labiryncie, musi jeszcze pobiec do komnaty po butelkę. Jej palce błądziły po strunach, próbując różnych akordów. Było jej wszystko jedno, jaki utwór zagra, byle krótki, bo się śpieszyła.

- Czy coś się stało? — zaczął król nieoczekiwanie cicho. - Nie umknęło naszej uwagi, że jesteś dziś, pani, jakaś roztargniona.

Strojąc gitarę Deanie zastanawiała się nad odpowiedzią. Nie miała odwagi powiedzieć królowi o groźbach Cromwella, musiała więc coś zmyślić.

- Nie mogę się przyzwyczać do życia na dworze, wasza królewska mość. Wszystko jest tu dla mnie takie obce, ciągle boję się, że kogoś czymś urażę, a już szczególnie waszą królewską mość.

Król usiadł obok niej na siedzisku przy oknie. Klejnoty na jego okrągłym nakryciu głowy połyskiwały w słońcu, którego promienie przebijały się przez żółte, grube szybki, oprawione w ołowiane romby.

- Wiesz, że niewiele brakowało, a nie byłbym królem? — spytał bez swej zwykłej pychy w głosie. Wydawał się teraz bardziej ludzki, normalny.

- Jak to? - zdziwiła się i odłożyła gitarę. Jego słowa nagle obudziły w niej ciekawość.

Roześmiał się i wyprostował przed sobą nogi w jedwabnych pończochach. Ogromna czerwona podwiązka zasłaniała miejsce, w którym wrzód zjadał jego kończynę.

- Byłem młodszym synem, księciem Yorku. Tron zgodnie ze zwyczajem przypadł mojemu starszemu bratu Arturowi.

- I co się z nim stało?

Henryk zdumiał się wielce jej pytaniem. Nawet w Walii wszyscy znali tę historię.

- Artur był faworytem mojego ojca — stwierdził. — Imię otrzymał po legendarnym królu.

- A, wiem. Tym od Okrągłego Stołu — ucieszyła się Deanie. Jej

LABIRYNT

oczy z frędzlami niemożliwie długich czarnych rzęs patrzyły z zainteresowaniem na Henryka. Sprawiało mu to przyjemność.

- Tak. Artur był królewiczem w każdym calu. Został nawet ożeniony z najszynniejszą księżniczką świata chrześcijańskiego Katarzyną Aragońską, córką Ferdynanda i Izabeli.

- To ci, co wysłali Kolumba na poszukiwanie Nowego Świata? Henryk znowu się roześmiał.

- Zaiste. Ale dopiero, gdy mój ojciec pomylił się, co zdarzało mu się nader rzadko, i odmówił sfinansowania wyprawy. Brat odkrywcy, Bartłomiej Kolumb, przyjechał do Anglii i osobiście błagał mego ojca o pieniądze. Nawet nie chciał tak dużo. Mój ojciec wszelako odmówił, uważał bowiem, że ta wyprawa nie przyniesie zysków.

Peanie gwizdnęła przez zęby, zapominając, że rozmawia z królem.

- Ale potem pluł sobie w brodę.

- Nie tyle on, co ja. Utrzymanie królestwa dużo kosztuje. - Powiedział to jednak lekko, a jego guzikowate oczy wesoło zamigotały.

- Wyobrażam sobie - rzekła Deanie. — Ale co stało się z Arturem?

- Z Arturem? Zmarł mając zaledwie czternaście lat.

- O, to przykre. Bardzo przykre. Biedna Katarzyna.

Król odchrząknął.

- Muszę przyznać, że Katarzyna Aragońska była wtedy piękną niewiastą. Nagle ja, chudopacholek, dostąpiłem wielkiego zaszczytu, zostałem księciem Walii. Ojciec sprowadził dla mnie z Europy najprzedniejszych nauczycieli. Bo moja edukacja, jako młodszego syna, została poważnie zaniedbana. O, była wystarczająca dla młodziana, który jako młodszy syn przeznaczony został kościołowi, ale nie wystarczała dla króla. Zanim zostałem królem, musiałem osiąść rozmaite nauki.

- Innymi słowy, wasza królewska mość musiał się dużo naukuwać.

Król zamrugał powiekami, po czym przytaknął.

- Myślę, że to odpowiednie określenie na ślęczenie nad księgami, którego doświadczyłem. Wkuwanie. - Strzepnął niewidoczny pyłek

z jedwabnego kaftana. - Jednym z moich nauczycieli była właśnie Katarzyna, wdowa po bracie Arturze. Miałem osiemnaście lat, kiedy mój ojciec zszedł z tego świata. Katarzyna miała dwadzieścia trzy. Poślubiłem ją.

- Chwileczkę, wasza królewska mość poślubił wdowę po swym zmarłym bracie?

- Tak. Potem żałowałem, bo Bóg nie pobłogosławił tego związku synem. Zostaliśmy ukarani, rozumiesz, pani. Ukarani za sprzeciwianie się woli Boga. Kościół nie popiera brania za żonę wdowy po bracie. Małżeństwo zostało unieważnione.

- To przykre.

Król zmarszczył czoło.

- Tak, to rzeczywiście było przykre.

Deanie wyczuła, że powinna zmienić temat.

- To jak właściwie wasza królewska mość nauczył się tego wszystkiego i został takim wspaniałym królem?

Słyszac to Henryk tak się nadał, że wypełnił całą objętość swego przepastnego kaftana.

- Jestem pomazańcem bożym.

Deanie zagryzła wargi, wiedząc, że Henryk mówi to całkiem poważnie. W rogu sali muzycznej rozległo się bicie jednego z królewskich zegarów.

- To niezwykle, wasza królewska mość — rzekła z zachwytem Deanie, licząc uderzenia. Sześć. Była szósta. Kit czekał na nią w labiryncie.

Król obdarzył ją leniwym uśmiechem. Podobał mu się jej schrypnięty głos, w którym czuło się namiętność.

- Zaiste.

- Wasza królewska mość, muszę... - Deanie wstała gwałtownie, bo wpadła właśnie na pewien pomysł. — Muszę odwiedzić ustronne miejsce — wyrzuciła z siebie szeptem.

Król wyprostował się.

- Oczywiście. Nie zatrzymuję. — Skrzywił się z niesmakiem. Niechętnie przyjmował do wiadomości, że kobiety mają potrzeby tego rodzaju. Strasznie go to denerwowało.

LABIRYNT

Deanie ukloniła się i popędzana niecierpliwym gestem jego dłoni wyszła pośpiesznie z sali muzycznej, po czym puściła się pędem, na ile pozwalała jej ciężki strój.

Hrabia Surrey, syn Norfolka, nie mógł się doczekać, kiedy Hamilton wreszcie osłabnie.

Dla Surreya dzień ten obfitował w upokorzenia. Sam domagał się walki z Hamiltonem, wiedząc, że tamten ma zranione ramię. Udał wielkie zdziwienie, a nawet współczucie, kiedy Suffolk, ten stary dureń, zakomunikował mu o stanie Hamiltona.

Tak jak się spodziewał, Hamilton oświadczył, że będzie walczył lewą ręką. Damy mdlały z zachwytu dla jego męstwa. Surrey zmełł w zębach przekleństwo pod adresem Hamiltona. Kim on takim był? Kto znał jego rodziców? Owszem, wyglądał na kogoś, kto pochodzi ze szlacheckiego rodu, ale to przecież król nadał mu tytuł.

Surrey wyprostował się, licząc, że nie ma czerwonego nosa. Zawsze wiosną dokuczał mu katar.

Zwycięży Hamiltona. Na oczach całego dworu, swego ojca i Suffolka. A przede wszystkim na oczach dam. Z jakichś niepojętych przyczyn jego oczywiste dobre pochodzenie i szlacheckie maniere nie robiły wrażenia na niewiastach, którym bardziej podobał się Hamilton, choć był szorstki w obyciu i poruszał się nie tak dostojnie jak on.

Jak to się właściwie stało? Jak Hamilton, trzymając miecz w lewej ręce, zdołał go pokonać aż dwa razy? Surreya z upokorzenia piekły uszy. Niektóre z dam się śmiały. Po ostatniej rundzie Hamilton wciągnął do niego rękę. Przyjął ją. Musiał przyjąć. Ale wytarł, jak tylko Hamilton z Suffolkiem poszli na wieczerzę.

Hamilton.

Surrey podskoczył, bo usłyszał czyjeś kroki. Najlepiej byłoby poderznąć Hamiltonowi gardło. Ale nie teraz. Za dużo ludzi widziało, jak Hamilton go pokonał, i gdyby Hamiltonowi coś się teraz stało, byłby pierwszym podejrzanym.

- Kit?

A, hrabianka Deanie. Surrey oblizal się łakomie. Piękna

dziewczyna. Ciekawe, jak by zareagował Hamilton, gdyby ktoś się nią zabawił, a potem porzucił, jak jakiś śmieć? Miło byłoby zobaczyć, jak Hamilton cierpi. Hm, pomysł to niezgorszy.

Ojciec nie znosił Deanie. To zrozumiałe. Ojciec chciał, żeby ich niedomyta kuzynka Katarzyna Howard została następną królową, zapewniając rodzinie pewną pozycję w państwie. Przeżyli Annę Boleyn, inną flejtuchowatą kuzynkę, przeżyją i Katarzynę.

- Kit?

Słodka Deanie stała od niego niecałe pięć metrów. Złapie ją, dotknie jej krągłych...

- Deanie!

Zza rogu wyłonił się Hamilton, niech go szlag trafi. Surrey wycofał się cichcem. Innym razem. Uśmiechnął się lubieżnie i zanim wyszedł z ogrodu, posłał Deanie niemego całusa.

Powoli weszli do labiryntu. Jeśli ktoś z pałacu ich teraz obserwuje, weźmie to za przedwieczorną przechadzkę.

- Spokojnie - rzekł Kit, czując, że Deanie jest zdenerwowana.

Zza krzaka wyszła lady Longley i zaczerwieniony jak burak paż. „Dobranoc, lady Longley”. Kit uśmiechnął się. Deanie zdobyła się na niewyraźny grymas.

Lady Longley skinęła głową i ruszyła prędkim krokiem w kierunku pałacu, a paż podążył za nią.

W labiryncie Deanie podała Kitowi butelkę. Wcześniej wyrzuciła z niej kwiaty. Butelka wydawała się teraz dziwnie pusta, tylko z tymi szerniałymi fistaszkami na dnie.

- To już niedługo. - Kit popatrzył przez zmrużone powieki na słońce. — Czy stałaś mniej więcej w tym miejscu?

- Nie jestem pewna.

— W każdym razie ja stałem tutaj, twarzą w tę stronę. - Pewnym, silnym ruchem ręki przeciął powietrze. Odwrócił się do Deanie. - Czy ty się dobrze czujesz? Jesteś blada. - Uniósł jej brodę.

W tym świetle jego oczy wyglądały zupełnie niezwykle, zieleń

LABIRYNT

mieszała się z brązami, tworząc cudowny odcień migdałowy. Deanie odwróciła głowę, usiłując zebrać myśli. Kiedy stał tak blisko, było to zupełnie niemożliwe.

- Coś jest nie w porządku - powiedziała w końcu.

Kit próbnie uniół butelkę nad głowę. Dugą ręką chwycił ją za ramię. Na szkło padł pojedynczy promień słońca i wyemitował z niego niebieskawe światło.

- Deanie... — zaczął Kit i ścisnął jej ramię.

Deanie wyrwała mu butelkę z ręki. Niebieskie światło natychmiast zniknęło.

- Co ty robisz! - krzyknął.

Strząsnęła jego dłoń z ramienia.

- Coś jest nie w porządku, Kit. Coś jest źle.

Westchnął ciężko i spróbował odebrać jej butelkę, ale Deanie odskoczyła jak oparzona.

- Na miłość boską, Deanie!

W głowie jej się kręciło. Zasłoniła twarz drżącą ręką i zastanawiała się, jak mu to wytłumaczyć. Stał tak blisko, że czuła jego ciepło. Cofnęła się jeszcze dalej. Przeszkadzał jej myśleć.

Nagle ją olśniło.

- Anna! — zawołała.

Poczuła, że ją zemdliło, nie mogła jasno myśleć. Złapał ją w chwili, gdy się zatoczyła.

- Spójrz na mnie, Deanie - powiedział łagodnie.

Zachodzące słońce rzucało ostatnie promienie.

Kit poprowadził Deanie do jednej z kamiennych ławek w labiryncie. Deanie usiadła sztywno. Westchnęła i spojrzała mu w oczy.

- Co stanie się z królową Anną?

- Na miłość boską, Deanie, nie rób mi tego!

Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo jest wzburzony. Oddychał ciężko i patrzył na nią marszcząc czoło.

- Co stanie się z królową Anną? — powtórzyła pytanie. Czuła się już znacznie lepiej.

- Właśnie teraz zebrało ci się na naukę historii? — warknął.

— Nie pamiętasz takiej starej wyliczanki?

- Jakiej znowu wyliczanki?
- O królu Henryku i jego sześciu żonach. Siostra mnie jej nauczyła, żebym zapamiętał kolejność. Czy ty w ogóle chodziłaś do jakiejś szkoły?
- Tak, ale u nas był niski poziom. Powiedz mi tylko to jedno: co stało się z królową Anną?

Przykrył dłonią jej dłonie.

- To szło tak: „Rozwiedziona, ścięta, mogiła, rozwiedziona, ścięta, przeżyła”.

Deanie zaczęła obliczać na palcach.

- Możesz jeszcze raz powtórzyć?

Powtórzył. Deanie zatrzymała się na czwartym palcu.

- Anna jest jego czwartą żoną, Kit — powiedziała cicho.
- Zgadza się.
- Henryk się z nią rozwiedzie.

Kit kiwnął głową.

- Cromwell załatwi unieważnienie małżeństwa.

- To leży w jego mocy?

Kit znowu kiwnął głową.

- O co chodzi, Deanie?

- O Cromwella — powiedziała w końcu. — Myślę, że jeśli odejdziemy, Annę spotka coś gorszego niż rozwód. Jeśli zostaniemy, wszystko może się inaczej potoczyć. Cromwell jest wściekły. Co ty na to, żebyśmy trochę zmienili bieg historii? On się nas śmiertelnie boi. Widziałeś to, prawda? Ten facet jest bliski załamania nerwowego.

Kit milczał, więc Deanie ciągnęła dalej:

- Jeśli odejdziemy, to jak myślisz, kto będzie jego ofiarą? Cromwell musi się na kimś wyładować, wiesz o tym lepiej niż ja. Wszystko skrupi się na biednej Annie. To jasne jak słońce, Cromwell zemści się na niej. Dopilnuje, żeby została ścięta. To będzie nasza wina!

Kit przez chwilę nic nie mówił, a potem uniósł dłoń Deanie i musnął ją wargami.

- Masz rację, Deanie. Tylko że my nic w tej sprawie nie możemy zrobić.

- Możemy temu przeszkodzić. - Wyrwała mu rękę, ale dalej czuła na niej ciepło jego warg.

LABIRYNT

- Nie zmienimy zwyczajów na tym dworze.
- Dlaczego nie?
- Na miłość boską, nie bądź taką Amerykanką. - Kopnął jakiś kamyk. - To nie jest Boston w osiemnastym wieku - rzekł patrząc jej w oczy. — Pojęcie demokracji jest tu zupełnie nieznaną. Nie da się zmienić mentalności tych ludzi. Cokolwiek o tym myślisz, nie zapominaj, że trafiłaś do epoki palenia czarownic. Poczujesz się pewnie dotknięta, ale kobiety tutaj plasują się między dobrym koniem pociągowym a parą mocnych trzewików.

- Ale...

— Patrz i słuchaj, Deanie - ciągnął. - Jak, do diabła, możemy uratować królową, której los był przesądzony, w chwili gdy Henryk ujrzał ją po raz pierwszy.

- Uratowała ci życie.

Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

- Nie lubisz jej, bo mówi z niemieckim akcentem - syknęła Deanie i spojrzała na niego tak, że Kit aż się wyprostował.

- Zagalopowałaś się, Deanie.

- Niemcy przegrali, Kit. Przegrali drugą wojnę światową, i to jak! — Przełknęła, starając się opanować. — Anna nie jest nazistką, lecz księżniczką z Kliwii. Sama cię pielęgnowała, robiła wszystko, co było w jej mocy, żebyś wyzdrowiał. A ty jej tak za to podziękujesz? Pozwolisz, żeby ją ścięli?

W ciszy, jaka teraz zapadła, Kit spojrzał na niebo. Czy rzeczywiście nie lubił Anny za grzechy popełnione przez jej rodaków, odległych krewnych, którzy mieli urodzić się dopiero za trzysta pięćdziesiąt lat? Anna nie urodzi dzieci. Nie zostawi nikogo po sobie, kto w dalekiej przyszłości podniesie rękę na Anglię.

- Słońce zaszło — stwierdził spokojnie. — Dziś już niczego tu nie zwojujemy.

- Mylisz się, Kit. — Teraz Deanie wzięła go za rękę, a on natychmiast odwzajemnił uścisk. - Dziś jeszcze możemy coś zrobić. Od Cromwella tylko jedna osoba jest silniejsza. Henryk. Jeśli trochę polubi swą żonę, nie ulegnie tak łatwo podszeptom ministra.

—Ale rzecz nie w szaleństwie Cromwella. Król przystaje na te okropne pomysły po prostu dlatego, że odpowiadają jego własnym życzeniom. Henryk chce się pozbyć Anny. To człowiek pozbawiony skrupułów, w każdym razie, gdy w grę wchodzi jego korzyści. Nie zmienisz go, Deanie.

- Możemy przynajmniej sprawić, że Anna nie zostanie skrócona o głowę. W końcu gdyby nie ona — powiedziała Deanie cicho — nie zakochałabym się w tobie.

- Chwyć poniżej pasa. — Westchnął i wstał. - Czy chcesz, żebyśmy zabawili się w swatanie króla z jego żoną?

Pokiwała energicznie głową i stanęła obok niego. Wciąż trzymali się za ręce.

—Myślę, że będę tego gorzko żałował. — Rzucił butelkę w powietrze i zgrabnie złapał ją jedną ręką. A potem poszli z powrotem do pałacu, każde zagubione w swych myślach.

12

Wieczorem przy stole król był w świetnym nastroju. Zaczerwieniona od wina twarz promieniała niekłamana radością. Dobry humor króla udzielił się wszystkim, od najskromniejszego giermka do Tomasza Howarda, księcia Norfolka, którego wielu dworzan zgoła nie poznało. Mało kto widział u niego taką minę. Biesiadnicy, zasłaniając dłońmi usta, komentowali przeobrażenie Norfolka, zastanawiając się, co też on knuje. Nikt nie chciał uwierzyć, że za tym anemicznym acz szczerym uśmiechem kryje się prawdziwy książę Norfolk.

Nawet obecność królowej Anny nie była w stanie zwarzyć humoru królowi. Siedziała cicho i jadła małymi kęsami, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Kit był bardzo zmęczony. Mówił mało, a jadł jeszcze mniej.

- Powinieneś się już położyć - szepnęła Deanie.

Charles Brandon po raz kolejny opowiadał, jak to książę Hamilton pokonał dziś młodego Surreya. Kit zachowywał się tak, jak gdyby słuchał Suffolka, ale kątem ust rozmawiał z Deanie:

- Nie dziś, kiedy Cromwell czatuje jak sokół. Nie mogę stąd wyjść przed królem, muszę grać rolę uległego poddanego.

- Jestem pewna, że król to zrozumie. Widział na własne oczy,

w jakim byłeś stanie. Mówię ci, idź i połącz się. Ja tu zostanę i tak ich zagadam, że nie zwrócą uwagi na twoją nieobecność.

- Tego właśnie się obawiam - rzekł Kit nachylając się do jej ucha. - Nie chcę zostawić cię z królem i królową Anną, bo Bóg jeden wie, co ci chodzi po głowie.

- A ileż ja mogę narozrabiać w ciągu jednego wieczora?

- Proszę cię, Deanie. - Nikły uśmiech pogłębił bruzdę na jego policzku, gdy palcem wodził po krawędzi pucharu. - Zdaje mi się, że król zamówił na dziś mimów. Wtedy będę mógł się zdrzemnąć.

- Tacy nudni?

Uniół brwi i skłonił się uprzejmie siedzącej po drugiej stronie sali kobiecie, która intensywnie się w niego wpatrywała.

- Mimowie nadali nowe znaczenie słowu nuda.

- Kim jest ta kobieta? - spytała Deanie.

Światło pochodni zaśniło na jego włosach, kiedy odwracał do niej głowę.

- Teraz rozumiem, na czym polega twój plan. Będziesz mnie przesłuchiwać, nie dając mi zasnąć. Coś mi się zdaje, że to wbrew; ustaleniom konwencji genewskiej.

- Pytam poważnie, Kit. Ta kobieta pożera cię wzrokiem.

- To nic złego - mruknął.

Żołądek jej się ścisnął, usiadła prosto. Kobieta dalej wpatrywała się w Kita, rozchylając wargi. Deanie opuściła wzrok, zajęła się studiowaniem pikowanego stanika swej szaty, leniwie wodząc palcem; po wyhaftowanym na nim kwiecie.

Inne kobiety też tak na niego patrzyły — pożądliwie, lubieżnie. Odwracały się za nim, gdy przechodził, milkły, nieruchomiały. Ale przedtem Deanie tego nie zauważała. Żyła w świecie pełnym nowych obrazów, zapachów i dźwięków, i do głowy by jej nie przyszło, że sama jest w centrum uwagi dworu.

Wsunęła palec za dekollet. Pod płóciennym gorsetem poczuła swe ciało, takie znajome, zwykłe. Wyobraziła sobie Kita rozmawiającego z Suffolkiem o niej, o jej ciele. „Ona nadaje nowe znaczenie słowu nuda”. Suffolk zachichotał ze zrozumieniem.

- Złe się czujesz, Deanie?

LABIRYNT

Deanie oblała się rumieńcem. Nie słyszała, co Kit do niej mówił. Katarzyna Howard i Cecily Garrison wymieniły przez stół zdziwione spojrzenia.

- Kochałeś już kogoś? — spytała cicho.

Teraz Kit miał głupią minę. To pytanie spadło na niego całkiem niespodziewanie. Pokręcił głową zaskoczony tym, jaką drogą szły jej myśli.

- Tak - odparł w końcu, ze wzrokiem utkwionym w puchar.

Nagle Deanie pojęła, co oznaczał ten ucisk w żołądku - zazdrość. Jeszcze dotąd nie doświadczyła prawdziwej zazdrości. Pewnie, że czasem czuła niechęć do innych kobiet, które pisały lepsze piosenki lub potrafiły okiełznać niezdolną publiczność lepszym repertuarem. Ale uczucie to nigdy nie wystąpiło w jej prywatnym życiu, nie towarzyszyło związkom z mężczyznami. Była zazdrosna.

- Czy coś cię kiedyś łączyło z tą kobietą? — Tak bardzo chciała to wiedzieć, że nie potrafiła powstrzymać się od tego pytania.

—Z Bessie Carpenter?

Deanie skinęła głową.

- Dobry Boże, nie.

Co za ulga. Odetchnęła.

—Nie mógłbym kochać kobiety stąd, żadnej z nich. - Wykonał lekceważący gest ręką, jak gdyby opędzał się od komarów. - Bardzo dziwnie rozumują, są przesądne, mnóstwo rzeczy przyjmują na wiarę. Nie mógłbym tego zaakceptować. Musiałbym udawać kogoś, kim nie jestem, grać.

Zagubiony w swych myślach, ciągnął, jak gdyby Deanie nie było:

— Robiłem to, żeby zapewnić sobie jaką taką pozycję. Go innego jednak zakochać się w kobiecie i grać tę rolę dwadzieścia cztery godziny na dobę. Potrafisz sobie to wyobrazić? To obciążenie psychiczne? Nie wytrzymałbym... - zacisnął szczęki — Nie, Deanie, nie mógłbym kochać się w żadnej z tych dam — podsumował.

Uśmiechnął się do niej niepewnie.

— Kim więc ona była? — Deanie wiedziała, że powinna zaprzestać tych pytań, ale kusił ją jakiś diabeł. — Kobieta, którą kochałeś.

Ostrożnie, uważając, żeby nie urazić chorego ramienia, Kit skrzyżował ręce na piersiach i spojrzał w zamyśleniu na Deanie, która aż płonęła z ciekawości.

- Wiesz... to zdarzyło się tak dawno temu. Z całą pewnością nie była to wielka namiętność. Chłopięce zadurzenie.

Deanie otworzyła usta, ale prędko się opanowała. Słyszała plotki o Anglikach, o szkołach z internatami dla chłopców, gdzie takie rzeczy były na porządku dziennym. Naoglądała się w telewizji tyle angielskich sztuk, że potrafiła poznać akcent kogoś z lepszego domu. A mimo wszystko zaskoczyło ją to, co powiedział.

Wyprostowała się, udając, że nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Rozumiem. Jak miał na imię?

Na twarzy Kita malowało się ogromne zdumienie.

- Kto?

- Ten chłopak, w którym się durzyłeś.

Kit przez chwilę milczał. Wreszcie na jego twarzy odmalował się wyraz zrozumienia.

- Czy pomyślałaś, że ja...

- To nic takiego, Kit. - Położyła mu przyjaźnie dłoń ramieniu.

- Pracuję w show-biznesie. Mam z tym ciągle do czynienia.

- Deanie, raz byłem zaręczony z siostrą mojego kolegi i miałem się ożenić. Sądziliśmy, że się kochamy. Nie była to jednak wielka namiętność.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jakoś znajomo, ale Deanie przeszła nad tym do porządku dziennego. Przez następne kilka sekund sala biesiadna pałacu Hampton Court, pełna ludzi rządzących Anglią, rozbrzmiewała chrapliwym śmiechem księcia Hamiltona.

Pomysł był genialny w swej prostocie. Dlaczego wcześniej na to nie wpadła?

Kiedy Kit naśmiał się do woli, kiedy w końcu złapał oddech i wyjaśnił, że był zakochany w młodszej siostrze kolegi ze studiów w Oksfordzie, objawiło jej się to z szybkością i siłą letniej burzy.

Podając królowej patere z słodyczami, Englebert odwrócił głowę

za Cromwellem, który właśnie wychodził z sali. Król stał odwrócony do nich plecami, przepijał właśnie do Katarzyny Howard. Nagle jednak się obejrzał. Sprawił to zapach tych słodczy. Czując napływ ślinki do ust, król zapomniał o Katarzynie Howard.

Pączki!

Król oszaleje na punkcie pączków. Deanie wyobraziła sobie, jak Henryk VIII wchodzi do „Tortów i torcików”, unosi władczym gestem tłusty palec królewski i wykupuje całą dostawę ciastek. Lukrowane pączki, czekoladowe ptyśie, babeczki z galaretką, napoleonki, rurki z kremem... Ależ by miał używanie!

Deanie potrafiła smażyć pączki. Jasne, że będą smakowały królowi. A jeśli dostanie je od królowej, to kto wie, co się jeszcze stanie. Droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek. Może królowej nie uda się zdobyć jego serca, ale powinna spróbować chociaż z żołądkiem.

Henryk z pewnością nie wyśle na szafot kogoś, kto zna przepis na pączki.

Deanie właśnie zamierzała podzielić się z Kitem swym pomysłem, kiedy mimowie rozpoczęli występ. Najwyraźniej król dał im znak, chociaż Deanie tego nie zauważyła.

Nie mogąc rozmawiać, mimo woli zaczęła oglądać popisy sześciu mimów. Poruszali się jak na filmie w zwolnionym tempie, zatrzymując się na chwilę po przyjęciu kolejnej pozy. Mieli jaskrawe, kolorowe stroje, na twarzach maski. Zapewne w tym, co robili, był jakiś zamysł, ale Deanie ich pozy wydawały się pozbawione sensu.

Spojrzała na Kita, który zagryzał wargi, żeby się nie uśmiechnąć. Szkoda, że ci mimowie nie znali starej sztuczki ze szklaną ścianą lub schodami do piwnicy.

Deanie przyszedł do głowy jeszcze lepszy pomysł. Korzystając z tego, że wszyscy gapią się na mimów, wymknie się do kuchni i powie Schulenbergowi, kucharzowi królowej, jak się robi pączki. Podstawowe ciasto było proste i podobne do tego, które tu też znali. Trzeba wykorzystać dobry humor króla. Kto wie, kiedy kapryśny monarcha znowu będzie w tak wyśmienitym nastroju?

Wstała powoli, starając się nie zwrócić na siebie uwagi. Kit też

zaczął się podnosić, ale Deanie pokręciła głową i z udawanym zakłopotaniem pokazała na drzwi prowadzące do ubikacji.

Kiedy wychodziła z sali, odprowadzały ją trzy pary oczu.

Jedna należała do Kita, druga do króla, który nie mógł się nadziwić, że niewiasty spędzają tyle czasu na spacerach do ubikacji i z powrotem. Trzecia para oczu należała do dżentelmena, który chodzenie za tą Bailey poczytywał sobie za swój nowy obowiązek. Wykorzystując fakt, że Deanie skierowała się do głównych drzwi i wszyscy patrzyli w tamtym kierunku, sam na palcach poszedł w drugą stronę, do bocznych drzwi.

Nikt nie zauważył jego cichego wyjścia.

Po trzech tygodniach mieszkania w pałacu Hampton Court, Deanie w końcu nauczyła się nie macać ściany w poszukiwaniu włącznika po wejściu do komnaty. Kiedyś przyłapała ją na tym Katarzyna Howard. Deanie zrobiła się czerwona jak burak i wymamrotała, że w Walii nawet najpiękniejsza boazeria nie umywa się do ścian pałacu królewskiego.

Wcześniej Deanie nie zastanawiała się, co robi z wnętrzem jasne, równomierne oświetlenie. W świecie, w którym nie istnieje elektryczność, człowiek odnosi niemiłe wrażenie, że w ciemnym korytarzu lub pustej komnacie zawsze coś się czai.

Grajkowie w sali biesiadnej grali jakąś nieznaną melodię. Zapewne była to jedna z najnowszych kompozycji króla. Miał pewne zdolności, ale nie zakwalifikowałby się do programu „Grać każdy może”. Idąc przez hall Deanie znowu wyobraziła sobie Henryka w dwudziestym wieku w Nashville, tym razem prezentującego swą muzykę niecierpliwemu producentowi, który wyłączyłby magnetofon po piętnastu sekundach.

Henryk wpadłby w furję i skazał producenta na ścięcie. Większość producentów po wysłuchaniu kompozycji Henryka ziewnęłaby i życzyła mu powodzenia w innej firmie.

Zabłądziła.

Wokół panowała cisza. Grajkowie albo przestali grać, albo byli już poza zasięgiem jej słuchu. Pałac liczył tyle komnat, że nie mogła

ich wszystkich znać, mimo że do wielu zajrzała, szukając rano Kita. Nie miała nawet pojęcia, w którym skrzydle się znalazła.

Chciała jej się krzyczeć, ale zagryzła zęby i cofnęła się do drzwi komnaty, którą przed chwilą minęła. Czy mówił jej coś gobelin ze świętym Sebastianem? Niestety, nie.

Kiedy wróciła na korytarz, odniosła niejasne wrażenie, że jest śledzona. Przystanęła i zaczęła nasłuchiwać. Wokół panowała głucha cisza. Widać to jej bujna wyobraźnia.

Skręciła w inny korytarz i aż ją zatkało. Ten korytarz był jej już znany — zwiedzała go z ekipą filmową w przededniu kręcenia wideoklipu. Człowiek, który ich oprowadzał po pałacu, powiedział, że w tym korytarzu straszy duch kobiety. Deanie daremnie usiłowała przypomnieć sobie imię tego ducha. Kurczę, dlaczego nie słuchała uważniej? Kto wie, czy to nie ona będzie straszyć w tym korytarzu przez następne pięćset lat.

Znowu przystanęła i tym razem wyraźnie usłyszała jakiś szelest za sobą. Ktoś jednak ją śledził.

—Kto tam? - spytała i natychmiast uświadomiła sobie idiotyczność swego zachowania. Czego się spodziewała - że duch wyjdzie z ciemnego kąta i się jej przedstawi? Ze złoczyńca ukloni się nisko i wyjaśni, dlaczego idzie za nią nie oświetlonym korytarzem?

Ruszyła. Rezygnując z zaglądania do mijanych komnat szybkim krokiem poszła w kierunku innego korytarza. W gardle jej zaschło, ale nie zwracała na to uwagi. Zmierzając w stronę ogromnych podwójnych drzwi czuła, że ktoś niemal depcze jej po piętach.

Już wyciągała rękę do ogromnej kołatki, kiedy czyjaś ręka zatkała jej usta.

—Stój - powiedział obcy głos. Poczwała za sobą wysokie, chude męskie ciało.

Dźgnęła go łokciem w bok. Jęknął, ale nie puścił jej. Przeciwnie, zacisnął uchwyt.

—To nie było mądre.

Wykręcił jej ręce do tyłu. Ugryzła go z całej siły w rękę. Zaklął szpetnie, a ona wykorzystała moment jego zaskoczenia i rzuciła się do ucieczki.

W ślepej, zwierzęcej panice dwoma susami dopadła drzwi, zatrzasnęła je za sobą, podparła ciałem i trzęsącymi się rękami zaczęła szukać po omacku zamka. Zamka nie było.

Prześladowca szarpał wściekle za klamkę. Zaparła się i przez chwilę udawało jej się utrzymać drzwi. Rzuciwszy okiem przez ramię zobaczyła nieopodal stół przykryty kobiercem i krzesło z wysokim oparciem. Na stole stała świeca, której wosk skapywał na tkaninę. Reszta komnaty ginęła w ciemnościach.

Nie puszczając drzwi, wychyliła się do przodu i przyciągnęła krzesło, którym podparła klamkę. Zdawała sobie sprawę z tego, że taka blokada wytrzyma kilka sekund, więc (modląc się, żeby domniemany stół nie okazał się komodą) dała susa pod kobierzec. Miała nadzieję, że nie przewróciła świecy. Z drugiej strony, pożar w tej chwili mógłby być błogosławieństwem - gdyby rozszalał się żywiół, łatwiej byłoby jej uciec napastnikowi.

Stół okazał się stołem i Deanie miała tam dużo miejsca. Słyszac, że krzesło z trzaskiem pada na drewnianą podłogę, podciągnęła tren sukni. Żeby jeszcze mogła zapanować nad swym urywanym oddechem!

— Wiem, że tu jesteś — powiedział głos z szyderczym triumfem., Deanie mimo starań nie potrafiła zidentyfikować swego prześladowcy.

—A, widzę, że moja zwierzyna się ukryła. - Zachichotał ostro, nieprzyjemnie. — Może pod krzesłem? Nie, za mało miejsca. No, to pewnie pod stołem. Płomień się kotłuje, a to znaczy, że ktoś przed chwilą poruszył świecę.

Deanie postanowiła wyczołgać się, zanim tamten przeszyje kobierzec mieczem. Ale w chwili, kiedy już miała zdradzić swą kryjówkę, rozległ się inny głos.

—Wyjdź stąd!

Rozkaz został wypowiedziany ostro, tonem nie znoszącym sprzeciwu.

—Kto to? — spytał niepewnie napastnik Deanie.

—Thomas Cromwell, hrabia Essex...

Kim był ten drugi, Deanie wiedziała, jeszcze zanim się przedstawił. Jego głos prześladował ją we snach.

LABIRYNT

—A ty jesteś młody Surrey? Schowaj broń, szczeniaku.

Deanie zakreśliło się w głowie. Surrey? Henryk Howard? Kuzyn Katarzyny? Chudy jak szczapa syn Norfolkka? Oparła się o ścianę, zasłaniając dłonią usta. A czego ten mógł od niej chcieć?

- A, Cromwell. - Surrey odzyskiwał pewność siebie. - Czyżbyś znowu wypadł z łask? Prawdziwi parowie są na dole, z królem.

- To tłumaczy twoją obecność tutaj — rzekł Cromwell tak spokojnie, jak wtedy, gdy rozmawiał z Deanie.

—Kundlu zatracony! — Surrey splunął ze złością. — W twoich żyłach nie płynie ani kropla krwi szlacheckiej! Ty... ty...

- Słucham, Surrey? - rzekł Cromwell. - Masz jakieś kłopoty z wymową? Zbyt wiele błękitnej krwi psuje rasę. Na przykład powoduje jąkanie się. I brak szczęścia w walce.

- Milcz waść!

- Opuść tę komnatę, Surrey, a żwawo! Bo zawołam moich ludzi. Deanie wyobraziła sobie przerażoną minę tamtego.

—Dni twoje są policzone, Cromwell! — warknął Surrey i splunął. A po chwili zaskrzypiały ciężkie drzwi. Widać ze wstydu Surrey całkiem o niej zapomniał.

Skulona pod stołem Deanie czekała, aż Cromwell wyjdzie. Nie mógł wiedzieć o jej obecności. Jeśli znajdował się za parawanem lub gdzieś obok, na pewno pomyślał, że sprawcą hałasów w komnacie był Surrey.

- Możesz już wyjść, pani.

Zrobiło jej się słabo. Surreya nie znała, więc nie bardzo go się bała. W przypadku Cromwella wiedziała, z kim ma do czynienia, widziała na własne oczy, do czego był zdolny. Jednym uniesieniem palca o mało nie pozbawił Kita życia. Sparaliżowana strachem nie odzywała się i nie ruszała.

—Proszę wyjść. Nic ci nie grozi.

—Jasne — mruknęła głośno.

—Jeszcze raz powtarzam, proszę natychmiast opuścić to śmieszne schronienie. A może wolisz, żebym zawołał moich ludzi?

Deanie natychmiast wyczołgała się spod stołu, zaczepiając o nogę kapturkiem. Gdy zaplątana w metry tkaniny - sukni i kołnierza

— usiłowała bezskutecznie dźwignąć się z podłogi, Cromwell westchnął z dezaprobatą i podtrzymał kobierzec.

Przez chwilę milczeli. Deanie patrzyła na Cromwella, myśląc o Kicie, który był teraz w sali biesiadnej. Miała nadzieję, że nie zauważył nieobecności Cromwella. Modliła się, żeby przypadkiem nie przyszło mu do głowy jej szukać.

- Co tu robisz? — spytał Cromwell zwyczajnie.

Deanie zamrugła oczyma. Ton, jakim zadał to pytanie, zdumiał ją, a zarazem przestraszył.

- Słucham?

- Na dole trwa jak zwykle biesiada. Król jak zwykle bierze w niej udział. — Cromwell się wyprostował. - Czy zapomniałaś, pani, o naszej umowie? Co robiłaś w ciemnym korytarzu?

Deanie skrzyżowała ręce, żeby zyskać na czasie. Co mu powiedzieć? - zastanawiała się. Niedobrze byłoby napytać sobie biedy. Wiem! Powiem mu prawdę! Nie robiłam przecież nic złego.

- Szukałam kuchni — powiedziała wreszcie.

- Kuchni? - zdziwił się Cromwell.

Przytaknęła.

- Wiem, jak zrobić coś, co królowi będzie smakować. To się nazywa „pączki”. Król będzie za nimi szalał.

- A gdzie Hamilton?

- Na dole. Ogląda występ tych koszmarnych mimów.

- Dozwolił ci iść do kuchni bez żadnej eskorty?

- No, nie — pokręciła głową. — Myśli, że poszłam w ustronne miejsce. Wpadłam na ten pomysł w sali biesiadnej. Widziałam, jak król na widok tacy ze słodyczami zapomniał o Katarzynie Howard, i przyszło mi do głowy, że na pewno będą mu smakować pączki. Pomyślałam więc, że wymknę się do kuchni i powiem Schulenbergowi, jak...

- Kto to jest Schulenberg?

- Kucharz królowej. W każdym razie pomyślałam sobie...

Cromwell dał jej znak, żeby zamilkła.

- Rozumiem - powiedział i kiwając palcem powoli przeniósł

LABIRYNT

wzrok na świecę. Deanie odniosła wrażenie, że o niej zapomniał. Zatonął się w swych myślach.

Nie podobała jej się ta cisza. Bystry umysł Cromwella pracujący w takim skupieniu mógł wymyślić tylko coś okropnego.

- Mogę coś powiedzieć?

Zaskoczyła go. Spojrzał na nią z uwagą, po czym skinął przyzwalająco głową.

- Przez ostatnie, kilka dni nie interesowałeś się nami. W zeszłym tygodniu omal nie zabiłeś Kita, a potem dałeś mu spokój.

Na płaskiej twarzy Cromwella nic nie wskazywało na to, że usłyszał jej słowa. Patrzył tak na nią jeszcze przez dłuższą chwilę.

- A wołałaś, pani, żebym dokończył swego dzieła? - spytał cicho.

- No, nie! — krzyknęła. — Chodzi mi tylko o to, że nie wiemy, Czego się spodziewać, i to nas bardzo denerwuje.

Cromwell z diabolicznym błyskiem w oku nachylił się ku Deanie. Miała już wrzasnąć, kiedy jego ręka minęła ją i sięgnęła po świecę, stojącą na stole pokrytym kobiercem.

- Proszę ze mną. - Pierwszy raz w jego głosie nie było złośliwości. Polecenie to nie zabrzmiało złowroźnie.

Poprowadził ją na drugi koniec komnaty. Kiedy szli, świeca wydobywała z ciemności meble. Deanie uświadomiła sobie, że oto znalazła się w prywatnych pokojach Cromwella, w jego norze, gdzie w samotności obmyślał intrygi.

Stało tam masywne biurko zasypane pergaminami. Trzymając wysoko świecę, Cromwell wskazał na sterty grubych papierzysek, kałamarz z atramentem i pęczek zaostrzonych gęsich piór. Leżała tam też ciężka pieczęć wykonana albo z mosiądzu, albo ze złota i stało naczynie z dziurkami. Deanie domyśliła się, że jest w nim piasek do suszenia atramentu na pergaminie.

- Oto dokumenty, dzięki którym małżeństwo króla zostanie unieważnione, a królowa ścięta. Są już prawie gotowe, brakuje na nich jeszcze kilku łatwych do kupienia podpisów.

Deanie była tak wstrząśnięta, że milczała. Cromwell ciągnął dalej:

—W ciągu ostatnich kilku dni w stosunku króla do królowej nastąpiła niespodziewana... odwilż. Moi ludzie mówią, że król się zmienił, kiedy powiedziałś mu, że królowa osobiście pielęgnowała Hamiltona.

—Bo tak było.

—Królowa Anna nie stała się złoźnicą jak ta głupia Katarzyna Aragońska czy też Anna Boleyn. — Cromwell w końcu spojrzał na Deanie. - Mnie nie obchodzi, jaka niewiasta zasiada na tronie, tak długo, jak król nie ma do mnie o to pretensji i mojej pozycji nic nie zagraża.

—Nie jest dla ciebie ważne, panie, która z nas jest królową, Anna Kliwijska, Katarzyna Howard czy ja? — Deanie starała się ukryć podniecenie w głosie.

—Tego nie powiedziałem. Nisko upadnę, jeśli Katarzyna Howard zostanie królową lub nałożnicą. Ale pamiętaj, pani, upadając pociągnę za sobą ciebie, Hamiltona i Annę. — Patrzył na nią w ciemności. —Jeśli potrafisz sprawić, by król nie pałał niechęcią do królowej, to dla nas wszystkich najlepiej.

Deanie chciała mu zadać jeszcze kilka pytań, poprosić, żeby lepiej wytłumaczył jej to wszystko, ale Cromwell wyraźnie miał już dość tej rozmowy.

—Idź już, pani — machnął niecierpliwie ręką. — Proszę się pośpieszyć i przygotować łakocie dla króla.

Nie była to odpowiednia pora na drażnienie tych spraw. Unosząc tren jedną ręką, drugą zaś macając w ciemnościach, żeby nie wpaść na jakiś mebel lub ścianę, Deanie pobiegła ku drzwiom. W progu jednak przystanęła.

—Mam jeszcze jedno pytanie, panie Cromwell.

Po chwili milczenia rozległo się niechętne, pełne irytacji:

—Słucham?

—Którędy do kuchni?

Od strony Cromwella dobiegł ją dziwny dźwięk. Deanie uświadomiła sobie, że to śmiech — suchy, pozbawiony wesołości śmiech. Przeszły ją ciarki. Rany, nawet jego śmiech przyprawiał ją o dreszcze.

LABIRYNT

- Do końca korytarza, a potem na lewo. Trafisz po zapachu.
 - Dziękuję - zaryzykowała.
- Nie było odpowiedzi. Deanie wzięła nogi za pas.

Cecily Garrison wróciła do sali biesiadnej. Ukłoniwszy się królewskim gościom pośpieszyła do księcia Hamiltona, który niecierpliwie czekał na jej wieści.

- Znalazłaś ją? — spytał z niepokojem.

Mężczyzna, który z zimną krwią wystawił swe życie na śmiertelne niebezpieczeństwo w podniebnej wojnie, który jeszcze tego popołudnia narażał swą zasłużoną reputację doskonałego szermierza w pojedynku z Surreyem — gorszym, ale zdrowym przeciwnikiem, ten mężczyzna okazywał teraz zdenerwowanie. Z jakiego powodu?

Kuzynka nie wróciła z ubikacji.

- Nie, nie znalazłam.

Kit bezceremonialnie wstał i ruszył w stronę drzwi. Zwykle był bardziej kurtuazyjny wobec Cecily i innych dam dworu. W chwili gdy już miał przekroczyć próg, lewą ręką trzymając rękojeść szabli, zderzył się z niewiastą, która wyrosła przed nim jak spod ziemi.

- Kit! — wysapała.
- Deanie, na miłość boską, gdzie się podziałaś?

Małe zamieszanie, jakie zrobili, zostało prędko zatuszowane przez błazna królowej, występującego w duecie z trójnogim niedźwiedziem.

Kit pociągnął Deanie na ich poprzednie miejsce. Kiedy usiedli, Deanie uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Nie zgadniesz, co się stało!
- Właśnie szedłem cię szukać — wycedził przez zęby. — Mało brakowało, a biegałbym po korytarzach z wyciągniętym mieczem. Czy nie prosiłem cię, żebyś tak nie znikiała? Nie prosiłem cię o to dziś rano?

Deanie patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. To wystarczyło, żeby cały jego gniew wyparował. Uświadomiwszy sobie, że wciąż ściska jej ramię, rozluźnił palec.

- Masz coś na nosie — powiedział cicho i stał palcem biały proszek z nasady jej nosa.

- Pewnie mąka. - Deanie potarła nos tak silnie, że zrobił się czerwony. Kit mimo woli się uśmiechnął. - Patrz teraz na króla! - szepnęła. Chciała opowiedzieć mu o spotkaniu z Cromwellem, ale zostawiła to na spokojniejszą chwilę.

- Dlaczego mam patrzeć na króla?

- Po prostu patrz.

Englebert z pokornym ukłonem prezentował właśnie królowi duży złoty półmisek, na którym piętrzyły się okrągłe ciastka. Królowa nerwowo zajrzała mu przez ramię. Kiedy zobaczyła, co jest na półmisku, zamrugła powiekami, po czym uśmiechnęła się powoli i spojrzała porozumiewawczo na Deanie.

- A cóż to takiego? - zagrział król. Przyjrzał się z bliska półmiskowi. Ręką ozdobioną klejnotami chwycił jedno z ciastek. Powąchał je nieufnie jak pies, ugryzł, jego małe ząbki zaczęły mleć z mechaniczną prędkością. Potem ruchy szczęki spowolniały, a Deanie wstrzymała oddech i zacisnęła palce na przedramieniu Kita.

Król zwrócił się ku królowej.

- Od ciebie? - spytał z pełnymi ustami i wskazał na nią oskarżycielsko palcem, którym nie trzymał pączka. Jego ruda broda była lepka od miodu.

Twarz królowej Anny zapadła się. Pokiwała smutno głową.

- *Ja*. To pączki.

Król patrzył na nią żując zapamiętane. A potem na jego twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

- Moja królowa! Wybornie! — Z tymi słowy sięgnął po drugi błyszczący pączek, zachęcając innych, żeby poszli w jego ślady. Ostatni zaproponował królowej Annie, jak cenny podarek.

Englebert promieniał.

Kit roześmiał się.

- Zrobiłaś pączki dla króla Henryka?

Deanie kiwnęła głową.

- Chciałam je polukrować, ale, wiesz, oni nie mają cukru. Musiałam użyć miodu.

- Nadawałabyś się na kobietę z NAAFI. - Zachichotał i objął ją.

LABIRYNT

—Z czego?

Nachylił się.

—To gospodynie domowe, które przynosiły pilotom herbatę i ciasteczka. No i te cudowne papierosy.

—Taka służba pomocnicza — mruknęła rozkoszując się ciężarem i ciepłem jego ramienia. — Zaraz, zaraz. Powiedziałeś papierosy? Zmusiłeś mnie, żebym ci tłumaczyła, co to takiego, robiłam z siebie kretynkę, a ty... Palisz?

Uniósł brwi i uśmiechnął się.

—Jak komin.

—Powiedz mi, Kit, kiedy zapomnę o papierosach? Jeśli się stąd nie wydostaniemy albo trafimy do innej epoki bez tytoniu, czy przestanę w końcu myśleć o papierosach?

W tej chwili podszedł do nich Englebert z tacą pączków. Kit wziął dwa, z których jeden podał Deanie.

— Proszę cię, powiedz mi - rzekła Deanie błagalnym tonem, skubiąc jego koszulę. — Kiedy mi to wreszcie przejdzie?

Zwlekając umyślnie z odpowiedzią, Kit ugryzł pączek i pokiwał głową z aprobatą. Kiedy przełknął, przybrał bardzo poważny wyraz twarzy.

— Powiem ci tylko tyle — szepnął. — Najtrudniejsze jest pierwsze
dziesięć lat.

Deanie zrobiła tragiczną minę. Drugi raz tego wieczora w sali biesiadnej rozległ się głośny śmiech księcia Hamiltona.

13

Nazajutrz Kit i Deanie byli zmuszeni poczekać z rozmową do zniesienia postu. Poprzedniego wieczora jednak Deanie udało się zdać Kitowi krótkie sprawozdanie z rozmowy z Cromwellem. Zwróciła przy tym uwagę na zastanawiającą zmianę w jego zachowaniu.

- Teraz on jest jeszcze bardziej niebezpieczny - doszedł do wniosku Kit. — Wie, że jeśli król poślubi Katarzynę, to po nim.

- Dlaczego? — zdziwiła się Deanie, kiedy wyszli z sali biesiadnej. Rozejrzała się, by się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje, po czym przywarła do jego ramienia. - Ona wydaje mi się całkiem w porządku. Prochu może nie wymyśli, ale to miła dziewczyna.

Kit roześmiał się.

- Trudno sobie wyobrazić, że Katarzyna Howard miałyby cokolwiek wymyślić... - Pokręcił głową. - To nie ona zagraża Cromwellowi, lecz jej rodzina. Ambicją nie ustępują Wallis Simpson.

- Jakiej znowu Wallis Simpson?

- Tej rozwiedzionej Amerykance, która wyszła za naszego Edwarda. — Stwierdziwszy, że Deanie dziwnie zamilkła, zatrzymał się i popchnął ją do kąta. — Nie powiesz mi, że nie masz pojęcia, o kim mówię.

LABIRYNT

- Nie mam pojęcia, o kim mówisz - przyznała.
- Nie znasz tej słynnej mowy zaczynającej się od słów: „Kocham tę kobietę”?

Twarz Deanie rozjaśnił uśmiech.

- Och, już sobie przypominam. Widziałam w telewizji film o nich. Ona była rozwódką z Baltimore, a Edward królem, który zrzekł się dla niej korony. Och, to było piękne! O ile dobrze pamiętam, to grała ją Jane Seymour.

- Jane Seymour?

- Ale nie królowa. Ta Jane grała w *Bondzie*, a potem została doktor Quinn w telewizyjnym serialu.

Kit zmarszczył czoło.

- Tak czy siak nasza Katarzyna ma ambitnego wuja i jeszcze bardziej ambitne stado katolickich stronników. Nie mogą zapomnieć Cromwellowi rozwiązania klasztorów. Jeśli Katarzyna zostanie królową, a pewnie nią zostanie, Cromwell znajdzie się na lodzie i na nim skupi się gniew Henryka, Norfolka i wszystkich katolików w tym kraju.

- Cromwell nie ma żadnych stronników?

Kit pokręcił głową.

- Nigdy nie starał się zjednać sobie ludzi. Jego talent polega na tym, że potrafił wmówić królowi, iż jest mu niezbędny. Nigdy nikomu na tyle nie ufał, żeby dzielić z nim władzę. Nawet jeśli miał kiedyś jakichś politycznych stronników, to się ich pozbył. Zawsze działał w pojedynkę i nie budował swego stronnictwa. Przez jakiś czas to się sprawdzało, ale...

Kit zamilkł, bo zbliżył się do nich Norfolk. Ukłonił się zdawkowo. Teraz, kiedy król nie krył swego zainteresowania jego siostrzenicą, Norfolk chodził dumny jak paw, z każdym zerknięciem króla na Katarzynę robił się coraz bardziej pewny siebie.

Potem, kiedy mieli wrócić do rozmowy w korytarzu, wieczór gwałtownie się skończył, gdyż Deanie wraz z innymi damami dworu musiała odprowadzić królową do sypialni. W ten sposób nie zdążyła opowiedzieć Kitowi o tym, że była ścigana przez Surreya.

Nazajutrz rano przyszło jej zająć się wyszywaniem pod okiem

kąśliwej matki Lowe. W tym czasie Kit z Suffolkiem i innymi panami planowali na lato turniej rycerski. Znalazł Deanie w jej komnacie, gdzie siedząc tyłem do drzwi ślęczała nad robótką. W korytarzach panowała niezwykła cisza. Większość dworzan zeszała na dół podziwiać nową królewską kręgielnię.

- Pada — obwieścił od drzwi. Uniósł ręce nad głowę i chwyciwszy się sklepienia nad drzwiami wychylił się do przodu. Ramię wciąż go bardzo bolało, ale starał się tego nie zauważać. Nie lubił przyznawać się do słabości. — Z labiryntem musimy poczekać, aż się wypogodzi.

- To dobrze - stwierdziła Deanie ciągle odwrócona do niego plecami.

- Dobrze?

- W ten sposób zyskujemy trochę czasu, żeby pomóc królowej. Z powodu tych papierów, które pokazał mi Cromwell, wolałabym, żeby padało kilka tygodni. To trochę potrwa, zanim uda nam się zapewnić jej bezpieczeństwo, Kit.

- Nie wystarczy, że pączki smakowały królowi? - spytał.

- Aby uzdrowić małżeństwo, potrzeba więcej niż sześć tuzinów pączków.

Kit zmarszczył czoło.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tylko to, że upłynie trochę czasu, masę czasu, zanim zmienimy stosunek króla do królowej.

- Nie mamy tyle czasu, kochanie. - Zniżył głos. - Im dłużej tu zostaniemy, tym większe niebezpieczeństwo, że zostaniemy oskarżeni o czary lub zdradę.

- Tobie jakoś udało się tego uniknąć przez przeszło dziesięć lat - argumentowała nie patrząc na niego.

- To było kiedyś. Będąc sam, świetnie sobie radziłem. Twoje przybycie wszystko zmieniło. Co ty właściwie robisz?

Przerwała i spojrzała prosto przed siebie.

- To dobrze czy źle?

- Myślę, że dobrze. - Po jego głosie można było poznać, że się uśmiecha. - Myślę, że wspaniale. Gdyby nie to, że w każdej chwili grozi nam oskarżenie o zdradę lub czary.

LABIRYNT

- Co jest gorsze, być oskarżonym o zdradę czy czary? - zastanawiała się głośno.

Zaśmiał się i przeniósł ciężar ciała na drugą stopę.

- Gdybym miał wybór, wolałbym oskarżenie o czary. Jak się ma szczęście, to spadnie deszcz i zgasi ogień. Kiedy cię wieszają, topią i ćwiartują, nie można na nic takiego liczyć.

- Wszystko naraz? — Deanie zeszytniała. - Czy to nie przesada?

- O to im chodzi. Chcą, żeby biedak był przytomny. Powiedz mi wreszcie, Deanie, co ty właściwie robisz?

Deanie odwróciła się i uniosła lewą dłoń. Nawet z tej odległości Kit dojrzał spływające po jej palcach strumyczki krwi.

- Dobry Boże, co ci się stało? - Kilkoma susami znalazł się u jej boku.

- Uczylałam się wyszywać. - Westchnęła. - To się wydaje łatwe. Dwie panie sobie siedzą, gawędzą i wyszywają. Ale te igły są strasznie ostre, a matka Lowe nie pozwoliła mi przerwać roboty.

W czasie, kiedy on oglądał poranione opuszki jej palców, ona sięgnęła po małą próbkę swej pracy. Przyjrzała się jej z nie skrywanym wstrętem.

- W porządku. Śmieję się, nie mam nic przeciwko temu — mruknęła.

Kit przeniósł wzrok na kwadratowy kawałek tkaniny.

- O, rety. Powiem ci, Deanie, że to jest bardzo dobre. Jeszcze jak dobre. - Zmrużył powieki, zbliżył twarz do robótki, a potem odsunął. Miał przy tym dość głupią minę.

- Wiesz chociaż, co to jest? — W kącikach warg Deanie czaił się uśmiech.

- Co? Oczywiście, że wiem. Nie jestem idiotą. Pokaż mi to jeszcze raz. — Skupił się znowu na jej opuszkach. - Przydałoby się trochę jodyny.

- Co to jest?

- Jodyna? Taki pomarańczowy płyn odkażający.

- Kit, ja wiem, co to jest jodyna. Pytałam, czy wiesz, co wyszyłam.

- A, to.
- Przytaknęła z poważną miną.
- Pozwolisz, że jeszcze raz na to spojrzę — powiedział ze sztuczną wesołością. - O rety, ale kolory! Naprawdę, Deanie, to jest zachwycające. Jak dobrze użyłaś tej czerwieni.
- Jakiej czerwieni? Nie używałam żadnej czerwieni. — Spojrzała z bliska na tkaninę i zagryzła policzek od środka, żeby się nie roześmiać. - To krew — powiedziała w końcu. - Matka Lowe nie pozwoliła mi używać naparstka.
- Rozumiem. Ale ta czerwień tu pasuje.
- Daj już spokój z tą czerwinią. Lepiej powiedz, co to jest.
- Och, Deanie, przecież ja wiem, co to jest.
- To powiedz wreszcie - nastawała.
- Tak się skupił, że pogłębiły się bruzdy w jego policzkach. Wreszcie uśmiech rozjaśnił jego twarz.
- Wiem, to jest robak!
- Deanie pokręciła przecząco głową.
- Ptak? Tu są skrzydła, prawda?
- Deanie uniosła brwi, skrzyżowała ramiona i zaczęła stukać zniecierpliwiona stopą.
- Nie pomożesz mi?
- Znowu pokręciła głową. Tym razem nie mogła już ukryć złośliwego uśmieszku.
- Świetnie. To jest jakaś istota z mitologii, prawdopodobnie feniks odradzający się z popiołów. Nie? Jeszcze raz spojrzę. Wiem! Czy w gardle tej istoty jest człowiek?
- Przytaknęła gorliwie.
- Mamy więc rebus. — Odchrząknąwszy spojrział na Deanie i wtedy nagle zrozumiał.
- Deanie - powiedział chrapliwie, odwracając próbkę. Przez dłuższą chwilę w milczeniu oglądał marny rezultat jej usiłowań, przedstawiający dziwnego owada z garbem. Spojrział na nią. - To jest samolot.
- Bingo.
- Przełknął ciężko, a potem oddał jej tkaninę, zastanawiając się,

LABIRYNT

dłaczego dławi go w gardle. Zrobiła to dla niego, tylko dla niego. Starał się nie dać po sobie poznać, jak bardzo wzruszył go ten gest.

—A jaki to samolot? — spytał oskarżycielskim tonem, lecz Deanie jak gdyby nic sobie z tego nie robiła.

—Nie wiem — odparła wzruszając ramionami. — Trochę go wymyśliłam. Jeżdżąc z koncertami obejrzałam setki filmów wojennych. Po koncercie często trudno jest zasnąć. Zamknęłam oczy i spróbowałam sobie przypomnieć, jak wyglądały samoloty w tym starym filmie z Daną Andrews. Nawiasem mówiąc, zawsze myślałam, że ten Dana to kobieta. - Nagle uświadomiła sobie, że za dużo mówi.

— Podoba ci się?

Kiedy spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich dziwny, niespokojny błysk.

— Tak — powiedział w końcu, przyciągając ją do siebie jedną

ręką. W drugiej trzymał tkaninę, od której nie odrywał spojrzenia.

— Mogę to sobie zatrzymać?

— Jasne. Wyszyłam to dla ciebie.

Rozsznurował swój czarny dublet i wsunął tkaninę pod szeroką białą koszulę. Na jego twarzy wciąż malował się ten dziwny wyraz.

—Powiedz mi, Deanie, czy to był nasz samolot, czy wroga?

Spojrzała na niego zmieszana.

—Nasz. Dlaczego pytasz?

—Tak się tylko zastanawiam - mruknął biorąc ją za rękę. Przystanął, przyciągnął do ust jej pokłute palce i złożył na nich ciepły pocałunek. — Jesteś pewna, że wygraliśmy tę wojnę?

—Nie rozśmieszaj mnie - odparła szeptem.

Ale w tej chwili bynajmniej nie wojnę mieli w głowie.

Godzinę przed wieczornym posiłkiem królowa wezwała Deanie do swej komnaty. Za oknem wciąż lało, a pałac wydawał się bardziej wilgotny i chłodny niż zwykle.

—Ja tobie dżenkuję za te pączki - zaczęła królowa z uśmiechem, gdy Deanie złożyła jej ukłon. - Król mówi, że pączki bardzo okey.

Deanie uniosła brwi.

—Król je wszystkie pożarł, nieprawdaż, wasza królewska mość?
—Pożarł cztery lub pięć. - Królowa dała znak Deanie, żeby usiadła na krześle. - Chodź tu. Ja chce odgryźć ci ucho.

—Ze co proszę?

—Ja musze z tobą rozmawiać na ucho. - Udając, że nie dostrzega rozbawionej miny Deanie, królowa sięgnęła za siebie po pergamin, który sprawiał wrażenie oficjalnego dokumentu. Deanie przestraszyła się, że Cromwell wydał rozkaz egzekucji królowej. Ale prędko odsunęła od siebie tę myśl. Królowa nie sprawiała wrażenia osoby śmiertelnie zagrożonej.

—Ty czytaj to z łaski swojej — powiedziała wręczając Deanie pergamin.

Dokument był pięknie napisany, czytelniej od większości próbek, które Deanie tu widziała. Deanie gwizdnęła przez zęby.

—Bardzo ładnie wykaligrafowane, miłościwa pani. Ktokolwiek to napisał, mógłby kaligrafować imiona na prezentach lub zbiłby fortunę wypisując dyplomy.

—Ty czytaj z łaski swojej — powtórzyła królowa wskazując pergamin swym spłaszczonym palcem.

Deanie wzruszyła ramionami i zaczęła czytać.

Dozwól mi zapewnić Cię tym pismem, Najjaśniejsza Pani, o moim szacunku, jaki żywię do królowej W Twojej osobie oraz moim całkowitym posłuszeństwie, jakie jestem Ci winna jako matce. Jestem za młoda i za słaba, by móc zrobić coś więcej, niż tylko życzyć Ci z całego serca wszystkiego najlepszego z okazji zawarcia tego małżeństwa. Tuszę, że Najjaśniejsza Pani okaże mi tyle dobrej woli, co ja gorliwości, by być na Jej usługi.

Deanie z zakłopotaniem spojrzała na królową.

— Zaraz, zaraz, nie wiedziałam, że wasza królewska mość ma dzieci — powiedziała. - Autor czy autorka tego listu nazywa waszą królewską mość matką.

Królowa Anna przytaknęła.

— To moja pasierbica, córka mojego męża, króla.

LABIRYNT

- Aha. - Deanie zmarszczyła czoło. — Ile ma lat?
- Sześć.
- Co takiego? Sześcioletnie dziecko napisało taki list?
Królowa uśmiechnęła się zdawkowo.
- Ona jest fajna, nie?
Deanie pokiwała głową, czytając jeszcze raz list księżniczki.
- Gdzie ona teraz jest? — spytała nie odrywając wzroku od pergaminu. - Nie widziałam jej na dworze. Nie widziałam też małego księcia. Pilnują go niczym więźnia.
- Książę to sukcesor króla, następcą tronu. On jedyny syn, więc król zachowa wielką ostrożność.
- Ale skoro książę jest sukcesorem króla, to czy nie powinien przebywać na dworze?
Królowa popatrzyła na nią z aprobatą.
- To mnie boli. Czy ty nie myślisz, że mała księżniczka Elżbieta też powinna tu być?
Deanie położyła pergamin na kolanach.
- Oczywiście że powinna. A gdzie ona jest?
- Król ją wysłał do inny pałac. Król jej nie znosi i nie chce jej tutaj.
- Nienawidzi? Ale za co, na miłość boską? Przecież to dziecko
- wymamrotała Deanie. Obraz bystrej sześciolatki nie chcianej przez swego ojca przywołał wspomnienia z jej dzieciństwa. —
Trochę się w tym wszystkim gubię. Kto jest jej matką?
Królowa spojrzała na nią zdumiona.
- Anna Boleyn. Król kazał ściąć przeszło trzy lata temu.
- Jezu! To biedne dziecko miało zaledwie trzy lata.
Królowa rzuciła niespokojne spojrzenie w stronę drzwi, podeszła do nich na palcach, wyjrzała na korytarz, po czym zamknęła drzwi.
- Ja pokazała ten list królowi - powiedziała ścisząc głos. - Mam nadzieję, że zrobi mu się żal małej. Przed rozmową nawet ja nakazała memu kucharzowi, że on dorobił trochę pączków.
- I co? - spytała Deanie szeptem. Rozmawiały, zbliżywszy do siebie głowy. Przez chwilę uwagę Deanie rozpraszały roz-

szerzone pory królowej i jej zapach - duszny zapach nie mytego ciała, który jednak nie wydawał się Deanie już tak nieprzyjemny jak na początku.

- On bardzo się rozzłościł. Kłął, ale ja nie wszystko rozumiała. Potem kazał mi iść precz. On powiedział, że matka księżniczki Elżbiety to ładacznica.

Wyobrażając sobie gniew króla, Deanie mimowolnie się skuliła.

- A więc nie pozwoli, żeby jej rodzina przebywała na dworze - stwierdziła cicho.

- Nie. Potem kazał mi oddać ten list Cromwellowi, żeby on dał odmowę.

- Wspaniale. Cromwell się najlepiej nadaje na korespondenta sześćioletniej dziewczynki.

Królowa zrobiła zdziwioną minę.

- Ty tak sądzi?

- Nie, wasza królewska mość - odparła Deanie. - Sądzę, że to straszne. - Spojrzała na list jeszcze raz i zauważyła w rogu maleńki rysunek. Był to kwiatek, tak mały, że można go było przeoczyć, nieśmiała prośba samotnej dziewczynki o przyjaźń. - Cromwell już to widział? - Deanie wyobrażała sobie, z jaką radością napadnie na niewinne dziecko.

- Nie. Ja nie ma wpływu na króla, ale ty ma. Jak pomóc małą księżniczką?

Deanie zacisnęła dłoń leżącą na pergaminie. Czy ta uprzejma królowa nie zdawała sobie sprawy, na co się naraża błagając o pomoc dla dziecka, którego nigdy nie widziała? W ciemnych oczach królowej było jednak coś, co mówiło, że jest świadoma zbierających się nad jej głowę chmur.

- Czy wasza królewska mość może dać mi trochę czasu do namysłu? - spytała Deanie, trąc czoło i zastanawiając się, co Kit na to powie.

- Oczywiście. — Królowa uśmiechnęła się, delikatnie wzięła pergamin z kolan Deanie i wstała. - My rozmawiamy przy wieczerzy.

Deanie pokiwała głową. Wychodząc z komnaty królowej zastanawiała się, gdzie teraz może być Kit. On coś wymyśli.

LABIRYNT

- Co jej obiecałaś? - spytał Kit dysząc po stoczony walce. Jego floret leżał na ziemi tuż koło jej stóp, Deanie lekko się cofnęła. Kit mimowolnie pomasaował obolałe ramię.

- Powiedziałam tylko, że spróbujemy jakoś pomóc — powtórzyła Deanie.

W sali słychać było szczękanie mieczy. Surrey, który znajdował się na drugim końcu, zezował na Deanie z za niewygodnego ochraniacza, którego się wstydził. To ojciec upierał się, żeby go wkładał. Jego wściekłość była tym większa, że żaden z uznanych szermierzy nie wyraził chęci, żeby się z nim zmierzyć.

- Jeśli jutro nie będzie padać, spróbujemy się stąd wydostać — rzekł Kit łagodnie.

- Nie; Kit. Ja naprawdę chcę tu zostać i pomóc. Teraz nawet bardziej niż przedtem.

- Nie rozumiesz? Nie możemy. - Kit westchnął i rozejrzał się po sali. Właśnie wpuszczono do niej damy. Była to najlepsza okazja dla młodych mężczyzn popisania się przed niewiastami. Ku ich uciesze mężczyźni byli bez dubletów.

Mimo przejęcia małą księżniczką Deanie nie mogła nie zauważyć, że Kit jest o wiele lepiej zbudowany od pozostałych mężczyzn. Wielu było przystojnych, a kilku miało dość dobrą muskulaturę. Ale żaden nie mógł się równać z księciem Hamiltonem.

- Powinieneś zobaczyć ten list. Naprawdę, serce mi się krajało, kiedy go czytałam.

- Twoja troska o innych jest wzruszająca, kochanie. — Otarł kropelki potu z powiek. - Zachowaj trochę tej troski dla nas. Nawet w tej chwili, kiedy tak sobie stoimy i gawędzimy, jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie. Spróbujemy wydostać się stąd jutro, a wówczas wszystkie te intrygi zginą, mam nadzieję, w mrokach historii.

Odwrócił się i odszedł w kąt, gdzie kłaniając się grupce dam odwiesił swój floret. Skrzyżowawszy ręce na piersiach, Deanie poszła za nim, schylając głowę, żeby nie nadziać się na wyciągniętą przez jakiegoś lorda szpadę. Starła się nie stracić panowania nad sobą.

- Jeśli nie chcesz mi pomóc, to nie. Dam sobie radę - syknęła mu do ucha. Kit odwrócił się, zdumiony nie znanym mu tonem jej

głosu. — Ty nie wiesz, jak to jest, kiedy twój ojciec ma cię w nosie, nie interesuje się, co się z tobą dzieje, czy jesteś chora, czy zdrowa, mądra czy głupia. Pochodzisz z bogatej rodziny, miałeś oboje rodziców.

— Mój ojciec zginął na wojnie, kiedy byłem dzieckiem.

— Wiem i to jest straszne, naprawdę straszne. Ale przynajmniej nie porzucił cię, a ty nie zastanawiałeś się przez całe życie, dlaczego to zrobił. — Łzy zamazały jej świat, ale ciągnęła dalej: - My dwoje mieliśmy przynajmniej matkę, ty miałeś również siostrę. A kogo ma Elżbieta? Jest pozostawiona sama sobie i pisze listy do obcej kobiety prosząc ją, żeby była dla niej matką. Och, Kit, to takie biedne dziecko.

- Może temu „biednemu dziecku” dobrze zrobi szorstkie traktowanie. Ta mała dziewczynka wyrośnie na wspaniałą królową, która potrafi zgnieść potęgę Hiszpanii żelazną ręką. Zostaw ją w spokoju, Deanie.

- Dobrze, zostanie wspaniałą królową - kłóciła się dalej Deanie.

- Ale może będzie jeszcze wspanialsza, jeśli będzie miała szczęśliwe dzieciństwo.

— A może to jej nieszczęśliwe dzieciństwo sprawi, że zostanie taką wspaniałą królową? - Inni dworzanie słuchali ich, usiłując zrozumieć coś z tej wymiany zdań. Ale nawet stojący najbliżej nie mogli nic pojąć. Wiedzieli tylko, że są świadkami sceny pełnej emocji.

— Chcę wyciągnąć do niej rękę! — krzyknęła Deanie, po czym odetchnęła i dodała spokojniej: - Proszę cię, Kit.

— Deanie. - Kit położył jej rękę na ramieniu, żeby ją uspokoić.

— Kochanie — rzekł cicho - to, że pomożesz Elżbiecie, nie zmieni twego dzieciństwa.

Deanie patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Nie wiem, Kit. W tym liście było coś takiego, że mnie to naprawdę wzięło. Może...

- Co takiego, Deanie?

- Może sama chciałabym mieć dziecko - wyszeptła. - Nasze dziecko, które nigdy nie będzie musiało się zastanawiać, gdzie są jego rodzice i czy je kochają. Jeszcze nigdy tak się nie czułam.

Kit w milczeniu otarł łzy z jej policzków. Tak bardzo chciał ją przytulić, ale zdawał sobie sprawę, że są obserwowani.

LABIRYNT

- Jeśli w labiryncie wszystko pójdzie po naszej myśli, to będziemy mieli szansę. Tylko wtedy. Inaczej nigdy nie przyjdzie nasza kolej.

- Proszę cię, Kit. A jeśli coś nam się stanie w labiryncie? Jeśli zostaniemy rozdzieleni albo zabici? Oboje wiemy, że to możliwe. A jeśli coś takiego się stanie, to co po sobie zostawimy? Przepis na pączki? Wspomnienie o rycerzu, który wygrywał wszystkie turnieje? To mało, Kit. Gdybyśmy jednak mogli uszczęśliwić małą dziewczynkę, przysłą królową... W ten sposób pomogliśmy również pewnej wspaniałomyślniej kobiecie, komuś, kto tu się czuje tak samo obco jak my. Wtedy nasze życie miałoby jakiś sens.

W ciszy, która teraz zapadła, słychać było tylko szczękanie szpad i szepty. W końcu na wargach Kita zakwitł blady uśmiech.

- Dobrze, Deanie - przystał. - Umówimy się tak. Jeśli jutro dalej będzie padać albo niebo będzie zbyt zachmurzone, żeby próbować szczęścia w labiryncie, zastanowimy się, jak pomóc Elżbiecie i królowej. Ale jeśli będzie świeciło słońce, spróbujemy się stąd wydostać.

Deanie pociągnęła nosem i pomodliła się o angielski monsun. Żadne z nich nie zauważyło złośliwego uśmiešku na twarzy Henryka Howarda, hrabiego Surreya.

14

Na dworze przekazywano sobie półgłosem jakąś wiadomość.

Deanie przestraszyła się, że chodzi o dawno oczekiwane unieważnienie małżeństwa króla z Anną. Korytarze aż wibrowały od szeptów. Dworzanie zwykle poranne pogawędki kończyli po kilku zdaniach, jak gdyby bali się, że zagadani przeoczą jakąś ważną informację.

O dziesiątej niebo się rozchmurzyło i zaświeciło słońce. Zwykle taka pogoda skłaniała do wzmożonej aktywności; zbierano się w grupki i wymyślano rozrywki. Tego poranka jednak nawet najbardziej spragnieni jej dworzanie ociągali się z wyjściem z pałacu.

W komnacie królowej czuło się, że coś jest nie w porządku. Katarzyna Howard z ożywieniem opowiadała o wysokim kołnierzu, na który moda miała niebawem dojść z Włoch i Francji. Ona jedna wydawała się nie zauważać, że rozmowa się co chwila rwie, a damy przejawiają dziwne roztargnienie.

- A najważniejsze jest to, że wysoki kołnierz dobrze wygląda na wszystkich figurach, tak okrągłych, jak szczupłych - zakończyła i powiodła wzrokiem po otaczających ją kobietach. - Trzeba jednak bardzo uważać, ponieważ...

LABIRYNT

Pięć głów, łącznie z głową królowej, zwróciło się w jej stronę. Zawiesiły igły w powietrzu czekając na to, co teraz powie.

Deanie wstrzymała oddech. Katarzyna, jako powierniczka króla i siostrzenica Norfolka, była najlepszym źródłem informacji na dworze.

Katarzyna ziewnęła, z wolna się przeciągnęła, dając im czas na wyobrażenie sobie najgorszych rzeczy.

—...ponieważ kapturek będzie się o niego zaczepiać - dokończyła wreszcie, wielce zadowolona z siebie. Na potwierdzenie swych słów pokiwała energicznie głową.

—Co takiego? — zdenerwowała się Deanie, tym bardziej że igła wbiła jej się w kciuk.

—To prawda. Trzeba będzie sprawić sobie kapelusz podobny do tych, jakie noszą dżentelmeni. Dotyczy to kapturków zarówno angielskich, jak i francuskich.

Deanie spojrzała porozumiewawczo na królową i zaczęły chichotać, a po chwili przyłączyła się do nich Cecily Garrison i inne damy dworu. Katarzyna Howard zmieszała się.

—Ale ja mówię poważnie — broniła się. - Słyszałam, że niejedna dama zaczepiła się niewygodnym czepcem, a raz...

Katarzyna zamilkła, bo drzwi się otwały z impetem i do komnaty wkroczył bładz Englebert. Skłoniwszy się przed królową podał jej jakiś papier. Królowa przebiegła go oczyma i też zbladła.

- Moje panie, ja teraz chcę byc sama, okej? - wymamrotała.

Deanie wstała wraz z innymi i zaczęła zbierać robótkę.

—Proszę zostać, hrabianko.

W czasie, gdy damy dworu wychodziły z komnaty, Deanie stała zmieszana jak uczennica i otrząpywała z sukni kawałki nici. Wreszcie Deanie i królowa zostały same. Z korytarza dochodziły je stłumione głosy dam dworu.

—Dziś rano Cromwella zabrano łodzią do Tower - oznajmiła królowa bez żadnych wstępów.

Deanie zaskoczona opadła z powrotem na krzesło nie pytając o zgodę.

—To dobrze czy źle? — spytała tępo.

- Nie wiem — rzekła cicho królowa, patrząc znowu na papier.
- Cromwell zaaranżował moje małżeństwo. Akceptował moje cudzoziemskie zachowanie i ubiór. Ja jest daleko od domu. Ty wie najlepiej, jakie to uczucie. Ja jest na łasce i niełasce mego małżonka.

- Może wasza królewska mość powinna wyjechać — zaryzykowała Deanie. - Najjaśniejsza pani powinna czym prędzej wrócić do Kliwii. Postaram się pomóc w tym, a i Kit zrobi, co w jego mocy.

- Nie. - Królowa podeszła do inkrustowanego biurka i upuściła nań papier. — Ja jest zamężna. Jeśli ja wracam do Kliwii, nieważne z jakiego powodu, ja robię dyshonor mojemu bratu.

- Ale jeśli najjaśniejszej pani tu się nie uda?

- Co mi się nie uda?

Deanie odchrząknęła, zastanawiając się, jak to dyplomatycznie sformułować.

- Król może zapragnąć innej żony, choć nie będzie w tym żadnej winy miłościwej pani.

- Ty ma mnie za głupią? — wybuchnęła królowa. Deanie pierwszy raz widziała Annę w takim stanie. — Król jednego dnia chce ciebie, drugiego chce Katarzynę. A mnie nigdy nie chce, z czego ja jest bardzo ucieszona.

- Czy najjaśniejszej pani nie przykro, że król nie obdarza jej... eee... uwagą?

- Mnie przykro? Ha! - Królowa odeszła od biurka, żeby usiąść na krześle obok Deanie. - Słyszałam, co jest z kobietami, które król obdarza uwagą. Jedna za szybko postarzała i umarła na wygnaniu, jedna straciła głowa. Ta, co miała szczęście, umarła w porożu. Nie. Ja jest po prostu królowa, a król niech obdarza uwagą jakąś inną chytrą sztukę.

- Ależ, najjaśniejsza pani, król pragnie księcia. Księcia Yorku.

- So? Ja królowi nie przeszkadza. Ja rodzę księcia Yorku, a król; idzie sobie do innej - zakończyła wesoło.

Teraz Deanie była strasznie zaskoczona.

- Czy najjaśniejsza pani chce przez to powiedzieć, że król i najjaśniejsza pani... no, najjaśniejsza pani wie co?

-Co?

LABIRYNT

- Hm, jakby to ująć... - Deanie spojrzała za okno. Na parapecie, za zniekształcającym grubym żółtym szkłem siedziały dwa ptaszki. — Czy istnieje możliwość, że wasza królewska mość niebawem urodzi księcia Yorku? jeśli tak, to królewska mość powinna zażądać, żeby strzelano z armat.

- Jeśli król rozkazuje, ja rodzę księcia Yorku.

- Pozwolę sobie zauważyć, wasza wysokość, że sam rozkaz króla to za mało, żeby urodzić księcia Yorku.

Królowa uniosła pytająco jedną ze swych wyskubanych brwi.

- Za mało?

Deanie znowu odchrząknęła.

- Spytałam, czy... eee... jakby to... no, co król robi z waszą królewską mością w łóżu.

- O, w łóżu! To bardzo miłe, naprawdę. Król klepie mnie po ramieniu i mówi: „Dobranoc”.

- A potem?

- Ja odpowiada: „Dobranoc, najjaśniejszy panie”.

- A potem?

- Potem? Potem ja zasypia.

Deanie skrzyżowała ręce.

- A zanim wasza królewska mość zaśnie, czy najjaśniejszy pan waszej królewskiej mości... no... nie całuje?

Królowa spojrzała zdziwiona.

- Czemu miałyb mnie całować i budzić, skoro jest noc i trzeba spać.

- Do jasnej anielki! - Deanie pochyliła się do przodu. - Czy miłościwa pani nie wie, co robią ptaszki i pszczołki?

- Oczywiście że wiem, głuptasie. Ptaszki i pszczołki fruują.

W chwili gdy Deanie usiłowała wyjąkać jakąś odpowiedź, rozległo się pukanie do drzwi i stanął w nich Englebert, nie tak szary na twarzy jak przedtem, ale wciąż poważny.

- Wasza wysokość, księżę Suffolk i księżę Hamilton upraszają o przyjęcie.

Deanie zerwała się na równe nogi.

- Kit! Czy wszystko w porządku?

- Deanie?

Królowa, która nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok zaaferowania Deanie, skinęła przyzwalająco i Englebert otworzył drzwi szeroko. Pierwszy ukazał się Kit. Miał zaczerwienioną twarz, oczy mu błyszczały i wszedł szybciej, niż nakazywała etykieta. Deanie podbiegła do niego i objęła go.

Księżę Suffolk wszedł do komnaty starannie odmierzonymi krokami i skłonił się nisko przed królową. Spod krzaczastych brwi spojrzął na Kita i Deanie i mrugnął do nich.

Wszyscy obecni patrzyli z zainteresowaniem na tę parę i podziwiali jej umiejętność zapominania o bożym świecie. Deanie i Kit przez chwilę nic do siebie nie mówili; ona wtulała twarz w jego dublet, on mocno ją obejmował. Królowa dostrzegła wyraz ulgi na twarzy księcia. Kit miał oczy zamknięte, jak gdyby chciał myśleć tylko o kobiecie w swych ramionach.

W końcu odsunął się, objął jej twarz dłońmi. Kciukami delikatnie pogłaskał jej policzki.

- Słyszałaś już? Deanie

pokiwała głową.

- Cromwell jest w Tower. Co to oznacza dla nas wszystkich?

- Jeśli wolno mi coś wtrącić — odezwał się księżę Suffolk — to właśnie to chcemy ustalić. Czy najjaśniejsza pani miała dziś kontakt z Norfolkem lub jego królewską mością?

- Nie. My siedzą tu od samego rana - odpada królowa nie odrywając oczu od Kita i Deanie.

- Świeci słońce — rzekł Kit cicho do Deanie.

- Wiem — odparła. Poza nimi nikt nie wiedział, o czym mówią. - Ale skoro Cromwell jest w Tower, to dla nas wszystkich lepiej, prawda?

- Niekoniecznie. Przez chwilę był zbyt zajęty swymi sprawami, żeby się nami przejmować. Ale są inni, którzy będą teraz szukać prawdziwych lub wymaginowanych wrogów. Boję się, że może paść na nas. - To, co mówił, było złowieszcze, ale uśmiechnął się i Deanie udało się dojrzeć jego dolny krzywy ząb.

LABIRYNT

Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego twarzy.

- Widziałem to. -Jego twarz nabrała znowu powagi. -Widziałem jego upokorzenie. Bóg wie, że nigdy nie zgadzałem się z polityką Cromwella, ale też nie podobało mi się, jak się z nim obeszli. Norfolk powalił go na ziemię i zerwał mu z szyi medalion świętego Jerzego. Następnie oskarżył go o zdradę i herezję, nie wiem, na jakiej podstawie. Cromwell rzucił na ziemię czapkę i wezwał napastników do nazwania go zdrajcą.

Kit rozejrzał się po komnacie, popatrzył na królową, Engleberta i Suffolka, nim podjął swą opowieść. Zaciśnął dłoń na ramieniu Deanie.

- Norfolk zamiast tego kopnął Cromwella, kopnął go silnie, z przyjemnością.

- Tak właśnie było — potwierdził Suffolk. — Ze wszystkich ludzi na tym dworze ty, Hamilton, powinienes najbardziej cieszyć się z upadku Cromwella. Nosiles ślad jego gniewu przez minione tygodnie. Wszyscy wiedzieli, że to Cromwell tak cię skrzywdził. Ty tymczasem wygladales na zmartwionego. Prawdę mówiac, bałem się, że zemdlejesz.

- W życiu nie widziałem takiej okropności. Parowie pochylili się nad nim jak głodne wilki, zdarli mu podwiązkę z kolana, zabrali podbity futrem płaszcz. A jeszcze niedawno nazywali Cromwella przyjacielem, kłaniali mu się w pas. Rzeczywiście, robiło mi się niedobrze, gdy patrzyłem, jak tamci rzucili się na człowieka, który był im równy przez ponad osiem lat. Nikt tu nie jest bezpieczny. Gdzie król?

- Ach, król. - Suffolk zakołysał się na piętach, jak gdyby zamierzał zmienić temat, — Król nie znosi takich widoków. Uderza w płacz jak niewiasta i żeby nie patrzeć na cierpienie, odwołuje rozkaz.

- Za co go aresztowali? - spytała Deanie i uświadomiła sobie, że jej głos brzmi piskliwie w porównaniu z głębokimi głosami Suffolka i Kita.

- Nie było procesu, Deanie - odparł Kit. - Straszną rzeczą jest to, że zgubiło go jego własne dzieło. Został zatrzymany na mocy

Aktu o Utracie Praw, procedury, którą sam opracował, kiedy król chciał rozprawić się z Margaret, starą księżną Salisbury, do dziś więzioną w Tower. Wszystkie jego ziemskie posiadłości, każdy dom i centymetr kwadratowy ziemi, każdy talerz i gobelin, i kałamarz uległy konfiskacie. Cromwell nie ma nic, zupełnie nic.

- Czy będzie proces? - spytała królowa ku wielkiemu zaskoczeniu Kita, który miał ją za beznadziejnie ograniczoną osobę, w dodatku nie będącą w stanie nauczyć się angielskiego.

- Nie — pokręcił głową Suffolk. — Wątpię, najjaśniejsza pani. Proces byłby nie na rękę królowi. - Tu spojrział pytająco na Kita, który skinął głową., — Podejrzewamy - podjął Suffolk — że najjaśniejszy pan wysłał Cromwella do Tower nie tylko z workiem pokutnym. Podejrzewamy, że Cromwell ma w celi dokumenty dotyczące unieważnienia małżeństwa waszej królewskiej mości z najjaśniejszym panem. Przykro mi to mówić, ale król pragnie unieważnić to małżeństwo.

Zamiast zemdleć lub zacząć szlochać, królowa siedziała nieporuszona. Deanie pomyślała, że chyba nie zrozumiała Suffolka.

Wreszcie królowa spytała:

- Co ja zrobi?

Englebert przyskoczył do królowej, ale ona go odepchnęła.

- Zostaw mnie, Englebert, okey? Nic mi nie jest. Ale ja pyta. was wszystkich: Co ja robić, żeby ja nie iść pod topór?

Deanie sama nie wiedziała, czy przytulić się mocniej do Kita, czy podbiec do królowej i spróbować ją pocieszyć. Dostrzegając jej wahanie Kit dał jej w plecy kuksańca i pchnął w stronę Anny. Królowa wyciągnęła do niej rękę.

- Czy król może anulować małżeństwo? — spytała Deanie ściskając dłoń Anny. - Przecież poślubił królową w majestacie, prawa. Wszyscy o rym wiedzą.

- Racja, pani. W rym cały szkopał. — Suffolk pstryknięciem strzepnął pyłek z kapelusza. - Musi zatem wymyślić jakiś pretekst. Nie może skończyć z Cromwellem, bo ten nie przygotował jeszcze wszystkich dokumentów. Bóg jeden wie, co w tym stanie umysłu, spłodzi. Unieważnienie małżeństwa króla jest teraz jedyną jego

LABIRYNT

nadzieją, jakkolwiek bardzo nikłą. Przepraszam, najjaśniejsza pani, że mówię o tym tak otwarcie.

— Nie szkodzi, Suffolk — rzekła królowa cicho. — Wy są moi przyjaciele. Ja wam wdzięczna, że wy mówić prawdę.

Deanie dała nieznaczny znak Kitowi.

—Ja jeszcze raz pyta, co robić.

—Sądzę, że królowa Katarzyna i Anna Boleyn mogły uniknąć kłopotów, gdyby nie przeciwstawiły się królowi — rzekł ostrożnie Kit.

—Najlepiej by było, gdyby obecna królowa powiła królowi męskiego potomka. Wtedy król niewątpliwie zmieniłby zamiar — dodał powoli Suffolk.

—O, ja chętnie dam królowi księcia Yorku — oświadczyła królowa, a Deanie skrzywiła się i pokręciła głową.

—W tej kwestii mogą być pewne przeszkody.

Kit natychmiast zrozumiał, co Deanie ma na myśli.

—Czy to znaczy, że... — zaczął.

—Bingo - potwierdziła.

—O czym wy mówicie? - Książę Suffolk z irytacją pomachał kapeluszem.

—Deanie obawia się, że król i królowa nie mają... Rumieniec na twarzy Suffolka świadczył o tym, że zrozumiał.

—Aha. Hmm. Szkoda.

—Właśnie — potwierdził Kit.

Królowa, która przysłuchiwała się ich rozmowie, nie biorąc w niej udziału, zmrużyła oczy.

—Wy mówicie jaśniej, proszę. Ja nic z tego nie rozumiem.

—Czy miłościwa pani pamięta, o czym przedtem rozmawialiśmy?

—Oczywiście, że ja pamięta. My rozmawiamy o nowych kołnierzach z Francji. W Kliwii my dawno nosimy takie kołnierze.

—Nie, nie o kołnierzach, wasza królewska mość - szepnęła jej Deanie do ucha. - O ptaszkach i pszczołkach.

—Zaiste. — Królowa była prawdziwie zaintrygowana.

W tej chwili Kit dostał ataku kaszlu, a książę Suffolk zajął się czesaniem piór na swym kapeluszu. Przyglądał im się, jak gdyby

były najbardziej fascynującą rzeczą na świecie. Englebert, który do tej pory zachowywał się tak cicho, że zapomnieli o jej obecności, ni stąd, ni zowąd zaczął ustawiać krzesła. Wreszcie Kit przestał kasłać.

- Sądzę, że dotknęliśmy sprawy, którą król i Cromwell wykorzystają, żeby unieważnić to małżeństwo - rzekł prawie wesoło.

Suffolk spojrział na niego zdziwiony. Kit skinął głową.

- I co z tym zrobić? Czy ta informacja może nam jakoś pomóc? — spytała Deanie, podchodząc do Kita.

Kit nie spuszczał oczu z Suffolka, otworzył ramiona, a ona bez wahania wsunęła się w jego ciepłe objęcia.

- Może... — powiedziała cicho — może jeszcze nie jest za późno. Może dałoby się to małżeństwo uratować. Pokażmy królowej, jak sprawić przyjemność królowi. Ja nauczę ją flirtować, grać na gitarze i śpiewać, ty pokażesz jej, jak się poluje. Zamówimy dla niej trochę nowych strojów. Może uda nam się sprawić, że będą ze sobą szczęśliwi.

Suffolk obarzył Deanie naprawdę ciepłym spojrzeniem.

- Pani masz dobre serce. Niestety, obawiam się, że już za późno na takie próby. Mamy bardzo niewiele czasu, nim król uczyni kolejny ruch.

Kit poczuł, że Deanie się wzdrygnęła, więc objął ją silniej i pocałował w czubek głowy.

- Powinniśmy stąd zniknąć — mruknął.

- Zniknąć na dobre, czy tylko na trochę?

- Na dobre. Ale teraz tylko na trochę. Suffolk i ja musimy jeszcze się czegoś dowiedzieć. — A półgłosem dodał: - Nie lubię latać w ciemno.

Po czym Suffolk i Kit zaczęli się żegnać, obiecując, że zawiadomią je, jak tylko się czegoś dowiedzą. Deanie poczuła, że żołądek ścisnął jej się ze strachu.

- Kit - powiedziała błagalnie i wyciągnęła do niego rękę. Nie chciała się z nim rozstać.

- Kiedy nas tutaj nie będzie, powinnaś odbyć z królową pewną rozmowę — powiedział twardo.

LABIRYNT

—Psia kostka — mruknęła Deanie i natychmiast zapomniała o swych lękach.

—Sądzę, że my z Suffolkiem mamy o wiele łatwiejsze zadanie. Musimy tylko zdobyć pewną informację. - Mruknął do niej. - Ty natomiast musisz znaleźć sposób, jak udzielić pewnej informacji. Bądź delikatna, Deanie.

Skloniwszy się jeszcze raz królowej, która patrzyła zdumiona to na Kita, to na Deanie, Kit i Suffolk opuścili komnatę.

W chwili kiedy obie kobiety były przekonane, że zostały same, Kit wsunął głowę przez drzwi.

—Deanie, lepiej nie ilustruj swych wywodów wyszywanekami.

—Aleś ty dowcipny - mruknęła i roześmiała się cicho.

Gdy drzwi komnaty się ostatecznie zamknęły, Deanie zabrała się do uświadamiania Anny Kliwijskiej, królowej Anglii, żony Henryka Tudora.

—Nic nie mów. Po prostu się uśmiechnij — rzekł Kit, podchodząc z tyłu i biorąc ją pod pachę.

—Jejku, Kit, nigdy tak nie rób. Okropnie mnie przestraszyłeś — powiedziała Deanie usiłując złapać dech. Spacerowali po parku wokół pałacu, w tłumie innych dworzan. Teraz powszechnie wiadomo, że Cromwell jest w Tower. Wszyscy opuścili pałac, żeby napawać się niezwykle piękną pogodą. Przemieszczali się małymi grupami i z głowami pochylonymi ku sobie omawiali sytuację na dworze.

Wreszcie Deanie doszła do siebie i spojrzała z czułością na Kita. W jasnym słońcu jego profil wydawał się ostrzejszy niż zwykle. Dziwne było też to, że Kit patrzył nie na nią, ale przed siebie.

—Co się stało?

—Uśmiechaj się — polecił jej szeptem. Deanie posłusznie spełniła jego życzenie. — Musimy zaraz stąd zniknąć — powiedział. - Idziemy do labiryntu. Pod dubletem mam butelkę.

—Nie możemy, Kit. Co będzie z Anną i księżniczką Elżbietą? One potrzebują naszej pomocy. - Sztuczny uśmiech, który na chwilę zniknął z jej twarzy, znowu powrócił.

- Suffolk się nimi zajmie, kochanie. Wszystko wskazuje na to, że nasz drogi przyjaciel Norfolk wmówił w króla, że ja też jestem zdrajcą. - Skłonił się lady Rochford, którą właśnie mijali. - Jeszcze dziś mogę dołączyć do Cromwella.

Deanie nie upadła tylko dzięki temu, że Kit ją podtrzymał.

- O tym mowy nie ma - rzekła wesoło, a Kit posłał jej krótki uśmiech.

Kątem oka dostrzegła czterech mężczyzn, którzy wydali jej się jacyś podejrzani. W pierwszej chwili wzięła ich za balwierzy, którzy czekali na okazję, żeby ogolić jej nogi, potem jednak poznała w nich siepaczy Cromwella, łącznie z tym oprawcą, który ranił Kita.

- Kit... - zaczęła.

- Wiem. Chodzą za mną przez całe popołudnie. Kiedy ich poprzedni pan znalazł się w Tower, zmienili ligę. Uważaj. - Pomógł jej przejść przez bal ogradzający ścieżkę. Prowadził ją prosto do labiryntu, najkrótszą drogą. - Służą teraz Norfolkowi.

- Ale na jakiej podstawie mieliby oskarżyć cię o zdradę?

Kit pokręcił głową i przykrył dłonią piąstkę Deanie na jego przedramieniu.

- Jesteś naprawdę dobrym człowiekiem.

- Co?

- Nie miałem okazji powiedzieć ci tego, Deanie, ale podobało mi się, że to, co śpiewasz, jest takie radosne. Inne od tego, co znam, i cudowne.

Deanie zamrugała oczyma.

- O, dzięki. Przypomnij mi, żebym po powrocie do domu wciągnęła cię na listę moich fanów.

- Czy mogę liczyć na twój autograf?

- To jeszcze zobaczymy. — Uśmiechnęła się do niego, krzywiąc się z powodu oślepiającego słońca.

Nagle Kit zwolnił kroku, a następnie zatrzymał się i odwrócił Deanie ku sobie.

- Muszę ci coś powiedzieć - rzekł cicho i spojrzał niespokojnie nad jej głową na tamtych czterech. - Jeśli nam to nie wyjdzie, jeśli nie uda nam się razem, musisz spróbować sama.

LABIRYNT

Deanie zaczęła protestować, ale on położył palec na jej wargach.

- Nie wiem, może byłem tu za długo, żeby wrócić. Przeżyłem w tej epoce dziesięć lat, niemal trzecią część mego życia. Może zanadto wrosłem w to wszystko. Mówię tym językiem, zachowuję się, jakbym się tu urodził. A czasami nawet myślę jak człowiek z epoki Tudorów, a nie jak ktoś, kto słuchał jazzu i latał samolotem.

- Ale...

- Nie, posłuchaj. — Przełknął, obrysowując wzrokiem kontury jej twarzy. - Ty tu nie należysz. Jesteś zbyt świeża, żywotna, młoda. Cokolwiek się stanie tam, w labiryncie, pamiętaj o jednym: kocham cię, Deanie. Wszystko mi się w tobie podoba i to się nigdy nie zmieni. Jeśli przypadkiem zostanę tu, zabierz ze sobą moją miłość.

Wziął głęboki urywany oddech.

—Nie będę już żył — ciągnął dalej — dawno już nie będę żył, mego ciała dawno już nie będzie, ale dalej będę cię kochał. Na zawsze pozostaniesz jedyną namiętnością mego życia. Pamiętaj o tym. Będę cię kochał i kilkaset lat, ale ty musisz znaleźć miłość w swojej epoce, tkliwą, gorącą miłość.

—Kit — szepnęła. Nie była zdolna powiedzieć nic innego.

—Boję się, że prowokuję los. Boże, pomóż nam obojgu - jęknął, po czym jego wargi zamknęły się na jej wargach.

Nic sobie z tego nie robili, że całują się w świetle dnia, że cały dwór jest od nich o rzut kamieniem lub bliżej. Całował ją namiętnie, a ona odpowiedziała z równą gwałtownością.

Nie przestając się całować, przytuleni, weszli do labiryntu odprowadzani wzrokiem licznych widzów.

Nikt nie odważył się iść za nimi.

Nie padło ani jedno słowo, rozumieli się bez słów. Kit opuścił Deanie delikatnie na ziemię, odsunął się, żeby jeszcze raz na nią popatrzeć i zapamiętać jej rysy. Świat dla nich nie istniał, byli sami. Nie musieli się śpieszyć.

Deanie powoli rozsznurowała stanik, sznurówki wyjątkowo nie

stawiały oporu jej palcom. Kiedy stanik i spódnica opadły, a po nich koszula, Kit otworzył szeroko oczy.

— Jakaż ona piękna — mruknął bardziej do siebie niż do niej.

Deanie nie czuła wstydu ani zakłopotania swą nagością. Jego wzrok otaczał ją i ogrzewał mile niczym poranne słońce, pieścił z zachwytem.

Kit jednym szybkim ruchem wyzwolił się ze ubrań, miecz, chwilowo zapomniany, znalazł się z rzuconym na ziemię dubletem. Deanie patrzyła na ciało Kita, doskonałe w swej męskości. Był taki, jak sobie wyobrażała — silny, wspaniale umięśniony, a zarazem szczupły. Na ramionach, tułowi i udach miał liczne blizny po dawnych ranach, które zagoiły się tworząc jasne białe linie lub poszarpane smugi. Nie szpeciły go. Świadczyły o jego trudnym życiu przez ostatnie dziesięć lat.

Było coś bardzo smutnego w tych starych bliznach, jak również w tej nowej, będącej dziełem Cromwella. Deanie poczuła, że do oczu napłynęły jej łzy. Kit zawsze sprawiał na niej wrażenie niepokonanego, a teraz pomyślała, że jest odważny, ale również wrażliwy, podatny na zranienie.

Pocałowała bliznę na jego ramieniu, potem bliznę na przedramieniu. Jęknął cicho, orząc palcami jej włosy.

Nie było czasu na czułe słowa, powolne, słodkie pieszczoty. Oboje byli świadomi, nawet w tym zamroczeniu, że słońce nieubłaganie przesuwa się po niebie i muszą się śpieszyć.

Kiedy Kit znalazł się w niej, na błogosławioną sekundę oboje przenieśli się dokąds, gdzie byli samotnymi duszami, a wszystko inne odplynęło w niepamięć.

Leżeli spleceni ramionami.

Deanie bała się odezwać, żeby nie zepsuć magicznego spokoju, którym byli spowici i który dawał im schronienie przed światem. Jej głowa, leżąca na piersi Kita, unosiła się i opadała z każdym jego oddechem. Czy Deanie miała zamknięte, senne.

Kit odetchnął głęboko i przyciągnął ją silniej.

—Czas na nas. - Słowa te zabrzmiały dziwnie nawet w jego własnych uszach. Poczuł, że Deanie zeszywniała.

—Jeszcze nie.

LABIRYNT

Ale nie stawiała oporu, gdy Kit uniósł się na łokciu. Omiótł ją jeszcze raz spojrzeniem, powiódł dłonią po zaokrągleniach jej ciała, po czym sięgnął po ubrania. Ubierali się bez słowa. Kit naciągnął na nią po kolei wszystkie części jej stroju, sznurując boki stanika pocałował ją w szyję. Deanie, narzuciwszy mu na głowę jego obszerną koszulę, na chwilę zatrzymała się, żeby po raz ostatni nacieszyć się jego gołym torsem i zapachem ciała.

Kiedy zapinał dublet, Deanie zauważyła, że między koszulę a dublet wsunął prostokątny kawałek tkaniny i umieścił go dokładnie na sercu. Ze wzruszeniem uświadomiła sobie, że to serwetka, którą dla niego wyhaftowała.

Z uśmiechem wyciągnął do niej dłoń, w którą ochoczo wsunęła swoją. Słońce chyliło się ku zachodowi. Kit uniósł butelkę.

Ze szkła wybiegł cienki, pulsujący niebieski promień. Ręka Kita zaczęła drżeć i oboje wstrzymali oddech. Deanie z zamkniętymi oczyma przywarła do niego.

I wtedy wszystko się uspokoiło.

- Co, do licha? - zdziwił się Kit.

Deanie odstąpiła do tyłu.

- Co się stało?

- Nie wiem. Nagle wszystko się urwało. - Pokręcił butelką w nadziei, że jeszcze raz uda mu się odbić światło. Ale butelka okazała się odporna na jego zabiegi.

- Mnie się to udało bez niczego - rzekła Deanie. - Czy tak samo było z goglami?

- Tak samo. Ale trwało dłużej.

- No właśnie. Przedtem to działało - powiedziała oskarżycielsko pod adresem butelki. - Dlaczego nie działa teraz?

- Może się spóźniliśmy.

Deanie zarumieniła się.

- Nie, nie mówię, że dziś. Po prostu wtedy była wczesna wiosna.

- E, tam - mruknęła Deanie i po raz pierwszy od wielu godzin wybuchnęli głośnym śmiechem. Nerwowym i niepewnym.

Kiedy się uspokoił, Kit postukał palcem w butelkę.

- Zastanów się, Deanie, co wtedy było inne?

Przez chwilę milczeli, przypominając sobie szczegóły swej podróży w czasie.

- Pogoda była mniej więcej podobna - rzekła w zamyśleniu Deanie.
- W moim przypadku też.
- Zmierzchało.

Kit pokiwał głową. Nagle wyprostował się, a Deanie spojrzała; na niego pytająco.

- Samoloty - rzekł zduszonym głosem.
- Jakie samoloty?
- Z Londynu dochodziły odgłosy bombardowania przez Luftwaffe. I błyski. W pierwszym momencie sądziłem, że zostałem trafiony.

- A ja myślałam, że jest trzęsienie ziemi — powiedziała prędko Deanie. — Też widziałam błyski.

Nagle doznała olśnienia.

- Jejku, Kit! Reflektory!

- Jakie reflektory?

- Na trawniku stały reflektory, którymi oświetlano plan. W twoim przypadku były to błyski od eksplodujących bomb. A jeśli o to chodzi? O...

- ...grzmoty i błyski - dokończył. - Deanie, jesteś geniuszem!

- Ale jak możemy zrobić grzmoty i błyski?

W milczeniu powiódł palcem po butelce.

- Niech się zastanowię. - Trąc brodę zmęczonym ruchem, patrzył na butelkę.

- Hej, Hamilton! - odezwał się zza labiryntu znajomy głos.

- Tu jesteśmy, Suffolk — odkrzyknął Kit, nie odrywając wzroku od butelki.

Suffolk, zasapany, wszedł do labiryntu.

- Cały dwór mówi o was - oznajmił wesoło. - Niektórzy weszli na wzgórze, żeby zobaczyć, co tu robicie. Na miłość boską, Hamilton, co cię opętało?

- Cicho, Suffolk, myślę.

- Może trzeba było wcześniej pomyśleć, zanim... no wiesz. — Spojrzał na Deanie. — Bardzo przepraszam.

LABIRYNT

Deanie wzruszyła ramionami. Patrzyła na butelkę po coca-coli.

—A przy okazji, czy rozmawiałaś, pani, z królową? To, co się tu przed chwilą... ee... rozegrało, mogło ją wiele nauczyć...

—Miarkuj się, Suffolk - ostrzegł go Kit, ale Deanie zachichotała.

—Nie uwierzyła mi.

Kit uniósł głowę.

—Nie uwierzyła ci? — Na jego twarzy igrał uśmiech.

—Nie. Krzyczała: „Boże uchowaj!” i „Fuj, fuj!”, a potem wyrzuciła mnie z komnaty. Zza drzwi słyszałam, jak Englebert ją uspokajał.

Z gardła Suffolka wydobył się chrapliwy śmiech, który przekształcił się w atak hysterii. Kit też zaczął się śmiać.

—A więc ona wierzy we wszystko, co jej powiedzieliśmy o Cromwellu i unieważnieniu małżeństwa, a nie może uwierzyć...

— Ze śmiechu nie dokończył.

—Och, przestańcie — zaczęła Deanie, usiłując zachować powagę. Ale nie udało jej się i po chwili labirynt trząsł się od ich śmiechu; Kit stał w środku obejmując ramionami Deanie i Suffolka, Deanie przytulona do niego, ścisłała w ręce butelkę po coca-coli.

—Lady Longley, proszę spojrzeć - krzyknął z przejęciem paż.

— Mało, że oni, to jeszcze Suffolk!

Lady Longley odepchnęła młodzieńca na bok i patrzyła z podziwem na Hamiltona, który klepiąc wesoło po plecach księcia Suffolka jednocześnie złożył czuły pocałunek na czole Deanie.

—No, no — powiedziała ochryplym głosem. — Wygląda na to, że nasz przystojny książę jest osobą znacznie bardziej zajmującą, niż myśleliśmy.

—A także ta jego kuzynka - dodał paż, który za swoją nieprzemyślaną uwagę otrzymał mocnego kuksańca.

15

Napięcie na dworze wydawało się narastać z każdą godziną. Wszyscy, od para do pazia, starali się udawać, że nagłe zniknięcie króla jest rzeczą normalną. A równocześnie wszyscy świetniej wiedzieli, czym to pachnie. Wynieść się z dworu na czas aresztowań, to było typowe dla króla. Wydawał rozkaz, po czym znikał.

Ostatnio do Tower trafił Cromwell. Wszyscy się zastanawiali, kto będzie następny.

Chorobliwe zgoła zainteresowanie skupiał na sobie księżę Hamilton. Norfolk i jego ludzie rozpuścili pogłoskę, że los przystojnego księcia jest bardzo niepewny.

Hamilton natomiast zachowywał się, jak gdyby nie wiedział o chmurach zbierających się nad jego głową - przy wieczerzy był nader rozmowny i czarujący. Jedno, co dało się zauważyć, to to, że starał się maksymalnie opóźnić rozstanie ze swą kuzynką, hrabianką Deanie.

Uwagi bystrych obserwatorów nie uszło, że ciągle się dotykali. Mówiąc coś do dzentelmena siedzącego po drugiej stronie stołu, Hamilton położył rękę na plecach Deanie, z kolei ona podczas pogawędki z Katarzyną Howard trzymała dłoń na jego udzie.

Niektórzy brali to za ciąg dalszy swawoli, które miały miejsce

w labiryncie. Inni w tej bliskości widzieli coś głębszego, bardziej wzruszającego.

Gdy wieczera dobiegała końca, damy dworu obowiązkowo stoczyły się wokół zamyślonej królowej, która ani na chwilę nie spuszczała wzroku z Kita i Deanie.

Teraz wstał książę Suffolk i położył przyjaźnie dłoń na ramieniu Hamiltona.

- Uważaj na siebie, druhu - mruknął i wyszedł z sali. W czasie wieczery zachowywał niezwykle dla siebie milczenie, co niektórych bardzo dziwiło, gdyż znano go jako nieprawdopodobnego samo chwałę. Wiadomo było też, że lubił sobie popić, a tego wieczora wino sączył powoli, pieszcząc w dłoniach puchar, i prawie nie jadł.

Deanie ze spuszczoną głową podeszła do królowej.

—Czy mogę zostać jeszcze z moim kuzynem, najjaśniejsza pani?

Królowa przez dłuższą chwilę się zastanawiała, po czym zgodziła się, acz dość niechętnie. Damy z uroczystą godnością opuściły salę. Zanim zniknęły za progiem wielkich drzwi o łukowatym sklepieniu, królowa przesłała Deanie krótki uśmiech.

W sali została już tylko garstka ludzi. Kit wziął Deanie za rękę.

—Jak dotąd nic się nie stało — stwierdził z uśmiechem.

- Może te plotki się nie sprawdzą — rzekła Deanie z nadzieją w głosie. - Norfolk zachowywał się dość spokojnie, prawda?

Kit nie odpowiedział. Wokół nich gorączkowo krzątała się służba; zbierano ze stołów dzbany i półmiski, przepędzano psy, zamiatano.

—Chodźmy zaczerpnąć świeżego powietrza.

Niebo było bezchmurne. Czerń nieba pogłębiały mrugające porozumiewawczo gwiazdy. Kit i Deanie nie rozmawiali, ale było to miłe milczenie, które jakby otulało miękką kołderką ich jeszcze świeże uczucie.

Deanie patrzyła na profil Kita, który w delikatnym niebieskim świetle księżyca i gwiazd przywodził na myśl ostry, czysty rysunek wykonany błękitną kredą. Zagubiony w myślach nie był chyba świadom jej spojrzenia. Nagle na jego twarzy rozlał się uśmiech, pogłębiły się zmarszczki wokół oczu.

- Och, jak bym poleciał - szepnął.

Skoncentrowana na podziwianiu jego rysów, twarzy skąpanej w delikatnej poświacie, Deanie milczała. Potem powoli, żeby czar nie przysł, oparła głowę na jego ramieniu. I tak stali pod wiecznym niebem, marząc o wspólnej przyszłości.

Było już dobrze po północy, kiedy księżę Hamilton szedł samotnie korytarzami pałacu Hampton Court. Odprowadził Deanie bezpiecznie pod drzwi jej komnaty, zza których dobiegało głośnie chrapanie. Damy dworu były pogrążone w głębokim, spokojnym śnie.

Wręczywszy Deanie butelkę po coca-coli, Kit popatrzył na jej twarz tak, jak gdyby uczył się jej rysów na pamięć.

- Dobranoc — powiedział zduszonym głosem.

Później Deanie nie mogła pojąć, czemu nie rozmawiali dłużej, dlaczego nie zaszyli się w jakimś ustronnym miejscu. Stojąc pod drzwiami swej komnaty słyszała niezwykle wyraźnie trzaski pochodni; zatkniętych na ścianach i jak nigdy była świadoma wilgoci panującej w korytarzu. Kitowi na czoło spadł lok czarnych włosów, ale go nie odgarnęła. Czuła ogromny ciężar na piersi.

- Dobranoc - odparła mechanicznie. Odbierając butelkę poczuła pod opuszkami palców ciepło jego dłoni.

A potem Kit odszedł. Oddalał się od niej równo odmierzonymi krokami. Chciała go zawołać, zatrzymać, jeszcze raz dotknąć, jeszcze raz usłyszeć jego głos.

On też chciał się zatrzymać, spędzić z nią noc. Być przy jej boku, wiedzieć, że tam jest.

Szmary za jego plecami nagle ucichły. Nawet gdyby nie nakazano tamtym ostrożności, Kit by ich nie usłyszał, zatopiony w myślach.

A kiedy spadł cios i wepchnął go w ciemność, nie poczuł zdumienia, lecz dziwną pustkę.

Boże, czemu tak mało rozmawiali?

Deanie zbudziła się z krótkiego nerwowego snu i od razu wiedziała, że coś się stało.

LABIRYNT

Chodziła po komnacie ubrana od piątej rano. Tuż przed ósmą dostarczono jej liścik od królowej.

Wczorajszej nocy księżę Hamilton został zabrany do Tower.

A.K.

Tylko tyle. Proste stwierdzenie faktu. Bez zdziwienia. Wczorajszej nocy księżę Hamilton został zabrany do Tower.

Czyż nie spodziewali się tego stojąc pod zdradliwym niebem, na którym mrugały do nich gwiazdy? Kit wiedział i ona wiedziała.

Deanie popędziła do komnaty królowej. Englebert wprowadził ją natychmiast, bez zachowania formalności protokołu. Królowa siedziała przy oknie i patrzyła na ogród.

- Jakie ładne te kwiaty i zieleń. - Westchnęła. - A wokół tyle strasznych rzeczy.

- Co się stało, najjaśniejsza pani?

- Wczoraj w nocy księżę jest zaatakowany przez czterech mężczyzn. Ktoś to widzi, ale ja nie wiem kto. Uderzono go od tyłu, w głowę, aż zadudni.

Deanie opadła na krzesło. Nie mogła w to uwierzyć.

- Mówić dalej? - spytała cicho królowa.

Deanie patrzyła przed siebie niewidzącymi oczyma. W końcu pokiwała głową.

- Gdy księżę upada, tamci go dokądś niosą. On nie wymówi ani jedno słowo. Englebert sądzi, że księżę nie chce, żeby ktoś jeszcze trafi do Tower i boi się, żeby ciebie oni też nie zabrali.

- Czy ktoś widział Norfolka? - spytała Deanie. Z bólu trudno jej było mówić.

- Tak, a najdziwniejsze to, że on sprawia wrażenie zdziwionego. On się nie spodziewa, że ktoś księcia aresztować, w każdym razie nie tak prędko.

Deanie potarła pięściami oczy.

- Czy ktoś wie, o co Kit jest oskarżony?

Królowa zawahała się.

- Dworzanie mówią — powiedziała w końcu — że księżę spiskował z Cromwellem.

- Co takiego? — Deanie usiadła prosto. Otepienie spowodowane szokiem zaczęło mijać. - Wasza królewska mość wie, że to nieprawda.

— Ja wie i to samo powiedziała Eńglebertowi, ale dworzanie mówili, że księżę nie bił z innymi Cromwell. Oni mówili, że to nienaturalne, że po tym, co mu Cromwell zrobił, on nie chciał zemścić.

- Wspaniale. Zamknęli go w Tower, bo nie chciał bić bezbronnie go człowieka. - Deanie wstała i złożyła ręce. - Kiedy będzie proces?

—Nie, procesu nie będzie. Spotka go ten sam los, co Cromwell.

—Mowy nie ma. Nie pozwolę na to — rzekła Deanie.

— Gdzie król?

Królowa wzruszyła ramionami.

- Nikt mi nie mówi, gdzie król, ale on podobno pojechał do Richmond. — Powiedziawszy to spojrzała na Deanie, jak gdyby widziała ją pierwszy raz w życiu. — Słyszałam, co robiliście w labiryncie.

Deanie zaczerwieniła się, szukając jakiejś odpowiedzi, ale królowa podjęła temat tonem, jakim się mówi o pogodzie.

- Ja obserwowawała was wczoraj przy wieczerzy. Przyglądać się, w jaki sposób wy rozmawiali ze sobą. Muszę przeprosić.

- Słucham?

— Wczoraj ja nie wierzyła w to, co ty mówiła o pszczołkach i ptaszkach. Ale potem ja ciągle o tym myślała. Przez całą noc. Teraz ja już wierzy.

Deanie mimowolnie się uśmiechnęła, choć wcale nie było jej wesoło.

— Wasza królewska mość, ja w tych sprawach zawsze jestem poważna.

Królowa odwzajemniła jej uśmiech i zgiętym palcem dała jej znać, żeby się zbliżyła.

— Teraz ja naprawdę zadowolona, że nie spodobała się królowi

- szepnęła jej do ucha.

Król zacierał ręce.

Thomas Howard, książę Norfolk, domyślał się, o czym myśli jego władca. Siostrzenica Norfolk, Katarzyna Howard, czekała na dole, ubrana w strój będący dziełem mistrza Locke'a. Norfolk nie żałował pieniędzy, zafundował jej najbogatszy strój, na jaki pozwalały mu jego nadszarpnięte finanse. Zresztą te jedwabie i aksamity traktował jako inwestycję, bo jeśli Katarzynie rzeczywiście uda się usidlić króla, rodzina Howardów odzyska dawną świetną pozycję.

Katarzyna nie była inteligentna ani zbytnio wykształcona; w istocie ledwo czytała i pisała. Ale w uwodzeniu mężczyzn miała pewną wprawę i wiedziała, jak postępować z wielkim tłustym monarchą, którego z każdym kilogramem wagi i rokiem życia trudniej było zadowolić.

Król puszył się niczym paw. Muskał piórka z miną zarozumiałego młodzieńca. Co widział w lustrze? Z pewnością nie obraz tego, którego świat widział jako Henryka króla Anglii.

Norfolk wiedział, podobnie jak inni sprytni dworzanie, że kluczem do zachowania pozycji na dworze było podtrzymywanie iluzji, w której żył król. Henryk uważał się wciąż za tego samego młodego księcia, który słynął niegdyś w całej Europie ze swej zręczności, wykształcenia i męskiej urody. Krótko mówiąc, za idealnego księcia, o jakim marzą młode księżniczki.

Norfolk odchrząknął, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ale zapatrzony w swe odbicie król zdawał się nie zauważać jego obecności. Przeglądał się w małym lusterku z rączką; oglądanie siebie w bezlitosnym długim zwierciadle wprawiało go w zły humor.

— Najjaśniejszy panie — zaczął Norfolk, skoro chrząkanie nie dało żadnego rezultatu.

Król uniósł pytająco jedną niemal przezroczystą rudą brew. Norfolk potraktował to jako zachętę, ale król przemówił pierwszy.

- Jakie nastroje panują w Hampton Court?

- Nie rozumiem, wasza królewska mość.

— Po aresztowaniu Cromwella — zdenerwował się król.

Różnica

między Norfolkiem a Cromwellem polegała na tym, że Norfolk nigdy nie nadążał za zmianami tematu, a Cromwell zawsze wiedział, o czym mowa. Norfolk był irytująco powolny i tępy. — Cromwell

wczoraj został aresztowany, Norfolk - przypomniał król. - Byłeś w Hampton Court, kiedy się to stało. Może więc zechcesz nas oświecić, jak zareagowali dworzanie.

- Już rozumiem, wasza królewska mość — wymamrotał Norfolk. — Prawdę mówiąc, aresztowanie Cromwella nie było dla nikogo niespodzianką. Twój poddani, najjaśniejszy panie, spodziewali się, a nawet oczekiwali, że temu kundlowi w końcu noga się powinie.

- Czy bardzo go żałowano? — spytał król, który zastanawiał się, kiedy będzie mógł wrócić do Hampton Court. Nie chciał być obecny przy nieprzyjemnej scenie aresztowania Cromwella, ale miał już dość Richmond, w którym nie czuł się dobrze.

- Nie, Cromwella nikt nie żałował — rzekł ostrożnie Norfolk. Płynąc barką do Richmond, przepowiadał sobie w myśli, co powie królowi. Starał się teraz, by jego głos brzmiał obojętnie. - Przynam jednak, że nagłe aresztowanie Hamiltona przyjęto ze zdumieniem.

Król zmarszczył czoło i odłożył lusterko na swe potężne satynowe uda.

- Hamilton? Nie kazałem aresztować Hamiltona. Zaszła jakaś pomyłka. Źle usłyszałeś.

Norfolk zeszytniał. Tego właśnie się obawiał. Rzecz jasna, chciał, aby Hamilton zszedł mu z drogi, ale jeszcze nie w tej chwili, ponieważ Hamilton był zbyt lubiany i jego nagłe, niespodziewane aresztowanie mogło przysporzyć mu zwolenników. Król zaś gotów był skorzystać z okazji i zacząć uwodzić tę kuzynkę księcia. Niech to piekło pochłonie! Jeśli Deanie stanie się dostępna dla króla, monarcha straci zupełnie zainteresowanie pulchną i głupiutką Katarzyną.

Niech to piekło pochłonie.

- Lubimy Hamiltona — mruknął król. — Szczerze mówiąc, to nasz faworyt. - Jego małe oczka wwierciły się w Norfolk. — Ktoś go porwał i musimy się dowiedzieć kto. Zapłaci mi za to. Ten, kto zrobi krzywdę Hamiltonowi, zapłaci za to głową.

Norfolk wzdrygnął się mimo woli. Kiedy król mówił takim spokojnym tonem, był groźniejszy niż wtedy, kiedy grzmiał i walił pięściami w stół.

- Dowiem się wszystkiego, co tylko najjaśniejszy pan rozkaże.

Henryk postukał palcem w zapomniane lusterko.

LABIRYNT

- Jak się czuje hrabianka Deanie?

- Nie rozumiem, wasza królewska mość.

Król nie powtórzył pytania.

- Sprowadź ją tu natychmiast, Norfolk. Chcemy, żeby była w Richmond jutro rano.

- Za pozwoleniem, miłościwy panie - zaczął Norfolk rozkładając ręce w błagalnym geście. - Na dole czeka młoda dama, która ma nadzieję uczynić swego ukochanego króla najweselszym monarchą w całym chrześcijańskim świecie.

- Damy jej tę możliwość — rzekł król unosząc się z chrząknięciem.

- A jutro chcemy zobaczyć tutaj hrabiankę Deanie.

Norfolk wiedział, że ma odejść. Gorączkowo szukał jakiejś deski ratunku, czegoś, co zmieniłoby zamiary króla i sprawiło, że zapomnieliby o Deanie.

- Czy mogę się ośmielić, miłościwy panie..,

- Zegnamy, Norfolk.

Książę uklonił się i opuścił apartamenty królewskie, w duchu klnąc tego, kto sprzątnął mu sprzed nosa Hamiltona.

Norfolk z trudem wyskrobał pieniądze na bogate stroje dla głuptutkiej siostrzenicy, tym bardziej więc nie mógł pozwolić, żeby sytuacja wymknęła mu się spod kontroli.

Powoli przyzwyczajał się do tego budzenia się w obcym miejscu z czaszką pękającą od bólu.

Kiedy otworzył oczy, pomyślał, że ośleplł. Nie widział ani swej dłoni, ani komnaty, w której się znajdował. Dopiero po chwili dojrzał wąskie pasmo światła pod drzwiami.

Gdy dziwnie znajomy zapach wilgoci, ziemi i zgnilizny podrażnił mu nozdrza, wywnioskował, że znajduje się w lochu.

Dlaczego nie trzymali go w Tower gdzieś wyżej?

Powoli usiadł i ścisnął rękoma głowę, żeby mu nie pękła. Oparł łokcie na kolanach i czekał, aż przejdzie ten pulsujący ból.

Przez jakiś czas pozostał w tej pozycji, z zamkniętymi oczami, chociaż panowała tam i tak niemal idealna ciemność. Miał guz na

głowie, który strasznie bolał przy dotknięciu, ale rana nie wydawała się poważna.

Wtedy pomyślał o Deanie.

Liczył, że dzień jest słoneczny i Deanie uda się wrócić do swej epoki. Czy będzie go pamiętać? Może podróż w czasie zamaże wszystkie wspomnienia? Byłoby lepiej, gdyby Deanie o nim zapomniała.

- Błagam, nie zapomnij mnie - rozległo się w ciemności. Kto to powiedział? On?

Wziął głęboki oddech. Boże, co się z nim działo? Nie chodzi o to nagłe uwięzienie, ale w ogóle, co się z nim działo. Przeżył już gorsze rzeczy, z męczącą regularnością przeciwstawiał się politycznym intrygom i dzikim obyczajom na dworze. Przez te dziesięć lat spędzone na dworze Henryka był człowiekiem, który działał bez zastanowienia, reaguje spontanicznie i po wariacku.

Ostatniej nocy jednak poddał się pokornie niczym owca. Nie stawiał najmniejszego oporu. Jeszcze dwa miesiące temu takie zachowanie byłoby nie do pomyślenia. Dwa miesiące temu broniłby się zaciekle.

Dwa miesiące temu nie był zakochany.

Ból rozsadzał mu czaszkę. Zaklął w ciemności. Teraz, zanim zrobił cokolwiek, myślał, ważył, zastanawiał się, czy nie zaszkodzi to Deanie. Na tym dworze takie postępowanie było niebezpieczne. Równało się samobójstwu.

Ale nie miał wyjścia. Jeden cios lub ostre słowo z jego strony mogły w konsekwencji doprowadzić do śmierci Deanie albo jego. Wszystko, czego się nauczył na tym dworze przez dziesięć lat, straciło aktualność. Kit raptem poczuł się wyczerpany, znużony rolą, którą przedtem grał bez sprzeciwu. Teraz musiał brać pod uwagę Deanie.

Spróbował znowu swego głosu.

- Halo! — Jego wołanie odbiło się od oślizłych murów. W nosie kręcił go ostry zapach wilgoci. Co mówiono w 1540 roku zamiast halo? Jego mózg nie funkcjonował jak trzeba, Kit nie mógł sobie przypomnieć wielu rzeczy.

Nic nie straci, próbując jeszcze raz.

- Halo! — Tym razem zawołał głośniejszym. — Czy jestem w Tower? — Idiotyczne pytanie, ale musiał znać odpowiedź.

LABIRYNT

Po drugiej stronie drzwi rozległ się łoskot.

— Dobry świt, mości książę — przywitał go wesoło jakiś człowiek. — Przyniosłem jedzenie. Zamknijcie oczy, panie, to je wsunę do środka. Nie chcielibyśmy, żeby światło was oślepiło, bo boli was głowa.

— Gdzie jestem?

— Uwaga, idzie. — Drzwi się na chwilę uchylły, ale zanim Kit zdążył się wepchnąć w szparę, zatrzęsły się.

Zamrugał oczyma z niedowierzaniem. Przed nim stała taca z przykrytymi naczyniami i zapaloną świecą. Zapachy zapowiadały prawdziwą ucztę - w naczyniach były różne mięsa, ciasta, a spod białej płóciennej szmatki wystawał bochenek świeżego chleba. Do tego duży dzban wina. Widocznie ci, którzy go porwali, nie chcieli go zagłodzić, lecz przyprowadzić o podagrę.

Nie był głodny, jadł raczej z przyzwyczajenia. Kiedy zmienił pozycję, uświadomił sobie, że ma przy boku miecz. Co to za więzienie, w którym więzień jada niczym król i nosi miecz?

Jedzenie, jak słusznie przewidział, było doskonałe. Kurczaka przyrządzono tak, jak lubił najbardziej - chrupiąca skórka, zioła, sól. Wino też było wyśmienite, dawało się pić nawet bez przypraw korzennych, które w tych czasach służyły dla zamaskowania złego smaku.

Syty wyciągnął się na pryczy. Świeca wciąż oświetlała celę, która nie była chyba lochem. Wyglądała raczej na piwnicę jakiegoś pałacu lub dworu.

— Halo! - zawołał.

— Smakowało, mości książę? - spytał wesoły głos.

— Smakowało — odparł Kit, czując się, jakby rozmawiał z kelnerem w jakiejś przedwojennej londyńskiej restauracji. - Gdzie jestem?

— Proszę się nie obawiać, panie. W bezpiecznym miejscu.

— Nie w Tower. — Kit bardziej stwierdził, niż spytał.

W odpowiedzi usłyszał krótki rechot.

— Czy mogę przesłać komuś list?

— Nie jestem pewien. - Niewidzialny człowiek zdawał się zastanawiać. — No dobrze. To nie powinno nikomu zaszkodzić.

Kilka minut później drzwi się znowu uchylły, ale Kit nie ruszył

się z przycy. Póki nie wie, gdzie jest, nie będzie próbował ucieczki. Nie chodziło mu o siebie, ale bał się, żeby coś złego nie spotkało Deanie.

Strażnik wsunął przez szparę gęsie pióro, zwój pergaminów i kałamarz z inkaustem.

—A świeca się pali, mości książę?

- Pali się - odparł Kit przysuwając ją bliżej siebie. - Dzięki.

Po krótkim namyśle Kit zaczął pisać list do Suffolka.

Suffolk!

Nie wiem, kto mnie więzi ani gdzie. Wybacz, ale chcę prosić cię o wielką przysługę. Czy mógłbyś pomóc hrabiance Deanie W pewnej dziwnej sprawie? Trzeba, żebyś zapalił trochę prochu strzelniczego nieopodal labiryntu W Hampton Court. Nie myśl, że postradałem zmysły. Hrabianka Deanie powie ci kiedy.

Jeśli Deanie zostanie na dworze, zaopiekuj się nią, dopóki nie wróce. Gdyby jednak los zrządził inaczej i gdybym nie wrócił, użyj pieniędzy z moich posiadłości, żeby jej na niczym nie zbywało.

I daj jej znać, że w tej chwili dobrze się tu mną opiekują i że kocham ją ponad wszystko na świecie.

Dziękuję ci, przyjacielu

Hamilton

Skończywszy pisać, wsunął list pod drzwi.

—Do kogo to, mości książę?

Kit zaadresował list czytelnie, ale widać strażnik nie potrafił czytać.

- Do Charlesa Brandona, księcia Suffolka.

Po chwili milczenia strażnik powiedział:

—Zrobię, co będę mógł, mości książę.

- Dziękuję - odparł Kit. Głowa go znowu rozboleła, zamknął więc oczy. Modlił się, żeby list dotarł do Suffolka i żeby Deanie udało się wrócić do swej epoki.

16

Książę Norfolk obserwował ponuro, jak Deanie wprowadzono na dziedziniec w Richmond. Stał w oknie, ale tak, żeby go nie zobaczyła, jeśli przypadkowo uniesie głowę.

Hrabianka Deanie przyплыnęła z Hampton Court w królewskiej barce, co było niezwykle przywilejem. Ta głupia dziewczka nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia takiego gestu. Jedyne najserdeczniejszych przyjaciół króla spotykał zaszczyt podróżowania jego barką, owym pływającym pałacem, którym Henryk cieszył się jak dziecko. Jej gminne plecy opierały się na pikowanym aksamicie, a plebejskie stopy stapały po puszystym dywanie.

Norfolka nigdy nie zaproszono na barkę królewską.

Gardził tą dziewczką. O, jak się uśmiecha do Suffolka, tego nalanego krety. Wyciąga do niego rękę, jakby była królową. Siostrzenica wypadnie niestety blado przy tej szczupłej brunetce, której urodę podkreślał tego dnia głęboki szkarłat jej sukni.

Naraz na jego twarzy zakwitł uśmiech.

Hrabianka Deanie, która za chwilę zostanie przyprowadzona do króla, była w stroju w stylu królowej Anny. W istocie, jej czerwona aksamitna suknia do złudzenia przypominała suknię Anny na fatalnym portrecie namalowanym przez Holbeina, portrecie, który

zwiódł króla. Wprawdzie na głowie miała francuski kapturek zamiast sztywnego niezgrabnego nakrycia głowy, które nosiła kobyła flamandzka, ale suknia nie miała obcistego stanika, który przyciągał męskie oko, i brakowało jej sutego trenu.

Niechno tylko król zobaczy tę suknię, a natychmiast straci apetyt na dziewczynę, jak również (to pewne jak mało co) królewskie opanowanie.

Norfolk porzucił swój punkt widokowy. Nie zamierzał przepuścić tej niesłychanie ciekawej sceny.

Suffolk prowadził majestatycznie Deanie przez dziedziniec. Oboje byli świadomi, że są obserwowani przez Norfolka, któremu tylko się wydawało, że go nie widać przez grube, nierówne szybki. Mylił się.

—Czemu, na Boga, jesteś pani tak odziana? - spytał Suffolk z uśmiechem przyklepionym do twarzy. Był na dworze wystarczająco dłużej i nauczył się mówić, nie dając po sobie poznać wzburzenia.

—Jestem źle ubrana?

—Nie udawaj niewiniątka. Masz na sobie suknię nieszczęsnego niemieckiego kroju. Król nie będzie zadowolony. Uważaj, nie potknij się teraz.

Deanie nie odpowiedziała. Od chwili, w której Suffolk pomógł jej wsiąść z barki, miała świadomość, że jest obserwowana. Na dziedzińcu panowała dziwna cisza, ale Deanie czuła na sobie ciekawskie ukryte spojrzenia.

—Kit jest w Tower — szepnęła. — Muszę go stamtąd wydostać.

Suffolk z wrażenia przystanął, ale natychmiast się zreflektował.

—Jak zamierzasz, pani, wydostać go z Tower?

—Będę się przymilać królowi, jak tylko potrafię. - Z uśmiechem skinęła paziowi, który wyskoczył z bocznego wejścia. Chwilę później z głównych, łukowo sklepionych, drzwi wyszedł dumnie książę Norfolk, z rękoma schowanymi w szerokie futrzane rękawy swego palta. Jego strój, zawsze bogaty, ostatnio stał się jeszcze bogatszy.

—A oto Suffolk i hrabianka Deanie. — Norfolk zachowywał się, jak gdyby był tu gospodarzem. - Proszę za...

LABIRYNT

- Suffolk!— ryknął król tak, że zadrżały mury i zatrzeszczały szyby w oknach. - O, hrabianka Deanie! - Poruszał się niedołąźnie i lekko się krzywił, kiedy przenosił swój ogromny ciężar na nogę z owrzodzonym udem. Na białych jedwabnych pończochach nosił podwiązkę, żeby zakryć wybrzuszenie od wielu warstw bandaży, a ponieważ rana okropnie cuchnęła, wylewał na siebie całe flakony perfum.

Nagle znieruchomiał, a wesołość na jego twarzy ustąpiła wrogości.

- Co masz na sobie? - warknął.

- Miło mi, że najjaśniejszy pan raczył to zauważyć —. rzekł Suffolk zgięty wpół. - Klnę się na Boga, że minęły całe lata, odkąd najjaśniejszy pan zwrócił na mnie uwagę.

Oczka króla, połyskujące jak śrut, przeskoczyły na Suffolka. Norfolk, obserwujący scenę z odległości dwóch, trzech metrów, nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

Wtedy Henryk — ku zdumieniu wszystkich obecnych, nie wyłączając jego samego - wybuchnął głośnym śmiechem.

- Charles, ty mule! Damy przestały uważać cię za urodziwego, więc chciałbyś usłyszeć komplement od starego przyjaciela, co? Dobrze sobie! - Tak rechotał, że gruby dublet zmarszczył mu się na brzuchu. Uśmiech na twarzy Norfolka zgasł. - Teraz dopiero widzę, pani, jak trzeba nosić taką suknię, i muszę przyznać, że widok jest wielce satysfakcjonujący. Zapraszam do sali biesiadnej. Zjemy, popijemy i zabawimy się wesoło.

- Najjaśniejszy pan dozwoli... - wtrącił szybko Norfolk - ...że moja siostrzenica Katarzyna też się przyłączy.

- Dobrze, dobrze — odparł król z roztargnieniem i odwrócił się plecami do Norfolka, który patrzył z nienawiścią, jak Suffolk, hrabianka Deanie i król wchodzi do pałacu.

Obiecał sobie w duchu, dziesiąty raz tego dnia, że zostanie najważniejszym po królu człowiekiem w Anglii. Poczytywał to za swój obowiązek. Należało mu się, taka była wola boska.

Król zdawał się nie zauważać panującego napięcia. Cieszył się, że znowu jest w wesołym towarzystwie. Richmond w porównaniu

z tętniącym życiem Hampton Court było po prostu nudne. Ten pałac nosił piętno jego ojca, człowieka surowego, wymagającego, pozbawionego poczucia humoru i zamiłowania do ziemskich uciech

Wysokie, wyłożone drewnianymi kwadratami sufity miały intarsje z inicjałami Henryka oplecionymi różą Tudorów. Deanie nie mogła się oprzeć, żeby co chwila od nowa nie liczyć kwadratów, tak jak w dzieciństwie liczyła kafelki na ścianie w poczekalni u dentysty.

Katarzyna Howard nieustannie chichotała i pochyliwszy się ku królowi szeptała mu coś do ucha, zasłaniając pulchną dłońią usta. Norfolk bał się, że król uzna jej zachowanie za plebejskie, i kręcił się niespokojnie, zastanawiając się, czy jej nie przerwać. Ale król wydawał się jej zalotnością mile polectany.

- Jak się ma księżę Hamilton? — spytał w pewnej chwili Deanie ignorując Katarzynę, ale ona się tym wcale nie stropiła.

Zaskoczona (była właśnie przy czterdziestym ósmym kwadracie) Deanie pomyślała, że król bawi się w jedną ze swych okrutnych gier. Rzuciła okiem na Suffolka, który też wydawał się zdumiony tym pytaniem.

- Dziękuję, że najjaśniejszy pan pyta. Kiedy widziałam go dwa dni temu, miał się chyba dobrze. — Odpowiedź Deanie okrasiała obojętnym uśmiechem i zajęła się podziwianiem rzeźbień na wysokim oparciu krzesła.

- Czy wiesz, pani, gdzie on teraz jest? — spytał król głaszcząc brodę w zamyśleniu i nie odrywając wzroku od twarzy Deanie.

Deanie kątem oka zobaczyła, że Suffolk się wyprostował, a Norfolk przybliżył. Tylko Katarzyna, która sięgała właśnie do misy z figami polanymi miodem, nie śledziła słów króla.

- Nie, wasza królewska mość — odparła Deanie. Odnosiła wrażenie, że jakaś niewidoczna siła popycha ją do przodu. - Sądziłam, że najjaśniejszy pan to wie.

- Ja? - Twarz króla zamieniła się w znak zapytania. - Skąd miałbym niby wiedzieć, gdzie ten nicpoń się wałęsa? - Król ruchem pełnym gracji sięgnął po figę i zamrugał oczyma, natrafiwszy w złotej misie na rękę Katarzyny. - Miejmy zatem wszyscy oczy i uszy otwarte i pilnujmy, żeby nie spotkała go żadna krzywda. Prawda, Norfolk?

LABIRYNT

Norfolk podskoczył zaskoczony.

- Zaiste, miłościwy panie.

- Tak więc, Norfolk? Wiesz, gdzie jest Hamilton? - Król z trudem hamował irytację. Dla uspokojenia nerwów skoncentrował się na kolejnej fidze.

Deanie zagryzła wargę, żeby nie wybuchnąć i nie krzyknąć: Po co to robisz, najjaśniejszy panie? Wszyscy wiemy, że Kita zabrano do Tower w Londynie. Czy najjaśniejszy pan czuje się aż tak zdruzony, żeby zabawiać się w ten sposób?

Wszedł pokojowiec i skłonił się nisko przed królem.

- Przybył posłaniec z listem do księcia Suffolka.

- A, do Charlesa. - Król jakby zapomniał, o czym przed chwilą rozmawiali. - Możesz go przyjąć. Domyślam się, że to z twoich nękanych kłopotami włości.

- Kłopoty rzeczywiście nękają moje włości, wasza miłość — przyznał Suffolk, odbierając list od pokojowca. Gdy zajrzał do środka, zmienił się na twarzy, zasmucił, ale zaraz na powrót przybrał swój zwykły uśmieszek. - Oto moje krowy zachowują się, jakby się szaleju objadły. Nic to, niedługo się uspokoją. - Złożył list i wsunął go pod dublet.

- Wybornie, Suffolk. A teraz, pani - król nagle przypomniał sobie o Deanie — uciesz nasze ucho jedną ze swych walijskich piosenek.

Deanie zrobiła minę, jak gdyby zażądano od niej, żeby stanęła na rękach. Muzyka. Kiedyś dla niej najważniejsza, nieodzowna, teraz wydawała się substytutem prawdziwego życia. Do czasu poznania Kita muzyka była jej jedyną namiętnością. Czy jej życie było aż tak puste?

- Najjaśniejszy pan życzy sobie usłyszeć piosenkę — rzekł Suffolk podniesionym głosem, żeby wytrącić ją z zamyślenia.

Deanie spojrzała na Suffolka i poczuła się strasznie zagubiona. Splotła silnie dłonie, żeby powstrzymać ich drżenie. Co ona, do diabła, tu robi? Gawędzi przy figach, kiedy Kit gnije w Tower?

- Nie mogę sobie przypomnieć żadnej piosenki - rzekła słabym głosem.

— Co też mówisz, pani — powiedział Suffolk łagodnie. — A tę o zmańczonym umyśle?

— Tak! — Król klasnął radośnie w dłoń. — I o tym, jak ktoś stracił wszystkie członki. Słowa były bardzo dziwaczne, ale się nam podobały.

Pokojowiec, który przyniósł list do Suffolka, wrócił ze znajomą gitarą. Pudło instrumentu było wyłożone kwadratami, białymi i czarnymi na przemian, tworzącymi dziwny geometryczny wzór. Do gryfu i pudła przyczepiona była szarfa, żeby gitarę można było przewiesić sobie przez ramię.

Była to gitara Kita.

— Skąd to tutaj? — Deanie pogłaskała czule instrument, jak gdyby był to sam Kit.

— Przesłano z Hampton Court — odparł Norfolk, zdenerwowany brakiem zainteresowania króla dla jego siostrzenicy, która w tej chwili przyglądała się ziarenkom w zjedzonej do połowy fidze, jak gdyby miała przed sobą tajemnicę wszechśwata.

Deanie zaśpiewała piosenki, których zażądali: *Szalona i Rozpadam się na kawalki*, wkładając w ten występ mniej emocji niż ongiś w zamawianie pizzy. Widownia jednak wydawała się tego nie zauważać, przy ostatniej zaś linijce król dotrzymał jej kroku tak dzielnie, że jego oczy z wysiłku napełniły się łzami.

W końcu Suffolkowi udało się złapać Deanie samą w jednym z tych krótkich korytarzy pałacowych.

— Ten list był od twego kuzyna, pani — powiedział szybko, nie bawiąc się we wstępy, ani w zwykłą dla siebie kwiecistość stylu. — Jest więziony, ale dobrze go traktują.

— Gdzie? - Deanie chciała złapać go za kłapy, ale on nie miał kłap. — Kiedy możemy go stamtąd wydostać?

Suffolk chwycił jedną ręką Deanie za oba nadgarstki, zanim ona zdążyła chwycić go za szyję.

— Dobrze go traktują — powtórzył powoli. — Przesyła ci, pani, pozdrowienia.

LABIRYNT

- Pozdrowienia? Co to ma być? Kartka z wakacji? Proszę pokazać mi ten list.

- Nie pokażę - odparł Suffolk, zaciskając uchwyt. - Zniszczyłem go z oczywistych powodów.

- Szlag by to trafił! Dlaczego to zrobisz, Suffolk? — Oczy Deanie napełniły się gorącymi łzami. Chętnie by go uderzyła, ale Suffolk trzymał ją mocno.

- Im mniej pani wie, tym lepiej dla niej - zawyrokował.

- Nie odstawiaj dobrego wujaszka, tylko powiedz mi, gdzie on jest. W Tower, prawda?

- Uspokój się, pani. — Zniżył głos. — Napisał, że kocha cię nad wszystko na świecie. Jako niewieście powinno ci to wystarczyć.

- Chryste panie, ja nie jestem żadna niewiasta! - Nie zwracając uwagi na to, że Suffolk się zaczerwienił jak burak, kontynuowała, starając się mówić przekonująco, ale nie histerycznie. - Proszę, zrozum mnie, Suffolk. Kit i ja mamy coś ważnego do załatwienia w labiryncie w Hampton Court. Abyśmy mogli pójść tam razem, on musi być zwolniony z Tower. Więc jeśli powiesz mi, gdzie on jest, w której części Tower, zostawię cię w spokoju.

- Napisał o labiryncie.

Deanie wytrzeszczyła oczy, nie będąc pewna, czy się nie przesłyszała.

Suffolk puścił ją i ruszył przed siebie. Zacisnąwszy pięści, w zamyśleniu stuknął jedną o drugą.

- Poleciał mi pomóc ci, pani, zapalić proch armatni obok labiryntu. Napisał, że powiesz mi, kiedy to zrobić, i że...

- Napisał to w tym liście?

Suffolk przytaknął.

- Czyli on nie sądzi, że uda mu się wyjść. To znaczy, że jest w Tower. - Paniczny strach, który udawało jej się do tej pory zwalczyć, dał znowu o sobie znać. Deanie wzięła głęboki oddech.

- Poleciał mi zaopiekować się tobą, pani - ciągnął Suffolk - a jeśli on nie wróci, to jego własne słowa, mam przekazać ci pieniądze z jego posiadłości.

- Nie chcę jego pieniędzy. — Deanie poczuła, że się dusi.

- Chcę Kita.

Suffolk otworzył usta, żeby powiedzieć, że nawet Kit nie wie, gdzie go trzymają, ale zmienił zamiar. Uznał, że im mniej Deanie wie, tym lepiej. I nie dowie się nic od posłańca, który przyniósł list, bo jak mu powiedziano, list znaleziono na progu. Niech dziewczka myśli, że Kit jest w Tower, to może nie zrobi nic nierozumnego.

- Znam Kita od wielu lat — powiedział łagodnie. — Przybył na dwór jako młodzian w gorącej wodzie kąpany, a teraz uchodzi za jednego z najodważniejszych i najuczciwszych ludzi w Anglii.

Deanie nieelegancko otarła lzy wierzchem dłoni, a Suffolk mówił dalej:

- On bardzo cię kocha, pani. Chce, żebyście byli razem, ale skoro ta szczęśliwa możliwość została przekreślona, chce, żeby ci na niczym nie zbywało. Niewielu mężczyzn kocha tak mocno, by życzyć wybrance szczęścia bez nich. - Uniósł jej brodę i spojrzął głęboko w oczy. — Ja taki wspaniałomyślny nie byłem. Więc zrób tak, jak on sobie życzy. Pamiętaj, że dużo ryzykował wysyłając ten list. Zaufaj mu, a w jego zastępstwie mnie, a może wszystko dobrze się skończy.

Miała już się obruszyć, powiedzieć, że zaraz udaje się do Tower, skąd uwolni Kita, ale uświadomiła sobie, że musi postępować roztropnie. Suffolk starał się, jak mógł najlepiej, wiedziała o tym. Więc zamiast niegrzecznie go potraktować, uśmiechnęła się.

- Dzięki. Postaram się.

Ale jakoś żadne z nich w to nie uwierzyło.

Wreszcie przestało mu walić w głowie.

Dozorca w swej szczodropliwości dostarczył mu ogromny zapas świec - kolejny dowód na to, że nie jest więziony przez króla. Henryk nie marnowałby tyle tłuszczu na więźnia, choćby nie wiem jak go wcześniej faworyzował.

Kit już wcześniej doszedł do wniosku, że to nie może być król, bo Henryk był szczery i jeśli miał kogoś dość, nie ukrywał tego. Na niego król się nie złościł. Nie, więził go ktoś, kto miał bardzo dobrego kucharza.

LABIRYNT

Kit przejechał dłonią po zarośniętej brodzie. Nie było mu z nią przyjemnie, ale przesadą byłoby nazywać to torturą. Patrząc na płomień świecy, pomyślał, że nie wie nawet, jaka to pora dnia. Z panującej wokół ciszy trudno było cokolwiek wywnioskować.

Wrócił myślami do Deanie. Ciekawe, czy Suffolk dostał jego list. Jeśli tak, to Deanie pewnie już wiedziała, że jest dobrze traktowany. Pragnął wydostać się stąd, ale tak, żeby nie narazić jej na niebezpieczeństwo.

Deanie.

Ciekawe, jak by wyglądała w obcisłej sukni wieczorowej? Chętnie zobaczyłby ją w sukni Myrny Loy, z odkrytymi plecami, podkreślającej figurę. Nie w tym sztywnym, grubym, wielowarstwowym okropieństwie ze sznurówkami, oblamowaniami, przywiązanymi rękawami, lecz w sukni uszytej na maszynie. No i oczywiście bez tego kanciastego nakrycia głowy.

A jak jej nogi wyglądałyby w cielistych pończochach? Na razie to on był tym, który nosi pończochy. Ciekawe, jakie miny zrobiliby jego kumple ze szwadronu, gdyby ich spytał, czy szwy ma prosto?

Ciemne, połyskujące w słońcu włosy Deanie spadałyby swobodnie na ramiona. Pokazałby jej Londyn, a raczej to, co z miasta zostało. A Londynowi pokazałby Deanie; postrzelany East Enders zmrużyłby na jej widok swe zakurzone oczy.

Przewiózłby ją samolotem, żeby poznała radość latania w chmurach.

— Mości książę? Czas na posiłek. — Jego zawsze wesoły strażnik zapukał do drzwi i wsunął do pomieszczenia kolejną ucztę.

— Dziękuję - rzekł Kit automatycznie. - Zaczekaj, nie odchodź jeszcze.

Usłyszał, że tamten przystanął.

— Czy mój list dotarł do Suffolka?

— Tak dokładnie to nie powiem, panie. - (Kit mógłby się założyć, że jego rozmówca podrapał się w głowę.) — Ale chyba dotarł, bo nie wrócił.

— Dziękuję - powiedział znowu Kit, nie zadając sobie trudu, żeby analizować ironię w jego głosie. — O, jeszcze jedno.

- Tak, panie?

Aż bał się o to spytać.

- Czy moja krewniaczka, hrabianka Deanie Bailey, jest też tu więziona? — Starał się, żeby zabrzmiało to obojętnie.

- Dalibóg! Mielibyśmy tutaj trzymać niewiastę? - oburzył się strażnik. — Jestem zdziwiony, że coś takiego przyszło wam, mości księżę, do głowy! Ja bym tam nigdy... - Odszedł mrużąc do siebie.

Chwała Bogu, odetchnął z ulgą Kit. Ten prosty człowiek nie potrafiłby kłamać z takim przekonaniem.

Położył się na pryczy, podłożył ręce pod głowę i myślał dalej o Deanie, nie zwracając uwagi, że jedzenie stygnie.

Udało jej się uniknąć śpiewania przy wieczerzy - powiedziała, że boli ją głowa, co zresztą było prawdą.

To zdumiewające, że każdy posiłek króla, bez względu na wielkość widowni, odbywał się z precyzją przedstawienia teatralnego i namaszczeniem obrzędu religijnego. Zastępy służby bez słowa spełniały swoje obowiązki, od królewskiego ochmistrza do nosiciela wykałaczek. Król nigdy nie dziękował tej milczącej armii za spełnianie jego kaprysów. Gdyby miał wszystkim dziękować, musiałby to robić przez cały dzień.

Dobrą stroną takiego małego dworu było to, że wszystko się o wiele szybciej odbywało. Dania wjeżdżały na stół jedne po drugich. Król jadł prędko i łapczywie, nie zwracając uwagi na to, że kawałki jedzenia wypadają mu z ust.

W końcu wieczerza dobiegła końca i niewiasty - Katarzyna i Deanie - mogły odejść do swych komnat. Katarzyna ociągała się z opuszczeniem sali biesiadnej, trzepotała rękami, rzucała powłóczyste spojrzenia królowi, który w końcu polecił jej, żeby jeszcze została.

Deanie już nie zdążył zawrócić. Oficjalnie ją zwolnił, udała więc, że nie widzi manewrów Katarzyny, i prędko się wymknęła. Wychodząc zauważyła na wąskiej twarzy Norfolka wyraz wielkiego zadowolenia.

Jaka to ulga zostać wreszcie samej, iść korytarzami i nie musieć

nic udawać. Mogła w końcu przestać się uśmiechać. Policzki i wargi bolały ją od tych sztucznych grymasów. Król nie jest złym człowiekiem, myślała rozmasowując twarz. Gdyby jeszcze zrozumiał, że świat się na nim nie kończy!

Korytarze w Richmond były zupełnie puste i znacznie węższe od korytarzy w Hampton Court. Pałac ten zbudowano przed wielu laty, zanim w architekturze zapanowała moda na przestronne, przewiewne wnętrza. Nim zasiadł na tronie Henryk, który starał się iść z duchem czasu.

W pewnym sensie Deanie wołała skromny Richmond od zmanierowanego Hampton Court. Panowała tu niemal domowa atmosfera.

Szła korytarzem opanowana właściwą dla jej epoki potrzebą rozważenia wszystkich za i przeciw. Zastanawiała się, jak dotrzeć do Kita, choćby tylko po to, żeby go zobaczyć. Zresztą musi go uwolnić, mowy nie ma, żeby miała wrócić do swej epoki bez niego.

Raptem kątem oka dostrzegła mignięcie zielonego aksamitu.

Przypomniała sobie przygodę, jaką miała w Hampton Court; wtedy też spacerowała korytarzem i ni stąd, ni zowąd została napadnięta przez Surreya. Tym razem nie mógł to być on, z całą pewnością został w Hampton Court. W Richmond nie było nikogo, kto chciałby zrobić jej krzywdę, czy tylko nastraszyć... nikogo poza Norfolkkiem. Ale Norfolk miał dziś taką zadowolną minę.

Weszła do komnaty, w której mignął jej zielony aksamit, będący niewątpliwie suknią kobiety. Komnata była pusta; stało w niej kilka niskich krzeseł, a na siedzisku we wnęce okiennej leżały jakieś papiery.

- Jest tu kto?

Nie było odpowiedzi. W chwili, gdy Deanie miała już odejść, z ciemnego kąta wysunęła się drobna postać.

Deanie w pierwszej chwili wzięła ją za karlicę, gdyż była ubrana jak dorosła kobieta. Okazała się jednak małą dziewczynką w przepisowym stroju damy dworu. Na głowie miała mały francuski kapturek, stanik zaś był zasnurowany tak mocno, że rodziło się,

pytanie, jak ta dziewczynka w ogóle może oddychać. Jedyne jej ręce — czerwone, jak gdyby szorowała je pumeksem — były pulchnymi rączkami dziecka.

Dziewczynka złożyła ukłon z oczyma utkwionymi w stopy Deanie.

— Dzień dobry, małutka — odezwała się Deanie, jak gdyby miała przed sobą niemowlę.

Dziewczynka uniosła głowę i Deanie natychmiast domyśliła się, z kim ma do czynienia. Rude włosy, jasne brwi, ciemne oczy - księżniczka Elżbieta!

Miała poważną twarzyczkę, zbyt poważną jak na dziecko w tym wieku.

— Przed chwilą jadłam wieczerzę z twoim ojcem - rzekła Deanie.

Twarz dziewczynki nie zdradzała żadnych emocji.

— Jesteś Katarzyną Howard? — spytała, ale nie przymilnie jak dziecko, lecz autorytatywnie jak władczyni. Aczkolwiek trochę niepewnie.

— Ależ skąd - oburzyła się Deanie. - Nazywam się Wilma Dean Bailey, ale możesz mówić do mnie Deanie. Wszyscy znajomi tak mnie nazywają.

Elżbieta zmarszczyła brwi, jak gdyby coś sobie przypominała.

— To ty śpiewałaś, tak?

— Słyszałaś? Nie widziałam cię.

Na usteczka dziewczynki wypłynął uśmiech - mały jak ona sama. — Schowałam się — szepnęła, po czym się wyprostowała. - Nie powiesz nikomu, prawda?

— Jasne, że nie - rzekła Deanie. - Nie jestem skarżypytą.

— Kim?

— Nieważne. W każdym razie obiecuję ci, że nikomu nie powiem..

Księżniczka sprawiała wrażenie zadowolonej. Spojrzała na Deanie oczyma, w których czytało się inteligencję — jak u króla.

— Czemu jesteś smutna?

Deanie nie zdążyła zaprzeczyć, bo księżniczka mówiła dalej:

— Piosenki, które śpiewałaś, były smutne. Mnie wolno śpiewać: tylko pieśni religijne po łacinie. Albo wesołe, łoświeckie. Czemu jesteś smutna?

LABIRYNT

- Niestety nie znam żadnych pieśni po łacinie ani piosenek łowieckich — przyznała się Deanie. — Ale masz rację. Jestem smutna.

- Dlaczego? Deanie odchrząknęła.

- Tęsknię za kimś. Dziewczynka przytaknęła skwapliwie.

— Od razu wiedziałam! To tak jak ja. - A zmieniwszy temat z łatwością właściwą tylko dzieciom pokazała na papiery leżące pod oknem. - Narysowałam kilka obrazków.

- Tak? Mogę zobaczyć?

Księżniczka zmrużyła oczy, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Chcesz mi się przypodobać, bo jestem księżniczką. — Powiedziała to z przekonaniem, ale jakby równocześnie chciała, żeby Deanie zaprzeczyła.

- Masz trochę racji - przyznała Deanie. — Ale powiedziałam to głównie dlatego, że znudziło mnie tamto towarzystwo na dole i chętnie bym z tobą porysowała, zamiast siedzieć z nimi i ziewać.

Elżbieta rozdziawiła buzię, po czym zasłoniła usta swą dziecienną rączką i zachichotała. Był to jej pierwszy naprawdę szczery gest. Podskoczyła do okna po rysunki.

Kiedy odwróciła się plecami, Deanie zauważyła, że suknia księżniczki Elżbiety była tu i ówdzie wystrzępiona, a przede wszystkim za ciasna. W kilku miejscach została naprawiona - nici były nieco za ciemne, a ścieg krzywy. Widać też było, że kilkakrotnie odpruwano obrębek i podłużano suknię, w końcu doszyto pasek niebieskiego materiału. Dla odwrócenia uwagi podobne paski doszyto do rękawów przy okazji też je podłużając.

Do czego to podobne, żeby księżniczka chodziła w takiej oberwanej sukni, podczas gdy jej ojciec wydawał majątek na samą tylko bieliznę?

Elżbieta podeszła do Deanie i nieśmiało pokazała jej rysunki.

- Zbliżmy się do świecy, jeśli mam coś zobaczyć - mruknęła Deanie, patrząc na pierwszy rysunek.

Nie wiedziała, Czego się spodziewać. Wyobrażała sobie, że księżniczki rysują to samo co inne dzieci - postaci z patyków,

kulawe psy i uśmiechnięte słoneczka. Odchrząknęła, gotowa pochwalić krzywego elfa, a tymczasem zobaczyła coś niezwykłego — wykonany piórkiem krajobraz. Bardzo pięknie oddany.

- Nieprawdopodobne! — wykrzyknęła bez zastanowienia.

Przebiegła pośpiesznie pozostałe rysunki, ale wszystkie były tej samej jakości, znakomicie wykonane, zachwycające w szczegółach. Każdy liść i kamień został pocieniowany dla uzyskania efektu trójwymiarowości. Jeden obrazek przedstawiał zwierzę, królika wyzierającego zza gałęzi leżącej na ziemi. Futerko zwierzątka, inne na uszach, inne na grzbiecie, zostało tak wiernie oddane, że chciało się je pogłaskać.

- Ty to narysowałaś? — spytała Deanie i dopiero teraz uświadomiła sobie, że przez cały czas miała usta rozdziawione ze zdziwienia. — Te obrazki są zachwycające. W życiu nie widziałam równie dobrych rysunków.

Elżbieta klasnęła w ręce uszczęśliwiona, przytaknęła i zaczerwieniła się, bo pierwszy raz ktoś ją pochwalił.

- Ja to narysowałam! Przez kilka ostatnich długich dni nie wolno mi było opuszczać komnaty. Rysowałam, patrząc przez to zamknięte okno. — Rzuciła okiem na rysunek w dłoni Deanie.

— Tego zająca widziałam tylko przez chwilę, ale zapamiętałam wszystkie szczegóły. Miał mokry nos. - Zmarszczyła nos nie świadomie naśladując zwierzątko. - Nie wiedziałam, jak to zrobić, żeby jego nos wyglądał na mokry.

- Jesteś prawdziwą artystką, księżniczko — rzekła Deanie. Dziewczynka wciąż patrzyła krytycznie na swój rysunek. — Powie działaś, że musiałaś siedzieć w komnacie za zamkniętymi oknami nawet podczas pięknej pogody?

Dziewczynka wyprostowała się, ale milczała, jak gdyby ważyła w myślach wszystkie możliwe odpowiedzi. Ale kiedy spojrzała na oczy Deanie, na jej twarzy malowała się szczerłość.

- Tak. Nie musiałabym, gdyby mój ojciec, jego królewska mość, nie wrócił niespodziewanie do Richmond. Zapomniał, że tu jestem. Nie ucieszyłby się na mój widok, więc zostałam zesłana do tej komnaty. Miłoścywi pan nie zachodzi do tego odległego skrzydła.

LABIRYNT

- To śmierdzi - wymknęło się Deanie.

Księżniczka zrobiła zaszokowaną minę, jak gdyby często ją ćwiczyła. Potem znowu zaczęła chichotać, zasłaniając usta dłońmi.

— Masz rację, waćpanno — wyszeptała. - Ja też myślę, że to śmierdzi.

W progu nagle stanęła kobieta ubrana na czarno.

- Lady Elżbieto — powiedziała z naganą w głosie, rzucając przelotne spojrzenie na Deanie. - Czas na modlitwę i spoczynek.

- Dziękuję, lady Bryan — odpowiedziała poważnie dziewczynka.
- Za chwilę.

Kobieta odeszła.

- Dlaczego powiedziała „lady”, a nie „księżniczko”? — spytała Deanie przysuwając się bliżej.

- Dlatego, że król się mnie wyparł, po tym jak kazał ściąć moją matkę - odparła spokojnie dziewczynka i zaczęła składać rysunki. Z jednego zdrapała zaschniętą kropkę atramentu. - Lady, którą potem poślubił, królowa Jane, chciała nas do siebie zbliżyć, ale nie zdążyła, bo umarła — dziewczynka wykonała znak krzyża.

- Pamiętasz swą matkę?

Dziewczynka rozpromieniła się.

- Tak. Była śliczna, miała ciemne włosy do pasa, a oczy brązowe, podobne do twoich. Pamiętam, że śmiejąc się goniła mnie po ogrodzie. Nie wiem po którym, ale poza tym wszystko pamiętam bardzo wyraźnie.

Deanie wyciągnęła rękę i dotknęła miękkiego policzka Elżbiety. Miała delikatną skórę, jaką miewają tylko dzieci. W pierwszej chwili dziewczynka, nie przyzwyczajona do pieszczot, zesztyniała. A potem zmarszczyła czoło, jak gdyby intensywnie myślała nad czymś.

- Tak, pamiętam matkę - rzekła stanowczo.

- Twoja matka byłaby bardzo dumna z ciebie, księżniczko.

- Tak myślisz?

- Jestem tego pewna.

Dziewczynka spojrzała na Deanie. Po czym z prędkim dworskim ukłonem i ledwie dostrzegalnym uśmiechem zaczęła cofać się do drzwi.

- Jeszcze chwileczkę, księżniczko.

Dziewczynka przystanęła i spojrzała pytająco.

- Czy mogłabym dostać kilka rysunków?

Elżbieta zawahała się, po czym wzruszyła ramionami i wręczyła Deanie cały plik.

- Proszę. I dziękuję za pochwałę.

Po czym wyprostowała się i z królewską gracją wyszła z komnaty. Dopiero za progiem odwróciła się i pomachała wesoło do Deanie.

Deanie siedziała samotnie w komnacie przez dłuższy czas, przeglądając rysunki Elżbiety i myśląc o Kicie.

17

Król dojrzał ją natychmiast. Siedziała na dziedzińcu dokładnie pod oknami jego apartamentów. Postanowił do niej podejść, zanim pałac obudzi się do życia, Norfolk zacznie chrząkać z dezaprobatą, a Suffolk, skądinąd ukochany szwagier, zamęczać go gadulstwem.

Sprawdził w zwierciadle swój wygląd; ochmistrz aż cmoknął z zachwyty. Henryk i bez tego wiedział, że prezentuje się dobrze, przez ostatnie dni bowiem zachowywał umiar w jedzeniu i picciu. Urodą może nie dorównywał Hamiltonowi, ale, na Boga, był królem i to powinno mieć decydujące znaczenie dla niewiasty.

Zmarszczył czoło. Gdzie właściwie przepadł Hamilton? Zdarzało się już, rzecz jasna, że poddani znikali z dworu. Ale w tamtych niefortunnych przypadkach bardzo dobrze wiedział, gdzie się podziewali — zwykle w odległym kącie Tower. Albo na dnie Tamizy.

Tym razem było inaczej. Lubił Kita, jego towarzystwo, jego tężyznę. Miał nadzieję, że nic złego mu się nie przydarzyło i że niebawem wróci na dwór cały i krzepki.

A tymczasem on, Henryk, nacieszy się obecnością krewniaczki Hamiltona. Kiedy Kit był w pobliżu, ignorowała wszystkich innych mężczyzn, łącznie - o, zgrozo! - z nim, było nie było, królem.

Mimo że szczerze pragnął powrotu Kita, modlił się o kilka dni zwłoki. Nie życzył źle Hamiltonowi, ale skoro Opatrzność gdzieś go zatrzymała.... Postanowił, że nieobecność młodego księcia potraktuje jako znak niebios, zachętę do zajęcia się ponętną Deanie.

Wyprostowawszy imponujące ramiona, odchylił głowę i popatrzył na odbicie w lusterku z rączką. Prawdę mówiąc, było mu coraz trudniej zapanować nad swym wyglądem. Usłudni krawcy poszerzali plecy kaftana, żeby król w pasie wydawał się szczuplejszy. Ale jak ukryć szkaradny podwójny podbródek, który był nowym nabytkiem? Cóż, rozmawiając z piękną Deanie, będzie odchyłał głowę do tyłu.

Dokończywszy toalety, odesłał służbę i ponownie wyjrzał na dziedziniec. Wciąż tam była, sama. Siedziała pod drzewem i rysowała. Przedstawiała niezwykle piękny widok, nawet w tej niemieckiej sukni. A właśnie, prawie zapomniał o królowej, która go znacznie mniej drażniła, odkąd nie musiał jej oglądać o każdej porze dnia.

Prędko wyszedł z komnaty. Zanim wkroczył na dziedziniec, jeszcze raz dokonał inspekcji mieniącego się złotem dubletu. Nie chciałby stanąć przed niewiastą z kawałkami jedzenia na kaftanie. To po prostu nie uchodzi.

Deanie strzepnęła źdźbło trawy z fałd sukni. Miała absolutną pewność, że król niebawem wytoczy się z pałacu. Zależało jej, żeby porozmawiać z nim na osobności, bez tego okropnego Norfolka, a nawet dobrodusznego Suffolka. Może kilkoma właściwie dobranymi słowami uda jej się załatwić z nim to i owo.

Niestety, nie bardzo wiedziała, jak się do tego zabrać. Chciała wyprosić u króla uwolnienie Kita, przekonać go, żeby zmienił swój stosunek do małej Elżbiety, a także żeby darował życie swej żonie.

Aby zdobyć króla, należało utrafić w jego nastrój. Nie wiedząc, na jaki jego humor trafi, nie mogła przygotować sobie mowy. Zaszleścił papier, Deanie po raz kolejny przeglądała rysunki Elżbiety. Patrzyła na krajobrazy, drzewa, królika o mokrym nosie, ale widziała twarz Kita.

LABIRYNT

Czy naprawdę minęły już trzy dni, odkąd widzieli się po raz ostatni? Pamiętała każdy szczegół, ciężar i ciepło obejmującego ją ramienia, nostalgię na jego twarzy, gdy patrzył na niebo.

Kiedy dowiedziała się, że został powieszony do Tower, była zła na siebie, że zmarnowała tę noc, że prawie nic sobie nie powiedzieli, a przez większość czasu nawet na siebie nie patrzyli, lecz tylko stali obok siebie lub siedzieli na murawie trzymając się za ręce.

Teraz pomyślała, że zachowywali się, jak należało. Nie istniały bowiem słowa, które by oddały, co czuli tej nocy. Rozmowa była zbyteczna. Może by nawet sprawiła (ale tylko może), że prysnąłby czar.

Kit na pewno jest bezpieczny i nie dzieje mu się krzywda, pocieszała się w duchu. Gdyby było inaczej, czułaby to.

—Hola, waćpanno! — zawołał król kuśtykając w jej kierunku. Wymachiwał energicznie swą wielką dłoń. Tak jak gdyby można było nie zauważyć jego wysadzanego klejnotami dubletu i kapelusza płaskiego jak naleśnik. Doprawdy, musiałyby się bardzo starać, żeby przeoczyć jego wejście na dziedziniec. Poza tym, że byli tu jedynymi ludźmi, mienił się i jarzył niczym choinka na Boże Narodzenie.

Deanie pomachała do idącego z trudem króla i wstała, by złożyć mu dworski ukłon. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że w pobliżu nie ma żadnej ławki ani krzesła, na których mógłby usiąść. Sama siedziała na trawie. Przyzwyczaiała się do siedzenia na trawie z Kitem.

—Miłościwy panie — zaczęła — wejdziemy do środka czy pošlemy kogoś po krzesło?

Król nie posiadał się z zachwytu. Idąc tu, bał się, że Deanie zechce zaraz odejść. Skoro jednak mówiła o krześle dla niego, to chyba zamierzała zostać. Wskazał swą wielką niczym bochen dłoń na trawę.

—Nie trzeba. Skoro tobie tu wygodnie, mnie też będzie dobrze. — Ujął ją za rękę. Po chwili zmieszania do Deanie dotarło, że król chce jej pomóc usiąść.

Gdy już to zrobił, zgiął nogi w kolanach i przykucnął, mimo że jego artretyczne stawy zaprotestowały przeciw takim ekscesom głośnym strzykaniem. Było oczywiste, że ta gimnastyka kosztuje go

mnóstwo wysiłku i bólu. Tak zacisnął swe wąskie wargi, że stały się prawie niewidoczne. Ale opadł na ziemię zaskakująco zgrabnie. Nogę z wrzodem wyciągnął przed siebie.

- Tak mi przykro, miłościwy panie. Powinniśmy byli wysłać kogoś po krzesło.

- Nonsens! - odparł z uśmiechem, mimo że pióro z beretu dźgało go w lewe oko. - Dawno już nie miałem okazji siedzieć na ziemi. Siadywałem tu jako chłopiec i godzinami gapilem się w niebo.

Król był w wyjątkowo dobrym humorze. Oboje o tym wiedzieli i oboje domyślali się, że ma to związek z wiosną i amorami. I możliwością, że...

- Czy najjaśniejszy pan dobrze spał tej nocy?

Spojrzał na nią badawczo spod komicznie przymkniętych powiek.

- Dość dobrze, pani. Dość dobrze.

Deanie uświadomiła sobie, że rozmowa zmierza w niewłaściwym kierunku. Należało zmienić temat. Co by tu wymyślić?

- Czy najjaśniejszy pan miał kiedyś psa?

Lubieżny uśmiezek spadł z twarzy monarchy niczym oblużowana dachówka.

- Psa? Owszem, miałem. Z dzieciństwa pamiętam dwa ogary. — Znowu się uśmiechnął, tym razem do swych wspomnień. -Jednego psa nawet miłowałem. Wabił się Lancelot, bo był odważny i silny. To przez niego jest tyle psów na moich dworach od Hampton Court po Whitehall. Raz lub dwa razy do roku rozkazuję usunąć wszystkie psy poza pieskami dam. Ale jak zobaczę jakiegoś kundla podobnego do Lancelota, natychmiast zapominam, że wydałem taki rozkaz.

Świetnie, pomyślała. Nadeszła właściwa chwila.

- Najjaśniejszy pan miał szczęśliwe dzieciństwo — zaczęła.

- Taaa. Mój ojciec odznaczał się wielką srogością, ale matka była dobra i delikatna.

- Dziecko musi wiedzieć, że jest kochane przez rodziców, prawda, najjaśniejszy panie?

Nie odpowiedział, lecz uniósł nieufnie brew.

- Czy wasza królewska mość może mi opowiedzieć o swych

LABIRYNT

dzieciach? - poprosiła drżącym głosem. - Miłościwy pan ma troje dzieci, nieprawdaż?

—Mam syna Edwarda. — Na twarzy króla malowała się obojętność, ale oczy zdradzały podejrzliwość. Mówił powoli.

- Edward jest bardzo udanym chłopcem, ale trochę słabowitym. Na wszelki wypadek trzymam go z dala od dworu, gdzie łatwiej zapaść na jakąś chorobę.

—Edward ma siostry...

— Najstarszym mym dzieckiem jest Maria — rzekł szybko. — To już niewiasta, niestety wyglądem i charakterem przypomina swoją matkę.

—A gdzie jest teraz?

—Maria przebywa gdzie indziej - stwierdził zagadkowo. - Widzę, że coś narysowałaś. Czy mogę to zobaczyć?

—Poznałam młodszą córkę miłościwego pana. Elżbietę. To wspaniałe dziecko, mądre i pełne...

Zamilkła, bo król powoli odwrócił ku niej głowę. Deanie w życiu nie widziała u nikogo takiego wyrazu zimnej wściekłości. Oj, za daleko się posunęła. Zbyt szybko przeszła do sprawy. Widząc, że Henryk zaczyna się podnosić, wyciągnęła dłoń i dotknęła rękawa z pikowanej satyny.

—Niech najjaśniejszy pan nie odchodzi — rzekła błagalnym tonem. - Proszę mi wybaczyć. Wiem, że za dużo mówię.

Król zatrzymał się i spojrzął na nią, jak gdyby ważył w myślach jej prośbę. Może podniesienie się z ziemi miało go kosztować zbyt dużo wysiłku, a może żałował radości, która jeszcze przed chwilą rozpierała mu pierś, w każdym razie opuścił się z powrotem na trawę. Ale nie odezwał się do Deanie.

Deanie poczuła, że się spociła nad górną wargą, mimo że było dość chłodno. Muszę zachować ostrożność, powiedziała sobie w duchu, druga taka okazja może się nie trafić. — Piękny mamy dzień, miłościwy panie - zaryzykowała.

Milczenie.

—A co miłościwy pan najbardziej lubi robić w taką pogodę?

— spytała i uświadomiła sobie, że mówi, jakby prowadziła w telewizji

program dla dzieci. - Bo ja lubię spacerować.

Król uparcie milczał. Nawet nie patrzył w jej stronę, tylko z wielkim zainteresowaniem przyglądał się korzeniowi, który wystawał z trawy. Opierścienionymi paluchami król dźgał go i poszturchiwał, spulchniał ziemię dookoła i wydłubywał ją wymanikiowanymi paznokciami.

Deanie chciała już dać za wygraną, kiedy wreszcie przestał się dąsać.

- Lubię polować.

- Polować? — Deanie spłotła dłonie na rysunkach. - A na co, miłościwy panie?

Znowu zapanowała długa cisza.

- Na wszystko - odparł w końcu, pozostawiając w spokoju Bogu ducha winny korzeń. — Szczególnie lubię dopaść jelenia lub dzika. Im większa bestia, tym większy triumf. Doskonale mi się poluje z twym krewniakiem, pani.

- Z Kitem?

- W rzeczy samej. - Król z uśmiechem spojrział na Deanie. — Przypomina mnie samego w młodości. Kiedy patrzę, jak poluje, zastanawiam się, kto jest dzikszy, Hamilton czy zwierzę. — Zachichotał. — Zwykle stawiam na Hamiltona.

Deanie trudno było wyobrazić sobie Kita w tej roli. Znała go jako kogoś bardzo delikatnego. Ale rozumiała, że musiał się dostosować do wymagań tej epoki, a to oznaczało polowanie na zwierzynę, branie udziału w turniejach i potyczkach rycerskich, a nawet w bitwach. Zresztą równie trudno było jej wyobrazić go sobie jako pilota, pędzącego do samolotu na dźwięk syreny, wciągającego w biegu w skafander.

Nagle pomyślała, że Kit koniecznie musi opuścić tę epokę. Przecież on tu nie przeżyje. Niechący zniszczyła twardość, którą narzucił sobie, żeby przetrwać w tych brutalnych czasach. Już zaczynał się wahać, myśleć, zamiast instynktownie sięgać po miecz.

Zniszczyła pancierz obojętności, którym się otaczał przez spędzone tu dziesięć lat.

Król coś mówił. Deanie zmusiła się do słuchania.

- ...gdzie jest. Norfolk twierdzi, że go szuka. Nie smuć

LABIRYNT

się, pani, znajdziemy twego krewniaka. Jeśli Bóg da, całego i zdrowego.

- Chwileczkę. Czy to znaczy, że miłościwy pan naprawdę nie wie, gdzie on jest?

- Chyba mnie nie słuchałaś. - Król wrócił do wykopywania korzenia. — Ach, te niewiasty. Wszystkie takie same.

Minęła dobra chwila, nim zrozumiała. Król nie kazał uwięzić Kita. Czy to dobra wiadomość, czy zła? Cóż, nawet jeśli dobra, to dalej nie wiadomo, gdzie przepadł. Nie zniknął z własnej woli.

Odetchnęła głęboko. Rozmowa z królem szła jak po grudzie, ale jednak czegoś się dowiedziała.

- Nie wszystkie, najjaśniejszy panie - zauważyła skromnie.

Król przestał skubać korzeń, który teraz przedstawiał żaloszny widok.

- Nie wszystkie?

- Jedna kobieta jest oddana miłościwemu panu, jak żadna inna. Spełni wszystkie życzenia swego władcy. — Deanie ściszyła głos i król musiał się pochylić, żeby usłyszeć, co mówi.

- Czyżby? - spytał chytrze.

- Tak. Jest dobra, delikatna i bardzo przywiązana do waszej wysokości. Całe dni spędza marząc o tym, by rozpromienić serce najjaśniejszego pana.

Król zaczął głośno oddychać, a z jego nosa wydobył się gwizd. Ledwo był w stanie mówić.

- Tak?

- Tak. Jej imię Anna Kliwijska.

Król podskoczył jak rażony prądem.

- Do diaska! — Spojrzał z wyrzutem na Deanie i zaczął się ciężko podnosić. — Ten dzień okazał się wielkim rozczarowaniem — stwierdził, a kiedy już stał, chrząknął i rzucił oskarżycielsko pod adresem Deanie i murawy: — A na domiar złego zniszczyłem pończochy.

- Niewymownie mi przykro, że moja szczerłość popsowała miłościwemu panu humor. Ale ja...

- Powściągnij swój język, niewiasto! W głowie mi huczy od

twojego gadania - zagrzniał. - Na Jowisza, sprawiasz, że Katarzyna Howard wydaje się uczona niczym sam Erazm.

Deanie wstała bez pomocy i zebrała rysunki. Zagryzła wargę, bo czuła, że zaraz wybuchnie szalonym śmiechem. Skupiła się więc na rysunkach, układając je według jakiegoś wymyślnego porządku, wszystko, żeby tylko nie stracić powagi. Król Anglii, wielki, groźny monarcha i workowate, wypchane na kolanach pończochy - jejku, skonać można ze śmiechu.

- No? — Oparł dłonie na biodrach. Górował nad nią niczym złośliwy więź. - Co mi powiesz?

Zagryzła jeszcze silniej wargę i pokręciła głową, modląc się w duchu, żeby sobie poszedł, zanim ona wybuchnie.

- Drżysz. Czyżbyś tak się bała swego monarchy?

Błagam, idź już, pomyślała. Zabieraj swe zwinięte w obwarzanki pończochy i odejdz, zanim...

- Spójrz na mnie! - rozkazał.

Deanie uniosła głowę i ich oczy się spotkały. I stało się. Wybuchnęła śmiechem. Zanim łzy zatarły jej obraz, zdążyła jeszcze zobaczyć niedowierzanie na jego twarzy. Rysunki wypadły jej z rąk i rozsypały się po ziemi, a ona zanosila się ze śmiechu.

I wtedy stało się coś niezwykłego.

Król się do niej przyłączył.

Chociaż na początku patrzył na nią jak na chorą. Patrzył zdumiony, jak złapała się za brzuch, jak skręcała się ze śmiechu, gdy rysunki wysunęły jej się z dłoni i spłynęły ku stopom.

Potem przypomniał sobie, jak będąc dzieckiem usłyszał w kościele, że ksiądz, który odprawiał mszę, czknał. Roześmiał się, a groźne spojrzenie matki, zamiast go uspokoić, sprawiło, że zupełnie stracił panowanie nad sobą. Teraz, kiedy wtórował Deanie, zapomniał, że ciąży na nim wielka odpowiedzialność. Odpowiedzialność za Anglię. Był zwykłym mężczyzną, który w pogodny dzień spotkał się z urodziwą niewiastą i było im bardzo wesoło.

Cudowne uczucie.

Z okien wychyliła się służba zamkowa i z przerażeniem, które stopniowo przeszło w zachwyt, patrzyła na swego monarchę

LABIRYNT

weselącego się z hrabianką Deanie niczym młody panicz. Żadne z nich nie słyszało rozmowy, która doprowadziła do tej sceny, ale ogromną radość sprawiał im dobry humor króla. W końcu przestali, otarli łzy z policzków.,

- Przepraszam — szepnęła Deanie, ściskając boki. — Nie wiem, dlaczego, ale czasami tak wybucham.

Król pociągnął nosem i pokiwał głową. Na jego twarzy wciąż malowała się wesołość.

- Pod tym względem jesteśmy do siebie podobni. - Poczul się nagle bardzo wypoczęty, więc schylił się i pozbierał rysunki. Spojrzał na pierwszy z nich. Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Waćpanna. Zadziwiasz mnie, pani. Nie tylko przodujesz w muzyce, ale również w rysunku. — Przejrzał rysunki kręcąc głową z podziwem.

- Ja tego nie narysowałam - rzekła Deanie ostrożnie.

- Nie? — spytał nie przerywając oglądania. - Kto zatem?

- Córka najjaśniejszego pana.

Znieruchomiał. Jego oczy zwięzły się.

- Maria? Niepodobna. Ona nie potrafi narysować krzesła, a co dopiero pejzażu. Widziałem jej rysunki. — Wzruszył ramionami z lekceważeniem.

- Elżbieta. -Deanie przełknęła ślinę. Zapomniała o swej wesołości. - Narysowała je córka najjaśniejszego pana Elżbieta. Zamknięta w swojej komnacie na górze.

Król patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Jest bardzo podobna do swego ojca, najjaśniejszy panie.

Król spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Ma oko artysty, a serce księcia — ciągnęła Deanie.

Król bez słów wyprostował rysunki i wsunął je sobie pod pachę.

Drugą rękę podał Deanie. Razem poszli z powrotem do pałacu.

Odezwał się dopiero przy drzwiach.

- Dziękuję. - Dotknął jej ramienia. — Odnoszę wrażenie, że znalazłem coś bardzo niezwykłego w niewieście — stwierdził patrząc na swą dłoń.

Deanie wstrzymała oddech.

- Co takiego? — spytała w końcu.
- Przyjaciela - odparł krótko. I z rysunkami córki pod pachą oddalił się korytarzem.

Deanie musiała jak najszybciej rozmówić się z Suffolkiem.

Odczekała, aż południowy posiłek dobiegnie końca, po czym wyciągnęła księcia z sali i zamknąwszy za sobą drzwi, powiedziała:

- On nie jest w Tower!
- Wielkie nieba, niewiasto! - wykrzyknął. — Co ci się stało?
- Rano rozmawiałam z królem i okazało się, że on nie ma pojęcia, gdzie jest Kit. Czy to dobrze, czy źle?

Suffolk w zamyśleniu gładził brodę.

- Moim zdaniem Norfolk nie ma takiej władzy, żeby aresztować Kita bez upoważnienia króla — powiedział. — A za plecami króla nie ważyłby się tego zrobić, w każdym razie póki jego siostrzenica nie zasiadła na tronie.

- Więc gdzie jest Kit?
- Myślę, że jednak w Tower — stwierdził w końcu.
- Jak może być w Tower, skoro król nic o tym nie wie?
- O, moja droga. Niekiedy król... jakby to powiedzieć... zapomina, kogo wysłał do Tower. Tak po prawdzie, gdyby chciał czytać wszystkie nakazy aresztowania, które podpisuje, nie miałby na nic innego czasu.

Deanie zatkało.

- Mówisz poważnie? Zapomina, kogo wsadził do więzienia? Nie ma nikogo, kto by mu przypomniał?

- W rzeczy samej. Księżna Salisbury przebywa w Tower już od dwóch lat i zostanie tam pewnie do śmierci. A że ma dobrze po siedemdziesiątce i jest chora, jej uwięzienie nie potrwa już długo.

- Ależ to oburzające! - wykrzyknęła Deanie zdjęta lękiem o Kita. - A za co zamknięto tę biedną Salisbury?

Suffolk zrobił zdziwioną minę.

- Nie wiesz? To bliska krewna króla, kuzynka. Król się obawia, że komuś przyszyłoby do głowy uzurpować sobie prawo do korony

i zrobić z niej królową. Cała jej rodzina, jeśli nie zginęła w walce, to została ścięta.

Okrucieństwo tych czasów nie powinno być dla Deanie zaskoczeniem, widziała przecież, jak Cromwell z zimną krwią kazał skatować Kita. Traktowała to jednak jako nadużycie władzy przez sadystę, wyskok, odizolowany przypadek, a nie jako normę.

Myliła się. Kit mówił jej o niebezpieczeństwach czyhających na dworze, o brutalności tych czasów. Nie zrozumiała go, nie wysłuchała uważnie. W głowie jej się nie mogło mieścić, że dżentelmen w aksamitnym dublecie potrafił zamknąć bezbronną staruszkę w Tower.

Co powiedzieć, co zrobić, żeby pozbyć się tego nieprzyjemnego ściskania w żołądku? Teraz jeszcze bardziej zapragnęła opuścić tę epokę. Kit miał rację - nigdzie nie mogło być gorzej niż tu.

Na korytarzu rozległy się jakieś głosy. Ktoś raz zapukał i w drzwiach stanął pokojowiec króla. Miał szarą ze strachu twarz.

- Hrabianka Deanie? Proszę pójść ze mną. Pilnie potrzebna jest nam pomoc.

W pierwszej chwili przestraszyła się, że chodzi o Kita. Znaleźli go rannego.

Suffolk wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać. —

Co się dzieje? Pokojowiec skrzywił się.

- Na dole jest ponad pięćdziesięciu członków cechu balwierzy i wszyscy domagają się widzenia z hrabianką.

- Zaraz mnie szlag trafi! - mruknęła Deanie. — Znowu chcą mi golić nogi! Czy oni nie mają nic lepszego do roboty?

- Najwyraźniej, hrabianko - rzekł Suffolk i mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Dobrze, dobrze. Powiedz im, że już schodzę.

Pokojowiec natychmiast odzyskał kolory, skłonił się i ulotnił, nie czekając, aż Deanie zmieni zamiar.

Deanie zrezygnowana podeszła do okna i spojrzała na gromadę mężczyzn tłoczących się na dziedzińcu. Suffolk stanął za nią i zachichotał.

- Toż to istna armia - mruknął, kręcąc głową w zdumieniu.
- Deanie już miała przytaknąć, ale tknięta nagłą myślą spytała:
- Co waćpan powiedział?
- Powiedziałem, że to istna armia - powtórzył.
- Armia - rzekła cicho. — Moja własna armia...
- Oj, nie podoba mi się ton waćpanny — zaniepokoił się Suffolk.
- Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.
- Proszę mi powiedzieć, co znowu knujesz.
- Ale Deanie nie odpowiedziała, tylko kiwnęła na niego i lekkim krokiem opuściła antyszambr. Po krótkim wahaniu Suffolk ruszył za nią.
- Jestem na to za stary - mruknął pod nosem prostując miecz.
- W drodze na dziedziniec natknął się na Norfolkka, który powiedział, że król ma do niego jakąś sprawę nie cierpiącą zwłoki. Rad nierad Suffolk udał się za Norfolkkiem.
- Ale był spokojny, bo cóż mogło się przydarzyć hrabiance przez te kilka chwil, kiedy będzie rozmawiał z królem?

- Nie wściekałby się tak, gdyby nie był syty i wypoczęty.
- Pytam jeszcze raz - rzekł Kit przez zęby. — Kto mnie więzi?
 - Dobrze, już dobrze - uspokoił go strażnik, wesoly aż do znudzenia. - Może kawaleczek bażanta?
 - Nie chcę bażanta. - Kit zdał sobie sprawę, że zachowuje się jak rozkapryszone dziecko. — Chcę, żeby mnie stąd wypuszczono.
 - Ale dlaczego, mości książę? Czy waszmości nie odpowiada tutejsza kuchnia? Czy wino nie jest przednie?
 - Kuchnia i wino są wyśmienite.
 - Miło to słyszeć, mości książę. Zaraz pójde i powiem o tym kucharzowi. Pęknie z dumy.
 - Nie! — Kit ze zdenerwowania wytarł usta rękawem. - Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie jestem.
 - W bardzo pięknym miejscu. Naprawdę.
 - Z gardła Kita dobył się dźwięk przypominający warknięcie tygrysa. Strażnik aż się cofnął.

LABIRYNT

- Dobrze, już dobrze, mości książe. Po co opuszczać to piękne miejsce? Żeby wrócić na ten zdrażliwy dwór?

Kit otworzył usta, żeby ryknąć, ale nagle się rozmyślił.

—Tu masz rację — powiedział cicho.

—A jużci, że mam, mości książe. Za pozwoleniem, na dworze jest tylu okropnych ludzi, którzy z nudów i nieróbstwa mącą, wsadzają nos w nie swoje sprawy. Waszmości tutaj jest lepiej, naprawdę.

—Chyba się z tobą zgodzę - odparł Kit udając spokój. — Ale niepokoję się o moją krewniaczkę.

—Hrabiankę Deanie? O nią nie masz co się martwić, mości książe. On nie spuści jej z oka.

- Wiem, że nie spuści - rzekł Kit cicho. - Zawsze mogłem na niego liczyć.

- Tak, to kwiat rodzaju ludzkiego! - Tu strażnik zamilkł i wciągnął powietrze, jak gdyby chciał połknąć słowa, które właśnie wypowiedział. — Dalibóg, muszę wracać do mych zajęć,

Kit usiadł ciężko na pryczy. Był wściekły. Teraz wszystko zaczynało mieć sens. Więził go przyjaciel, który miał dobre chęci, ale siał zamęt. Kwiat rodzaju ludzkiego.

Niech go diabli!

Z piwnicy wydobył się krzyk, od którego zatrzęsły się mury,

- NIECH CIĘ SZLAG TRAFI, SUFFOLK! ODPOWIESZ MI ZA TO!

Wszyscy, cała służba — pokojowcy, kuchenni, stajenni, pracznicy i ogrodnicy znieruchomieli i spojrzeli po sobie zmieszani. Po czym wrócili do swych zajęć.

Praca u Charlesa Brandona, księcia Suffolka, zawsze miała w sobie coś z przygody. Naprawdę.

18

Plan nie był dopracowany. To i owo należało jeszcze przemyśleć, ustalić kilka (mniej ważnych) szczegółów.

Po pierwsze, Deanie nie miała zielonego pojęcia, gdzie szukać Tower. Wiedziała, że jest to wieża, która znajduje się w Londynie. To chyba trochę za mało.

Dostanie się do Londynu też przedstawiało problem. Kiedy jechała do Londynu ostatnim razem, drogę doń wyznaczały odblaskowe drogowskazy i punkty informacyjne dla turystów. Siedziała sobie wygodnie w tyle olbrzymiego autokaru, klimatyzowanego na modłę amerykańską, słuchała przez słuchawkę podkładu muzycznego do swej nowej płyty kompaktowej i nic jej nie obchodziło.

A nawet jeśli jakimś cudem trafi do Londynu, to co dalej? Wiedziała tylko, że sforsuje bramę Tower przy pomocy armii balwierzy, po czym wyjdzie stamtąd z jednym balwierzem więcej - z Kitem. Jeśli uda jej się odnaleźć tę staruszkę, księżną Salisbury, to też ją zabierze. Ale najważniejsze, żeby jak najszybciej uwolnić Kita.

Jeśli tylko Deanie i jej pospolitemu ruszeniu oglupionych balwierzy uda się zlokalizować właściwe miasto, a w nim właściwą wieżę, to szukanie Kita w murach rzeczonyj wieży zapowiadało się na niezłą

LABIRYNT

zabawę. Wmówiła balwierzom, że udają się z misją łaski. Ogolą nieszczęsnych pensjonariuszy Tower, a niektórym upuszczą krwi. Balwierze wiedzieli, że jest ulubioną damą dworu króla, więc o nic nie pytali.

Dla zachęty Deanie obiecała im, że jeśli spełnią wszystkie jej - niekiedy dość dziwne - rozkazy, będą mogli golić jej nogi, ile duszą zapragnie. Obiecała też, że zaprowadzi wśród dam dworu modę na ogolone nogi, co czyniło całą sprawę jeszcze bardziej interesującą.

- A co będzie, jeśli panowie zażądataj, żeby im golić nogi?

- spytał Yerkel, masywnie zbudowany młodzian, który nie miał ani imienia, ani nazwiska. Po prostu Yerkel.

- Właśnie, właśnie! — poparł go podniecony balwierz z wielką naroślą na policzku. — Panom to ja nie chcę golić nóg.

- Myślę, że wam to nie grozi. Golenie nóg nie jest w stylu panów. - Powiedziała to z największym przekonaniem, na jakie ją było stać, choć wcale nie była tego taka pewna. Mężczyźni w 1540 roku nosili wszak pończochy.

Sztuka polegała na tym, żeby wmówić balwierzom, iż wyprawa do Tower to ich własny pomysł, akcja charytatywna sponsorowana przez ich cech. Po kilku chwilach gorączkowej dyskusji zgodzili się zabrać Deanie z sobą.

Myśl, że wejdą do Tower, nie budziła w balwierzach żadnych obaw. Za więzienie służyła zresztą od niedawna, przedtem była po prostu rezydencją królewską, jak Richmond. A właściwie twierdzą, bo pamiętała czasy zmieniających się co chwila królów i obcych najazdów - stała już setki lat. Ponurą sławę zawdzięczała temu, że więziono tu i ścięto dość niedawno Annę Boleyn, Tomasza Morusa i innych dobrze urodzonych.

W drogę udali się bezzwłocznie - balwierze na swych wierzchowcach, Deanie na Fancy, tej samej klaczy, na której kilka tygodni wcześniej przyjechała z Hampton Court. Nie wtajemniczyła w swe plany Suffolka, zresztą wołała, żeby znało je jak najmniej osób. Nie wróciła nawet do pałacu, żeby się przebrać w bardziej odpowiedni strój, bo bała się, że coś mogłoby ją zatrzymać.

Od Londynu dzieliło ich zaledwie kilka mil; jechali innym

odcinkiem tego samego błotnistej gościńca nad Tamizą, który prowadził z Hampton Court do Richmond.

Teraz zrozumiała, co Suffolk miał na myśli mówiąc, że droga jest niebezpieczna. Nawet w słoneczne popołudnie kręciły się tu watahy jakichś mocno podejrzanych typów. Gdy ci potencjalni złoczyńcy zaczęli iść za nimi, deptając im niemal po piętach, Deanie pomyślała, że mogą się przydać, jeśli przyjdzie im brać Tower siłą. Po drodze przyłączyli się nowi balwierze, którzy rzucali łakome spojrzenia na jej kostkę, ilekroć zaczęła o siodło rąbkami czerwonej aksamitnej spódnicy.

Jechali i jechali, a Londynu wciąż nie było widać, nawet na horyzoncie. W końcu wjechali do jakiejś dużej wioski położonej na łagodnym wzniesieniu. Jak okiem sięgnąć widać było drewniane parterowe domy. Niektóre pyszniły się szklanymi oknami i kominami z cegły; inne, skromniejsze, musiały się obejść natuszczonym płótnem. Najbiedniejsze chaty zamiast kominów miały dziury w dachu. Wiosną przykrywano je słomianą strzechą, deskami lub naoliwionym płótnem. Resztą czym się tylko dało, byle zasłonić je od deszczu.

Bruku jeszcze nie znano. Po błotnistych uliczkach wahało się leniwie bydło, przez co panował tu smród jeszcze gorszy od tego, który musieli znosić po drodze. Łatwo też było pośliznąć się na odchodach ludzkich i zwierzęcych, zgniłej kapuście bądź mydlinach.

W miarę jak się posuwali, budynki stawały się okazalsze, obejmiały za to mniejsze, aż w końcu w ogóle zniknęły. Tu domy stały ściśnięte wzdłuż ulic, przy czym jedne były szerokie, inne wąskie. Jak los zdarzył. Deanie w życiu nie widziała takiego chaosu architektonicznego.

Wtem jej oczom ukazał się szeroki most, łączący oba brzegi rzeki. Zdumiewające, że ten most był ulicą z domami. Niektóre liczyły aż trzy kondygnacje. Szczyty miały szpiczaste, spiralne, trójkątne i kwadratowe.

W oddali biły dzwony na drugą. Deanie odwróciła się do Yerkela, ustami nabrała w płuca powietrze, unikając wachania otaczających ją zapachów. Przyzwyczała się już, że na dworze śmierdzi, ale ten odór przekraczał wszelkie wyobrażenie.

—Gdzie jesteśmy?

Yerkel, na twarzy którego malowała się pełna rezygnacja, uniósł swe jasne brwi.

—W Londynie, pani.

Deanie miała już coś powiedzieć, ale ugryzła się w język. Czego się spodziewała? Kolumny Nelsona? Drogowskazów do Heathrow?

Nagle powiał silny wiatr, więc prędko zamknęła usta. Yerkel beznamiętnie obserwował, jak walczyła z mdłościami.

—Ci tutaj to garbarze - wyjaśnił tonem znudzonego przewodnika wycieczki. — Trzymają się razem ze sprzedawcami ryb i rzeźnikami, żeby ich zapachy nie zatruiły całego Londynu. Tutaj też są jamy na niedźwiedzie, jeśli ktoś lubi ten sport. A także łaźnie, stawy i tak dalej.

Uśmiechnął się z ukontentowaniem.

—A gdzie jest Tower?

Bez słowa wskazał w kierunku budowli z cegły.

Deanie z jednej strony poczuła ulgę, z drugiej była nieco rozczarowana. Oczekiwała czarnego od sadzy gotyckiego zamczyska, łańcuchów i szczątków torturowanych ofiar o twarzach wykrzywionych w niemym krzyku wiecznej agonii.

Tymczasem budowla, którą zobaczyła, była niemal wesoła - szare cegły z jaśniejszym obramowaniem, w rogach eleganckie baszty. Stłoczone wieże przywodziły na myśl dzieło Disneya.

Nigdy by nie pomyślała, że ma przed sobą więzienie, gdyby nie uzbrojeni strażnicy stojący na baczność w bramie. Trzymali wartę, jak ci w Hampton Court, sprawiali jednak groźniejsze wrażenie, a to z powodu opadających na oczy żelaznych hełmów.

Z bliska Tower nie wyglądała już tak wesoło. Na większości okien były kraty. Podjechali małym wybrzuszonym mostkiem do głównego wejścia. Widać stąd było służę nazywaną Wrotami Zdrajców, które wielu wrogów Henryka przekroczyło tylko w jedną stronę.

Olbrzymi strażnik, stojący na szeroko rozstawionych silnych nogach, udawał, że nie widzi Deanie i balwierzy. Nie drgnął mu ani jeden muskuł, nie mrugnął nawet okiem.

—Dobry dzień! — zawołała do niego Deanie, wysforowawszy się

naprzód. Balwierze zbili się w kupkę kilka metrów za nią. Strażnik na pozdrowienie nie odpowiedział. - Ładna dziś pogoda, prawda?
- zagadała ponownie. - Przyjechaliśmy ogolić więźniów.

Te słowa sprawiły, że stalowoniebieskie oczy strażnika przesunęły się na jej twarz. Ale milczał dalej, niewzruszony jak skała.

- Przybyliśmy, żeby trochę umilić życie więźniom. Życie składa się z drobnych przyjemności, prawda?

Na miłość boską, co ja bredzę? - pomyślała. Zaraz powiem, że dzieci się cieszą, gdy znajdują pod poduszką czekoladkę, a dorośli - jeśli okaże się, że śniadanie w hotelu wliczone jest w rachunek.

Wydawało się to niemożliwe, ale strażnik jakby jeszcze bardziej stężał.

Usłyszała za sobą parsknięcie konia i kiedy się odwróciła, zobaczyła Yerkela z twarzą częściowo zasłoniętą kapturem. Dała mu znać, żeby się cofnął. Lepiej niech się nie wtrąca.

- Dobry dzień, Robercie - przywitał Yerkeł strażnika.
- Dobry dzień, Yerkeł - mruknął w przestrzeń strażnik.
- Wy się znacie?

Yerkeł nie odpowiedział, za to strażnik skinął głową, ale tak nieznacznie, że nie zauważyłaby, gdyby nie czekała w napięciu na jakąś reakcję z jego strony.

- Załatw, żeby nas wpuścił — szepnęła do Yerkela. — Przekup go, nastras, obiecuj, co zechce, tylko niech nas wpuści.

Yerkeł w milczeniu zsiadł z konia, podszedł do strażnika i powiedział mu kilka słów. Strażnik wytrzeszczył oczy, a następnie zmierzył Deanie od stóp do głów. Wreszcie skinął przyzwalająco głową i krzyknął coś do strażnika z drugiej strony bramy. Tamten z kolei krzyknął do jakiegoś innego niewidocznego strażnika, tamten do następnego i tak dalej. Ich wołania odbiły się echem od ceglanych murów.

- Co mu powiedziałeś? — syknęła Deanie do Yerkela, który dał znak balwierzom, żeby zsiadli z koni.

Yerkeł nie odpowiedział. Klepnął tylko konia i ruszył w stronę otwartej bramy.

- Proszę, powiedz mi. Musiałeś go nieźle nastraszyć. Czy zagroziłeś, że wędziemy się siłą? Powiedz mi, Yerkeł.

Przystanął. Wyprostował swe szerokie ramiona, uniósł okrągłą głowę.

- Chcesz, pani, znać prawdę? — W jego tonie było coś złowieszczego.

Deanie aż się zdrygnęła i po raz kolejny uświadomiła sobie, że znalazła się w barbarzyńskich czasach. Pokiwała głową, przygotowując się na najgorsze.

- Powiedziałem Richardowi, że jeśli nas wpuści, to podzielimy się z nim zarobionymi pieniędzmi.

- Tylko tyle? - Deanie była bardzo zawiedziona. - Obiecałeś mi, że podzielisz się z nim forszą?

- To nie wszystko. - Głos Yerkela zabrzmiał znowu jak pogróżka.

Deanie otworzyła szeroko oczy. Chciała koniecznie poznać chytrą sztuczkę, dzięki której Yerkeł załatwił im przejście przez bramę. Może jej się to przyda.

- Powiedziałem, że jeśli nas wpuści, to poproszę matkę, żeby nasmażyła racuchów.

- Jaką matkę?

- Naszą. Richard jest moim starszym bratem - zakończył i kiwnął do niego, bo właśnie go mijali.

- Kto by pomyślał! - Przyjrzała się uważnie strażnikowi, usiłując wyobrazić sobie ich wielką matkę, smażącą z zapamiętaniem racuchy dla synów. - Możesz go spytać, gdzie jest książę Hamilton?

Yerkeł wrzusił ramionami, wręczył Deanie lejce swego konia i wrócił do brata. Znowu wymienili kilka słów i Yerkeł wrócił.

- Mój brat mówi, że książę Hamilton najpewniej jest na dworze królewskim lub w swych włościach.

- Nie, nie - poprawiła go Deanie. - Powiedz mi, że może być z nami szczerzy, bo my wiemy, że książę Hamilton jest w Tower.

- Mój brat mówi, że go tu nie ma.

- Nie obraż się - rzekła Deanie, przyglądając się badawczo wielkiej sylwetce nieruchomego Richarda - ale może on nie zna wszystkich więźniów.

Yerkel pokiwał głową.

—Może.

—Cóż — westchnęła Deanie - zabierajcie się do golenia więźniów.

—Ale tylko brody - zastrzegł się. - Nie będziemy im golić ani nóg, ani rąk.

Jak tylko kwestia golenia, czy raczej niegolenia kończyn więźniów została rozstrzygnięta po myśli Yerkela, wybrali się na poszukiwanie Kita.

—Dobry Boże, Hamilton, nie śpij, jakbyś wieś sprzedał!

Na dźwięk tego głosu Kit zeskoczył z pryczy. Brzęk miecza zwiastował pojawienie się Suffolka.

—Czy on ci powiedział? — spytał groźnie Kit. - Czy strażnik ci powiedział, że zamierzam cię zabić? Zrobię to z największą przyjemnością, ty łajdaku.

—Uspokój się, Kit. Nie mamy na to czasu. - Szczęknął zardzewiały zamek w drzwiach i celę zalało dzienne światło. - Hrabianka Deanie jest w Tower.

—Co się stało? — Gniew Kita zniknął bez śladu, bo wreszcie opuszczał celę. Szedł za Suffolkiem, nie zwracając uwagi ani dokąd tamten go prowadzi, ani na zaskoczone miny służby.

—Wybacz mi, przyjacielu - dyszał Suffolk.— Zrobiłem to, żeby wam pomóc.

—Powiedz wszystko po kolei.

—To ja kazałem cię porwać i zamknąć tutaj, w moich włościach. Ale to, jak rozumiem, sam zgadłeś. Na dworze mówiono, że masz dołączyć do Cromwella w Tower, postanowiłem więc cię od tego uchronić. Musiałem działać prędko, wykorzystując nieobecność króla.

—Czy Deanie o tym wiedziała?

—Nie. Nie doceniłem jej, Kit. Nie powiedziałem jej o moich planach, bo sądziłem, że tak będzie dla niej lepiej.

—Biedna Deanie - wymamrotał Kit, mrużąc oczy, bo już zdążył odzwyczać się od słońca. — Tower. Powiedz mi, Charles, w jaki

LABIRYNT

sposób została aresztowana i dlaczego. - Kit starał się nie dać po sobie poznać, co przeżywa.

- Nie została aresztowana.

Kit stanął jak wryty.

- Co?

- Twoja krewniaczka, Kit, wdarła się do Tower z bandą balwierzy. Weszła tam z własnej nieprzymuszonej woli, żeby cię uwolnić.

- Wdarła się do Tower? To nie ma sensu...

- Oto twój wierzchowiec. Wybacz mi, Hamilton. Myślałem, że postąpiłem słusznie.

Kit, na którego twarzy malowało się teraz wielkie skupienie, obdarzył Suffolka krótkim, przelotnym uśmiechem.

- Wiem o tym, stary druhu. Ale gdybyś mnie nie porwał, w tej chwili uciekalibyśmy z moich włości.

Zebraли pośpiesznie ludzi i pognali do Londynu.

Ogolili co najmniej dwa tuziny więźniów, z których jedni mieli w sobie więcej życia, inni mniej. Niektórzy nawet nie rozumieli, że chcą dla nich dobrze. Na widok Yerkela z potyskującą brzytwą jeden z więźniów wpadł w istny szal. Dopiero później, gdy go już uspokoiono, pojął, że balwierz nie chciał go ani torturować, ani zabić.

Deanie w głowie się nie mieściło, jak ktoś w ogóle może przeżyć w takich warunkach. Wprawdzie komnaty niektórych więźniów były umeblowane, ale Deanie prędko zrozumiała, że tak mieszkają szlachetnie urodzeni więźniowie tylko na początku. Potem o nich zapominano, rodziny przestawały interesować się ich losem. Dni zaczynały im się dłużyć jak tygodnie, a miesiące zaczynały przypominać lata. Poza murami wartko toczyło się życie, tutaj panowała nuda.

W każdej z tych komnat mógł być Kit. Gdy Richard, który nie odstępował ich ani na chwilę, otwierał przed balwierzami kolejne drzwi, Deanie wstrzymywała oddech.

Zamierzała się poddać, kiedy znaleźli się pod drzwiami narożnej komnaty. Klucz do niej był bardziej ozdobny, a drzwi bardziej masywne.

Może tutaj?

Drzwi otworzyły się ciężko, Deanie weszła odważnie do środka. W komnacie panował mrok. Na środku stało wielkie biurko zarzucone papierzyskami.

- Kit?

Jej głos odbity od kamiennych murów, zabrzmiał pusto i nienaturalnie. Z ciemnego kąta dobył się czyjś pozbawiony wesołości chichot.

- Kto to?

Niewidzialny człowiek w odpowiedzi znowu się roześmiał.

- Witam, hrabianko. - Z cienia wyłonił się mężczyzna, a Deanie instynktownie się cofnęła. — Pokornie dziękuję, że zechciała mi pani złożyć wizytę. Proszę wybaczyć mi to skromne mieszkanie.

- Cromwell?

- Nie kto inny.

Teraz widziała go wyraźniej. Nosił swój bogaty płaszcz, ale brudny i poplamiony, a kołnierz i mankiety z futra robiły wrażenie mocno wyświechtanych. Ciemne włosy miał przylizane, mimo że był bez swej śmiesznej czapki z klapami na uszy.

- Przepraszam - wymamrotała. Zaczęła cofać się, jak gdyby bała się odwrócić do niego plecami. Strażnicy obserwowali tę scenę bez zainteresowania.

- Co cię przywiodło do Tower? - spytał spokojnie. — Pani wszak nie aresztowano.

- Właściwie już wychodziłam.

- Rozumiem. Wybrałaś się, pani, na spacer po Tower i postanowiłaś złożyć krótką wizytę staremu znajomemu.

Deanie zdążyła już dotrzeć do drzwi. Teraz odwrócić się i uciekać, gdzie pieprz rośnie.

- Zaczekaj chwilę. - Było to bardziej błaganie niż rozkaz. Przystanęła. W otoczeniu balwierzy, którzy właśnie zastanawiali się, gdzie teraz iść, wyżej czy niżej, czuła się o wiele pewniej.

- Jakże zdrowie królowej?

Deanie zmrugała oczy, zastanawiając się, do czego on zmierza.

- Ze wszystkiego, czego dokonałem, to małżeństwo najmniej mi się udało — powiedział jakby do siebie. - Ale nie zamierzałem

LABIRYNT

oszukać króla ani skrzywdzić tej biednej Kliwijki. Myślałem, że znajdą szczęście.

Cromwell podszedł do biurka, na którym piętrzyły się papiery.

- On mi każe dalej pracować, upiera się, żebyśmy przygotowali unieważnienie. Zaiste, są ku temu podstawy, prawdziwe. To ostatnia rzecz, jaką dla niego zrobię. Mam nadzieję, że pewnego dnia doceni moją lojalność. Nawet tutaj.

Sprawiał wrażenie zagubionego. Wydawało się, że zapomniał o jej obecności. Chciała więc odejść. Ale wtedy on spojrzał na nią. Przytomnie.

- Powiedz jej, żeby na to przystała — powiedział cicho.

- Kto ma na co przystać? - spytała zaintrygowana Deanie. Zapomniała, że się śpieszyła.

- Królowa. Załatwię jej godną odprawę. Powiedz jej, żeby się nie sprzeczała i żeby nie żądała więcej. Będzie oczywiście upokorzona, ale lepiej być upokorzonym i żywym niż dumnym i martwym. Królowi zależy, żeby jak najszybciej z tego wybrnąć, nie zauważy więc, że przyznał jej tyle dóbr. A gdy zauważy, będzie już za późno na zmianę warunków umowy. Będą wynosić go pod niebiosa za tę hojność. A on to bardzo lubi.

Deanie obserwowała jego twarz. Zniknęła z niej dawna zawziętość. Teraz na jego twarzy malował się spokój i rezygnacja.

- Powiem jej - rzekła Deanie.

- Dziękuję.

Deanie ruszyła do wyjścia. Jego spojrzenie paliło jej szyję. Nie odwracając się spytała:

- Dlaczego był pan tak okrutny dla mnie i Kita?

- Ja byłem okrutny? — spytał z niedowierzaniem.

Deanie odwróciła się do niego przodem.

- Czemu pan próbował go zabić? Dlaczego chciał pan nas rozdzielić?

Cromwell stał nieruchomo i w myślach ważył jej słowa.

- Nie chciałem być okrutny. - Rzucił okiem na biurko. — Robiłem to, co uważałem za najlepsze dla króla. Nie chciałem unii z Kliwią. Pomyślałem, że pozwolę mu wybrać. Wy oboje chcieliście

pokrzyżować moje plany. - Wzruszył ramionami. - Cóż, było za późno. Wtedy tego nie wiedziałem, ale mój czas już minął.

- Czy on jest tutaj, w Tower?

- Hamilton? - Cromwell zrobił zdziwioną minę. - Nie. W każdym razie mnie nic o tym nie wiadomo.

Deanie chciała jeszcze coś powiedzieć, ale już nic nie przychodziło jej do głowy.

- Staralem się najlepiej, jak mogłem - stwierdził Cromwell skubiąc rękaw. Zmarszczył czoło. - Zawsze miałem na uwadze dobro króla. Od Wolseya nauczyłem się, jak naginać prawo, żeby spełniać kaprysy Henryka. Zapomniałem tylko o ostatniej lekcji Wolseya, tej najważniejszej. Nie wyciągnąłem nauki z jego upadku, sądziłem bowiem, że to się już nie powtórzy. Ale tak samo jak Cromwell zajął miejsce Wolseya, Norfolk zajmie miejsce Cromwella. Tyle że nie na długo. Norfolкови brakuje sprytu, żeby się długo utrzymać. W odniesieniu sukcesu przeszkodzi mu jego szlachecki stan.

Strażnik dał znać Deanie, że już czas, i zaczął powoli zamykać drzwi. Wpatrzony w swe biurko Cromwell nie zauważył tego.

- Pani - powiedział.

Drzwi były już prawie zamknięte, ale Deanie położyła dłoń na ramieniu strażnika.

- Słucham?

Cromwell chrząkał, jak gdyby wahał się, czy to powiedzieć.

- Proszę mieć na siebie baczenie. Na siebie i księcia Hamiltona. Uchodźcie możliwie jak najdalej od tej ziemi. Wyjedźcie zaraz. Wyjedźcie daleko. Nie ociągajcie się.

Ciężkie drzwi zamknęły się. Balwierze i strażnik nie odezwali się ani słowem, tylko wymienili zaciekawione spojrzenia nad głową Deanie.

- Sądzę, że Kita tu nie ma - powiedziała do siebie, trąc pięścią oko. - Możemy już zakończyć tę misję?

Yerkel przełożył swą skórzaną torbę do drugiej ręki i mimowolnie spojrzął na jej nogę.

- Jestem zmęczona. A waszmościowie?

- Ja nie - stwierdził ochoczo balwierz z naroślą na twarzy.

LABIRYNT

- A niech cię - mruknęła. - Kolejne golenie nóg.

Yerkel zastanawiał się nad czymś przez chwilę.

- Można by jeszcze upuścić krwi któremuś z więźniów. A potem byśmy zajęli się tobą, pani. — Powiedziawszy to splonął się.

Wtem podbiegł do nich inny strażnik. Zadyszał się wspinaczką po schodach. Skłonił się przed bratem Yerkela.

- Na dole czekają dwaj możni panowie. Przybyli tu ze swymi ludźmi i koniecznie chcą wejść do środka.

Strażnicy zaczęli się naradzać, czy wpuścić tamtych, czy nie, ale Deanie nie słuchała. Była śmiertelnie zmęczona, przygnębiona widokiem tych ludzi, z których większość sprawiała żałosne wrażenie. Jedyń ich winą było to, że urodzili się w nieodpowiedniej rodzinie. Musiała podjąć decyzję, co dalej.

Jeśli Kita nie ma w Tower, to gdzie, do diabła, się podział?

- Nigdy nie lubiłem tego miejsca — mruknął Suffolk. Prychał ze wstrętem. Stali pod bramą, czekając na pozwolenie wejścia do środka. - Nawet w czasach, kiedy obaj z królem byliśmy młodzi, a w Tower monarchowie oczekiwali na swą koronację, źle się tu czułem.

- Może z powodu historii nieszczęśliwych książąt - rzekł Kit usiłując coś zobaczyć ponad ramieniem strażnika, ale nadaremnie.

- Może. Król Henryk VII, ojciec naszego króla, często opowiadał o dwóch książętach, zamordowanych przez wuja.

- Który z kolei został zamordowany przez Henryka VII - dokończył Kit z roztargnieniem.

- Miarkuj się, Hamilton - ostrzegł go Suffolk. - Jesteś moim starym druhem, ale ja przede wszystkim służę królowi. Ryszard poległ w bitwie, nikt go nie zamordował. Mój ojciec też zginął w bitwie pod Bosworth.

- Wybacz mi, Suffolk.

Suffolk milczał. Lepiej od innych znał wady króla i ciemne sprawy Tudorów. Ale nie mógł pozwolić, żeby mówiono źle o Tudorach, nie mógł pozwolić, żeby ktoś w jego obecności

uwłaczał ich chwale. To były poważne sprawy. Dla Suffolka, jak dla reszty świata, takie gadanie uchodziło za zdradę.

- Do diabła, gdzie ona jest? - denerwował się Kit.

Bramę otwarto i z Tower zaczęła wychodzić gromada ludzi prowadzących konie. Zniecierpliwiony czekaniem Kit przejechał dłonią po twarzy i zdumiał się swą długą brodą. Nie zdawał sobie sprawy, że jest tak zarośnięty. Ile to już czasu, odkąd...

Wtem mignął mu czerwony kolor.

Nie musiał się przyglądać, nie musiał zobaczyć twarzy, żeby wiedzieć, kogo oznacza ta czerwień.

Zwinał dłonie w trąbkę, przytknął do ust i krzyknął:

- Deanie!

Kobieta w czerwonym zatrzymała się. Ale stukot kopyt końskich zagłuszył jego wołanie i zaczęła się znowu poruszać.

- DEANIE!

Tym razem oddała cugle swego konia jasnowłosemu młodzianowi.

— Kit! - zawołała, stojąc do niego tyłem.

Rzucił się ku niej pędem, rozpychając na boki zdumionych balwierzy.

Kiedy wykrzykiwała jego imię w złym kierunku, wydała mu się taka drobna. Czy zawsze była taka mała? W uszytej na niemiecką modłę czerwonej aksamitnej sukni o wąskich rękawach przywodziła na myśl lalkę. Czerwona plamka w szarym świetle.

Chwycił ją za ramiona i objął. Mimo warstw grubego materiału wyczuł jej łopatki. Odwrócił ją przodem do siebie.

Kit. Poruszyła ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Patrzyła z niedowierzaniem na jego ciemne, zmierzwione włosy, zarost zakrywający pół twarzy i oczy - zielone, nakrapiane brązem - które wydawały się rozświetlone jakimś wewnętrznym światłem. Zarzuciła mu ręce na szyję i zacisnęła powieki, bo poczuła, że zaraz się rozpłacze.

Świat zawirował, gdy uniósł ją nad ziemię. Znajomy uścisk długich palców, zapach ciała, dotyk miękkiej brody na twarzy przyprawiły ją o zawrót głowy. Przelknęła, pociągnęła nosem wciśniętym w zagłębienie jego szyi, czując na czole jego ciepły oddech.

LABIRYNT

— Tak się bałam, że już nigdy cię nie zobaczę - rozpląkała się.
- Nie czuję dotyku twojej ręki, nie usłyszę twego głosu...
— Deanie. — Po tonie, jakim to powiedział, poznała, że chce ją tak trzymać do końca świata.

Oparła się o niego całym ciałem. Było jej tak dobrze. Aż do bólu. Jego wargi odnalazły jej wargi, gorące, stęsknione, drżące. Dłoń Deanie na plecach Kita zacisnęła się w pięść, a następnie powoli się otworzyła.

Czuła szum w uszach. Kit oderwał się od jej warg, podtrzymując głowę swą wielką dłonią. Popatrzyli na siebie i Kit uśmiechnął się - pierwszy raz od kilku dni. Deanie przeniosła spojrzenie na jego wargi, które dopiero co ją całowały. Na jego nieprawdopodobnie białe zęby, krzywy ząb na dole.

Gdzieś ktoś coś szepnął, ktoś inny odchrząknął, zaszurał nogami. Ten szum w uszach to były odgłosy rozmów prowadzonych obok nich.

Deanie zamrugała oczyma. Kiedy spojrzała nad ramieniem Kita, zobaczyła gromadę gapiów — balwierzy, strażników, handlarzy, zaciekawionych mieszczek.

- Pst, pst, bardzo przepraszam... - to był głos Yerkela - czy mości książę nie życzy sobie, żeby go ogolić?

Deanie przejechała palcem po policzku Kita. Długi zarost nadawał mu srogi wygląd, upodabniał do pirata. Kit wziął ją za rękę i z zamkniętymi oczyma złożył na niej pocałunek.

Rozległ się śmiech. Kit otworzył oczy i spojrzał pytająco na Suffolka.

— Co im powiedziałeś? — spytał, przenosząc wzrok z powrotem na Deanie.

- Stwierdziłem tylko, że jeśli teraz przystaniesz na ich propozycję, będziesz łysy jak Cezar - odpad wesoło Suffolk.

- Cezar? — spytała Deanie. - Ten od sałatki a la Cezar?

Gapie nie mogli wyjść z podziwu, że ta para potrafi się śmiać i równocześnie się całować.

19

Wszyscy pomyśleli, że Deanie i Kit zwariowali. Albowiem po kilku minutach oznajmili, że wracają do Hampton Court.

- Hampton Court? - Suffolk zakrzuszył się piwem. Strażnicy, przekonawszy się, że mają do czynienia z czcigodnym towarzystwem, przygotowali dla nich poczęstunek złożony z piwa, sera i chleba. Z braku ławki siedzieli we troje na niskim ogrodzeniu. Deanie, skubiąc twarde chleb, zastanawiała się, czy aby nie objadają więźniów.

Nie odrywała wzroku od Kita. Wprost nie mogła się na niego napatrzeć. Teraz, kiedy znów byli razem, czuła się tak szczęśliwa, że na myśl o tym, co im groziło, miękły jej kolana.

Niewiele brakowało, by się nie spotkali. Gdyby zabawiła dłużej w Tower lub gdyby strażnicy wypuścili ją boczną bramą, jak początkowo planowali, rozminęłaby się z Kitem.

Nie, nie mogła przełknąć tego chleba.

Kit i Suffolk omawiali sprawę powrotu do Hampton Court.

- Do Richmond jest znacznie bliżej - upierał się Suffolk.
- Poza tym król rad by ciebie zobaczyć, Kit. Zależało mu, żeby cię odnaleźć.

LABIRYNT

— To mi pochlebia. Ale mamy coś do załatwienia w Hampton Court i to przed zmrokiem.

- Przed zmrokiem! Już jest po czwartej.

Deanie postanowiła wtrącić się do tej rozmowy. Wprawdzie zwróciła się do obu, ale było jasne, że mówi do Kita:

- Słońce zachodzi koło szóstej, prawda?

- Później. - Kit przyciągnął ją do siebie. Kiedy ramieniem dotknęła jego piersi, przebiegł ją dreszcz rozkoszy. Zadała sobie w duchu pytanie, czy zawsze tak będzie, czy jego bliskość zawsze będzie ją wprawiać w taki zachwyt. Gdy mówił, Deanie czuła, jak jego ciało wibruje. - Jest wiosna, więc słońce zachodzi później. Mamy czas do siódmej, a może trochę dłużej.

Suffolk zacisnął pięść.

- Zatem nie da się was od tego odwieść.

Kit i Deanie równocześnie pokręcili głowami.

- Spytam strażnika, gdzie można dostać łódź. - Popijając piwo i zrzedząc pod nosem Suffolk odszedł.

Po dniach niepewności i niepokoju Deanie w końcu była sama z Kitem.

Otoczona jego ramieniem rozluźniła się, podświadomie podporządkowując oddech jego rytmowi. Było tyle rzeczy, o których chciała mu powiedzieć. Chciała mu powiedzieć, jak się czuła bez niego i że jej dawne życie straciło teraz dla niej sens. Ze poza nim nie potrzebuje niczego i nikogo. Ze tylko on się dla niej liczy.

W jego ramionach czuła się bezpieczna. Westchnęła, czując, że morzy ją sen. Póki martwiła się o niego, nie była w stanie spać. Teraz zmęczenie dało znać o sobie.

Kiedy oczy Deanie się zamknęły, Kit objął ją jeszcze silniej i delikatnie pocałował w czoło. Patrząc, jak Deanie zasypia, zastanawiał się, kiedy powinien jej to powiedzieć.

Zamknięty w celi dużo myślał, zwłaszcza że nie miał nic innego do roboty. Wszystkie jego myśli kręciły się wokół Deanie. Marzył, że zostaną razem - dokądkolwiek pójdą, gdziekolwiek los ich rzuci. Oczywiście, da jej trochę czasu, Deanie przecież ma tam własne życie, tak jak on miał własne życie w tej epoce. Przystosowanie się

też trochę potrwa. Ale był pewien, że uda im się być razem. W każdej epoce.

Jeden z balwierzy ruszył w stronę Kita, żeby zaproponować mu golenie. Zatrzymał się jednak, ujrawszy tkliwość malującą się na twarzy księcia. Tkliwość ta sprawiła, że zwykle groźna twarz księcia złagodniała.

Porozmawiam z Deanie później, postanowił Kit, kiedy dostrzegł cienie pod jej oczyma. Dobrze jej zrobi drzemka, choćby nawet krótka. Uśmiechnął się, bo przypomniał sobie, że on też przez ostatnie noce nie sypiał.

Usłyszawszy, jak książę powiedział niskim szorstkim głosem: „Moja ukochana”, balwierz mądrze zdecydował, że kiedy indziej zaproponuje księciu Hamiltonowi swe usługi.

Śniło jej się, że szybuje w powietrzu.

Z oddali dochodził plusk wody, ale Deanie nie czuła gwałtownej potrzeby obudzenia się. Słońce tak mile grzało. Zadowolona westchnęła przez sen.

Wtem na jej twarz spadło coś zimnego i mokrego. Usiadła z krzykiem.

- Spokojnie, Deanie! Nie kołysz łodzią, bo nas wywrócisz!

Zobaczyła Kita wiosłującego mozolnie krzywymi wiosłami. Był bez kaftana, białą lnianą koszulę miał rozwiązana pod szyją, a rękawy zawinięte nad łokcie.

- Długo spałam? - spytała Deanie, nie mogąc oderwać wzroku od jego muskularnego ciała. Zacerwieniona od wysiłku skóra przebijała przez biel koszuli.

Uśmiechnął się. Z tymi białymi zębami i czarną brodą wyglądał jak pirat. Deanie odruchowo wyciągnęła rękę i dotknęła palcem wgłębienia w jego szyi; wyczuła kciukiem przyspieszony puls. Uśmiech na jego twarzy powoli zgasł, Kit westchnął i wychylił się ku niej. Wiosła znalazły się nad wodą.

- Pracuj, Hamilton!

Deanie podskoczyła. Okazało się, że za nią, na przeciwnym końcu

LABIRYNT

łodzi siedział rozparty wygodnie i bardzo zadowolony z życia Suffolk. Jedną ręką trzymał gliniany kubek z piwem, drugą zanurzał w wodzie.

- Mówiłeś, że musicie być tam przed zachodem słońca. Nie zdążymy, jeśli będziesz się ociągał w wiosłowaniu. Słońce jest coraz niżej.

Kit pokiwał głową, niechętnie przyznając mu rację, i zaczął wiosłować. Nawet szybciej niż do tej pory.

- Waść nie jest bardzo pomocny - rzekła Deanie do Suffolka, który uśmiechnął się ze skruchą, wzruszył ramionami i znowu łyknął piwa.

- To łódź na trzy osoby. Hamilton powiedział, że będzie wiosłował, jeśli się czymś zajmę i poskromię język, żebyś mogła spać. Jak widzisz, dotrzymałem umowy. Za to waćpanna miała przez cały czas rozdziawione usta.

Deanie zakryła dłonią usta, a Suffolk i Kit wybuchnęli śmiechem.

- Nie dokuczaj Deanie, Suffolk. Ty przez sen wyprawiasz o wiele gorsze rzeczy, a na jawie... lepiej nie mówić — rzekł Kit mrugając do zawstydzonej Deanie.

- Co prawda, to prawda. O, widzę Hampton Court! Dalibóg, Hamilton, chyba nam się uda!

Deanie niechętnie oderwała wzrok od Kita. Suffolk miał rację, na horyzoncie majaczył pałac Hampton Court skąpany w czerwonym świetle popołudniowego słońca. W wiosennym ciepłe pokręcone kominy z cegły wydawały się pływać.

- Masz butelkę? - spytał Kit zerkając przez ramię, czy trzyma kurs.

- Niestety. Już pusta - oznajmił Suffolk ze smutkiem.

- Pytam o inną butelkę. - Kit pokręcił głową z udaną dezaprobatą.

Deanie uśmiechnęła się promiennie do Suffolka.

- Zostawiłam ją w mojej komnacie - powiedziała do Kita.
- Powinna dalej tam być.

Skinął głową i wrócił do wiosłowania. Deanie była zdumiona jego wytrzymałością. Jakaż musiał mieć siłę, że był w stanie wiosłować tyle mil pod prąd, kiedy w łódce siedziały trzy osoby. Był

tylko trochę zdyszany. Uwagi Deanie nie uszło, że znowu dokuczało mu ramię zranione przez siepacza Cromwella. Wyraźnie wołał pracować lewą ręką. Raz po raz obracał obolałym ramieniem, jakby chciał się pozbyć dokuczliwej sztywności.

- Suffolk, czy umiesz się obchodzić z prochem strzelniczym?

- A jak myślisz? Dlaczego wyżłopałem tyle piwa? - mruknął Suffolk, kręcąc głową z oburzeniem. - Tak, mój łebski druhu. W okolicy labiryntu znajdziesz dwa tuziny gotowych kartaczy i konopie. Jeśli wypiję jeszcze jeden kufel tego piwka, to ci je podpalę, modląc się przy tym, żeby nie wyprawić nas wszystkich do nieba.

Przerwał, a jego twarz przybrała zupełnie inny wyraz. Wydawało się, że strząsnął z siebie efekty picia jak pelerynę. Patrząc na swój gliniany kufel sposepniał.

- Ostrzegam was, jeśli król jest w pałacu, nie podpalę prochu. Nie chcę narażać na niebezpieczeństwo życia najjaśniejszego pana.

- Nie, króla tam nie ma - powiedziała Deanie. - Zamierzał zostać w Richmond do czasu rozvodu z królową.

Suffolk przyglądał się pustemu kufłowi. Kit skierował łódź ku jednej z mniejszych przystani. Rzuciwszy linę posługaczowi, wstał i jedną rękę podał Deanie, drugą zaś sięgnął po dublet.

- A mnie nie pomożesz? - obraził się Suffolk wstając niepewnie na nogi.

- Ileż on wypił? - szepnęła Deanie.

- Nie wiem - odparł Kit przenosząc ją na ląd. - Nie liczyłem.

Byłem zbyt zajęty.

- Wiosłowaniem?

- Nie, nie wiosłowaniem. - Zmarszczył czoło, widząc, że Suffolk zatacza się, brodząc po wodzie, zanurzony do pasa. - Przyglądaniem się, jak śpisz.

Nie było czasu na rozmowy. Słońce było coraz niżej.

- Pobiegnę po butelkę - powiedziała Deanie i zawinęła ciężką suknię.

Kit skinął głową.

- A ja przygotowuję fajerwerki. Choć to trochę za wcześnie na waszego Czwartego Lipca.

LABIRYNT

—Tak, to jeszcze kilka tygodni — zauważyła Deanie.

—Raczej parę wieków — mruknął bardziej do siebie niż do niej. Patrzył na labirynt i dziwne pakunki, które Suffolk kazał układać skonfundowanemu ogrodnikowi.

—To ja lecę — rzekła Deanie.

Patrzył przed siebie, zagubiony w swych myślach. Nagle chwycił Deanie za nadgarstek.

—Uda się, wiesz - powiedział. - Czuję to. To samo czułem, zanim się tu znalazłem. Wtedy myślałem, że przeczuwam swą śmierć, a to nie była śmierć, tylko ta podróż.

Potrząsnął głową, jak gdyby chciał ocknąć się z zamyślenia. Ścisnął jej rękę.

—Bierzmy się do roboty.

Deanie nie miała ochoty się z nim rozstać.

—Strasznie się boję - mruknęła. Pierwszy raz w życiu wymówiła te słowa i przeszedł ją dreszcz. Przeżyła tyle różnych sytuacji, ale jeszcze nigdy nie wypowiedziała tych słów.

Była śmiertelnie przerażona.

Kit zamiast przytulić ją lub jakoś pocieszyć, uśmiechnął się smutno.

—Ja też się boję, kochanie - powiedział cicho. - Lepiej już idź po tę butelkę. - Z tymi słowy oddalił się do chwiejącego się na nogach Suffolka, który niechcący polewał piwem paczki prochu strzelniczego.

Unosząc rąbek ciężkiej aksamitnej sukni Deanie pobiegła do pałacu. Miała wielką ochotę zobaczyć się z Anną Kliwiską, ale rozsądek mówił, że nie jest w stanie jej pomóc. Prestrogi Cromwella przekazała Suffolkowi. Więcej już nic nie mogła zrobić.

W korytarzach wiało pustką. Widać większość dworzan zajęła się przenosinami do Richmond. Przeprowadzka do Richmond nie była wcale prostą sprawą, wymagała spakowania strojów do ciężkich kufrów o wypukłych wiekach, wysłania przodem służby i giermków, czego jednak się nie robiło, żeby być blisko króla;

Butelkę Deanie znalazła tam, gdzie ją zostawiła. Chwyciła ją

i znieruchomiła, bo doznała wrażenia, że żelazna obręcz ścisnęła jej kibić. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie wróci tu już.

Poczuła dławienie w gardle, ogarnęła ją dziwna nostalgia. Położyła dłoń na piersi; serce biło jej jak szalone. Dlaczego?

Kit.

Ta epoka - zapachy, dźwięki, rozmaite dziwne rzeczy - kojarzyła jej się z ukochanym mężczyzną. Bez niego byłaby to po prostu interesująca podróż. Coś w rodzaju wycieczki do parku tematycznego.

Ale to właśnie tu, w tym brutalnym świecie, poznała Kita. Jakie to dziwne, że w takich strasznych czasach spotkało ją największe w życiu szczęście.

Wiedziała, że nieraz zatęskni za Hampton Court. Przytuleni do siebie z Kitem będą szeptem wspominać to miejsce. Jak się tu poznali i pokochali.

Wyszła z komnaty nie oglądając się za siebie. W labiryncie czekał na nią mężczyzna z czarną brodą, w zakurzonej czarnej dublecie.

Czas zostawić za sobą przeszłość i stawić czoło przyszłości.

Lepszego dnia nie mogliby zaplanować.

Zdyszana Deanie dopadła Kita. Łapiąc ustami powietrze uniosła triumfalnie butelkę. Kit przesunął wierzchem dłoni po jej zaróżowionym policzku i uśmiechnął się czule.

Przygotowania dobiegły końca. Kit dał znak Suffolkowi. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć właściwych słów.

- Ja... my dziękujemy ci - wydusił w końcu. - Znikniemy stąd, ale cię nigdy nie zapomnimy.

Suffolk odchrząknął.

- Nie rozumiem, dokąd się udajecie, ale mam nadzieję, że będziecie tam bardziej szczęśliwi niż tu.

Deanie była ciekawa, co Kit mu powiedział. Suffolk sprawiał wrażenie, że wie, co się zdarzy w labiryncie.

Pomachał im ręką, jak gdyby wsiadali na transatlantyk. Czy on wierzy w cuda? - zastanawiała się Deanie. Taki rozsądny człowiek?

LABIRYNT

Inna rzecz, że tutaj wszyscy poza nią i Kitem wierzyli w czarownice, czarną magię, gusła, wróżby i zabobony. A co najśmieszniejsze mieli rację.

- Podpal na mój znak. — Zwracając się do Suffolka Kit wziął Deanie za rękę. Mówił do przeszłości trzymając za rękę przyszłość.

- I nie zapomnij powiedzieć królowej Annie, żeby podporządkowała się woli króla. Cromwell tak wszystko ułożył, że... wiesz, mówiłam ci. - Deanie uśmiechnęła się do Suffolka. - I proszę cię, uważaj na księżniczkę Elżbietę. Jest jeszcze taka mała i potrzebuje...

Kit położył jej dłoń na ustach i wszyscy troje się roześmiali.

- Już czas - powiedział do niej Kit.

Weszli do labiryntu powoli, z rozmysłem.

Wtem powietrze przeszło czyjeś wściekłe wołanie:

- Hola, Hamilton!

- Diabli nadali Surreya - mruknął Kit.

Przyśpieszyli kroku. Dłoń Kita spoczęła na rękojeści miecza.

- Suffolk! Teraz! - krzyknął Kit, kiedy znaleźli się w środku. Nie było to jeszcze właściwe miejsce, ale liczył, że zdążą tam dobiec w odpowiednim momencie.

- Hamilton! - Surrey, na którego bladej twarzy malowała się wściekłość, wbiegł za nimi do labiryntu.

- Szybciej, kochanie — rzekł Kit i wręczył jej butelkę. Trochę ją ciągnął, trochę niósł, Deanie zaś kurczowo ścisnęła butelkę.

Biegnać i potykając się, zaczęła francuskim kapturkiem o gałąź. Szarpnęła głową i z bólu łzy napłynęły jej do oczu. Kapturek z pasmem kasztanowatych włosów zadyndał na gałęzi.

Rozległa się pierwsza eksplozja. Deanie krzyknęła cicho.

- Już blisko - pocieszył ją zdyszany Kit i zasłonił dłonią jej twarz przed deszczem żwiru. - Co on do diabła włożył do tych kartaczy?

Druga eksplozja rozerwała powietrze w chwili, gdy dobiegli do środka labiryntu.

Deanie objęła Kita w pasie. Kit jedną ręką unosił butelkę, drugą zaś objął Deanie. Kolejne dwa wybuchy wyrzuciły pod niebo

fontannę pyłu i drobnych kamieni. Deanie zamknęła oczy i wtuliła twarz w dublet Kita. Słyszała bicie jego serca, głośne jak te eksplozje za labiryntem.

Kit uniósł butelkę wysoko nad ich głowy.

W tej samej chwili ziemia zadrżała, znacznie silniej niż przed chwilą. Rozległo się niskie, bolesciwe zawodzenie.

Deanie otworzyła oczy i zobaczyła, że z butelki wyrzelił kobaltowoniebieski piorun, dając początek wielu błyskom, które pląsały teraz wokół nich.

- HAMILTON! - Głos Surreya przebił się przez kolejną eksplozję.

- Idź do diabła! - powiedział Kit, jak gdyby chodziło o natrętnego komara.

Niecałe dwa metry od nich pokazał się Surrey z obnażonym mieczem. Rozdziawił usta jak ktoś mocno skonfundowany, ale zaraz je zamknął. Podskoczył do Kita i końcem miecza wycelował w jego szyję.

Kit sięgnął po dłoń Deanie i uniósł ją powoli do góry. Wsunął w nią butelkę, oplótł szyjkę drżącymi palcami. Deanie zamrugła oczyma i spojrzała na niego pytająco. Kit ostrożnie sięgnął po miecz.

- Nie, Kit! Nie teraz!

Ale Surrey zrobił już wypad. Kit odepchnął Deanie i skontrował.

Nieprzytomna ze strachu, usiłowała trzymać butelkę nad głową Kita, żeby nie znalazł się poza niebieskim pryzmatem, który teraz pulsował jeszcze gwałtowniej. Rozległy się cztery kolejne eksplozje.

Surrey z wściekłą pasją siekł powietrze, atakując błyskawice. Kit odepchnął Deanie na bok. Kątem oka dojrzała smagnięcie miecza Surreya i szkarłatną linię na ramieniu Kita. Na końcu miecza Surreya zawisł strzep czarnego dubletu i białej koszuli.

Butelka parzyła. Deanie chciała wrócić na ścieżkę, ale Kit prawą ręką walczył z Surreyem, lewą zaś bronił jej dostępu do siebie.

Rozległ się straszliwy ryk. Deanie chwyciła Kita za rękę. Jego migdałowe oczy spojrzały na nią z miłością. W tej chwili Surrey zadał mu drugie cięcie i Kit wypuścił miecz.

Co oznaczał wyraz na jego twarzy. Ból? Żal?

Nie, to było pożegnanie.

LABIRYNT

Wrzasnęła: — Kit! - usiłując przekrzyczeć ten nieokielznany, niepowstrzymany ryk.

Butelka spadła na ziemię i nagle wszystko okryła ciemność.

Przygotowując ostatnie kartacze Suffolk zastanawiał się, kiedy powrócą kaczkę i przepiórki, które spłoszył.

Postać w bogatym niebieskim płaszczu biegła w stronę labiryntu wymachując jakimś papierem. Suffolk poznał, że to Norfolk. Żałował, że nie wypił więcej piwa, bo na trzeźwo z trudem go znosił.

— Mam! Mam! — Na chudej twarzy Norfolka malowało się wielkie ożywienie, oczy triumfalnie błyszczały.

— Co takiego masz, Norfolk? - mruknął Suffolk. - Duszę? Nie sądzę. Masz zidiociałego syna, który w tej chwili goni w labiryncie Hamiltona i hrabiankę Deanie.

Norfolk machnął lekceważąco ręką.

— Mniejsza o niego. Mam nakaz aresztowania Christophera Neville'a, księcia Hamiltona i jego krewniaczki hrabianki Deanie Bailey.

— Pod jakim zarzutem? - spytał Suffolk i wyrwał z jego szponowatych palców dokument.

— Zdrady.

— Niemożliwe. — Suffolk przebiegł wzrokiem dokument. Wyglądał na prawdziwy, łącznie z pieczęcią Henryka.

Norfolk wyciągnął coś zza pazuchy. Była to dziwnie wąska książka, napisana małymi literkami na białym, błyszczącym papierze, ilustrowana kolorowymi obrazkami. *Przewodnik turystyczny po Hampton Court Palace.*

— Ta książka przepowiada śmierć najjaśniejszego pana. - Norfolk pociągnął nosem z dumą. — Należy do hrabianki Deanie Bailey. Czarami chcieli położyć kres rządów naszego łaskawego króla. Niewiasta sama nie byłaby w stanie tego dokonać. - Oczy Norfolka zwięzły się. - A ty, mości książę? Co tu robisz? Po co ten ogień i wybuchy?

Suffolk spokojnie kartkował przewodnik. Przyjrzał się obrazkowi,

który przedstawiał go jako sędziwego starca. Trafił również na swój portret z Marią Tudor, na którym trzymał jej małą dłoń; z obojga emanowała młodość i miłość. Pod obrazkami napisano daty, ale nie chciał ich czytać. Wolał nie wiedzieć.

A więc na tym polegała ich magia, rozmyślał w milczeniu. Całym sercem życzył im powrotu do domu. Nie byli zdrajcami. Jeśli zgrzeszyli, to tylko miłością.

Spokojnie przyglądał się, jak Norfolk ze zmarszczonym czołem bada rozrzucone po trawie śmieci. Po czym na palcach podszedł do następnego kartacza. Z uśmiechem wsunął pod spód książkę i podpalił.

Rozprawiając o konsekwencjach aresztowania Hamiltona, odprowadził Norfolka na bok. Kruchą ciszę przerwała kolejna eksplozja.

- Co to? Go to? - zdenerwował się Norfolk czerwony jak burak. Wbił wściekłe spojrzenie w Suffolka. — Gdzie to jest? Gdzie moja książka? Król jeszcze jej nie widział, ty nikczemniku. To jest dowód ich zdrady! Henryk podpisał nakaz aresztowania, wierząc mi na słowo! Powiedziałem mu, że napisano tam o przedwczesnej śmierci Edwarda księcia Walii. Bez dowodu mi nie uwierzy.

Suffolk z uśmiechem pokazał na powietrze, w którym fruwały zwęglone kawałki papieru. Norfolk oniemiał.

- Chodź, Norfolk. Napijemy się za pomyślną przyszłość.

Norfolk stąpał ciężko, nie będąc w stanie wyrazić uczuć, które nim wstrząsały.

Suffolk roześmiał się.

- Lepiej się usunę - powiedział na odchodnym. - Sądząc po twojej twarzy, za chwilę wybuchniesz. Bywaj.

Z tymi słowy Suffolk oddalił się w poszukiwaniu miłego towarzystwa i chłodnego piwa.

Coś ją drapało w policzek.

Otworzyła oczy, ale prędko je zamknęła, bo zewsząd napierały na nią gałązki i ostre listki. Kiedy spróbowała poruszyć kończynami, stwierdziła, że są unieruchomione, przy czym jedną rękę miała

LABIRYNT

skręconą spiralnie nad głową, drugą za plecami. Stopy nie dotykały ziemi.

- Kit! - jęknęła, czując, że się zapada. Towarzyszył temu odgłos powolnego darcia się czerwonej sukni.

Wtedy zrozumiała. Ugrzęzła w środku gęstego, nieprzeniknionego żywopłotu tworzącego labirynt w pobliżu pałacu Hampton Court. Krzew, w którym tkwiła, był stary, kilkudziesięcioletni. Kilkusetletni,

- Gdzie jesteś, Deanie? — wołał męski głos. Kitą?

- Tutaj! Dzięki Bogu! - Krzywiąc się wyciągnęła zza pleców rękę i spróbowała nią pomachać. Teraz, kiedy była już w stanie coś zobaczyć, dostrzegła cień zbliżającego się mężczyzny z mieczem.

Zatopił go w krzewie.

- Kit! Na pomoc! Surrey chce mnie zabić!

Ktoś się roześmiał. Mężczyzna. Znajomy śmiech.

To nie był Kit.

To był Nathan Burns. Reżyser jej wideoklipu. A to, co niewyraźnie widziała, było nie mieczem, lecz jego idiotyczną szpicrutą. Śmiech zamilkł.

- Po coś, do diabła, tam włązła?

Jego słowa brzmiały dziwnie, twardo, nieprzyjemnie. Czy zawsze tak mówił?

- Proszę cię, pomóż mi - rzekła błagalnym tonem. - Szukam kogoś. Ma na imię Kit. Księżę Hamilton.

- Bardzo śmieszne, Deanie. Twój brytyjski akcent jest równie niegrzeczny co gumowe szczudło. — Tupnął nogą rozszluszczony, bo chciał powiedzieć niedorzeczny co gumowe szczudło.

Poczerwieniał na twarzy.

- Najpierw wprowadzasz zamęt na planie, a teraz wisisz na krzaku w środku zabytku historycznego klasy zerowej. Na co liczyłaś? Ze przyjdzie jakiś gość z sekatorem? Niech cię diabli! A za dwie godziny masz koncert. Wimbly sprzedany.

- Kit - wyszeptła. - Dobry Boże.

- Co ty, do diabła, masz na sobie? To jakaś inna suknia. Zupełnie inna. Niech cię pokręci, Deanie! Chcesz, żebym przez ciebie dostał zawału?

Ku zdumieniu Nathana Deanie się rozpląkała. W życiu nie widział, żeby się mazała, nigdy nie zachowywała się jak inne piosenkarki. A teraz łkała żałośnie.

- Złamałaś sobie coś? — Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Podeszły właśnie „Tudorki”, statystki, razem ze scenografką i kamerzystą. Na widok czerwonej plamy ze trzy metry nad ziemią wybałuszyli oczy ze zdziwienia.

- Kit - płakała Deanie. - Nie ma go. O, Boże, nie udało mu się! — Usłyszeli, jak Deanie bierze głęboki oddech, po czym znowu zanosi się płaczem.

- Ten Kit to pewnie jej kot. Stęskniła się za kotem - syknęła Monika.

Nathan strzelił palcami na asystenta produkcji z notatnikiem pod pachą. Nie odrywając wzroku od Deanie, Nathan wydawał rozkazy:

- Wezwij ogrodnika z drabiną i felczera z apteczką pierwszej pomocy. W mojej torbie znajdziesz fiołkę walium. Przynieś ją. Zadzwoń na Wembley i powiedz, że się spóźnimy.

Statystka Monika szepnęła mu coś do ucha. Nathan przytaknął.

- I znajdź jakiegoś kota.

- Kota?

Asystent producenta pobiegł, modląc się w duchu, żeby nie zabłądzić w tym labiryncie.

Scenografka wytrzeszczyła oczy przez grube okulary.

- To nie ta suknia, którą miała na sobie jeszcze kilka minut temu - stwierdziła. - Jak mam to rozumieć? Ze moja suknia nie była dość dobra do tego wideoklipu?

- Thelmo, kostium jest tu najmniejszym problemem - warknął Nathan. - Gwiazda tego wideoklipu wisi w tej chwili na krzaku i płacze z tęsknoty za kotem, jak w programie Francesa Farmera. Jej partnera, Bucky'ego Lee Dentona, odwieziono przed chwilą do szpitala z powodu infekcji, której się nabawił w wyniku ostatniej transplantacji włosów. Straciliśmy światło, a prognoza pogody zapowiada deszcz na najbliższy tydzień. Wideoklip szlag trafił. Krótko mówiąc, Thelmo, na twoim miejscu byłbym zadowolony, że ona nie ma na sobie twojego kostiumu.

LABIRYNT

Scenografka wzruszyła ramionami.

Do labiryntu wszedł czerwony na twarzy robotnik w szarej czapce, jakie niegdyś nosili robotnicy na kolei. Na ramieniu niósł aluminiową składaną drabinę.

Po nim przybiegł gotujący się ze złości ogrodnik. Kto wpuścił tych prostaków na teren pałacu? Aby dostać się do tej kobiety, trzeba wyciąć kawał krzaka. Labirynt przetrwał dwie wojny światowe, wojnę domową i wielu nieudolnych ogrodników. Ale nie przetrwa - nie przetrwa! — najazdu amerykańskiej ekipy filmowej.

W wyniku akcji ratunkowej, która trwała prawie godzinę, a której towarzyszyły gorące spory na temat tego, które gałęzie wyciąć, żeby jak najmniej uszkodzić krzew, Deanie znalazła się na ziemi. Twarz i ręce miała niemiłosiernie podrapane, suknia była podarta, oblepiona żywicą, gałązkami, liśćmi.

Robotnik, który ją zdjął, skrzywił się z obrzydzeniem.

— Co się stało, kolego? - spytał go ogrodnik.

— Ta kobieta okropnie cuchnie. Przy niej zapach nawozu, obornika i kompostu to perfumy. — Wzdrygnął się. — Ona śmierdzi gorzej od kupy gnoju.

Scenografkę, która nie bacząc na jego słowa podeszła do oszołomionej i wciąż łkającej gwiazdy country, chwyciły mdłości.

— Ta suknia... — powiedziała oddychając ustami. — Ta suknia jest bardzo wyrafinowana. Ta nić jest naprawdę złota! Suknia szyta ręcznie! Widziałam takie tylko w muzeum!

— Włosy ma brudne, jak gdyby nie myła ich od tygodni — stwierdziła z dezaprobatą charakteryzatorka, która rano osobiście wyszczotkowała włosy Deanie. — W dodatku urosły. Mówię wam, rano sięgały tylko do ramion, teraz są dłuższe o kilkanaście centymetrów.

Nathan skrzywił się z niesmakiem.

— Zawieźcie ją do hotelu. Musi wziąć kąpiel i przebrać się.

Nie widzącą, drżącą na całym ciele Deanie Bailey odprowadzono do autokaru.

Tego samego, którym już kiedyś podróżowała.

Stanley przeklął amerykański wideoklip.

Jego samochód, liczący sobie kilka lat i kilka nie zapłaconych rat, stał na parkingu Hampton Court. Całe to zamieszanie sprawiło mu pewną radość. Dostał swój czek. Jeśli o niego chodzi, to teraz wszystko może się zawalić.

Otwierając drzwi samochodu, pomyślał o piosenkarce występującej w tym wideoklipie. W odróżnieniu od reżysera była w porządku. Prawdę mówiąc, jedyną miłą stroną tej pracy było widywanie tej dziewczyny, możliwość zamienienia kilku słów z autentyczną piosenkarką amerykańską.

Kluczyk tkwił w stacyjce. Wyciągając doń rękę Stanley zauważył, że ktoś kuśtyka przez parking.

W światłach reflektorów zobaczył ślaniającego się na nogach mężczyznę. Widać jakiś statysta, tylko dlaczego w takim kostiumie? Ten kostium pasował do epoki Tudorów, nie do epoki elżbietańskiej. Nic dziwnego, że faceta odrzucili.

Ramię mężczyzny krwawiło, a on sam zachowywał się jak w szoku.

—Cholera — zdenerwował się Stanley. Wysiadł z samochodu.

- Słuchaj, stary, może cię podwieźć?

Mężczyzna odwrócił się do niego przodem. Stanleya zamurowało. Mało, że był masywnej budowy, to jeszcze miał dziki wyraz twarzy.

- Jeśli waść łaskaw - odparł mężczyzna ściskając krwawiące ramię.

Stanley przełknął ślinę. Może robię błąd, pomyślał. Z drugiej strony tamten był w kostiumie, jakkolwiek brudnym. Aktor. Stanley przyglądał się jego ruchom, które jak na taką atletyczną posturę, były miękkie. To nie jest facet, który deklamuje monologi, pomyślał Stanley i wtedy domyślił się, z kim ma do czynienia.

Biedny facet, mruknął pod nosem. Musi być z tej trupy w Durham. Zwinęli się bez uprzedzenia, zostawili aktorów na lodzie, a na domiar złego nie zapłacili im ani grosza.

Gdy facet podszedł bliżej, Stanley podświadomie się wyprostował. W tym obcym było coś szlachetnego, co budziło doń szacunek.

Otworzył drzwi i nieznajomy, krzywiąc się z bólu, wsunął się do samochodu, jak gdyby uważał za rzecz normalną, że ktoś trzyma dla niego drzwi.

LABIRYNT

— Pojedziemy do szpitala, to opatrzą ci tę ranę - powiedział Stanley. I ku swemu zdumieniu dodał: — Jeśli nie masz gdzie mieszkać, możesz się u mnie zatrzymać.

Nieznajomy spojrział na Stanleya. W jego oczach malowało się straszliwe cierpienie, nieproporcjonalne do rany na ramieniu. Skinął głową w milczeniu.

Chrzęst żwiru po ich odjeździe jeszcze dobrze nie ucichł, kiedy na parking przyprowadzono szlochającą Wilnę Dean Bailey. Niewiele pomogło, że zmusili ją do połknięcia dwóch tabletek walium. Najwyraźniej znajdowała się na krawędzi ataku hysterii.

Autobus odjechał w kierunku hotelu „Dorchester”.

Z autobusu Nathan Burns wykonał kilka telefonów, z których pierwszy odwoływał koncert na Wembley. Drugi zrywał jego kontrakt z firmą płytową.

To był ostatni wideoklip w jego karierze. Teraz się upije, upije do nieprzytomności.

20

Lorna Dune Bailey chodziła po salonie córki z rękoma założonymi na piersi, jak gdyby jej było zimno. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła grzebać w swej dużej płóciennej torbie w poszukiwaniu kolejnego papierosa. Zielona plastikowa zapalniczka stuknęła o klamerkę. Na ten dźwięk Lorna oprzytomniała, spojrzała na popielniczkę z górą niedopałków. Na wszystkich ustnikach były ślady jej szminki, pomarszczone, czerwone, w jej ulubionym koralowym kolorze.

Skrzywiła się z niesmakiem i wrzuciła do torebki prawie puste pudełko i zapalniczkę. Co za obrzydliwy zwyczaj. Kiedyś nie paliła. Ale po powrocie Deanie z Anglii spadły na nią te kłopoty.

Lorna podjęła swój nerwowy spacer. Na gorze córka rozmawiała właśnie z lekarką psychiatrii. Kiedy po powrocie Deanie z Anglii wszyscy zaczęli mówić, że powinna pójść do psychiatry, Lorna nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

- Nie, jej potrzebny jest nie psychiatra, lecz wypoczynek - twierdziła z uporem. Ale Deanie nie chciała wypoczywać. Pisała bez przerwy i nagrywała piosenki, a wszystko sama, w swym studiu w piwnicy. Przed wyjazdem do Anglii lubiła pracować z innymi muzykami. Teraz chciała być sama ze starą gitarą, którą mocno przeplącała na aukcji.

LABIRYNT

W końcu firma płytowa i nie tylko, bo również menedżer i kilku dziennikarzy zwróciło uwagę na dziwne zachowanie Deanie. Zaczęto nalegać na zorganizowanie jej profesjonalnej pomocy. Lorna poddała się. Deanie siedziała w domu i poza piosenkami nic jej nie obchodziło. Nawet wizyty drogiej lekarki nie robiły na niej wrażenia.

Na górze skrzypnęły drzwi, a po chwili schodami pokrytymi miękką wykładziną bezszelestnie zeszła wytworna doktor Mathilda Howler, czyli Mathilda Fatalny Błąd. (Deanie na dźwięk tego nazwiska wybuchnęła śmiechem. Przez ostatnie kilka miesięcy często się śmiała, ale przeważnie bez wesołości).

- I co z nią? — Lorna starała się panować nad głosem, ale bez powodzenia.

Lekarka pokręciła głową, przy czym jej polakierowane włosy nawet nie drgnęły.

- To bardzo nietypowy przypadek. Miałam w swej praktyce wielu artystów z tej branży. Ale zwykle wcześniej były jakieś znaki ostrzegawcze, zapowiedzi.

- Czy potrafi pani stwierdzić, co ją do tego doprowadziło? — Lorna poczuła, że aż ją swędzi, żeby zapalić.

Doktor wzruszyła niepewnie ramionami.

- Ona mówi, że książka historyczna.

- Stara Anglia? - Lorna zamknęła oczy. Była zmęczona i zrezygnowana. - Deanie dostała bzika na punkcie pewnego dworzanina Henryka VIII. Była zupełnie spokojna, dopóki w jakiejś książce nie trafiła na wzmiankę o księciu Hamiltonie. Podano tam dwie daty. Jedna, rok 1516, opatrzona była znakiem zapytania, jak gdyby nie było pewności, kiedy ten książę się urodził, a druga data to rok 1540. Deanie przestudiowała górę książek, wydała na nie majątek, wykupiła chyba całą księgarnię, szukając innych dat. Ale wszędzie było czarno na białym 1516 lub 1517 i 1540. 1540 i koniec.

- Wiem, że już panią o to pytałam, ale proszę mi powiedzieć, jak do tego doszło, że Deanie stała się ekspertką od epoki Tudorów? Ma ogromną wiedzę w tym zakresie.

- Deanie ekspertką? - roześmiała się sucho Lorna. - Nie, pani doktor. Deanie nigdy nie miała zacięcia do nauki.

Lekarka zmarszczyła brwi, psując swój nienaganny wizerunek.

- Odnoszę wrażenie, że Deanie się denerwuje oglądając album o RAF-ie.

- Co to takiego?

- Królewskie Siły Powietrzne. Wojska lotnicze w Anglii. A ta książka to tom z serii „Czasy i ludzie”. Wie pani, druga wojna światowa, Bitwa o Anglię, młodzi piloci walczący z Luftwaffe.

Lorna niepewnie pokiwała głową.

- I co z tą książką? Co Deanie o niej mówi?

- Jest tam fotografia młodego mężczyzny, trzeba przyznać, że bardzo przystojnego. Biało-czarna, rzecz jasna. Czyta książkę, pijąc herbatę z obitego kubka. Ma zmęczone oczy, które nawet na tej białoczarnej fotografii robią silne wrażenie. Ubrany jest w strój pilota. Z podpisu pod fotografią wynika, że zrobiono ją, gdy wrócił z lotu bojowego. A tydzień później, we wrześniu 1940 roku, zginął.

- I co to ma do Deanie?

- Właśnie. Tu się sprawa komplikuje. Pani córka twierdzi z przekonaniem, że ów pilot jest księciem z epoki Tudorów. Deanie przysięga, że to ta sama osoba. Wycięła tę fotografię i oprawiła w ramki.

- Czyli że jednak zwariowała — mruknęła do siebie Lorna. — Wiedziałam, że powinnam była zmienić jej imię. Widzi pani, Deanie nosi imię bohaterki *Wspaniałości W trawie* granej przez Natalie Wood. Dając jej to imię, nie wiedziałam, że ta z filmu kończy w wariatkowie.

Doktor Howler zmarszczyła czoło. Lorna pomachała ręką, żeby ją uspokoić.

- Przepraszam. Wiem, co pani myśli.

- Pani córka nie jest wariatką, pani Bailey. Ma pełną świadomość tego, co ją otacza, co robi i kim pani jest.

Lorna pokiwała głową.

- Tak, ale z drugiej strony, ciągle błądzi gdzieś myślami. Byłyśmy z sobą bardzo zżyte, teraz ja jej zupełnie nie rozumiem.

LABIRYNT

—Ma pani rację - zgodziła się doktor Howler. — Pod pewnymi względami Deanie podchodzi trzeźwo do życia. Pod innymi... cóż, żyje w iluzorycznym świecie, ale myślę, że potrafię ją z tego wyleczyć.

—Kiedy to nastąpi?

Doktor Howler wzięła głęboki oddech.

—Trudno powiedzieć. Dużo zależy od niej samej. Nie ma skłonności samobójczych, nie chce też nikogo skrzywdzić. Moim zdaniem Deanie rozpacza.

Doktor Howler zamilkła, jak gdyby biedziła się z doбором słów.

—Deanie opłakuje mężczyznę, który nigdy nie istniał, a nawet jeśli istniał, to nie mieli okazji się poznać. Sądzę, że ziarno tego uczucia zostało zasiane w Anglii. Poznała tam kogoś, kto opowie dział jej historię wielkiej miłości, mającą związek z pewnym nie żyjącym pilotem. Jak rozumiem, miłość tę przeżywali rodzice tego kogoś. Deanie, krucha i wrażliwa, wymyśliła swoją wielką namiętność, idealną miłość, której nic nie zniszczy, przede wszystkim dlatego, że ta miłość nie istnieje w rzeczywistości.

—Proszę się nie obrazić, pani doktor, ale pani chyba zmyśla.

Doktor Howler spłotła palce.

—Z tego, co wiem o jej dzieciństwie - powiedziała - i nieudanych związkach z mężczyznami, mogę wnosić, że stworzyła tę fantastyczną historię, żeby zrekompensować sobie brak miłości.

—Nie rozumiem.

—W życiu Deanie nie było dobrych mężczyzn. - Doktor Howler starała się mówić tak, żeby nikogo nie urazić. - Deanie nawet nie знаła swego ojca. Wiem, że to nie pani wina - zakończyła pośpiesznie.

Lorna przełknęła ślinę, bo przypomniała sobie, jak jej córka, śliczna ciemnowłosa dziewczynka, nie poszła na szkolny bal, bo dziewczynkom kazano przyprowadzić swych ojców. Nie skarżyła się. Wtedy się nie skarżyła.

—Jako osoba dorosła - ciągnęła doktor Howler - Deanie odniosła sukcesy we wszystkich dziedzinach życia poza jedną, mianowicie poza miłością. Jest znaną osobą, piękną, utalentowaną i... bardzo, ale to bardzo samotną kobietą.

- Co możemy zrobić?

- Konsultowałam się w jej sprawie z moimi kolegami, oczywiście z zachowaniem tajemnicy, o kogo chodzi. Uważamy, że musi ona przejść taki sam proces jak wdowa.

Lorna miała już zaprotestować, ale doktor Howler powstrzymała ją autorytatywnym uniesieniem dłoni.

- Proszę mnie wysłuchać, pani Bailey. Pani córka odczuwa potrzebę smucenia się. Jest twórczą, inteligentną kobietą, która wymyśliła sobie mężczyznę i uwierzyła w jego istnienie. Odczuwa po jego stracie prawdziwą rozpacz. Odczuwa pustkę, która nie jest wcale mniej bolesna, niż gdyby ten mężczyzna naprawdę istniał. Pozwólmy jej się smucić. Nie oceniamy, tylko pomóżmy. Słuchajmy, co ma nam do powiedzenia i współczujmy jej. Czas goi wszystkie rany.

- Dobry Boże - wybuchnęła Lorna. - Mamy jej współczuć, że straciła kogoś, kto nigdy nie istniał? Powiem pani, co o tym myślę. Wszystkiemu winne są pieniądze. Byłam matką samotnie wychowującą dziecko, harowałam po szesnaście godzin na dobę w knajpie dla kierowców ciężarówek i ledwo wiązałam koniec z końcem... - przerwała, bo uświadomiła sobie, że zaczęła krzyczeć.

Doktor Howler spojrzała na nią przez zmrużone powieki, jak gdyby przyglądała się jakiemuś rzadkiemu okazowi. Lorna ucichła, po czym spytała:

- A co będzie z jej karierą? Od czterech miesięcy nie wyraża zainteresowania występami na scenie. Układa piosenki jak szalona, najlepsze piosenki w życiu, w każdym razie tak twierdzi producent. Mają niebawem wypuścić jej album i chcieliby, żeby Deanie pojechała w trasę koncertową. Jeśli się nie pośpieszy, drugi raz może już nie mieć takiej szansy. Ludziom bardzo się podoba, gdy śpiewa w duecie z Buckym Lee Dentonem i...

- Jeszcze nie jest gotowa, żeby występować — ucięła lodowato doktor Howler. — Nie wolno jej popędzać. Żal po stracie ukochanej osoby jest sprawą bardzo indywidualną. Każdy inaczej to przeżywa.

Lorna pokiwała głową.

- Przepiszę lekki środek nasenny. Jej kłopoty w dużej mierze

LABIRYNT

spowodowane są bezsennością. Przyjdę do niej jutro. Do widzenia, pani Bailey.

Doktor Howler uśmiechnęła się promiennie, wzięła torebkę i wyszła. Lorna zaś opadła w skórzany fotel i spojrzała na półkę nad kominkiem, gdzie w popołudniowym słońcu potyskiwały nagrody muzyczne Deanie. Rzuciła popielnicze butne spojrzenie i zapaliła papierosa.

Cholemnie dobrze smakował.

21

Po raz pierwszy w całej swej karierze Deanie Bailey odczuwała paraliżujący lęk przed wyjściem na scenę. Okrzyki tysięcy widzów, dochodzące za kulisy, zlewały się w jeden ogłuszający wrzask. Wycie ogromnej bestii.

—Dea-nie, Dea-nie - skandował tłum.

Tupanie i klaskanie, które z minuty na minutę przybierało na sile, Deanie czuła w kręgosłupie.

Wobec takiego przyjęcia Deanie, weteranka show-biznesu, mająca za sobą lata ciężko zdobytych doświadczeń, podjęła jedyną logiczną decyzję: postanowiła dać nogę.

- Dokąd to? - krzyknął Nathan łapiąc ją za ramię. - Krzyczą, bo cię lubią, dziewczyno. Nie myśl, że ci źle życzą. W istocie...

Deanie dała mu znak, żeby zamilkł. Długi pobyt w Klinice Betty Ford na intensywnej psychoterapii sprawił, że Nathan złagodniał, pokochał ludzkość i nabrał skłonności do wygłaszania umoralniających nauk.

Nie przebierał się już za Ericha von Stroheima; teraz wolał hipisowskie koraliki i farbowane w plamy podkoszulki. Powszechnie cieszył się opinią człowieka ciut niezrównoważonego. Kiedy jednak Deanie zdecydowała się wrócić na scenę, uznała, że tylko Nathan,

który pił i podobnie jak ona był wariatem, jest w stanie ją zrozumieć. Zawarli nie pisaną umowę: wolno im fiksować, ale tylko w swoim towarzystwie.

- Jak wyglądam? - spytała Deanie i wygładziła oblepiającą jej ciało ciemnoniebieską cekinową suknię. Minął więcej niż rok, odkąd występowała, nic więc dziwnego, że jej serce biło jednogłośnie ze skandowaniem publiczności.

- Wyglądasz odjazdowo, Deanie. Jako twój nowy menedżer muszę ci powiedzieć, że doskonale robisz rozpoczynając trasę koncertową po świecie właśnie od Wembley. Od czasu kiedy zaśpiewałaś w duecie z Buckym Lee, jesteś gwiazdą pierwszej wielkości. Te twoje cztery ostatnie hity sprawiły, że starego Bucky'ego skreśliło z zazdrości.

Tłum zaczął skandować tak głośno, że zatrzęsa się scena.

- Anglia przebaczyła ci twoje załamanie nerwowe, kochanie - ciągnął Nathan, nie zwracając uwagi na łomot i krzyki. - Z tego, co wiem, wypchnęłaś księżniczkę Dianę z pierwszej strony gazety „Mirror”.

- Biedulka - rzekła z uśmiechem Deanie. Światła zaczęły gasnąć i widownia stopniowo cichła, niby przykrywana miękkim kocem, rząd za rzędem.

Gdy konferansjer zapowiedział jej występ, Deanie odniosła wrażenie, że chodzi o kogoś innego. Muzycy zaczęli zajmować swe miejsca. Patrząc, jak snop światła reflektora po kolei wydobywa ich z czerni, przypomniła sobie pulsujący stożek niebieskiego światła.

Nie. Teraz nie wolno jej o tym myśleć.

Nathan klepnął ją delikatnie w plecy. Deanie wyszła na scenę.

Czy to się działo na jawie? Stadion huczał od wrzasków, jej imię wraz z nieartykułowanymi okrzykami radości odbijało się echem od krokwi. Oślepiło ją białe światło. Przystanęła niepewnie.

Co się dzieje? Przecież to dla niej nie pierwszyzna.

Kiedyś. Kiedyś nie paraliżowała jej myśl o powrocie po koncercie do pustego pokoju hotelowego. Kiedyś nie wiedziała, że miłość widowni jest tylko namiastką miłości. Kiedyś, przed Kitem.

Basista podał jej gitarę. Deanie przerzuciła sobie pasek przez głowę. Zapadła cisza jak makiem zasiał. Tysiące ludzi przycupniętych na siedzeniach pilnie śledziło jej ruchy. Ruszyły kamery. Tu i ówdzie szczęknęły aparaty fotograficzne.

— Cześć - powiedziała i miała ochotę się kopnąć, bo zabrzmiało to bardzo niepewnie. - Yyy... cieszę się, że znowu jestem w Anglii.

Dziki brawa, gwizdy.

- Yyy... mam przyjaciół Anglików - dodała.

Widownia dosłownie oszalała. Zerwano się z miejsc.

Wy tego nie wiecie, ale najbliższy mi człowiek jest Anglikiem, pomyślała.

Nie zwlekając dłużej dała znak zespołowi. Uderzyła w struny gitary i zaczęła śpiewać.

Było to niezwykle doznanie. Czowała się tak, jak gdyby przez całe życie nic innego nie robiła. Dobrze wybrała piosenkę, a jej głos w życiu nie brzmiał lepiej. Muzycy dawali z siebie wszystko, nie ograniczali się do uderzania w struny i w klawisze, lecz grali tak, że nadawali muzyce subtelny charakter. Tego nie da się nikogo nauczyć, to każdy sam musi wyczuć. Grali bezbłędnie, wszystkie dźwięki były czyste.

Wtedy stało się coś dziwnego.

Między kolejnymi utworami Deanie zrobiła pauzę, żeby napić się wody. Sięgnęła po szklankę stojącą na stołku. Pijąc, poszła wzrokiem za wędrującym po widowni snopem światła. Widziała to, co zwykle widzi się ze sceny - tu i ówdzie połyskiwały szkła okularów, błyskała biżuteria, bieleły się programy, którymi się wachlowano, ktoś wstał.

I nagle zobaczyła Kita.

Zakrztusiła się. Gitarzysta basowy uderzył ją w plecy, ale niewiele to pomogło. Kasłała dalej.

- Nie pij tutejszej wody! - krzyknął ktoś z widowni. — Można od niej zachorować!

Dobry Boże, pomyślała, ja znowu wariuję, i to na scenie.

Spojrzała tam, gdzie przed chwilą widziała Kita, ale go nie było. Nikogo tam nie było. Wyobraziła go sobie. Tak, doktor Howler miała rację.

LABIRYNT

— Następna piosenka jest trochę nie na miejscu — powiedziała nachylając się do mikrofonu. — Mam nadzieję, że będziecie tego samego zdania.

Po czym zaśpiewała *Szaloną* Patsy Cline. Tak doskonałej interpretacji tej piosenki jeszcze nigdy nie słyszano.

Występ trwał mniej więcej dwie godziny, doprowadzając widzów do białej gorączki. Czas przestawał się liczyć, w miarę jak piosenki i widownia stawały się jednym. Trzy bisy później, gdy wreszcie opuściła scenę, widzowie, Deanie i jej zespół byli maksymalnie usatysfakcjonowani, pijacko szczęśliwi, całkowicie wykończeni.

Nathan obdarzył ją głośnym, podejrzanie cikliwym pocałunkiem. Przedstawiciel firmy płytowej zapowiedział, że ten koncert znajdzie się na jej następnej płycie; nie bez powodu go nagrywano.

Czyjeś ręce klepały ją po plecach, a cekiny sypały się na podłogę. Podpisywała każdy podsuwany jej przez łowców autografów kawałek papieru. Kręciło jej się w głowie od błyskania fleszów, przed oczyma miała mroczki. Nathan odpowiadał na pytania, prośby, żądania. Zachwytem nie było końca.

Deanie jednak czuła, że dławi ją jakiś strach. Chciała zostać sama.

Garderoba za sceną tonęła w kwiatach, z których część dostarczono w podłużnych pudełkach, część w koszach. Dochodziły stłumione śmiechy i krzyki ludzi opuszczających stadion, jak również zgrzytliwe odgłosy przesuwania pojemników na śmieci, bo załoga zaczęła bezzwłocznie sprzątanie.

Rozpromieniony Nathan podreptał za nią do garderoby. Przyniósł butelkę szampana i pojedynczy kieliszek.

- To dla ciebie, Deanie - powiedział otwierając butelkę.

Zmęczona Deanie westchnęła i przyjęła kieliszek. Zapatrzyła się na bąbelki pływające po powierzchni. Niektóre kręciły się niczym śmigła, torując sobie drogę przez bladą pianę. Śmigła przywiodły jej na myśl Kita, który tak lubił latanie i...

Stop! Przestań o nim myśleć. Deanie wiedziała od doktor Howler, że ludzie pod wpływem autosugestii potrafią bezkarnie

stapać po rozżarzonych węglach lub wychodzą z nieuleczalnej choroby. Jej dziwna historia była po prostu reakcją na samotność.

Dobrze, ale skąd tyle wiedziała o Anglii z epoki Tudorów i księciu Hamiltonie? I co robiła ta fotografia pilota RAF-u na jej toalecie?

Ale i na to doktor Howler miała wytłumaczenie: podróż do Anglii. Wydawało się to logiczne. W Hampton Court kręcili wideoklip, Deanie odbyła wycieczkę do pałacu, kupiła nawet przewodnik. Spotkała tam mężczyznę o nazwisku Neville Williamson, który opowiedział jej wzruszającą historię pewnej miłości.

Deanie, która przeżywała stres związany z kręceniem swego pierwszego wideoklipu i zagrożeniem jej pierwszej wielkiej życiowej szansy przez humory Bucky Lee Dentona, uciekła w inny świat - czas i miejsce, gdzie była w stanie zapanować nad sytuacją.

Następnie wymyśliła sobie Kita, niezwykle przystojnego księcia Hamiltona. Bohater jej fantazji ratował ją z opresji, jak żaden mężczyzna w rzeczywistym życiu. Wyobrażenia wyposażała fikcyjnego Kita we wszystkie wymarzone przez Deanie przymioty plus kilka drobnych niedoskonałości dla nadania tej postaci większego realizmu. A potem trafiła na fotografię przystojnego - i niezującego już - pilota RAF-u i włączyła go do swych fantazji. Wystarczył rzut oka na zapomnianego pilota, żeby jej wyobrażenia poszła w ruch.

Deanie zdecydowanym ruchem podniosła kieliszek do ust i jednym haustem opróżniła do połowy.

Doktor Howler, niestety, nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób Deanie weszła w posiadanie stroju, który miała na sobie w chwili uwolnienia z labiryntu, i jak to możliwe, że jej włosy w ciągu jednego popołudnia urosły kilkanaście centymetrów.

Ani też skąd znała te wszystkie szczegóły - od jego silnych, a jednocześnie delikatnych rąk, do krzywego zęba w dolnej szczęce. Wciąż czuła pod palcami jego włosy, pamiętała kilka szarych pasm, widocznych jedynie w słońcu.

Czy ktoś wymyśliłby tak cudownego mężczyznę?

Rozległo się ostre stukanie do drzwi. Deanie tak podskoczyła, że zadzwoniły niebieskie cekiny.

LABIRYNT

- Proszę! - zawołała niechętnie.

Do garderoby wsunął głowę miły strażnik.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panno Bailey - rzekł wciągając nosem zapach kwiatów - ale ktoś chciałby się z panią zobaczyć. Mówi, że jest pani starym znajomym.

Deanie westchnęła i popiła szampana. Nie miała najmniejszej ochoty na pogawędkę z kimś, kogo znała zapewne w liceum.

Widząc jej minę Nathan pokręcił przecząco głową.

- Nie. Odpada. Proszę powiedzieć, że panna Bailey jest zbyt zmęczona, ale niech ten ktoś zostawi nazwisko i adres, to otrzyma pocztą zdjęcie z autografem.

- Dobra - zgodził się strażnik. - O, bym zapomniał. Ten pan prosił, żebym przekazał pannie Bailey tę kopertę. Powiedział, że ona będzie wiedziała, co to znaczy.

Deanie wzruszyła ramionami i wyciągnęła dłoń po kopertę.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem do strażnika.

Spojrzała od niechcienia na kopertę i poczuła skurcz żołądka. Na kopercie napisano silną, odważną dłonią: *Hrabianka Deanie*.

Nathan zaczął coś mówić o kwiatach, ale Deanie nie słyszała. Drżącymi palcami otworzyła kopertę. '

W środku znajdował się kawałek białawej tkaniny. Nie musiała jej rozwijać, żeby wiedzieć, że ma przed sobą poplamioną krwią szmatkę, na której nieudolnie wyszyto coś, co większość ludzi wzięłoby za bąka lub ptaka.

Lub za samolot.

Krzyknąwszy cicho, zerwała się z krzesła; kryształowy kieliszek spadł na podłogę i rozbił się.

- Chryste Panie, Deanie! Wylałaś taki drogi szampan. Jeszcze kilka miesięcy temu zliziałbym go z podłogi! — wykrzyknął Nathan. A gdy zobaczył zbiebiałą twarz i wargi Deanie, spytał z niepokojem: - Co się stało?

Deanie poruszyła wargami. W pierwszej chwili nie wydobył się z nich żaden dźwięk, a potem rozległo się skrzekliwe:

- Strażnik! Strażnik!

Strażnik wrócił.

— Słucham, panno Bailey?

- Proszę go wpuścić - powiedziała ochryplym głosem. Strażnik skinął głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Nogi się pod nią ugięły. Pomacała po omacku za sobą w poszukiwaniu krzesła.

To niemożliwe, powiedziała w duchu, opadając na twarde składane krzesło. Kit nigdy nie istniał. Wymyśliłam go sobie.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Deanie odwróciła się za siebie. Serce stanęło w miejscu, jak gdyby czekało na jej decyzję — umrzeć czy żyć dalej.

Powoli drzwi się otworzyły.

I stanął w nich on.

Z gardła Deanie wyrwał się cichy jęk i serce zaczęło jej bić tak mocno, że mało nie rozerwało klatki piersiowej.

— Kit — wyszeptła.

Wszedł do środka i natychmiast wypełnił swą obecnością całe pomieszczenie, jego witalność zajęła wszystkie wolne miejsca. To był jej Kit, szerokie ramiona, postawna, dumna sylwetka.

Zamiast prostego czarnego dubletu miał na sobie sportową tweedową marynarkę, spodnie khaki i nieco zmiętą koszulę zapinaną na guziki. Patrzył na Deanie oczyma rozżarzonymi gorączką.

— Myślałam, że nie żyjesz — powiedziała niemal szlochając.

— Ja też - wyszeptał z trudem.

Nathan Burns wyłonił się zza kompozycji kwiatowej w kształcie podkowy.

- Czy oni sobie wyobrażają, że to wyścigi konne? - mruknął pod nosem, a następnie spytał Deanie: - Czy kwiaty wysłemy jak zwykle do kliniki dziecięcej i do domu starców?

Nie odpowiedziała. Patrzyła jak urzeczona na stojącego w progu wysokiego ciemnowłosego mężczyznę. Nathanowi zrobiło się nieswojo.

- Co się stało? - spytała Deanie jak w transie.

Nathan zmarszczył czoło. Zapomniała o jego istnieniu?

- W labiryncie zostaliśmy rozdzieleni, ale oboje odbyliśmy tę podróż. Udało nam się, Deanie - stwierdził. Miał głęboki, wibrujący głos.

LABIRYNT

- To dlaczego... gdzie... - Deanie zamknęła oczy. Nie mogła myśleć, kiedy był tak blisko. Spod rozpiętej pod szyją koszuli wyczierała opalona skóra. Deanie wiedziała, że jego pierś porastają ciemne włosy. Pamiętała dotyk jego ciała, zapach, umięśnioną klatkę piersiową.

Splotła ręce i otworzyła oczy.

- Gdzie byłeś, Kit? Dlaczego nie skontaktowałeś się ze mną? Boże, myślałam, że...

- Szszsz. - Uciszył ją.

Wyciągnął dłoń i natychmiast ją cofnął. Gest był tak szybki, że Deanie nie była pewna, czy go sobie nie wyobraziła.

- Próbowałem się skontaktować — powiedział z intonacją nie słyszaną od wieków. — Próbowałem dotrzeć do ciebie w hotelu, zanim wyjechałeś z Anglii. Ale nie chciano mnie do ciebie dopuścić. Czemu się zresztą nie dziwię.

Uśmiechnął się i Deanie dech zaparło. Ten uśmiech, krzywy ząb na dole, pociągłe policzki z cudownymi bruzdami. Zmarszczki w kącikach oczu.

- Ponieważ bardzo się przy tym upierałem, wzięli mnie za wariata. — Bezwiednie odgarnął kosmyk włosów z czoła. — Początkowo myśleli, że jestem bezrobotnym aktorem, ale potem uznali mnie za niebezpiecznego nagabywacza.

Deanie otworzyła usta, ale Kit ciągnął dalej.

- Usiłowałem cię odnaleźć, Londyn jednak bardzo się zmienił. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat nawet bardziej niż przez pięćset lat.

Nathan Burns chrząknął, ale nie zwrócili na niego uwagi.

- O, Kit! Nikt mi nic nie powiedział. A co było potem?

- Kiedy tak nieudolnie cię szukałem, wbili mnie w bardzo ładne ubranko. Nazywają to, o ile pamiętam, kaftanem bezpieczeństwa.

- Zaśmiał się, ale był to bolesny śmiech, gorzki. — W szpitalu leżałem obok fascynującego młodzieńca, który wierzył, że jest Bette Davis.

- Bette Davis?

- Byłby bardzo fajny, gdyby nie opowiadał ciągle jej późniejszych filmów. Poza tym bez przerwy upominał mnie, żebym zapiął pasy,

bo nocą będzie huśtało, ale nie wiem, o co mu chodziło. Udawał też, że pali papierosy, i narzekał na mieszkanie.

- Coś takiego - rzekła otumaniona Deanie.

- Właśnie. Faszzerowali mnie lekarstwami i ilekroć zaczynałem bredzić, a było to często, wszystko skrętnie zapisywali. Przesłuchiwali mnie, zadawali pytania, na które nie znałem odpowiedzi, na przykład kto pierwszy postawił nogę na Księżycu i kim jest Jodie Foster.

- Kit.

Wyprostował się.

- Byłaś dziś cudowna, Deanie. Nie wiedziałem, że jesteś taka dobra. Przedtem nie zdawałem sobie z tego sprawy. Wiem, że starałaś się mi o tym powiedzieć. - Otworzył dłoń i natychmiast ją zamknął. - Nie słuchałem.

Deanie milczała. Tysiące myśli napływało jej do głowy, ale milczała.

- Widzę, że znowu bredzę - powiedział, a jego twarz przybrała dziwny wyraz. — Nie będę zwracał ci głowy, Deanie. Odnosisz sukcesy, na pewno nie chcesz, żebym przypominał ci tamte okropne czasy. Zostawiam cię twoim fanom.

Złożył jej dworski ukłon i odwrócił się. Wyciągnął rękę do klamki.

- Kit!

Przystanął, ale się nie odwrócił.

Gdy wziął głęboki oddech, jego dobrze skrojona sportowa marynarka napięła się.

- Słucham? - Wciąż się nie odwracał.

- Dokąd idziesz? Gdzie mieszkasz?

Ciemna głowa z masą błyszczących niesfornych loków opadła do przodu, jak gdyby nagle poczuł się bardzo zmęczony.

- Idę do mojej siostry. — jego głos był bezbarwny. - Nazywa się lady Carolyn Deighton, trochę za poważnie, żeby zwracać się do niej per „siostrzyczko”. Przekroczyła osiemdziesiątkę.

Nathan Burns z wrażenia wyrznął głową w drzwi szafy.

Deanie wciąż nie mogła wydobyć z siebie nic sensownego.

Kit odkaszlnął; jak gdyby się zastanawiał, co dalej.

LABIRYNT

- Dziś są moje urodziny — powiedział w końcu.
- O, Kit - rzekła cicho Deanie.
- Czterysta siedemdziesiąte dziewiąte.
- Wszystkiego najlepszego - powiedziała ciepło Deanie.
- Oczywiście, to zależy, jak się na to patrzy. W grę wchodzi też siedemdziesiąte dziewiąte. - Odwrócił się. - Oraz trzydzieste dziewiąte.

Spojrzeli sobie w oczy, jak gdyby po raz pierwszy. W ich spojrzeniu było porozumienie, które oboje odczuwali jak pieśczętę.

- Wystarczy, stary - rzekł zniecierpliwiony Nathan. — Wyjdź stąd. Znam się na was dobrze. Narkomanów wyczuwam na kilometr.

Deanie sięgnęła po butelkę z szampanem, żeby się czegoś przytrzymać, czegokolwiek.

- Przestań, Nathan — powiedziała ostro.

Nathan ją zignorował i położył dłoń na szerokich plecach Kita. Zdumiały go mięśnie, wyczuwalne przez tweed.

Kit nie poruszył się.

Jego wzrok przesunął się na butelkę w ręku Deanie. Tak ją ścisnęła, że knykcie miała białe jak twarz. Nagle jego wzrok padł na białą-czarną podobiznę w srebrnej ramce. Podobiznę młodego pilota z drugiej wojny światowej, który ścisnął kubek z herbatą. Miał zmęczone oczy, a zarazem bardzo czujne.

- Moja ukochana Deanie - powiedział.

Ciężka butelka drogiego szampana rozbiła się trzaskiem o podłogę, Deanie zaś rzuciła się w jego ramiona, gotowe na jej przyjęcie, ciepłe.

Wciągnęła jego czysty, męski zapach. Zapach, który poznałaby na końcu świata. Przeczesała palcami jej włosy i delikatnie odsunął ją od siebie, żeby spojrzeć na jej twarz.

Przyglądał się z napięciem. Szalone pożądanie, które teraz odczuwał, było silniejsze od dumy i rozsądku. Deanie powiodła drżącym kciukiem po jego wargach, jak gdyby chciała się upewnić, że nie śni.

Kit był prawdziwy, z krwi, kości, jego serce uderzało o jej piersi, jak gdyby mówiło: „ja naprawdę żyję”.

Usiłowała coś powiedzieć, ale emocje odebrały jej mowę. Emocje,

nieokiełznana namiętność, wielka radość, a przede wszystkim miłość
- czysta i upojna.

Przytuliła się do niego z całej siły i na jego koszulę spłynęły gorące, ciężkie łzy. Ramiona Kita obejmowały ją, jak gdyby od tego zależało ich życie.

W głowie jej się kręciło. Czy to działa się naprawdę? Czy oszalała do końca?

- Jeśli to jest szaleństwo — rzekł Kit - niech trwa wiecznie.
- Przywarł dziko do jej warg, z głodem spowodowanym cierpieniem, tęsknotą i miłością.

W odległym końcu pokoju Nathan Burns na czworakach przypominał sobie smak dawno zapomnianego szampana.

Taca ze śniadaniem pod drzwiami wyglądała na nietkniętą, wyjąwszy dwie filiżanki po kawie. Na złożonej lnianej serwetce leżała czerwona róża.

Prześcieradła były ściągnięte i zmięte. Dwie olbrzymie poduszki z wyhaftowanym emblematem hotelu „Dorchester” poniewierały się po podłodze.

Deanie westchnęła i położyła głowę na piersi Kita. Zamknęła oczy. Miała na sobie miękki hotelowy szlafrok, Kit był opasany ręcznikiem.

- Wciąż mam wrażenie, że to mi się śni - mruknęła i pocałowała go.

Przełknął.

- To lepsze niż sen. W snach nie było bieżącej wody i toalety.
- Aleś ty romantyczny.

Roześmiał się, po czym ucichł. Deanie poczuła, że napiął mięśnie. Uniosła głowę z zaciekawiona.

Kit miał włosy zaczesane do tyłu na mokro i patrzył w dół spod długich ciemnych rzęs.

- Wiesz, co się potem tam stało?

Nie musiał mówić nic więcej. Deanie w mig zrozumiała.

- Wiem, bo przeczytałam mnóstwo książek. Liczyłam, że z tych suchych historycznych książek dowiem się czegoś o tobie. - Zadrzała.

LABIRYNT

Kit uśmiechnął się czule i potarł kciukiem jej ramię.

- Uratowałaś jej życie, Deanie. Gdyby nie ty, Anna Kliwijska zostałaaby ścięta — stwierdził, a w jego głosie brzmiał podziw.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Jestem o tym przekonany, kochanie. Gdyby Cromwell się uparł, żeby ją ściąć, Henryk na pewno by mu uległ. A tak żyła sobie wygodnie w Richmond jako honorowa siostra króla. Ze wszystkich żon Henryka Anna Kliwijska miała najwięcej szczęścia. Dzięki tobie, Deanie.

- Biedna Katarzyną Howard - westchnęła Deanie. — Może była nieznośna, ale nie zasługiwała na topór. Należało ją trochę utemperować, nie zaraz ścinać. Jej wuj się nią posłużył.

- Inni też to robili, Deanie. To się i dziś zdarza, choć na mniejszą skalę - rzekł trochę cierpko. Wziął głęboki oddech.

- Biedny Surrey, syn Norfolka. I jego w końcu ścięli. Był kolejną ofiarą swego ojca, który zresztą też położyłby głowę pod topór, gdyby Henryk nie umarł.

Przez chwilę oboje milczeli, zastanawiając się, jaki był sens w takim szafowaniu ludzkim życiem.

- Dobrze przynajmniej, że Suffolk zmarł własną śmiercią - stwierdziła Deanie w zamyśleniu. — Henryk naprawdę się po nim smucił.

- Chyba tak. Ale wtedy Henryk sam był już starym człowiekiem, załamany zdradą Katarzyny. Tak bardzo chciał kochać i być kochany, że go to zabiło. Zdrada kobiety zabiła wielkiego króla angielskiego Henryka.

- Czytałam o wnuczce Suffolka, lady Jane Grey, która zasiadła na tronie w wyniku intrygi. Cieszę się, że nie dożył ścięcia swej wnuczki. Jeszcze jedna niewinna osoba. Posłużono się nią tak samo jak Katarzyną Howard i Surreym. I zapłaciła za to życiem.

Nagle Deanie przypomniała sobie dotyk szorstkich dłoni Suffolka i drapanie jego brody, gdy całował ją w policzek.

- Lubiłam Suffolka - stwierdziła.

- A on ciebie. Do tego stopnia, że porwał mnie, narażając się na mój gniew i gniew króla. Zrobił to dla nas obojga.

- Suffolk był niesłychanie romantyczny — rzekła Deanie z uśmiechem. - A co sądzisz o Cromwellu? — spytała poważniejąc.

— Wstrętny facet, ale trudno mi się pogodzić z tym, że został ścięty.

Nie sądziłam, że król się na to waży. Myślałam, że Cromwell dożyje swoich dni w Tower.

Kit pokręcił głową.

- Na domiar złego ścięto go w dniu, w którym Henryk poślubił Katarzynę. Zdziwiająca prawidłowość. Czytałaś listy, w których Cromwell błaga Henryka o darowanie mu życia? Ramię wciąż mi dokucza, więc powinienem się cieszyć, że spotkała go kara. Ale te listy, Deanie... W życiu nie czytałem czegoś równie żalosego.

— Sądzisz, że dotarły kiedykolwiek do Henryka?

- Wątpię. Norfolk na pewno je przechwytywał. I jeszcze poczytywał to za swój obowiązek.

- O, Kit. Pocałował ją w głowę.

- Za to Elżbietka nieźle się sprawiła.

- Prawda? — Deanie trudno było uwierzyć, że dziewczynka, która rysowała królika z mokrym noskiem, została potem największą monarchinią w historii Anglii.

Leżeli w miłym milczeniu. Deanie miała już zaproponować zamówienie lunchu lub przynajmniej zjedzenie wzgardzonego śniadania, kiedy nagle stało się coś dziwnego z twarzą Kita. Jak gdyby przetoczyła się po niej sztormowa fala.

- Kit, co się dzieje?

Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Dopiero po chwili spojrzął na nią. Smutek zaciemniał mu oczy.

- Muszę cię opuścić - oznajmił.

- Co? — spytała Deanie przerażona i konwulsyjnie zacisnęła dłoń. - Chyba żartujesz? Tak ni stąd, ni zowąd?

- Nie denerwuj się, Deanie. Wysłuchaj mnie.

Deanie wyprostowała się, a Kit usiadł i zaczął wciągać spodnie. Przez dłuższą chwilę milczeli, ale byli świadomi swych ruchów.

- To, co się nam przydarzyło, ta podróż... - zaczął i przerwał.

- Deanie, ja muszę się w tym odnaleźć.

LABIRYNT

—Co to znaczy?

—Nie chcę być ci kamieniem u szyi. Nie, nie, posłuchaj.

- Położył palec na jej wargach. — Wysłuchaj mnie.

Deanie pokiwała głową na zgodę, ale nie była w stanie powstrzymać łez.

—Widzisz, Deanie — powiedział Kit — wszystko, co wiem, co umiem, należy do przeszłości. Tak, moja siostra żyje i dzięki Bogu ma się dobrze, ale poza nią wszystko zniknęło. Wyrosłem w zupełnie innym świecie. Nie wiem, czy się jasno wyrażam. Chcę powiedzieć, że wszystko, w co wierzyłem, okazało się nieprawdą.

—Masz na myśli czasy Henryka czy lata czterdzieste?

—Jedne i drugie. - Spojrzał na sufit, jak gdyby tam spodziewał się odpowiedzi. - Raz udało mi się dostosować do innej epoki. Było to bardzo trudne, chwilami nie do zniesienia, o czym sama wiesz najlepiej. Ale ponowne dostosowywanie się, przemyślenie od nowa całej mojej egzystencji poza tym pokojem, zastanawianie się, gdzie tu się wpasować, jak się zachowywać, bardzo mnie wyczerpało. Deanie, ja się jeszcze nie pozbierałem.

—Mogłabym ci pomóc. - Wzięła go za rękę. — Ty mi pomogłeś, Kit. Nie przeżyłabym, gdyby nie ty. Pozwól, że teraz ja ci pomogę.

—Nie, Deanie. - Nie patrząc na nią, potarł wargami jej knykcie.

— Ty już mi pomogłaś. Tym, że przeżyłaś. Jeśli nie zwariowałem, to tylko dzięki temu, że wiedziałem o twoim istnieniu. I odważyłem się zrobić to, co zrobiłem.

—Ciągłe nie rozumiem — rzekła Deanie.

—Ty masz swoje życie, Deanie. Wyjątkowy, niezwykły talent. Jesteś wspaniała. Nie przerywaj. Nie chcę zepsuć ci tego życia.

—Ale bez ciebie ono nic dla mnie nie znaczy! - powiedziała płacliwie.

—Musi znaczyć! Nie rozumiesz? Zanim się połączymy, musimy oboje stać mocno na nogach. Ty tego dokonałaś, czego dowodem był wczorajszy koncert. Teraz moja kolej.

—Jak możesz mówić, że nie jesteś silnym człowiekiem? Po tym wszystkim, czego dokonałaś... — Głos ją zawiódł.

Kit roześmiał się i przyciągnął ją do siebie.

— Zdaje się, że zaczynasz rozumieć, kochanie. Muszę znaleźć jakiś cel w tej epoce, sens życia. Pomyśl o moich kwalifikacjach, Deanie. Mam niezłe uniwersyteckie wykształcenie. Potrafię latać bombowcem i zrzucić bomby na Berlin, co kiedyś było nader użyteczną umiejętnością, ale te czasy się skończyły. Prawdopodobnie wygrałbym każdy turniej rycerski w tym kraju. Co ja mówię, na świecie. Niestety, od prawie czterystu lat nie urządza się turniejów rycerskich... Co jeszcze? Aha, nie chwałę się, skutecznie uśmierzam powstania na granicy szkockiej, uniemożliwiłem też kilku uzurpatorom odebranie korony Henrykowi. Mam dworskie maniery, opanowałem długi ukłon i krótki...

Deanie uciszyła go pocałunkiem.

—Już rozumiem - mruknęła.

—Reasumując — powiedział. — Jestem chodzącym anachronizmem, żywą ciekawostką historyczną. - Oparł plecy na poduszkach. - Nadawałbym się na mieszkańca Windsoru, niestety, nie mają wakatów.

—Kit, nie jestem pewna, czy potrafię żyć bez ciebie - stwierdziła Deanie otulając się szlafrokiem.

Na jego wargach zamigotał cień uśmiechu.

—Nie będziesz musiała żyć beze mnie, kochanie. W każdym razie nie bardzo długo. Deanie, ja potrzebuję kilku tygodni, może miesięcy. Jeszcze wczoraj, zanim się spotkaliśmy, nie byłem pewny, Czy chce mi się walczyć. Ale teraz, Deanie, Boże drogi... teraz, kiedy wiem, że będziesz ze mną, czuję, że mogę niejednego dokonać.

—Naprawdę, Kit?

—Naprawdę — potwierdził. Słowo to jednak zostało stłumione, bo jego usta dotknęły jej ust. W tym pocałunku była uroczysta obietnica przyszłości pełnej rozkoszy, które wkrótce staną się ich udziałem.

Epilog

Panował wiosenny chłód. Deanie Bailey zaciągnęła pasek trencza. Wczesną wiosną Pałac Hampton Court odwiedzało niewielu turystów. Później na pałacowym parkingu staną w rzędach autokary, a pałac i jego otoczenie zaroją się od turystów zaopatrzonych w walkmany.

Wiatr rozwiewał jej włosy. Deanie zamknęła oczy i wystawiła twarz na mżawkę. To miejsce jak żadne inne nastrajało do melancholijnych rozmyślań.

Przez kilka minut patrzyła na horyzont, a następnie usiadła na wilgotnej kamiennej ławce. Mimo dzinsów i płaszcz przebiegł ją dreszcz. Dziwnie się tu czuła.

Ta spokojna, zgoła sielankowa sceneria mogła wprowadzić w błąd. Trudno było sobie wyobrazić, że postaci z olejnych portretów robiły tu coś innego poza przechadzaniem się i wymianianiem dworskich ukłonów.

Doktor Howler uważała, że wszystko było wytworem jej fantazji. Żadne argumenty Deanie nie były w stanie zachwiać jej przekonaniem. Potrafiła nawet wytłumaczyć ciąg dalszy tej historii.

- Istnieje logiczny powód tego romansu - rzekła stukając ołówkiem w teczkę z notatkami na temat choroby Deanie. - Byłaś w Londynie tuż przed swym epizodem.

„Epizodem" psychologia nazywa załamanie nerwowe.

- Zobaczyłaś wówczas Christophera Neville'a przez szybę autobusu. Albo w recepcji hotelu „Dorchester". Spodobał ci się, podświadomie zapragnęłaś nawiązać z nim znajomość, a twoja wyobraźnia wypełniła luki w jego obrazie. Potem trafiłaś na fotografię pilota, który jest rzeczywiście bardzo podobny do pana Neville'a, i stąd ta dziwna historia.

- Ale zgadzają się nazwiska. A poza tym on mnie szukał. Nie powie pani, że to czysty przypadek.

- Oczywiście że tak. Bez kuracji, którą przeszedłaś przy pomocy mojej i moich asystentów, nigdy byście się nie spotkali. - Twarz doktor Howler rozświecił uśmiech zawodowej dumy. — Jediną tajemnicą jest ta wzajemna sympatia. Widocznie, kiedy się zobaczyliście, w nim też coś stuknęło. Jeśli pani chce, chętnie poddamy waszą miłość drobiazgowej analizie. Nauka od lat stara się zrozumieć mechanizm pociągu seksualnego u ludzi, ale definitywnych odpowiedzi jeszcze nie znaleziono. Istnieją tylko pewne domysły.

Poważna, poparta autorytetem zawodowym mina doktor Howler ustąpiła rozmarzeniu.

- Niektóre sprawy jednak lepiej pozostawić nie wypowiedziane, panno Bailey. Wśród nich wielką namiętność i miłość.

Doktor Howler wyprostowała się, jakby zawstydzona, że pokazała swą bardziej ludzką stronę. Zakłopotana schowała ołówek do kieszeni białego zakietu. Była to już ostatnia wizyta Deanie.

Teraz Deanie potarła oczy i wróciła myślami do terażniejszości. Odnosiła wrażenie, że z minuty na minutę robi się chłodniej, słynna angielska wilgoć przenikała ją na wylot.

Poczuła czyjąś rękę na swym ramieniu.

Podskoczyła wystraszona.

- Widziałaś to? - spytał mrugając oczyma od deszczu. Wręczył jej gazetę z rubryką towarzyską.

Deanie spojrzała i zachichotała.

- Piszą, że wyszłam za Aarona Neville'a. - Uniósł twarz rozbawiona.

- Aaron Neville czy Christopher Neville, co za różnica?

LABIRYNT

Usiadł obok niej na ławce, oparł dłonie na udach i czytał gazetę. Gruby zielony irlandzki sweter i kalosze wydawały się czymś bardziej naturalnym od dubletu i pończoch. Pokręcił z rozbawieniem głową.

- Piszą, że zanim się z tobą ożeniłem, zalecałem się do Julii Roberts. Szkoda, że nic o tym nie wiem. - Włosy miał teraz znacznie krótsze, dzięki czemu lepiej widać było jego twarz i niezwykle oczy, które mrużył przy czytaniu gazety. Deanie dojrzała na jego szczęce słaby zarys bokobrodów.

- Tak, tak. Ty zalecałeś się do Julii Roberts, zanim ja miałam romans z Elvisem.

- Z tym Elvisem?

- Z tym samym.

Przez chwilę obserwowali w milczeniu, jak ptaszek dziobie ziemię w poszukiwaniu glist.

- Wydaje się, że to było tak dawno temu — rzekła Deanie patrząc na parę wydobywającą się z jej ust.

- Bo było dawno.

Rozpadało się. Kit położył gazetę na kolanach i uniośł nad głowę płaszcz od deszczu, który przedtem miał zarzucony na ramiona. Deanie westchnęła i wsunęła mu się pod pachę, kryjąc się pod peleryną Kita jak pod namiotem. Przytulili się do siebie w milczeniu - ona policzkiem do jego drapiącego swetra z irlandzkiej wełny, on policzkiem do jej wilgotnych włosów.

- Czasami żałuję, że nie zrobiliśmy więcej - szepnęła.

- Niewykluczone, że mogliśmy, ale wtedy pewnie nie udałoby się nam wrócić. Bylibyśmy odnośnikami w książce o długich rządach Henryka, bardzo martwymi i dawno zapomnianymi.

- Tak czy siak jesteście zapomnianymi odnośnikami — odparła z uśmiechem.

- Ale przynajmniej jesteście żywymi zapomnianymi odnośnikami — zauważył pocierając wargami o jej włosy.

- Tęsknisz za czymś z tamtej epoki?

- Za tym i owym - przyznał. — Na przykład budzę się czasami rano i myślę sobie: „Piękny dzień na turniej”. Lub „Ciekawe, co

król mi dziś rozkaże?" To dziwne uczucie, Deanie, żyć, nie musząc spełniać rozkazów takiego wszechmocnego władcy. W oddali zagrzmiało i Kit przyciągnął ją bliżej.

- To Henryk — stwierdziła Deanie patrząc na błyskawicę przecinającą zygzakiem niebo. - Domaga się pączków.

Kit wybuchnął śmiechem. Mrużył oczy, bo deszcz ściekał mu z włosów.

- Musimy iść, kochanie. Neville Williamson i jego żona czekają na nas z herbatą. Obiecaliśmy też twojej matce, że wieczorem do niej zadzwonimy. - Kit odetchnął głęboko i spojrzął ponad jej głową na labirynt, który majaczył niewyraźnie we mgle. — Myślę, że widzieliśmy wszystko, co potrzeba.

- Chyba tak. - Wzięła go za rękę. - Podjąłeś decyzję?

- Sądzę, że tak.

- Tak? To powiedz mi, Kit, sprzedasz? Proponują ci kupę szmalu. O ile linii lotniczych tak zabiegają?

- Niewiele jest takich linii lotniczych. - Uniósł brwi, ale nie był w stanie powstrzymać się od śmiechu. - Ale też ile linii lotniczych lata wyłącznie starymi śmigłowcami?

- Teraz wszyscy mają bzika na punkcie obsługi, Kit. Świetnie, że pomyślałeś o starych dekoracjach, starych uniformach dla załogi, jazzie i starych audycjach radiowych, czasopismach i tych wspaniałych starych filmach.

- Cicho — dłonią zakrył jej usta. - Nie mów mi, jak się kończy *Casablanca*. Nigdy nie mogę jej obejrzeć do końca, bo dzwoni jakiś natręt.

- Natręt? Brytyjskie Linie Lotnicze dzwonią, żeby podwoić stawkę, a ty nazywasz je natrętem? Ale nie odpowiedziałeś mi. Sprzedasz?

Kit zatoczył koło ręką, bo z powodu wilgoci i chłodu rozboleł go bark.

- Zastanawiam się, Deanie. Nie mam ochoty sprzedać. Nic nie da się porównać z lataniem własnym samolotem i chyba nie potrafisz z tego zrezygnować. Na pewno nie teraz, może nawet nigdy. Ale tu, w Anglii, gdzie podatki są takie wysokie i trudno kupić ziemię,

LABIRYNT

niełatwo rozwinąć linię lotniczą. — Gdy to mówił, wodził kciukiem po wierzchu jej dłoni. — Co byś powiedziała na to, gdybym przeniósł się z tym wszystkim do Stanów?

- Naprawdę? - Deanie nie posiadała się z radości.

- Gdzieś, gdzie jest dużo wolnego miejsca, żeby Monarch Air mogła się rozrastać, Może gdzieś na południu. To trochę potrwa, początki mogą być trudne, ale nie takie rzeczy przeszliśmy. Mam oko na kawałek ziemi koło Nashville i...

Reszta jego słów została stłumiona jej pocałunkami, a czarna peleryna spadła z ich ramion na ziemię, gdzie leżała zapomniana, zabłocona. Najpierw Kit śmiał się z jej reakcji, ale jego wesołość prędko przeszła w bezgraniczne pożądanie.

Przeczesał palcami jej włosy; coraz bardziej z nich kapało, w miarę jak uścisk stawał się silniejszy, a pocałunek bardziej namiętny. Całując go Deanie rozpamiętywała szorstkość jego wąsów w zestawieniu z miękkością dolnej wargi. Nie miało dla nich żadnego znaczenia, gdzie i kiedy byli. Najważniejsze że byli razem.

- Ehe — zakaszał ktoś z zakłopotaniem.

Deanie była tak oszołomiona, że nie zwróciła na to uwagi, a Kit miał nadzieję, że intruz odejdzie.

- Ehe, ehe.

Kit unióś brew i zobaczył ogrodnika o czerwonej twarzy, stojącego pod wielkim czarnym parasolem.

- Przepraszam pana - powiedział ogrodnik dyskretnie. - Ehe, przepraszam panią. Zamykamy. Lepiej niech państwo zrzucą z siebie te przemoczone ubrania.

Deanie zachichotała. Nie odrywając wzroku od Kita oparła dłoń na jego piersi.

- Nie o to mi chodziło - powiedział zmieszany ogrodnik.

Kit unióś rękę.

- Niech pan się nie martwi. Już wychodzimy.

Ogrodnik jednak nie zamierzał zostawić ich samych. W tej sytuacji Kit uściśnął ramię Deanie i podniósł z ziemi mokrą pelerynę.

- Niech państwo przyjadą tu późną wiosną - rzekł ogrodnik, szukając tematu do rozmowy. — To magiczne miejsce.

Na wargach Deanie zaigrał uśmiezek.

- Wiemy - szepnęła, biorąc Kita pod pachę. - Bardzo magiczne.

Poszli w stronę parkingu, ogrodnik zaś niósł nad nimi parasol, opowiadając o florze i faunie Hampton Court.

Ale Deanie i Kit milczeli. Wprawdzie mało rzeczy dorównuje magią ogrodowi na wiosnę, lecz najbardziej magiczną rzeczą jest miłość.

Od Autorki

Labirynt przy Hampton Court powstał dopiero za panowania Williama i Marii, ponad sto lat po Kicie i Deanie, że nie wspomnę o Henryku VIII. Prawdą jednak jest, że Anna Boleyn miała labirynt w swym domu rodzinnym, zamku Hever. Może tam właśnie zalecał się Henryk do swej nieszczęsnej drugiej żony. Ale tylko oni to wiedzą.

Anna Kliwijska nigdy nie wróciła do swej rodzinnej Kliwii. W zamian za zgodę na anulowanie małżeństwa otrzymała pałac w Richmond, jak również niebagatelną pensję w wysokości czterech tysięcy funtów rocznie. Henryk dorzucił jej jeszcze tytuł „honorowej siostry”, a także posiadłości Betchingly i Hever Castle, należący do jego poprzedniej żony. Brat Anny, książę Kliwii, odetchnął z ulgą i przyznał, że „jest zadowolony, iż jego siostra nie skończyła gorzej”.

Anna Kliwijska stała się kimś w rodzaju dyktatorki mody, a jej pozycja samowystarczalnej kobiety dała jej cudowne poczucie wolności. Nie wyszła ponownie za mąż, zachowała dobre stosunki z Henrykiem i jego najstarszą córką Marią.

Po unieważnieniu małżeństwa Henryk pozwolił jej opiekować się małą rudowłosą księżniczką Elżbietą.